TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

11

LISTOPAD

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 11

WARSZAWA, LISTOPAD 1952 ROK

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 4251 z dn. 2.10.52 r. Nakład 6 000. Druk ukończono 5.11.52 r. 3-B-21454

WŁODZIMIERZ LENIN

Na czwartą rocznicę Rewolucji Październikowej*)

Nadchodzi czwarta rocznica 25 października (7 listopada).

Im bardziej oddala się od nas ten wielki dzień, tym wyraźniejsze staje się znaczenie rewolucji proletariackiej w Rosji, tym głębiej wnikamy również w całokształt doświadczenia praktycznego naszej pracy.

W najkrótszym — i oczywiście bynajmniej nie wyczerpującym i nie ścisłym — szkicu znaczenie to i to doświadczenie można by wyłożyć w sposób następujący.

Bezpośrednim i najbliższym zadaniem rewolucji w Rosji było zadanie burżuazyjno-demokratyczne: obalić pozostałości średniowiecza, znieść je doszczętnie, oczyścić Rosję od tego barbarzyństwa, od tej hańby, od tego największego hamulca wszelkiej kultury i wszelkiego postępu w naszym kraju.

I możemy być dumni, że tego oczyszczenia dokonaliśmy w sposób daleko bardziej stanowczy, daleko szybciej, odważniej, z większym powodzeniem, szerzej i głębiej z punktu widzenia oddziaływania na masy ludowe, na ich najgłębsze warstwy, niż wielka rewolucja francuska z górą 125 lat temu.

Zarówno anarchiści jak i demokraci drobnoburżuazyjni (tzn. mieńszewicy i eserowcy, jako rosyjscy przedstawiciele tego międzynarodowego typu socjalnego) pletli i plotą jeszcze niewiarogodnie dużo bzdur na temat stosunku rewolucji burżuazyjno-demokratycznej do socjalistycznej (czyli proletariackiej). Że pod tym względem słusznie pojmowaliśmy marksizm, że słusznie uwzględnialiśmy doświadczenia poprzednich rewolucji, tego w pełni dowiodły ostatnie 4 lata. Doprowadziliśmy rewolucję burżuazyjno-demokratyczną do końca — jak nikt dotąd. Z całkowitą świadomością, zdecydowanie i nieugięcie posuwamy się naprzód, ku rewolucji socjalistycznej, wiedząc, że nie jest ona oddzielona murem chińskim od rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, wiedząc, że tylko walka zadecyduje, jak dalece uda się nam (w ostatecznym rezultacie) posunąć się naprzód, jaką część nieskończenie doniosłego zadania wykonamy, jaką część swych zwyciestw utrwalimy na swą korzyść. To przyszłość pokaże. Lecz już teraz widzimy, że — biorąc pod uwagę zrujnowanie, zmęczenie, zacofanie kraju — zrobiono ogromnie dużo w dziedzinie socjalistycznej przebudowy społeczeństwa.

Skończmy jednak z burżuazyjno-demokratyczną treścią naszej rewolucji. Marksiści powinni rozumieć, co to znaczy. Aby to wyjaśnić, weźmy namacalne przykłady.

Burżuazyjno-demokratyczna treść rewolucji, to znaczy oczyszczenie stosunków (urządzeń, instytucji) społecznych kraju ze średniowiecza, z poddaństwa, z feudalizmu.

Jakie były najważniejsze przejawy, przeżytki, pozostałości feudalizmu w Rosji w roku 1917? Monarchia, stanowość, władanie ziemią i użytkowanie

* Fragment artykułu

jej, sytuacja kobiety, religia, ucisk narodowości. Weźcie jakąkolwiek z tych „stajni augiaszowych“ — pozostawionych, zaznaczmy przy sposobności, w niemałym stopniu przez wszystkie przodujące państwa w stanie niedoczyszczonym podczas dokonywania przez nie ich rewolucji burżuazyjno-demokratycznych, 125, 250 i więcej lat temu (w Anglii w r. 1649) — weźcie jakąkolwiek z tych stajni augiaszowych: przekonanacie się, że myśmy je oczyścili do gruntu. W ciągu jakichś dziesięciu tygodni, poczynając od 25 października (7 listopada) r. 1917 do rozpędzenia uczrediłki (5 stycznia 1918) zrobiliśmy w tej dziedzinie tysiąc razy więcej, niż w ciągu ośmiu miesięcy swej władzy zrobili burżuazyjni demokraci i liberałowie (kadeci) i drobnoburżuazyjni demokraci (mieńszewicy i eserowcy).

Ci tchórze, te gaduły, zakochane w sobie narcyzy i hamleciki wywijały tekturowym mieczem — i nie unicestwiły nawet monarchii! Myśmy wyrzucili całe plugastwo monarchiczne — jak nikt, jak nigdy. Kamienia na kamieniu, cegły na cegle nie pozostawiliśmy z odwiecznego gmachu stanowości (kraje najbardziej przodujące, w rodzaju Anglii, Francji i Niemiec, dotychczas nie wyzbyły się resztek stanowości!). Najgłębsze korzenie stanowości, a mianowicie pozostałości feudalizmu i pańszczyzny we władaniu ziemią, wyrwaliśmy z korzeniami. „Można dyskutować“ (za granicą jest dość publicystów, kadetów, mieńszewików i eserowców, aby zajmować się tymi dyskusjami) na temat, co „koniec końcem“ wyniknie z przeobrażeń agrarnych Wielkiej Rewolucji Październikowej. Nie mamy ochoty tracić teraz czasu na te dyskusje, ponieważ dyskusję tę i mnóstwo innych z nią związanych rozstrzygamy walką. Nie można jednak kwestionować faktu, że demokraci drobnoburżuazyjni osiem miesięcy „porozumiewali się“ z obszarnikami chroniącymi tradycje pańszczyzny, my zaś w ciągu kilku tygodni całkowicie zmietliśmy z powierzchni ziemi rosyjskiej zarówno tych obszarników jak i wszystkie ich tradycje.

Weźcie religię lub wyzucie z praw kobiety czy ucisk i brak równouprawnienia narodowości nierosyjskich. Wszystko to są zagadnienia rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Filistrzy demokracji drobnoburżuazyjnej osiem miesięcy o tym paplali; nie ma ani jednego wśród najbardziej przodujących krajów świata, w którym by te zagadnienia zostały rozwiązane w kierunku burżuazyjno-demokratycznym do końca. U nas ustawodawstwo Rewolucji Październikowej rozwiązało je do końca. Z religią walczyliśmy i walczymy jak należy. Wszystkim narodowościom nierosyjskim daliśmy już ich własne republiki lub obwody autonomiczne. Nie ma u nas w Rosji tej ohydy, hańby i nikczemności, jakim jest wyzucie z praw lub brak równouprawnienia kobiety, nie ma tego oburzającego przeżytku poddaństwa i średniowiecza, przeżytku odświeżanego przez chciwą zysków burżuazję i przez tępą, zastraszoną drobną burżuazję we wszystkich, bez żadnego wyjątku, krajach kuli ziemskiej.

Wszystko to jest treścią rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Sto pięćdziesiąt i dwieście pięćdziesiąt lat temu czołowi wodzowie tej rewolucji (tych rewolucji, jeśli mówić o każdej narodowej odmianie jednego typu ogólnego) obiecywali ludom wyzwolenie ludzkości od przywilejów średniowiecza, od nierówności kobiety, od państwowego uprzywilejowania tej lub

innej religii (lub „idei religii“, „religijności“ w ogóle), od braku równouprawnienia narodowości. Obiecywali — i nie dotrzymali obietnicy. Nie mogli jej dotrzymać, ponieważ przeszkodziło im „poszanowanie“ — — — „świętej własności prywatnej“. W naszej rewolucji proletariackiej nie było tego przeklętego „poszanowania“, tego po trzykroć przeklętego średniowiecza i tej „świętej własności prywatnej“.

Aby jednak utrwalić zdobycze rewolucji burżuazyjno-demokratycznej na rzecz ludów Rosji, musieliśmy posunąć się dalej i posunęliśmy się dalej. Rozstrzygaliśmy zagadnienia rewolucji burżuazyjno-demokratycznej po drodze, mimochodem, jako „produkt uboczny“ naszej głównej i prawdziwej proletariacko-rewolucyjnej, socjalistycznej pracy. Mówiliśmy zawsze, że reformy — to produkt uboczny rewolucyjnej walki klasowej. Mówiliśmy i dowiedliśmy czynami, że przekształcenia burżuazyjno-demokratyczne — to produkt uboczny rewolucji proletariackiej, czyli socjalistycznej. Nawiasem mówiąc, wszyscy Kautscy, Hilferdingowie, Martowowie, Czernowowie, Hillquitowie, Longuetowie, Macdonaldowie, Turati i inni rycerze „II 1/2“ marksizmu nie potrafili zrozumieć takiego wzajemnego stosunku między rewolucją burżuazyjno-demokratyczną a proletariacko-socjalistyczną. Pierwsza przerasta w drugą. Druga mimochodem rozwiązuje zagadnienia pierwszej. Druga utrwala dzieło pierwszej. Walka i tylko walka rozstrzyga, w jakiej mierze udaje się drugiej wyjść poza ramy pierwszej.

Ustrój radziecki jest właśnie jednym z naocznych potwierdzeń lub przejawów tego przerastania jednej rewolucji w drugą. Ustrój radziecki — to maksimum demokratyzmu dla robotników i chłopów, a jednocześnie oznacza on zerwanie z demokratyzmem burżuazyjnym i powstanie nowego, historycznego w skali światowej typu demokracji, a mianowicie: demokratyzmu proletariackiego, czyli dyktatury proletariatu.

Niechaj psy i świnie umierającej burżuazji i wlokącej się za nią demokracji drobnoburżuazyjnej obrzucają nas stekiem przekleństw, obelg i drwin z powodu niepowodzeń i błędów w budowaniu przez nas naszego ustroju radzieckiego. Ani na chwilę nie zapominamy, że rzeczywiście mieliśmy dużo niepowodzeń i błędów i że dużo ich popełniamy. Jakżeż można się obejść bez niepowodzeń i błędów w tak nowym dziele, w tak dla całych dziejów świata nowym dziele, jak stworzenie niewidzianego dotąd typu ustroju państwowego. Nieugięcie walczyć będziemy o naprawienie swych niepowodzeń i błędów, o usprawnienie swego bardzo i to bardzo dalekiego od doskonałości stosowania w życiu zasad radzieckich. Mamy jednak prawo szczycić się i szczycimy się tym, że przypadło nam w udziale szczęście zapoczątkowania budowy państwa radzieckiego, zapoczątkowania przez to nowej epoki w dziejach świata, epoki panowania nowej klasy, uciskanej we wszystkich krajach kapitalistycznych i wszędzie zdążającej do nowego życia, do zwycięstwa nad burżuazją, do dyktatury proletariatu, do wyzwolenia ludzkości z jarzma kapitału i od wojen imperialistycznych.

Kwestia wojen imperialistycznych, kwestia tej dominującej dzisiaj na całym świecie międzynarodowej polityki kapitału finansowego, która nieuchronnie rodzi nowe wojny imperialistyczne, nieuchronnie rodzi niesłychane wzmożenie ucisku narodowego, rabunku, rozboju, dławienia narodo-

wości słabych, zacofanych, drobnych przez garstkę mocarstw „przodujących“ — kwestia ta od r. 1914 stała się kamieniem węgielnym całej polityki wszystkich krajów kuli ziemskiej. Jest to kwestia życia i śmierci dziesiątków milionów ludzi. Jest to kwestia, czy w następnej wojnie imperialistycznej, w naszych oczach przygotowywanej przez burżuazję, w naszych oczach wyrastającej z kapitalizmu, zamordowanych zostanie 20 milionów ludzi (zamiast 10 milionów zabitych w wojnie lat 1914—1918 oraz w dodatkowych „drobnych“ wojnach, nie zakończonych po dziś dzień), czy w tej nieuniknionej (jeśli utrzyma się kapitalizm) przyszłej wojnie stanie się kalekami 60 milionów osób (zamiast 30 milionów kalek, które dała wojna lat 1914—1918). Również w tej kwestii nasza Rewolucja Październikowa zapoczątkowała nową epokę w dziejach świata. Sługusy burżuazji i jej pomocnicy w osobach eserowców i mieńszewików, w postaci całej drobnoburżuazyjnej, rzekomo „socjalistycznej“ demokracji całego świata naigrawali się z hasła „przekształcenia wojny imperialistycznej w wojnę domową“. A okazało się, że hasło to było jedyną prawdą — nieprzyjemną, brutalną, nagą, okrutną — wszystko to fakt, ale prawdą wśród mnóstwa najbardziej wyrafinowanych, szowinistycznych i pacyfistycznych kłamstw. Kłamstwa te walą się w gruzy. Zdemaskowany został Pokój Brzeski. Każdy dzień coraz bezlitośniej demaskuje znaczenie i następstwa pokoju jeszcze gorszego niż Brzeski, Pokoju Wersalskiego. I coraz wyraźniej, coraz dobitniej, coraz bardziej nieodwołalnie wobec wielu milionów ludzi, wnikających w przyczyny wojny wczorajszej i zastanawiających się nad nadchodzącą wojną jutrzejszą, występuje groźna prawda: nie można się wyrwać z wojny imperialistycznej i z nieuchronnie rodzącego ją imperialistycznego pokoju (gdybyśmy używali dawnej pisowni, napisałbym tu dwa wyrazy „mira“ w obu ich znaczeniach), nie można wyrwać się z tego piekła inaczej niż przez bolszewicką walkę i bolszewicką rewolucję.

Niechaj burżuazja i pacyfiści, generałowie i mieszczanie, kapitaliści i filistrzy, wszyscy wierzący chrześcijanie i wszyscy rycerze II i II 1/2 Międzynarodówki z wściekłością wymyślają na tę rewolucję. Żadnymi potokami wściekłości, oszczerstw i kłamstw nie zaciemnią oni tego historycznego w skali światowej faktu, że po raz pierwszy od setek i tysięcy lat niewolnicy odpowiedzieli na wojnę między właścicielami niewolników otwartym proklamowaniem hasła: przekształćmy tę wojnę między właścicielami niewolników o podział ich łupu w wojnę niewolników wszystkich narodów przeciw właścicielom niewolników wszystkich narodów.

Po raz pierwszy od setek i tysięcy lat hasło to przekształciło się z niejasnej i bezsilnej nadziei w wyraźny, sprecyzowany program polityczny, w czynną walkę milionów uciskanych ludzi pod kierownictwem proletariatu, przekształciło się w pierwsze zwycięstwo proletariatu, w pierwsze zwycięstwo sprawy unicestwienia wojen, zwycięstwo sprawy sojuszu robotników wszystkich krajów nad sojuszem burżuazji różnych narodów, tej burżuazji, która zarówno zawiera pokój, jak i prowadzi wojnę kosztem niewolników kapitału, kosztem robotników najemnych, kosztem chłopów, kosztem mas pracujących.

To pierwsze zwycięstwo nie jest jeszcze zwycięstwem ostatecznym i nasza Rewolucja Październikowa osiągnęła je z olbrzymim trudem, przezwycię-

żając niesłychane przeszkody, niesłychane męki, szereg ogromnych niepowodzeń i błędów z naszej strony. Jakżeż mógłby jeden zacofany naród bez niepowodzeń i błędów pokonać wojny imperialistyczne najpotężniejszych i najbardziej przodujących krajów kuli ziemskiej! Nie boimy się uznać swych błędów i trzeźwo będziemy patrzyli na nie, aby się nauczyć je naprawiać. Fakt jednak pozostaje faktem: po raz pierwszy od setek i tysięcy lat obietnica, by „odpowiedzieć" na wojnę między właścicielami niewolników rewolucją niewolników przeciw wszelkim właścicielom niewolników, spełniona została aż do końca — — — i wykonywana jest wbrew wszelkim trudnościom.

Dzieło to zaczęliśmy. Kiedy mianowicie, w jakim terminie, proletariusze jakiego narodu doprowadzą to dzieło do końca — to już sprawa nieistotna. Istotne jest, że lody zostały przełamane, że droga jest otwarta, kierunek wskazany.

Trwajcie nadal w swej obłudzie, panowie kapitaliści wszystkich krajów, „broniący ojczyzny" japońskiej przed amerykańską, amerykańską przed japońską, francuskiej przed angielską itd.! Piszcie w dalszym ciągu „na odczepnego" nowe „manifesty bazylejskie" (na wzór Manifestu Bazylejskiego z 1912 r.) w celu ominięcia problemu środków walki przeciw wojnom imperialistycznym, panowie rycerze II i II 1/2 Międzynarodówki wraz ze wszystkimi pacyfistycznymi mieszczuchami i filistrami całego świata! Pierwszą setkę milionów ludzi na kuli ziemskiej wyrwała z wojny imperialistycznej, z pokoju imperialistycznego pierwsza rewolucja bolszewicka. Następne wyrwą z takich wojen i z takiego pokoju całą ludzkość.

Lenin, Dzieła Wybrane, Tom II; str. 802—807. *14.X.1921*

Podpis: N. Lenin

Z referatu sekretarza KC WKP(b) G. Malenkowa na XIX Zjeździe Partii

Niezwykle ważną, nieodłączną częścią kultury radzieckiej jest literatura i sztuka. Osiągnęliśmy wielkie sukcesy w rozwoju radzieckiej literatury, plastyki, teatru, filmu. Świadczy o tym dobitnie fakt, że wielu utalentowanym działaczom na polu kultury przyznaje się rokrocznie Nagrody Stalinowskie. 2339 pracowników literatury i sztuki otrzymało zaszczytne miano laureata Nagrody Stalinowskiej.

Byłoby jednak niesłuszne, gdybyśmy spoza wielkich sukcesów, nie dostrzegali poważnych niedociągnięć w rozwoju naszej literatury i sztuki. Idzie o to, że mimo znacznych sukcesów w rozwoju literatury i sztuki, poziom ideowo-artystyczny wielu utworów wciąż jeszcze jest nie dość wysoki. W literaturze i sztuce pojawia się jeszcze wiele miernych, banalnych, a niekiedy wręcz tandetnych utworów, które fałszują obraz rzeczywistości radzieckiej. Wielostronne, tętniące życie społeczeństwa radzieckiego, przedstawiane jest w twórczości niektórych pisarzy i artystów bezbarwnie i nudno. Nie przezwyciężono również niedociągnięć w tak ważnej i popularnej dziedzinie sztuki jak film. Umiemy robić dobre filmy o dużym znaczeniu wychowawczym, lecz filmów takich tworzy się wciąż jeszcze za mało. Kinematografia nasza ma wszelkie możliwości ku temu, aby produkować dużo dobrych i różnorodnych filmów, ale możliwości te nie są należycie wykorzystywane.

Należy liczyć się z tym, że ideologiczny i kulturalny poziom człowieka radzieckiego podniósł się niezmiernie, że partia kształtuje jego smak estetyczny na podstawie najlepszych utworów literatury i dzieł sztuki. Ludzie radzieccy niecierpią szarzyzny, bezideowości, fałszu i stawiają twórczości naszych pisarzy i artystów wysokie wymagania. Pisarze nasi i artyści powinni w swych utworach piętnować wady, niedociągnięcia, zjawiska chorobliwe pokutujące w społeczeństwie, powinni ukazywać w pozytywnych obrazach artystycznych ludzi nowego typu w całym blasku ich godności ludzkiej i w ten sposób przyczyniać się do kształtowania w ludziach radzieckich charakterów, nawyków, przyzwyczajeń, wolnych od wypaczeń i wad zrodzonych przez kapitalizm. Tymczasem w naszej radzieckiej beletrystyce, w dramaturgii, podobnie jak w kinematografii brak dotychczas takiego gatunku twórczości artystycznej jak satyra. Błędem byłoby sądzić, że nasza rzeczywistość radziecka nie dostarcza materiału do satyry. Potrzebni nam są radzieccy Gogolowie i Szczedrinowie, którzy ogniem satyry wypalaliby z życia wszystko to, co jest negatywne, przegniłe, obumarłe, wszystko to, co hamuje marsz naprzód. Nasza literatura i sztuka radziecka powinna śmiało ujawniać życiowe sprzeczności i konflikty, umiejętnie posługiwać się bronią krytyki jako jednym ze skutecznych środków wychowania. Siła i znaczenie sztuki realistycznej polega na tym, że może ona i powinna wykrywać i ukazywać wysokie walory moralne i typowe, pozytywne cechy charakteru prostego człowieka, malować jego wyrazisty obraz artystyczny, godny tego, aby stać się dla ludzi przykładem i wzorem do naśladowania.

Nasi malarze, literaci, pracownicy sztuki w swej twórczej pracy nad obrazem artystycznym pamiętać powinni stale, że typowe jest nie tylko to, co się spotyka najczęściej, lecz również to, co najpełniej i z największą ostrością wyraża istotę danej siły społecznej. W ujęciu marksistowsko-leninowskim to co typowe nie oznacza bynajmniej jakiejś średniej statystycznej. Typowość odpowiada istocie danego zjawiska społeczno-historycznego, nie jest zaś po prostu zjawiskiem najbardziej rozpowszechnionym, najczęściej się powtarzającym, powszednim. Świadome przejaskrawienie, wyostrzenie obrazu nie wyklucza typowości, lecz w pełniejszej mierze ujawnia ją i podkreśla. Typowość stanowi podstawową sferę przejawiania się partyjności w sztuce realistycznej. Problem typowości jest zawsze problemem politycznym.

Wysokie i szlachetne zadania stojące przed pracownikami literatury i sztuki można rozwiązać pomyślnie jedynie wówczas, jeśli wydamy zdecydowaną walkę tandeciarstwu w pracy naszych artystów i literatów, jeśli z dzieł literatury i sztuki wypleni się bezlitośnie fałsz i zgniliznę. W wielkiej walce o troskliwą opiekę nad tym co wschodzi nowe i światłe w naszym życiu społecznym, i o karczowanie tego co zmurszałe i obumarłe, ogromne obowiązki ciążą na naszych pracownikach literatury i sztuki. Obowiązkiem naszych pisarzy, artystów, kompozytorów, pracowników kinematografii jest głębiej poznawać życie społeczeństwa radzieckiego, tworzyć wielkie dzieła artystyczne, godne naszego wielkiego narodu.

Towarzysze! Mamy poważne osiągnięcia w dziedzinie poprawy warunków materialnych i wzrostu kultury narodu radzieckiego. Ale nie możemy poprzestać na tych osiągnięciach. Zadanie polega na tym, aby na gruncie rozwoju całej gospodarki narodowej zapewnić dalsze konsekwentne podniesienie materialnego i kulturalnego poziomu życia ludzi radzieckich. Partia nasza nadal będzie przejawiała nieustanną troskę o maksymalne zaspokojenie rosnących wciąż potrzeb ludzi radzieckich, gdyż dobro radzieckiego człowieka, rozkwit narodu radzieckiego jest dla naszej partii najwyższym prawem.

W organizacjach partyjnych obserwuje się jeszcze niedocenianie roli krytyki i samokrytyki w życiu partii i państwa, toleruje się prześladowanie i szykany za krytykę. Nierzadko można się zetknąć z działaczami, którzy nieustannie krzyczą o swym oddaniu dla partii, w rzeczywistości zaś nie znoszą krytyki od dołu, tłumią ją i mszczą się na krytykujących. Znanych jest niemało faktów, kiedy biurokratyczny stosunek do krytyki i samokrytyki wyrządzał wielką szkodę sprawie partii, zabijał inicjatywę organizacji partyjnej, podważał autorytet kierownictwa w masach partyjnych i zakorzeniał w życiu poszczególnych organizacji partyjnych antypartyjne nawyki biurokratów, śmiertelnych wrogów partii.

Partia nie może nie brać pod uwagę faktu, że tam, gdzie krytyka i samokrytyka traktowana jest po macoszemu, gdzie osłabła kontrola mas nad działalnością organizacji i instytucji — tam nieuchronnie rodzą się takie potworne zjawiska, jak biurokratyzm, gnicie, a nawet rozkład poszczególnych ogniw naszego aparatu. Oczywiście, że tego rodzaju zjawiska nie są u nas szeroko rozpowszechnione. Nasza partia jest silna i zdrowa jak nigdy. Na-

leży jednak zdać sobie sprawę, że te niebezpieczne bolączki nie rozpowszechniły się na szeroką skalę jedynie dlatego, iż partia stosując broń krytyki i samokrytyki w porę, otwarcie i śmiało je ujawniała, zadawała stanowcze ciosy konkretnym przejawom zarozumialstwa, biurokratyzmu i gnicia. Mądre kierowanie polega właśnie na tym, żeby umieć dojrzeć niebezpieczeństwo w zarodku i nie pozwolić mu rozrosnąć się do groźnych rozmiarów.

Krytyka i samokrytyka — to wypróbowany oręż partii w walce z brakami, błędami, chorobliwymi zjawiskami, które podkopują zdrowy organizm partii. Krytyka i samokrytyka nie osłabiają, lecz umacniają państwo radzieckie, radziecki ustrój społeczny — i to jest oznaką jego siły i żywotności.

W chwili obecnej rzeczą szczególnie ważną jest zapewnienie rozwoju samokrytyki i krytyki od dołu, wydanie nieubłaganej walki — jako najgorszym wrogom partii — tym, którzy przeszkadzają w rozwijaniu krytyki naszych braków, tłumią krytykę, tolerują prześladowania i szykany za krytykę. Rzecz w tym, iż w związku ze zwycięskim zakończeniem wojny i wielkimi sukcesami gospodarczymi w okresie powojennym, w szeregach partii rozwinął się bezkrytyczny stosunek do braków i błędów w pracy organizacji partyjnych, gospodarczych i innych.

Fakty świadczą, że sukcesy zrodziły w szeregach partii nastrój samozadowolenia, błogostanu i filisterskiej niefrasobliwości, chęć spoczywania na laurach i życia zasługami przeszłości. Pojawiło się niemało pracowników, którzy uważają, że „wszystko możemy", „cóż to jest dla nas", że „wszystko idzie dobrze" i nie ma co zawracać sobie głowy taką mało przyjemną sprawą jak ujawnianie braków i błędów w pracy, jak walka z ujemnymi i chorobliwymi zjawiskami w naszych organizacjach. Te szkodliwe w swych następstwach nastroje ogarnęły część wadliwie wychowanych i chwiejnych pod względem partyjnym kadr. Kierownicy organizacji partyjnych, radzieckich i gospodarczych nierzadko przekształcają zebrania, posiedzenia aktywu, posiedzenia plenarne i konferencje w popisy, w okazje do samochwalstwa, wskutek czego błędy i braki w pracy, bolączki i słabości nie są ujawniane i poddawane krytyce, co wzmaga nastroje zadowolenia z siebie i niefrasobliwości. Do organizacji partyjnych przeniknęły nastroje beztroski. Wśród pracowników partyjnych, gospodarczych, radzieckich i innych obserwuje się osłabienie czujności, gapiostwo, fakty rozgłaszania tajemnic partyjnych i państwowych. Niektórzy pracownicy, pochłonięci gospodarczymi sprawami i sukcesami, zaczynają zapominać, że wciąż jeszcze istnieje kapitalistyczne otoczenie i że wrogowie państwa radzieckiego uporczywie usiłują nasyłać do nas swoje agentury, wykorzystywać do swych brudnych celów chwiejne elementy społeczeństwa radzieckiego.

Ażeby pomyślnie posuwać naszą sprawę naprzód, trzeba prowadzić zdecydowaną walkę z ujemnymi zjawiskami, skierowywać uwagę partii i wszystkich ludzi radzieckich na usuwanie braków w pracy, w tym celu zaś rzeczą konieczną jest rozwijanie na szeroką skalę samokrytyki, a zwłaszcza krytyki od dołu.

Aktywny udział najszerszych mas pracujących w walce z brakami w pracy

i z ujemnymi zjawiskami w życiu naszego społeczeństwa jest dobitnym świadectwem prawdziwego demokratyzmu ustroju radzieckiego i wysokiego stopnia uświadomienia politycznego ludzi radzieckich. W krytyce oddolnej znajduje swój wyraz twórcza inicjatywa i samodzielna twórczość milionów ludzi pracy, ich troska o umocnienie państwa radzieckiego. Im szerzej będzie się rozwijała samokrytyka i krytyka oddolna, tym pełniejsze ujście znajdą twórcze siły i energia naszego narodu, tym mocniej będzie wzrastało i krzepło w masach uczucie, iż są one gospodarzem kraju.

Błędem jest sądzić, że krytyka oddolna może rozwijać się sama przez się, samorzutnie. Krytyka oddolna może narastać, rozszerzać się jedynie pod tym warunkiem, że każdy, kto występuje ze zdrową krytyką, będzie przekonany, iż znajdzie w naszych organizacjach poparcie, a wskazane przez niego braki będą rzeczywiście usuwane. Trzeba, żeby organizacje partyjne i pracownicy partyjni, wszyscy nasi kierownicy przodowali tej sprawie i dawali przykład uczciwego i sumiennego stosunku do krytyki. Obowiązkiem wszystkich kierowników, zwłaszcza działaczy partyjnych, jest stwarzanie takich warunków, żeby wszyscy uczciwi ludzie radzieccy mogli śmiało i bez obawy występować z krytyką braków w pracy organizacji i instytucji. Zebrania, posiedzenia aktywu, posiedzenia plenarne, konferencje we wszystkich organizacjach powinny w rzeczywistości stać się szeroką trybuną śmiałej i ostrej krytyki braków.

Wytrwała walka z brakami i bolączkami w pracy organizacji partyjnych, radzieckich, gospodarczych i innych powinna być codzienną sprawą całej partii. Komunista nie ma prawa obojętnie odnosić się do chorobliwych zjawisk i braków w pracy, a tym bardziej ukrywać ich przed partią. Jeśli w tej lub innej organizacji sprawy stoją źle, jeśli dzieje się coś ze szkodą dla interesów partii i państwa, obowiązkiem członka partii jest, bez względu na osoby, powiadamiać o brakach kierownicze organa partyjne aż do Komitetu Centralnego partii włącznie. Jest to obowiązkiem każdego komunisty, jego najważniejszą powinnością partyjną. Spotykamy u nas kierowników, którzy uważają, że jeśli podlegli im pracownicy powiadamiają o brakach Komitet Centralny partii, przeszkadza im to w kierowaniu i podważa ich autorytet. Trzeba stanowczo położyć kres tego rodzaju szkodliwym i głęboko antypartyjnym poglądom.

Zadanie partii polega na tym, żeby na coraz szerszą skalę rozwijać krytykę i samokrytykę, usuwać wszystko, co stoi temu na przeszkodzie. Im szerzej będzemy wciągali masy do walki z brakami w pracy, im silniejsza będzie oddolna kontrola działalności wszystkich naszych organizacji, tym większe będziemy osiągali sukcesy we wszystkich dziedzinach. Konsekwentne wprowadzenie w życie hasła krytyki i samokrytyki wymaga stanowczej walki ze wszystkimi, którzy przeszkadzają w jej rozwoju, którzy prześladują i szykanują za krytykę. Pracownicy, którzy nie sprzyjają rozwijaniu krytyki i samokrytyki, są hamulcem w naszym marszu naprzód, nie dojrzeli do tego, żeby być kierownikami i nie mogą liczyć na zaufanie partii.

Praca ideologiczna jest naczelnym obowiązkiem partii i niedocenianie jej może wyrządzić interesom partii i państwa szkody nie do powetowania.

Powinniśmy zawsze pamiętać, że wszelkie osłabienie wpływu ideologii socjalistycznej oznacza wzmożenie wpływu ideologii burżuazyjnej.

W naszym społeczeństwie radzieckim nie ma i być nie może bazy klasowej dla panowania ideologii burżuazyjnej. Panuje u nas ideologia socjalistyczna, której niewzruszoną podstawą jest marksizm-leninizm. Jednakże zachowały się u nas jeszcze pozostałości ideologii burżuazyjnej, przeżytki psychologii i moralności prywatnego posiadacza. Przeżytki te nie obumierają same przez się, są bardzo żywotne, mogą się rozwijać i należy je zdecydowanie zwalczać. Nie jesteśmy również zabezpieczeni przed przenikaniem do nas obcych poglądów, idei i nastrojów z zewnątrz, ze strony państw kapitalistycznych, i od wewnątrz — ze strony nie rozgromionych jeszcze ostatecznie przez partię resztek grup wrogich władzy radzieckiej. Nie wolno zapominać, że wrogowie państwa radzieckiego usiłują rozpowszechniać, podsycać i rozdmuchiwać wszelkie niezdrowe nastroje, demoralizować pod względem ideologicznym chwiejne elementy naszego społeczeństwa.

Niektóre nasze organizacje partyjne, pochłonięte sprawami gospodarczymi, zapominają o zagadnieniach ideologii, pozostawiają je na uboczu. Nawet w takich przodujących organizacjach partyjnych, jak np. moskiewska, poświęca się pracy ideologicznej nie dość uwagi.

A to nie uchodzi płazem. Tam, gdzie słabnie zainteresowanie sprawami ideologii, powstaje podatny grunt dla ożywienia wrogich nam poglądów i pojęć.

Te odcinki pracy ideologicznej, które z jakichś względów wypadają z pola widzenia organizacji partyjnych, te odcinki, na których słabnie kierownictwo i wpływy partii, usiłują opanować obcy ludzie, wszelkiego rodzaju elementy, rekrutujące się z niedobitków rozgromionych przez partię grup antyleninowskich, i wykorzystać dla przemycania swej linii, dla wskrzeszania i rozpowszechniania najrozmaitszych niemarksistowskich „punktów widzenia" i „koncepcji".

Niedocenianie pracy ideologicznej jest w znacznej mierze wynikiem tego, że pewna część naszych kadr kierowniczych nie pracuje nad podniesieniem poziomu swego uświadomienia, nie uzupełnia swych wiadomości z dziedziny marksizmu-leninizmu, nie przyswaja sobie bogatego historycznego doświadczenia partii. A bez tego nie można stać się pełnowartościowym, dojrzałym kierownikiem. Ten, kto pozostaje w tyle pod względem ideologiczno-politycznym, kto żyje wyuczonymi formułkami i nie widzi tego, co nowe, ten nie potrafi orientować się dobrze w sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej, nie może i nie jest godzien stać na czele ruchu, ten prędzej czy później zostanie przez samo życie wyrzucony poza nawias. Tylko taki kierownik może stać na wysokości zadań naszej partii, który nieustannie pracuje nad sobą, twórczo opanowuje marksizm-leninizm, wyrabia w sobie i kształtuje cechy działacza typu leninowsko-stalinowskiego.

Organizacje partyjne wciąż jeszcze słabo pracują nad podniesieniem ideologiczno-politycznego przygotowania członków i kandydatów partii, źle organizują i kontrolują ich studia nad teorią marksistowsko-leninowską, wskutek czego wielu komunistów nie ma nieodzownych wiadomości z dziedziny marksizmu-leninizmu. Pogłębienie wiedzy politycznej członków i kandydatów partii jest nieodzownym warunkiem podniesienia ich przodującej roli

we wszystkich dziedzinach życia, dalszego uaktywnienia mas partyjnych i usprawnienia pracy organizacji partyjnych.

Z powodu niedostatecznego kierowania pracą ideologiczną i braku kontroli nad jej treścią popełniane są nieraz poważne błędy i wypaczenia w książkach, dziennikach i czasopismach, w działalności instytucji naukowych i innych instytucji ideologicznych. Dzięki interwencji Komitetu Centralnego partii, w wielu dziedzinach nauki wykryto obce ludziom radzieckim obyczaje i tradycje, ujawniono fakty zasklepienia kastowego i nietolerancyjnego stosunku do krytyki, zdemaskowano i rozgromiono rozmaite przejawy ideologii burżuazyjnej i wszelkiego rodzaju wulgaryzatorskie wypaczenia. Znane dyskusje poświęcone zagadnieniom filozofii, biologii, fizjologii, językoznawstwa, ekonomii politycznej, ujawniły poważne luki ideologiczne w różnych dziedzinach nauki, stały się bodźcem do rozwijania krytyki i walki poglądów, odegrały doniosłą rolę w rozwoju nauki. Rozgromiony został reżim Arakczejewa, który istniał na wielu odcinkach frontu naukowego. Mimo to w szeregu gałęzi nauki nie zlikwidowano jeszcze w zupełności monopolu poszczególnych grup uczonych, odsuwających rosnące świeże siły, odgradzających się od krytyki i usiłujących rozstrzygać kwestie naukowe w drodze administracyjnej. Żadna gałąź nauki nie może rozwijać się pomyślnie w zatęchłej atmosferze wzajemnych pochwał i przemilczania błędów; próby utrwalenia monopolu poszczególnych grup uczonych rodzą nieuchronnie zastój i gnicie w nauce.

Ideologiczna praca partii powinna odegrać doniosłą rolę w oczyszczeniu świadomości ludzi z przeżytków kapitalizmu, z przesądów i szkodliwych tradycji starego społeczeństwa. Trzeba nadal rozwijać w masach wysokie poczucie obowiązku wobec społeczeństwa, wychowywać ludzi pracy w duchu radzieckiego patriotyzmu i przyjaźni narodów, w duchu troski o interesy państwa, doskonalić najlepsze cechy ludzi radzieckich — wiarę w zwycięstwo naszej sprawy, gotowość i umiejętność pokonywania wszelkich trudności.

Zadanie organizacji partyjnych polega na tym, ażeby zdecydowanie położyć kres szkodliwemu niedocenianiu pracy ideologicznej, wzmóc tę pracę we wszystkich ogniwach partii i państwa, nieustannie demaskować wszelkie przejawy ideologii obcej marksizmowi. Należy rozwijać i doskonalić socjalistyczną kulturę, naukę, literaturę, sztukę, wykorzystywać wszystkie środki oddziaływania ideowo-politycznego, naszą propagandę, agitację, prasę dla polepszenia przygotowania ideologicznego komunistów, dla podniesienia czujności politycznej i świadomości robotników, chłopów i inteligencji. Wszystkie nasze kadry i wszyscy bez wyjątku obowiązani są pracować nad podniesieniem swego poziomu ideologicznego, opanowywać bogate doświadczenie polityczne partii, ażeby nie pozostawać w tyle za życiem i ażeby stać na wysokości zadań partii. Trzeba, by organizacje partyjne prowadziły stałą pracę z członkami i kandydatami partii nad podniesieniem ich poziomu ideologicznego, by uczyły ich marksizmu-leninizmu, kształtowały z nich politycznie przygotowanych, świadomych komunistów.

G. Malenkow

JAN ŚPIEWAK

GDZIE CZŁOWIEK DOJRZEWA

Przyjacielu, jeśli z daleka przybędziesz do kraju mojego
naucz swe oczy, aby się mogły szeroko otwierać,
wyprostuj swój uśmiech, aby mógł się rozjaśnić,
napnij wolę, abyś mógł pojąć nasze zwycięstwa.

Nie przychodzę do ciebie z namową, nie agituję,
uczciwe oczy powiodą cię same,
uczciwe oczy wszystko dostrzegą.

Prostują się sosny w lasach cienistych,
muskularne buki podają sobie dłonie,
brzozy w strumieniach zanurzają gałęzie,
jarzębina rumieni drogi biegnące pośpiesznie.
Widzisz, nawet w najmniejszej mieścinie
wznoszą się rusztowania.

Sosny i buki i brzozy chronią
mury, by mogły wytrwale wspinać się w górę.
Z daleka pachnie wapnem, murarską zaprawą,
dzwonią żelazne konstrukcje wznoszone ręką dźwigarów
i koła ciężkich samochodów płoszą ścieżki polne,
po których wnet popłynie beton.

Gdzie wczoraj jeszcze szumiał zagajnik,
gdzie jaskier liście czerwienił swym cieniem,
gdzie grzyby o świcie kryły się chytrze,
gdzie śmigał zając, gdzie wiewiórka szara
skacząc na drzewa ciszą dzwoniła —
domy stoją w szeregach czekając cierpliwie
na ciepłe oddechy mieszkańców,
na czuły dotyk palców
otwierających po raz pierwszy drzwi.

O jakże lubię wędrować po nowych osiedlach,
których urok jest zmienny lecz stromy,
gdzie wszystko się dzieje niemal równocześnie.
Łopata śpiewa o ziemi, kreda o skale,
ptak nisko kołuje nad głową,
a wozy wiozą meble pachnące żywicą i klejem.

W rzeki nie zanurzyliśmy sieci na statki,
w słońcu ryby stadami cierpliwie się grzeją.
Tratwy płyną powolne, zwinne okręty
pryskając pianą zieloną ślad zostawiają świetlisty.

Oracz na polu nie znajdzie już niewybuchłych pocisków,
traktory szeroko poniosły pola ku horyzontom.
Widzisz, jak suną kombajny, młockarnie wołają o zboże,
w spiżarniach jabłka na słomie czekają na cierpką dojrzałość.

Młody las brnie po kolana pośród soczystej zieleni,
młode łodyżki dębów wiatr hartuje i rosa.
Jeleń wybiega na skały i patrzy uważnie na miasta.
Jeleń patrzy na błękit, który się wznosi ku niemu.

Na ziemi deptanej przez wrogów,
pociętej przez rowy strzeleckie,
na ziemi bitew i mogił
kroczą osiedla i miasta.
O przyjacielu nieznany, jak pięknie
patrzeć, gdy rośnie Ojczyzna.

II

Moje słowa są kruche, łamliwe,
Moje słowa są nieszczelne, niedźwięczne.
Moje słowa nie potrafią oddać szumu wiatru,
pluskania strumienia, śpiewu słowika.
Nie umiem rozróżnić kolorów zieleni,
zastanawiam się długo, jak opisać liść,
który widzę co dzień podchodząc do niego.
Z trudem unoszę tę pieśń, chociaż przyszła sama.

Męczyła się ziemia pokratowana przez miedze,
spadały strumienie górskie na wylęknione wioszczyny,
w lecie jak piskorz się wijąc, na wiosnę gniewem wezbrane,
kruszyły chaty oślepłe belkami, i pianą i piaskiem.
W grząskich moczarach kumkanie, dzikich kaczek przeloty
i noce gwiezdne wpatrzone w rozkołysane moczary
i stada zgryźliwych komarów i wilgoć i pleśń człapiąca
i błoto, błoto po drogach, błoto po biodro, po pas.
Kwaśny przednówek co roku, śniegiem zawiane obory,
mięsiste liście łopianu, perz i lebioda i rumian.
Smutne dary ugorów, gleby bezpłodnej owoce.

Były ugory daremnie wołające o przyjście rzeki,
moczary daremnie pragnące wiatru suchego i piasku,
oślepłe wioski podgórskie drżące przed lada strumieniem,
nogi dziecięce skrzywione przez wilgoć,
lebioda ponurej młodości, łopian bezchlebnych poranków,
energia bezużyteczna jałowo bijąca o brzegi,
samotne fale na wydmach, stadem powodzie biegnące.
O! Ziemio, ziemio wiślana, ziemio kwitnąca na nowo.

Śpiewam towarowe pociągi mijające się w biegu,
statki idące powoli naprzeciw prądowi,
bramy fabryczne, z których wybiega samochód,
traktor błyszczący, koparkę i wzniosłe dźwigi ruchome.

Śpiewam świeżo złożone zegary,
precyzyjne narzędzia, których nie było dotychczas,
szyby naftowe, huty żelaza i stali,
fabryki zabawek dla dzieci
i doki, z których wychodzą okręty.

Śpiewam pola dorodne, łąki trawą okryte,
bystre rzeki, góry błękitne i śnieżne,
morze płynące z oddali
i ptasi świergot w gałęziach.

Śpiewam młodą urodę Ojczyzny,
która dojrzewa codziennie.

III

Czy widziałeś, jak gałąź kwitnie na wiosnę,
jak zgięta łodyżka fasoli ziemię rozgarnia,
jak skupione w sobie pęki kasztanów otwierają się,
jak młode ryby po raz pierwszy odpływają od brzegów,
pierwsze unoszenie się na skrzydłach wróbla młodego?
Nic nie przychodzi samo. Wszystko należy wywalczyć.

Mieszkam w środku mojego kraju.
Znam jego dzieje, walki i troski.
Niejeden opowiadał mi swoje życie.
Z niejednym dzieliłem strawę.
Poznałem wiele miast, pieszo
przeszedłem wiele ścieżek.
Wiem, którędy czołga się węgorz,
gdzie przelatują żurawie,
gdzie rodzi się węgiel,
krzemień wytryska, kreda się bieli,
gdzie sine źrenice żelaza
wpatrują się w chciwe korzenie drzew.
Znam smak leczniczych ziół.
Poznałem wielobarwny aromat jesieni
i wybuchy przejrzałych zapachów.
Poznałem niebo o kolorze zwilgotniałej stali,
które łąkom przynosi posuchę.
Poznałem smutek pustej łyżki na stole
i opuszczone dłonie ojców
i wystraszone spojrzenia butów rozdartych

i pochylone plecy matek, piskliwe kwilenia niemowląt
i wiele innych rzeczy, dla których długo nie mogłem znaleźć nazwy.
Przebierałem troskę ludzką w śmieszne kostiumy,
w zabawne kapelusze z piórami wynalezionymi na strychu,
w przydługie surduty i zarzucałem na nią czarny powłóczysty płaszcz,
jaki widziałem u przygodnych cyrkowców, których twarze
były spocone ale też kolorowe.
Srebrzyste świerki i graby podniosłe
przesadzałem w kruche, fajansowe doniczki wyobraźni.
Unikałem słów ostrych jak bitwa klasowa i wyzysk,
które były najcelniejsze i najprostsze
w kraju, w którym utrzymywano starannie armie bezrobotnych,
w kraju, w którym miedze dzieliły człowieka od człowieka,
w kraju, w którym artyści mogli mieć brody proroków i dzwoneczki błaznów
jarmarcznych.

O! góry, doliny, opiewane tylekroć,
O! ścieżki śródpolne, O! trakty kamienne,
O! rowy przydrożne, O! dęby pochmurne,
O! brzozy łagodne, O! haszcze cieniste,
trawo skoszona i ty wietrze lecący,
niebo jak gołąb i jak jastrząb nawisłe,
gdyby mowę wam dano, jaka pieśń by wybuchła,
jaki gniew usta wasze mógłby wtedy wyrazić?
Nie dla rymów brzęczących i obrazów wykwintnych,
nie dla mgiełek rozchwianych przywołuję was dzisiaj.
O ty dolo człowiecza bita knutem i kijem
ekonomskim i pańskim i kramarskim, fabrycznym,
ty i górą, doliną, ty i rowem, i traktem
szłaś kulejąc i biegłaś, uchodziłaś do lasów.
Ty i w słocie i w błocie, ty w więzieniu i w bitwach
ociosana jak krzemień albo bryła granitu.
Moja pieśń z ciebie rośnie, moja pieśń idzie z tobą,
moja pieśń ciebie śpiewa będąc tobą na zawsze.

Nad brzegami rzek naszych nie będziemy siedzieć
i wspominać co przeszłe i nie wróci już nigdy.

Nad brzegami rzek naszych nie będziemy płakać
z prądem wody niesionych nawet cieni najbliższych.

Nad brzegami rzek naszych nieraz też siadywałem,
wiatr piasek kołysał, szeleściło listowie

i wołało spalonych, rozstrzelanych, zabitych.
I szło słońce po wodzie i biegł księżyc po falach.

I przejrzyste milczenie unosiło się do mnie.
Faszystowscy oprawcy rozgromieni nie wrócą.

I nie przyjdą ich pułki, samoloty nie spadną,
nie potoczą się czołgi i okręty nie wpłyną.

To nie nowy Babilon. Tylko zboże dojrzałe.
Nad brzegami rzek naszych rosną mosty i śluzy.

Rosną stogi, kopice, rosną łodzie zieleni.
Rośnie pieśń i wznosi się coraz wyżej i śmielej.

Uzbrajam wiersze moje w kielnie,
w narzędzia miernicze, w cyrkle architektów,
w czerwone krawaty harcerzy, w kombinezony.
Ptakiem niechaj kołują nad krajem, unoszą się w górę,
pochylają się nisko nad ziemią, uczą się mowy kamieni,
gliny i piasku, korzeni i krzaków,
wychodzą z laboratorium geologów, z map inżynierów,
konstruktorów, uczonych, rzeźbiarzy,
prowadzą pociągi, hartują się w wietrze i słocie.

O jakże dobrze, żyjąc w środku kraju mego
tropić każdą grudkę ziemi, która dotychczas była jałowa.
Jakże dobrze być myśliwym żelaza i kruszców.
Jakże dobrze być ogrodnikiem sadów rosnących.
Jakże dobrze dostrzegać zmienione łożyska rzek.
Oto jest czułość i troska, która nie musi już krwawić,
W strzeleckich umierać okopach, więdnąć zanim powstaje.
Oto jest pieśń, co odkrywa, zmienia i tworzy na nowo.
Oto prostują się ludzie, czyny człowiecze i myśli.

Chłop, który zamienił lemiesz na traktor — wie czego pragnie.
Robotnik, który pojął serce i nerwy maszyny — wie czego pragnie.
Górnik, który wynajduje kombajny woli posłuszne — wie czego pragnie.
Starzec z uporem kreślący litery w zeszycie — wie czego pragnie.
Lotnik odważnie płynący po niebie Ojczyzny — wie czego pragnie.
Matka z ufnością marząca o dziecku — wie czego pragnie.

Lemiesz na traktor zmieniony — trudem zdobyty.
Serce maszyny rytmem tętniące — sercem ogrzane.
Kombajn w kopalni woli posłuszny — wolą stworzony.
Starzec litery kreślący w zeszycie — młodość podwójna.
Lotnik wzniesiony na niebie Ojczyzny — czujność napięta.
Matka z ufnością patrząca na dziecko — wieża radości.

Dzień co kiełkuje, dzień co przeminął — bitwą znaczony.
W trudzie rodzą się dzieje — nic nie jest proste.
Domy strzeliste, pola ubrane — spokój rozważny.
Dojrzewająca radość stanowcza — w walce zdobyta.

Jan Śpiewak

JANINA BRZOSTOWSKA

STANISŁAWA KUNICKIEGO ŻYCIORYS

Z cyklu „Wielki Proletariat"

I

Był z tych, którzy nie znają lęku — najmężniejsi!
Takim nieraz lud każe w chmurnej ożyć pieśni,
I niesie pieśń przez wieki i przez pokolenia,
Tak, jak niosą sztafety krwawy blask płomienia...

Urodzony w dalekim Tyflisie, pod niebem,
Które szczyty Kaukazu pozdrawiają śniegiem,
Wcześnie ze słów gruzińskich, śmiałych partyzantów
Zrozumiał, czym jest władza i przemoc caratu.

Gdy ojciec pod cedrami rannych opatrywał,
Chłopak kładł ich ostrożnie na miękkim igliwiu,
I nieraz mu tułukcza, stary woziwoda,
O ich krzywdzie słów kilka, jak broń celnych, podał...

Tak się walki od dziecka uczył. I nie przestał
Pragnąć jej — gniew spiskowców nauczał go męstwa.
Krew się klei do złota, jęk jest echem pychy:
Słuchał: jednym się stały i krew, i jęk cichy.

II

Po latach, w Petersburgu, poznał towarzyszy
Rosyjskich socjalistów. Wraz z nimi poprzysiągł
Dochodzić sprawiedliwej miary dla skrzywdzonych:
Odtąd wrastał w tok dziejów, jak głos wrasta w struny...

Nieugięty przed wrogiem — dla braci Moskali
Miał serce jak dla swoich. Ten sam się w nich palił
Płomień wielkiej ofiary... Nie stawiali granic
Ani burzy nie siali między narodami.

I oni go jak brata przyjęli. Dotrzymać
Umiał kroku, i karku przed wrogiem nie zginał.
Młodości swej nie szczędząc, wybrał los surowy —
I chleb swój z nimi dzielił i ciężkie okowy.

Nie zdołała go w drodze zatrzymać dziewczyna...
Szedł z klasą robotniczą: „Cała moja wina
Wielka miłość dla ludu. Dla jego wolności
Gotów jestem krew przelać..." wyznawał najprościej.

III

Po Waryńskim wziął Partii kierownictwo. Nieraz
Zdawał mu sprawę z pracy w listach do więzienia...
Warszawskiej Cytadeli Dziesiąty Pawilon
Czekał tych listów: serce oddane w nich biło!

Gdy w lęku żyła matka i tęsknił brat mały,
Partii dni swe poświęcał — szedł, gdzie iść kazała.
Często głowę narażał, choć jak my gorąco
Kochał życie, i ludzi, i światło w ich oczach...

Znacie karty historii — może pamiętacie
Jak sam jeden do piwnic pod Prokuraturą
Dostał się, aby zniszczyć dokumenty, które
Służyć miały za dowód przeciw towarzyszom...

W strajkach, buntach do walki ze zdrajcą gotowy,
Ażeby zmylić ślady włosy ufarbował,
I jako „Rudy Grzegorz", piechur tajnych szlaków,
Szedł do fabryk, jak pierwszy żołnierz do ataku.

Aż i jego dosięgła chciwa ręka wroga
I zakuła w żelaza. Przeciw władzy cara
Stawał z towarzyszami — a na takich kara
Nigdy nie dość wymyślna i nie dosyć sroga.

IV

Wielki proces... Przed sądem dwudziestu dziewięciu,
Którzy się nie poddadzą nigdy! Choć ujęci,
Śmierć mając przed oczyma, choć żelazem skuci,
Jeszcze swoim przykładem służą rewolucji!

Przed wspólnym wrogiem nie drżał żaden z nich: Kunicki,
Pietrusiński, Ossowski — młodzi robotnicy,
Bardowski — sędzia Rosjanin — ci czterej
Winę wzięli na siebie... A za nimi szereg

Najśmielszych... Odpowiadał wraz z nimi Waryński
Sprowadzony z więzienia — towarzyszom wszystkim
Wzór dając nieugiętą dowódcy postawą —
Przez niego „Proletariat" sądził carskie prawo:

„Niech się wszyscy dowiedzą, za cośmy walczyli
I za co dziś giniemy! To przez nas w tej chwili
Częstochowa, Łódź, Piotrków — pierwsza linia Frontu
Rozbrzmiewa rewolucją, jak podziemnym grzmotem!"

V

Dwudziesty ósmy stycznia — rok tysiąc osiemset
Osiemdziesiąty szósty... W mgle przedświtu gęstej
Śnieg prószy, biją wolno warszawskie zegary...
Ludzie biegną w tę stronę — tłum postaci szarych...

Na stokach Cytadeli cztery szubienice.
Płacz kobiet — ale razem tłumu poszept groźny...
Bicie serc, które za chwilę ucichną —
Bo na krzywdzie i zbrodniach wspiera się świat możnych.

Jak trudno żegnać bliskich, gdy giną tak wcześnie!
Jak ciężko ich imiona w listy strat wpisywać!
O, pomyślcie wy, młodzi, w latach im rówieśni,
Że dla was, z myślą o was, śmierć wówczas ponieśli!

Ślady ich kroków śniegu podmuchy oprzędły,
Czas starł dotknięcia palców z krat więziennej celi,
A jednak i dziś jeszcze, gdy idziesz tamtędy,
Szukasz ich, pod wysokim murem Cytadeli...

Zostały resztki słupów, na których zawiśli,
Marmurowa tablica... pamiątki Warszawy
Przez męstwo bohaterów droższej nam i bliższej
Niż przez bogactwa królów i wodzów wyprawy!

Redaktorze „Walki klas"! Tobie był bliski
Braterski sojusz ludów: polskiego z rosyjskim...
Wszak nieraz powtarzałeś: Nie jesteśmy sami!
Lud rosyjski jest z nami! Pójdzie razem z nami!

Spełniły się twe słowa! W przeszłość odpłynęła
Przemoc carów — a żyje wielkość tego dzieła,
Za które dałeś życie! Na historii kartach
Po dziś żyje i walczy „Wielki Proletariat"!

Dziś nazwana imieniem twym fabryka łódzka
Dla rzeszy robotników tka najbielsze płótna...
Lecz dobrze pomiętamy łachmany i zdradę,
Które łaska magnatów na ich barki kładła...

Przez tę pamięć, za wielkie dni naszych zwycięstwa,
Czcimy dzisiaj śmierć waszą i niezłomne męstwo.
Pod czerwonym sztandarem wysoko wzniesionym
My w pracy dla przyszłości przekraczamy normy!

Janina Brzostowska

STANISŁAW ZIELIŃSKI

RODACY*)

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jaskółka wywijał batem, choć nie miał zwyczaju poganiać zbyt ostro. Wóz jak kibitka przelatywał drogę, ale słońce sunęło nie wolniej. Stary klął.

— Późno, psia jego mać, późno.

Drogę obliczył dobrze, ale z koleją zawsze bieda. Jak pociąg na czas, to koń okuleje, albo woda most zmyje i choć na głowie stawaj, podróż diabli biorą. A jeszcze gorzej wyjeżdżać na spotkanie. Nigdy nie wiadomo, z kim wrócisz do domu.

Byli na stacji z pierwszym brzaskiem, jak tego chciała Tulikowa. Zostawili konia na znajomym podwórku i poszli na peron. Wokół wojsko, cywile, karabiny, dzieci i pakunki, wszystko zmieszane na kupę wojenną gorączką. Przyjechał pociąg pełen armat i przystanął na chwilę. Ludzie pogadali z żołnierzami i dalejże krzyczeć:

— Kto do Łodzi, proszę wsiadać!

W drugą stronę szły wagony z rozbitymi samolotami. Też wsiedli ludzie i odjechali na Kraków. I tak zeszło do południa i miało się już ku wieczorowi, a Kasi nie było widać. Dopiero przed samym zmierzchem, dwa parowozy przyciągnęły platformy z ciężkimi czołgami. Z ostatniej wysiadła Katarzyna. Tulikowa w płacz, ledwie poznała córkę w mundurze. Kachna miała na sobie wszystko wojskowe, a na dodatek ogromny tobół, jakby z całego pułku bieliznę wiozła do magla. Radość radością, ale musieli nocować w miasteczku.

Jaskółka układając się do snu, słuchał, jak za ścianą matka rozmawia z córką. Nasycały zdarzeniami czas, bowiem dla każdej przeminął inaczej. Zdawało się, że stoją nad kadzią pełną po brzegi wspomnień. I co zaczerpną, to historia lub drobiazg, okruch ubarwiający obraz życia i przez to bardzo ważny. Lecz ponad wszystkim górowały troska i niepewność. Tulikowa nie pozwalała omamić się słowem. Głowę miała pełną ludzkiego gadania, więc przed odjazdem chciała poznać prawdę.

— Kasiuniu, a powiedz, czy ci nie zaszkodziła taka długa podróż?

— Zmęczona jestem, matuś. To prawda. Oj, pośpię sobie w domu!

— Widzisz, widzisz... I czemuś to dźwigała sama! Toboły ciężkie...

---

* Patrz: T w ó r c z o ś ć nr poprzedni.

— A co się mogło stać?

— Da Bóg, że nic... Więc oni też wiedzieli, że ty...?

— Co, matuś, kto?

— Ja tego nie wiem. Eh...

— Pić mi się znowu chce.

— Napiłabyś się czego kwaśnego? Powiedz, Kasiuniu, swojej mamie.

— E, nie. Żeby tak piwa? O, piwa!

— Tu nie ma. Zresztą szukać późno. Dam ci herbaty z sokiem? Poczekaj, nie podrywaj się nagle! Ja wszystko przygotuję.

Tulikowa milczała. Postukiwały naczynia i wyginały się ściany pod naporem matczynych westchnień.

— Siedź, Kachna. Oj, ale coś jesteś taka blada na gębusi. Oj, bladziutka. Nie mgli cię czasem? — Tulikowa zniżyła głos.

— Po czym, mamusiu? Drogę znać na twarzy i tyle.

— A tak coś więcej, nic? Czy ci już mówiłam, że mamy cielaczka? Chowa się zdrowo, byle ludzie nie zaczęli chwalić.

— Jeśli ładny, czemuż mają nie powiedzieć?

— Kasiu, Kasiu! Chyba odwykłaś od nas i od ludzi! Przecież tak samo było z kwiatami! Pamiętasz? Schodzili się, mówili, że piękne, a potem doniczka schła za doniczką. Kwiat i stworzenie nie lubią wydziwiania. Zaraz zaczynają chorować, marnieją w oczach i wnet giną. Asparagus ledwie odratowałam.

— Nawet nie spytałam jak Nero? Ale mi wstyd! Czy pozna?

— Zdrów, Kasiuniu, nie trzeba lepiej. Co po psie spłynie, to do człowieka się uczepi.

— Chorował kto w domu?!

— W domu szczęśliwie nikt... Leczył się u nas partyzant, ale wyzdrowiał. Chyba już prędko odjedzie za wojskiem, bo nie chce tu czekać na pobór. A ty kawalera jeszcze nie masz żadnego?

— Ani, ani! — roześmiała się Katarzyna.

— Nie odrzekaj się łatwo. Nie wiadomo, co gorsze. Czy ci nie słabo? Coś tak przemknęło przez twarz? Wiesz, jakby myśl czyjaś?

— Myśl? A może? — odezwała się dziewczyna zmienionym głosem. — Kto wie...

— Kaśka! Powiedz prawdę, dlaczego ty dostałaś urlop?

— Matuś! Przecież, by was zobaczyć! Mamo, ty może myślisz, że ja... — dziewczyna znów wybuchnęła śmiechem.

— Nie, nie! Gdzież mi co w głowie! Śpij już, śpij. Ale skoro cię puścili, to chyba... — Tulikowa nie dokończyła i zdmuchnęła światło.

Zanim zaczęło szarzeć, Jaskółka obudził się i zastukał w ścianę.

— Pani Tulikowa! Śpicie?

— Eh, co tu o śnie mówić. Ani oka nie zmrużyłam.

— Ano, chyba tam myszy chrapały... Budźcie już naszą fizylierkę. Zjemy i w drogę.

Jaskółka postawił czterdziestkę i dołożył do śniadania pięknie zamarynowane ogórki, mocno pachnące czosnkiem.

— Wypić trzeba. Mróz w oknie i wiatr poświstuje.

— Kasiu, ale ty mi nie pij. Chyba nie możesz? — szepnęła Tulikowa. Katarzyna nic nie odpowiedziała. Spojrzała na Jaskółkę wzrokiem dając znak, by ratował przed podejrzliwością matki.

— Wypijmy — rzekł pojednawczo Jaskółka. — Na resztę będzie czas potem.

— ... i ogórki je! — jęknęła — Tulikowa. — Dawniej do ust nie wzięła!

— I co wielkiego? Gust ma teraz wojskowy. Wiadomo, że odmienia się on człowiekowi razem ze skórą, co siedem lat. Dziewczynom zaś prędzej, bo krew mają żywszą. Prawda, Kaśka?

— Zależy do czego!

— Mądrze. Pani Tulikowa, wyładniała nam Kachna, co? Wyrosła z niej panna jak topola. Ano, pojedziemy chyba?

— Pojedziemy. Kaśka! — Tulikowa krzyknęła ostrzegawczo, bo dziewczyna schyliła się po pakunek. — Nie podnoś!

— Mamo! Znowu?

— Już nic. Ludzie mi głowę skręcili na amen.

Wsiedli na wóz i ruszyli. Droga upływała w milczeniu, dopóki nie wydostali się z nocnego chłodu. Słońce rozwiązało na powrót języki. Tulikowa rozchmurzyła twarz. Wyglądało, że pozbyła się zgryzot lub przynajmniej nadrabia miną, by nie ośmieszyć się przed Jaskółką. Chłop skręcił papierosa, zapalił i nagle zwrócił się do Katarzyny.

— Doszły nas wieści, że jeden generał szedł pod kulami aż do brzegu Wisły. I choć ogień był wtedy tak silny, że adiutantowi plątały się nogi, generał witał się z rzeką zaczerpnąwszy wody.

— A tak... — wtrąciła Tulikowa — Mówią, że przyklęknął i przeżegnał się wodą, jakby to była święcona!

Jaskółka chrząknął i spod oka spojrzał na kobietę. Kasia zarumieniła się, lecz nie zwróciła tym uwagi matki, bo słońce piekło i dął wiatr porządny.

— Ah, matuś...! Oficer, który to widział, opowiadał, że generał twarz miał mokrą. Czy od łez, czy tylko od wody, którą łzy obmywał? Któż teraz powie...! Każdy po swojemu tłumaczy, co słyszał. Ja wiem! Generał witał się z Polską.

— I sztandar podobno całował? Gdzieś było to dalej i zdaje się dawniej...

— Całował... a dwa tysiące ludzi płakało jak dzieci, ledwie zaczął mówić.

— On, komunista? — spytała cicho matka.

Katarzyna schyliła głowę i po chwili wahania odpowiedziała równie cichutko.

— Bardzo dobry... i skromny, nie do wiary, że to z wojska człowiek. Lubił, gdy dziewczęta śpiewały piosenki...

— A co? A jakie? — wtrąciła żywo Tulikowa.

— „U prząśniczki" i „Gdyby rannym słonkiem" i wiele innych, bo z różnych byłyśmy stron.

— Tu grzechu nie ma. Żeby się nawrócił!

— I lubił także kwiaty, choć nie pamiętał o tym. Wiersze nam mówił z pamięci gładko i ładnie, że od razu wlatywały w serce. To było więcej niż szkoła. Zanim dostałam „Pana Tadeusza" do ręki, umiałam już trochę ze słuchu. Ze słów generała. Matulu, ja wam w domu powiem! To naprawdę piękne.

— Kasiuniu, a nie wstydzisz się matki? — Tulikowa przełknęła łzy — Bo ja, ty wiesz, jak książkę biorę, to wzrok się mąci, litery skaczą i słowa uciekają. Są takie dzieci nie-dzieci. Pamiętasz Józię, co się wydała do miasta za sekretarza komornika? Nigdy matki nie prosi do siebie.

— Matuś, czemu mi dokuczasz?

— Oj, Kasiu, ty zaraz coś wymyślasz. A, powiedz, skąd generała znasz tak dobrze?

— Pracowałam w kasynie, więc prawie co dzień widziałam go po kilka razy. Wiecie, jak mówił? Żeby gadać po chłopsku, ale po polsku. Żeby nie plątać słów obcych, bo nasz język bogaty i piękny i tak obfity, że wszystko w nim można znaleźć, byle umieć szukać.

Jaskółka popatrzył na rozpromienioną twarz dziewczyny, pomyślał, że Katarzyna naprawdę jest ładna i zamyślił się głęboko. Tulikowa milczała trochę oszołomiona, zdziwiona, ot jakby w komodzie po babce znalazła raptem jeszcze jedną szufladę, której istnienia nie domyślała się dotąd.

— A wiecie, czym on wszystkich jednał? Do człowieka odnosił się jak człowiek. Pokazywał nam piękny świat i mówił, że świat jest dla nas, że jest nasz.

Wkrótce przystanęli na chwilę, by dać koniowi wytchnienie i samym rozprostować kości. W karczmie wiedziano już o bombardowaniu Bradczyc i o śmierci Płoskotniakowej w aptece. Córkę wraz z innymi odesłano samochodem. Czy przetrzymają szpital, karczmarz nie umiał powiedzieć. Rany były straszne.

— Na Lublin też przylatywały samoloty i rzucały wiązki granatów. I wiecie, co się okazało? W ruinach, tuż przy placu Litewskim siedzieli ukryci hitlerowcy. Podawali wiadomości przez radio! Dużo ludzi zginęło, zanim złapali faszystów.

Jaskółka otarł usta grzbietem dłoni i już kazał z powrotem siadać na wóz. Pojechali.

Wreszcie zobaczyli las kusacki i pola łagodnie pofalowane. Skręcili z szosy kierując się wprost na dym kołyszący się nad gajówką. Teraz i Kaśce zwilgotniały oczy.

— Jak tu ładnie — westchnęła. — Żeby przyjechał tu kiedyś i zobaczył.

— A kto, Kasiuniu? Kogo przywołujesz?

— Oj, pani Tulikowa... — pokręcił głową Jaskółka. — Pani to też dzisiaj od samego rana nie może taktu pochwycić! Co my zaczniemy od pieca, to pani od drzwi. Chciałaby Kasia pokazać nasze strony generałowi. Mnie się zdaje, że on tu przyjedzie...

— Generał? — Tulikowa zachwiała się na siedzeniu i mało nie spadła za wóz. Córka złapała ją w pół i ucałowała, raz, drugi i trzeci.

— Generał, matulu, generał!

— Kaśka! Gdzie ty rozum masz?!

— A tu!

Dziewczyna rozchyliła wojskowe przyodziewki i położyła dłoń na sercu.

— Kaśka! — zawołała matka, zgorszona odruchem. — A zapniesz ty bluzkę!

Na dłuższe kazanie zabrakło czasu. Wóz wtoczył się na podwórko i stanął przed gankiem. Tulik wyciągnął ramiona, Katarzyna rozbeczała się w głos. Nieco z boku przypatrywał się siostrze najmłodszy Stasio unieruchomiony widokiem munduru. Matka zsiadła z wozu i krzyknęła do męża wskazując na córkę:

— Naści swoją demokrację!

— Chyba też i twoja! Coś mi się zdaje, żeśmy jej razem szukali. Nie pamiętasz, matka, jak to było czasem?

Tulikowa ofuknęła męża i dopiero w izbie uspokoiła się trochę. Stół był nakryty. Przestawiła statki, poprawiła fałdę na obrusie i przegarnęła ogień, choć buzował pięknie.

Jaskółka nawrócił i pognał do Bradczyc. Wysoko huczały samoloty i strzałami lotu przebijały niebieskie polany wśród obłoków. Myśliwce leciały parami na zachód, a na południe, do szczekocińskiej szosy, sunęły ciężarówki i konne tabory. Oddziały radzieckie opuszczały okolicę i dążyły za frontem, który już ledwie postukiwał w dali. Jaskółka był jeszcze na szosie, gdy zobaczył szary samochodzik pędem wjeżdżający do Bradczyc.

— Chyba jakaś władza, bo chorągiewka migocze przy aucie — mruknął stary i strzelił z bata, upominając konika, żeby zbierał nogi. — Co benzyna, to nie sieczka.

Wkrótce wjechał na obszerne podwórze za szynkiem. Wziął bat i podszedł do samochodu. Znajomi chłopi z Kalinek przyglądali się maszynie i wyraźnie zafrasowani drapali się w głowy.

— Co za jeden? — spytał Jaskółka przyciskając się bliżej samochodu.

— Minister Wiśniewski!

— O psia mać! Trzeba do ratusza prosić!

— Ba, tam pusto. Wszyscy nad rzeką.

— Bo wy, Michale, nic nie wiecie, co wyprawia się tutaj! Złapali hitlerowców ukrytych pod ziemią. Jeden dostał się żywy, więc go powieźli do miasta. Widzieliście dom rozbity? No!

— To znaczy, że nikogo nie ma? — Jaskółka złapał się za głowę.

— E, są, ale nad rzeką. Wiecie, ludzie pojechali rano po jedlinę i koło południa dali znać, że widzieli obcego w bagnach. Więc, kto miał broń, poszedł łapać. No, paru też odjechało w sprawie mąki. Akurat po nich przyniosło maszynę. Żeby to ktoś z powiatu, ale nie! Minister!

— Mówił co?

— A jakże. Pochwalił za flagi, ale rzekł także: „Przemówię sam i przeczytam najważniejsze ustawy. Przywiozłem pełną teczkę!"

— Wszystko sam? — Jaskółka pobladł. — Sam?!

— Ano.

— To znaczy, że mnie zostawił wołać „Niech żyje!". Tak? Idziem do środka! Skończyły się strachy! Puszczajcie ludzie!

W pierwszej izbie gwar i ścisk. Wszyscy radzą, każdy krzyczy i ucisza sąsiada. Jaskółka dopchał się do bufetu i powiódł oczami po twarzach.

— Co robi minister? — spytał z trudem dobywając głosu, tak go skurcz dziwny pochwycił za gardło.

— Je golonkę z grochem i zapija bimbrem.

— A szofer?

— Zamówił kotlety pożarskie i też pije.

— Tam? — Jaskółka wskazał batem na drzwi pokoiku, w którym dawniej podejmowano dziedziców.

— Tam.

— Hm. Coście uradzili?

— Nic. Jedni chcą go słuchać, inni radzi zamknąć. Kto wie, jak minister wygląda? Nikt!

— Warto by dokumenty przepatrzyć.

— Pokazał nie proszony! Wyjął z teczki kennkartę i podsunął Oruńskiemu pod nos: „Widzicie?". Widzimy! Nazwisko Wiśniewski jak byk!

— Fałszywa! Mało lewych kart? Zamknąć gada!

— A jak on naprawdę Wiśniewski? To wtedy co? A, jużeś przycichł! Widzisz!

— Czekajcie, pytaliście szofera, co mówi?

— To właśnie ciekawe. Zachodziliśmy go z różnych stron, żeby wyznał, z kim przyjechał. „A co wam szef powiedział?" — „No, że minister..." — „Jeszcze wam mało?!" — Tymi słowami potwierdził, ani się zająknął. Słyszeli wszyscy!

— Nie byłoby źle posłać po Kaśkę Tulików. Jak myślicie, Michale? Wróciła dziewczyna z wojska, więc musi ministrów znać z imienia i z twarzy.

— Nie trzeba. — Jaskółka sięgnął po okulary i wydobył z kieszeni druk złożony we czworo. Bat na razie zatknął za cholewę. — Odstąpcie od okna! — Stary wodził palcem po nazwiskach bez pośpiechu i uważnie, by Wiśniewskiego nie przeoczyć. Wreszcie wyprostował się i krótko oznajmił. — Nie ma!

— Patrzcie raz jeszcze! Może podpisał gdzieś z boku?

— Nie podpisywał! — huknął rozzłoszczony Jaskółka. — Ani jednego Wiśniewskiego! Całe jego szczęście! Może on Wiśniewski, ale nie minister!

— Michale, Michale! A jeśli objął posadę niedawno? Głupstwo łatwo palnąć. Lepiej czekajmy.

— Nowy, nie nowy, wpierw zerknę na niego. — Jaskółka ruszył do drzwi.

— Czekajcie Jaskółka! Czekajcie! Zapytamy Oruńskiego. Obiecał ministra wybadać. Panie Oruński! Oruński!!

Właściciel knajpy wysunął głowę.

— Ludzie, przecież ciszej! Minister!!

— No, jak tam? Mówcie szybko!

— Dobrze idzie! Drugi litr zaczęli. — Oruński zamknął drzwi. Chłopi uciszyli się nieco i rozsunęli się, by przepuścić Jaskółkę. Stary nacisnął klamkę i zajrzał do pokoju.

Minister był w mundurze. Niski, ale krępy, z głową wciśniętą w szerokie ramiona, jakby nie miał szyi. Kawaleryjską szablę trzymał na kolanach, a prawą ręką obejmował szklankę. Właśnie przepijał do szynkarza. Oruński szeptał:

— ... i ja mam pochodzenie socjalne! Proszę mi wierzyć, panie ministrze! Doprawdy mam!

— Na drugi raz żebyś miał flaki na ogniu! Zamknę lokal, jak nie będziesz flaków gotował!

Szofer palił papierosa i patrzył w okno. Nie odwracając głowy sięgał po szklankę i wychylał duszkiem. Minister zobaczył Jaskółkę i groźnie zmarszczył brwi.

— Ty czego? Chcesz posadę w urzędzie? Biegaj po wódkę! *Grom pabiedy razdawajsia!* No! Jeszcze stoisz?

— Milicja z Krakowa!

Minister złapał za szablę, szofer dopił wódkę i obydwaj skokiem dopadli do okna. Szarpnęli! Nic z tego! Zabite gwoździami! Już ich miał Jaskółka. Chłopi zbliżyli się pomrukując znacząco. Minister oprzytomniał. Rzekł cicho.

— Klapa. Zmiana rządu. Mówcie mi, gazdo, „Mieciu". Gdzież do cholery jest ta milicja?

— Nie pytaj, kochany, za dużo. Wypijcie se po jednym i hajda w drogę. Ale migiem!

— Przepuście do samochodu. Mam skakać przez głowy?

— Nie, nie... Maszyna zostanie.

— A to z jakiej racji?

— Możemy was odwieźć. Chcecie?

Minister popatrzył po twarzach, przełknął ślinę i spytał grzecznie, czy wolno zapalić. Pozwolili, ale kijów nie wypuszczali z rąk.

— Dobra. Bierzcie. Idziemy?

Szofer pokręcił głową. Oruński wymknął się do drugiej izby i tam obwieścił donośnie.

— Przejrzałem ich! Wielkomiejscy oszuści! — Po czym stanął za szynkwasem i zachęcał do picia.

Minister nie kwapił się z wyjściem. Niepokoił go tłum zaglądający z ulicy do szynku. Zwrócił się do Jaskółki.

— Panowie, bardzo proszę, tylko bez bicia. Człowiek inteligentny zrozumie żart, uśmieje się i odłoży drąg. To są te wasze kłonice? Orczyki? Nie czuję ulgi. Obywatele, zróbmy zamianę. Zostawiam samochód, szofera, a wy dajcie rower. Dojadę do stacji i tam zostawię. Mogę wam kwit wypisać. Panowie? To już czysta sprawa!

— Nie pytaj o rower, tylko o drogę! Zwijaj się, bo pójdziesz boso i dostaniesz batem. Chcesz taki podpis na kwicie?

— Czekajcie! — odezwał się Oruński zza lady. — Możeby konia odprowadził Idziakom? Stoi już drugi tydzień, żre, a Idziak go nie zabiera. Pewnie też nie zapłaci za owies i siano. Siodło jest, niech wypisze kwit i jedzie!

— Co to, to nie! — Minister zaniepokoił się nie na żarty. — Zresztą mam szablę. Koń i szabla? Nie dam rady!

— Słyszycie? Znów jakieś matactwo obmyślił! Nie chce konia brać! Odebrać szablę!

— Panowie, obywatele kochani, zlitujcie się. Bierzcie szablę, ale dajcie mi święty spokój z cudzym koniem — zaklinał minister bliski płaczu. — Nie wsadzajcie mnie na konia! Przysięgam, nie jeździłem nigdy na takim bydlaku!

— Stworzenie nazywa bydlakiem?! Dajże mu który po uchu!

— Pójdę piechotą!

— Siłą filuta! Oruński, prowadźcie wałacha!

— Na koniu nie siedział! Chciałby całe życie maszyną jeździć i ludzi oszwabiać!

— Oszust! Niech pisze kwit!

— Nie dajcie się okpić frantowi! Musi brać konia!

— Ja wam radzę, gazdo Mieciu, piszcie, bo już gorączka chłopów się chwyta... — mruknął Jaskółka. — Koń zaraz będzie. Do stacji prosto szosą, a tam pytajcie o sklep Idziaków. Każdy pokaże. Trafiło się wam dobrze, bo wałach z siodłem. Odsprzedał go jeden Węgier w odwrocie. Odparzony był i kulał, ale teraz już zdrów. No, gazdo Mieciu, czas na was.

Oruński schował kwit, a Jaskółka szerokim gestem zaprosił na siodło. Minister pobladł. Konisko było duże, kare i ponuro strzygło uszami.

— Gazdo Mieciu, przecież was prosimy...

— Wysoko... Podsadźcie trochę. Przytrzymajcie go przynajmniej za mordę! Uf. No cóż, siedzi się nieźle.

Wetknęli nogi w strzemiona, podali wodze i podprowadzili do szosy.

— No, gazdo, nie zobaczymy się prędko? — Jaskółka zaśmiał się z cicha. — Ruszajcie se, panie minister.

— Nie pali się. Odczepcie się z gazdą. Ja, człowiek miejski, wy gazda, boście gospodarz.

— Ja gazda?! A ty huncwocie! Ah, podlecu! — Jaskółka zdzielił wałacha po zadzie. Koń ruszył z kopyta, Miecio zakołysał się na wszystkie strony, ale w czas uchwycił się grzywy. Z okrzykiem „Popamiętacie, chamy!" znikł z oczu mieszkańców miasteczka.

Jaskółka rozpogodził twarz i mruknął za galopującym wałachem:

— Frant, psia jegoż mać!

Potem zbliżył się do samochodu, by obejrzeć zdobycz w spokoju i bez ścisku. Okrążył ze dwa razy maszynę i ozwał się głośno.

— Szykowny! Przydał się stary Jaskółka, co? Widzicie śrubę z tyłu? Już dla nas most nie straszny! Gdzie nie przejedziem, tam się popłynie.

Gdy Jaskółka tak pomrukiwał uradowany, z drugiej strony rynku pokazali się pierwsi mężczyźni wracający z obławy. Zła wiadomość wyprzedza słowa. Zanim zdążyli otworzyć usta, już wszyscy wiedzieli, że nie złapali nikogo. Jaskółka oparł się o samochód i rzekł do nadchodzących.

— Pusto wracacie, Koślacz. A ja, w imieniu Kalinek, oddaję wam ten samochód. Szofer śpi w szynku pod strażą, benzyna jest. Potrząsałem bakiem. Chlupie.

Komendant milicji pokiwał głową, ale nie okazał radości.

— Zapadł się drań pod ziemię. Złaziliśmy cały las i bagna. Ani śladu. Pies także znikł. Nie dowiemy się, kto im posyłał wiadomości. A za maszynę, to wam dziękuję. Już wiem, że gdyby nie wy, oszust napełniłby brzuch i pojechał cyganić dalej.

— Nie ja sam tu działałem! — zastrzegł się Jaskółka. — Ot, był Jędraszek, Anders, ten i tamten. Kalinki!

— Jeszcze jedno... — Koślacz zawahał się nie chcąc urazić przyjaciela. — Nie poniechałeś zamiaru? Będziesz czytał? No, Michale, jak? Dużo ludzi? Zanim ustali się władza i porządek, musimy sami. Przeto boję się, żeby nie wyśmieli z samego początku. Nie odmawiam, ale z życzliwości pytam. Dasz radę?

— Patrzcie. Są tu całe Kalinki? Są. Pewnie, nauczyciel przeczyta zręczniej, ale to nie będzie dla chłopa nowiną. Ksiądz co niedziela wchodzi na ambonę, a ja pierwszy raz w życiu. Stary jestem i drugiego Manifestu nie spodziewam się doczekać. Naradzajcie się. Ja usłucham, choćbyście rzekli: nie. A teraz pójdę odpocząć. Co wspomnę tego g a z d ę, to mi ręka drętwieje, jak przed zmianą pogody.

Jaskółka odwrócił głowę i chwilę przyglądał się flagom, jakby dopiero dostrzegł odświętną szatę rynku. Potem przeniósł wzrok na mównicę. Okręcona chorągwią, przybrana jedliną i jaskrawym kilimkiem, nęciła, wabiła, niby piękna panna.

— Bardzo ładnie. Jak do ślubu — szepnął Jaskółka i nagle poczuł przenikliwy ból w sercu. Ogarnął chłopa żal trudny do wypowiedzenia. Skurcz serca minął i Jaskółka uśmiechnął się do Koślacza.

— O, tam sobie posiedzę troszeczkę. A, wy — róbcie swoje.

Wykręcił się na pięcie i odszedł. Prawdę mówiąc nie o wypoczynku myślał, ale o Andrzeju. Znalazł go w sieni domu aptekarza. Chłopiec rozmawiał z matką Cesi. Pożegnał Zakrzewską i podbiegł do „dziadka".

— Dziadziu, gdzie fizylierka?

Jaskółka cmoknął, jakby niespodziewanie zabolał go ząb.

— Pozwól zapytać, gdzieś szpiegów pochował. Podobno nałapałeś ich cały worek. Nie krzyw nosa, boś nie pies, choć z kundlami się bratasz. Już wiem wszystko, jak było. Mówią, że Cesia cię chwali. Strzelać masz dobrze? W sekrecie ci powiem, żeś wielkiej sztuki nie dokazał. Szpiegów trzeba łowić, zanim zaczną szkodzić, nim zdążą pomyśleć o szkodzie. Na początek i to dobre.

Andrzej poczerwieniał i aż stęknął z gniewu. Obejrzał się na schody, czy Zakrzewska nie słyszy i niezbyt głośno pogroził:

— Tej usmarkanej papli przyłożę na gółkę. Na rynku! Przy ludziach! Żeby dziadek wiedział! Nie daruję!

— Cie! Chłopca biłbyś pewnie przez spodnie, a Cesię chciałbyś tak? I to na rynku? He, he. Chyba nic z tego nie będzie. Wiesz, Jędrek, że ty nie możesz w swój wiek utrafić. Raz za staro, raz za młodo... To za nisko, to za wysoko. Hm... Musiał się u was kalendarz przewrócić do góry nogami, jakeś na świat przychodził. Z tego najwięcej takich pomyłek się bierze. A pod gajówkę nie chodź. Tam nic po tobie! — Rzekł nagle Jaskółka. — Ot, tak!

— Ładna jest? — krzyknął prawie Andrzej. Na górze cicho skrzypnęły drzwi.

— Chciałbyś do jej pułku wstąpić? Hę? Kto wie? Jak cię Cesia poprze, to Kaśka może przyjmie. Mówiła mi podczas drogi, że w pułkowej pralni zwolniło się jedno miejsce. Gadaj, jak ty z praniem? Można cię polecać?

— Eeee, z dziadkiem, to zawsze taka rozmowa! Pytam, czy ładna, a wy mi o pralni.

— Pod lasem zawsze panny nadobne.

— O, to, dziadziu, prawda! Wiem, wiem!

Jaskółka spojrzał bystro.

— Ej, smyku! Skąd możesz wiedzieć? Znałeś którą?

— Przynajmniej raz zostanie na moim. Nie zgadnie dziadek!

— Wiesz co, Jędrek, mów ty mi inaczej. Jakoś ten dziadek nie bardzo smakuje.

— A na wuja, co dziadziuś powie?

— Wuj? Hm. Niby rodzina po matce? Masz coś w gębie znajomego. Ale co? Nie mogę dojść jeszcze. Chodź, Jędrek... Widzisz... — Jaskółka zniżył głos. — Trzymaj się mnie blisko. Jak wejdę na trybunę, papier gotów wylecieć z ręki, albo okulary zsuną się z nosa. Nie uchodzi, żebym podczas święta łaził na czworakach i zbierał co moje. Ludzie już się schodzą. Nie zapomnij, bo tu śmiechu nie ma!

Rynek wypełnił się po brzegi. Jaskółka stał tuż przy wzniesieniu i choć Koślacz mówił donośnie i wolno, prawdę powiedzieć, niewiele z całej mowy słyszał. Serce waliło młotem i głuszyło słowa. Jeszcze kołaczą echa powracające od murów, huczą okrzyki, a już Andrzej kładzie dłoń na ramieniu, popycha lekko i mówi cicho:

— Teraz wy, dziadziu!

Jaskółka w palcach rozprostował papier, poprawił okulary i przeczytał:

— Manifest... Do Narodu Polskiego!

Urwał i przeniósł wzrok na rynek. Jak długi i szeroki, wszędzie twarze rozświetlone słońcem. Wszyscy zwróceni do mównicy. Patrzą na Jaskółkę! Ot, Jędraszek aż usta otworzył... Wspinają się na palce. Chcą słuchać. Czekają.

— „Żołnierz polski bije się na naszej ojczystej ziemi. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary... Zjednoczeni ku chwale Ojczyzny w jednym Wojsku Polskim pod wspólnym dowództwem wszyscy żołnierze polscy pójdą obok zwycięskiej Czerwonej Armii do dalszych

walk o wyzwolenie Kraju. Pójdą poprzez Polskę całą po pomstę nad Niemcami, aż sztandary polskie nie załopocą na ulicach stolicy butnego prusactwa, na ulicach Berlina.

Krajowa Rada Narodowa i Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego działają na podstawie Konstytucji z 17 marca 1921 roku, jedynie obowiązującej Konstytucji legalnej, uchwalonej prawnie. Podstawowe założenia Konstytucji z 17 marca 1921 r. obowiązywać będą aż do zwołania wybranego w głosowaniu powszechnym, tajnym i stosunkowym Sejmu Ustawodawczego, który uchwali, jako wyraziciel woli narodu, nową konstytucję.

Armia Czerwona jako armia wyzwoleńcza wkroczyła do Polski.

Stawajcie do walki o Polskę, której nigdy już nie zagrozi nawała germańska, o Polskę, której zapewniony będzie trwały pokój i możność twórczej pracy, rozkwit kraju!"

Jaskółka zdjął szkła, bo już nic nie mógł dojrzeć. Twarze, nawet te najbliższe, traciły dobrze znane rysy, rozmazywały się, ginęły w mgle.

— Bracia, obywatele, ludzie! Mamy wreszcie Polskę! Nie przejdzie nikt przez życie bez miłości i nienawiści. Kogóż mamy kochać? Polskę! A kochać Polskę, to znaczy kochać wszystkich ludzi, co po naszej stoją stronie i czują tak jak my! Kochać, to się wykłada także: nienawidzieć! I musimy umieć nienawidzieć tych, co chcieliby Polskę nam odebrać i sobie schować za pazuchę. Jest Polska dla nas w końcu! Pomagajmyż jej ze wszystkich sił! Ludzie, to już nie cudze, to już wszystko nasze! O, narodzie kochany...

Jaskółka otarł twarz i podał papier Andrzejowi.

— Czytaj Manifest dalej. Ja już niedowidzę.

Zeszedł z mównicy i ukradkiem spojrzał po sąsiadach. Zdziwił się. Ucieszył. I oni ocierali oczy. Widać, ruszył ich łzami, może sercem.

Niedługo i słońce zabłysnąwszy silniej schowało się poza lasy. Gwiazdy wynurzyły się z szarzyzny zmierzchu. Miasteczko cichło, pustoszał rynek i uliczki, wygasały światła ukryte za zasłonami.

Gdy gwiazdy lśniły już mocno, w pobliżu rynku rozległy się strzały.

Andrzej siedział naprzeciw Jaskółki. Na podłodze leżał worek okręcony sznurem. Milczeli obydwaj skrępowani bliskością odjazdu. Przed brzaskiem wozy ruszały na stację i z nimi Andrzej.

— Strzelają?

— Pewnie wypili nad miarę... — machnął ręką Jaskółka. — Widziałem nie jednego na gumowych nogach.

Lecz krzyk już pędził ulicą i łączył się z głośnym lamentem. Wybiegli. O kilkadziesiąt kroków błyskały światełka latarek i głos kobiecy zawodził nad ciałem. Obok uzbrojeni mężczyźni wypytywali mieszkańców domu. Usłyszawszy kroki, oświetlili twarze. Ktoś odezwał się półgłosem.

— Zabili nam Koślacza.

— Kogo? — Jaskółka zająknął się w pół słowa — Zabi...li?

— No, komendanta.

— Dawajcie samochód Jaskółki!

Z bezładnych słów żony i opowiadań sąsiadów, ustalono: do Koślacza podeszli dwaj niewysocy mężczyźni. Pogadali z nim chwilę, poprosili o zapałki, a gdy odwrócił się, by zastukać do drzwi, strzelili trzy razy. Zbiegli nie zabierając broni.

— Dokąd?

— Albo na Kusacz, albo do lasu. Jednakowa droga z początku.

— A to co? Ulotka? Zobaczy się potem. — Jaskółka drgnął. Andrzej razem z milicjantami siadał do samochodu. — Jędrek...! Przecież wozy lada godzina wyruszą na stację!

— Czego stoisz? Jedź, złamany...! — krzyknął Andrzej do kierowcy. — Pal wszystkie światła!

— Zające mamy łapać czy bandytów? — spytał spokojnie milicjant. — Jestem zastępcą Koślacza. Chyba wiecie? Krzyczycie w same ucho. Po co?

Andrzej zagryzł wargi.

— Przed Kusaczem zwolnijcie. Wyskoczymy. Wóz niech leci dalej ze światłami, a potem zawraca na strzały. Pomyślą, że wieziemy rannego do szpitala. To głupie chłopaki. Powinni się złapać.

— Spróbujemy.

Samochód minął most i szybko zbliżył się do wioski. Nie dojeżdżając Kusacza jest miejsce na szosie osłonięte kępami traw. Tam wyskoczyli i zapadli w krzaki.

— A wuj po co? — burknął Andrzej zobaczywszy obok siebie Jaskółkę.

— Do pilnowania maszyny dwóch starczy. Nie znam się na samochodzie. — Jaskółka ułożył się wygodnie i odbezpieczył pistolet. — Dla ciebie Koślacz, to Koślacz i tyle. A dla mnie... Żebyś wiedział,

ile lat... — stary stęknął głucho. — Nic z naszego czekania. Z lasu przyszli, do lasu wrócą. Niedobite esesmany.

— Dla mnie też Koślacz nie obcy, choć go znałem krótko.

Przewidywania Andrzeja sprawdziły się, zanim zaczęło świtać. Na ścieżce wijącej się od miasteczka pojawiły się dwie przysadziste postacie. Szli beztrosko, jakby wracali z przydługiej zabawy.

— Ręce do góry. Tu milicja — zawołał Andrzej nie podnosząc się z ziemi.

Tamci stanęli i w następnej sekundzie rzucili się do ucieczki ostrzeliwując się na oślep.

— Po nogach! — wołali milicjanci biegnąc przez pole. Lecz noc i złość, odebrały celność broni.

Iskrzyły się zorze, gdy poniechano dalszego pościgu i przestano strzelać. Milicjanci zebrali się nad zabitym i skręcali papierosy.

— Patrzcie. Znów to samo. Jeden leży, a drugi — szukaj wiatru w polu.

— Na gorąco nas próbują.

Jaskółka spoglądał w milczeniu na chłopski ubiór zastrzelonego człowieka. Wreszcie pochylił się, szarpnął mocno i przewrócił na wznak. Zaświecił zapałką i wpatrywał się w twarz zabitego, aż płomyczek zwęgliwszy drewienko zaskwierczał i zgasł w palcach.

— Myślałem, może esesman, może obcy... Ale nie! Chłop! Gospodarski syn! Widziałem go z trybuny. Stał blisko Jędraszka i gębę zadzierał. Słuchał, krzyczał i ot, zrozumiał.

Jaskółka wyciągnął ulotkę podrzuconą przed domem Koślacza, zmiął i cisnął.

— Masz. Protestuj se na tamtym świecie. Tam judź! My tego nie ciekawi.

Schował pistolet za pazuchę i odszedł do samochodu. Tam zapalił i chciwie zaciągając się dymem medytował nad wypadkami dnia.

Następca Koślacza podniósł ulotkę.

— Do akt. Miałeś rację, Andrzej, głupie chłopaki. Patrz, w kieszeni też ulotki. Na zapas brał. Ale taka głupota, to ręka zła. Wiedział, dlaczego uciekał.

— Jędrek. — Jaskółka podniósł głowę — Wiem, kogo przypominasz. Klarę z gajówki. Przed Tulikiem był gajowym Cok, a Klara...

— To moja matka.

— Toś Kieszek?

— Kieszek.

— Ej, ludzie ludzie... A iluż między wami kryje się nieludzi? Ciężko na starość poznawać świat. — Jaskółka umilkł zasępiony. Potem dodał — Ale trzeba! Kieszek? To dobrze. Lubiłem Coka.

Zorze rozpaliły się na dobre. Różowo-żółte światło chwiało się przez chwilę i naraz, strzeliwszy promieniami wschodu, wpuściło słońce na szarawe niebo.

— Dzień już. Już słońce.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

— Więc jednak! Zabiera pani dzieci!

— Tak jest.

— Nie sądzi pani, że to aż nadto ryzykowne? Kraków nie zburzony, lecz jedziemy bez upatrzonego celu?

— Nie. Postanowiłam, że tak będzie najlepiej.

— Dzieciom, kolego, nikt nie zastąpi matki. Okoliczność, której nie można pominąć.

— Słyszy pan? Nie lekceważmy głosu męża!

— Zapewne. Zatem do zobaczenia w Krakowie, drogi mecenasie?

— Jak tylko zdrowie pozwoli, wyruszam za wami.

— Dzień dobry państwu. Odwiezie was Chyła. Kłaniajcie się Monice. Miałem list napisać, ale jakoś nie wiadomo, od czego zacząć. Wspominajcie miło.

— Będziemy się starać.

— Panie sędzio, przepraszam panią, parę słów zaledwie. Pan wie, zginął mi zegarek.

— Przepraszam, nie dosłyszałem. Jak pan mówi? Marek?

— Ukradli zegarek!

— Co pan powie! Rzeczywiście przykra wiadomość... Do licha, kto?

— No, panie!... Z księżyca pan zleciał?

— Nie do wiary!

— No, a któż inny? Uchodźców nie chcę podejrzewać. Był, a teraz nie ma. Pan prawnik, więc mówię.

— W zasadzie należałoby przeprowadzić pobieżne dochodzenie i ustalić stan faktyczny. Dopiero wtedy snuć wnioski.

— Co pan wyjeżdża z papierowym krętactwem! Ha trudno, będzie

się po łopacie poznawać godzinę. Czego pan wietrzy jak ogar? Już i pić nie wolno?

— Przepraszam. Wóz podjechał. Pójdę sprowadzić żonę. Pan wybaczy.

— Zegarek? O, nie, panie kochany, to pan mnie jeszcze nie znasz!

W kilka minut później uchodźcy usadowili się w drabiniastym wozie skąpo wymoszczonym słomą. Znamięcki podniósł się z krzesełka i zaczął całować rodzinę.

— Zostawiacie mnie w wielkim niepokoju. — Mecenas zniżył głos — Szopiski pije z każdym dniem więcej. Zaraźliwy przykład, a ty, Słoneczko, wiesz najlepiej, że alkohol, to koniec dla mojego serca. A więc, do miłego...! Nie bój się, dam sobie radę! Panie sędzio — obejrzał się trwożliwie — pamięta pan:

Nadgrobnu nadpis nie piszytie,
Kokda radiłsia, skolko żył,
Tremja sławami pamianitie:
Pakojnik woduczku lubił!

Wyszeptał i rad z konceptu mrugnął do sędziego.

— Doskonałe, co? Wymarzony nagrobek dla naszego pana dziedzica!

— Kochany mecenasie, wypiszą mu więcej niż trzy słowa. — Sędzia powstrzymał stangreta i zwrócił się do Szopiskiego. Dziedzic przyglądał się z ganku, lekko kołysząc się na nogach. — Drogi panie, prosimy na chwilę do nas... Wyleciało mi z głowy, co mam powtórzyć pani Wypęskiej?

— Powiedz pan Monice, że ja... — Szopiski zamyślił się — ... ją... Co tu gadać? Chyba list skreślę krótki?

— Nie zdążymy przed nocą!

— Swoich koni nie znam! Co też pan mi ględzi! — dziedzic sięgnął do kamizelki. — Dopiero dochodzi siódma!

— Wcale zgrabna łopatka — rzekł uprzejmie sędzia. — I co do minuty dokładna. U mnie też za trzy siódma.

Szopiski jakby skamieniał z zegarkiem w ręku. Tylko twarz szybko zmieniała barwy, aż oblekła się fioletem z sinawym, intymnym odcieniem.

— Urodzony szpicel! Chyła! Wieźże ich nareszcie...!

Stangret cmoknął na konie, trzasnął z bata i ruszyli w stronę dalekiej kolei, odprowadzani ponurym spojrzeniem dziedzica. Znamięcki

machnął trzy razy chusteczką i wyczerpany opadł na krzesło. Inni żegnali z okien.

Już ledwie ściany prześwitują przez drzewa. Znika dworska biel i tylko dym nad kuchennym kominem oznacza miejsce, z którego ruszono. Jechali najpierw pod topolami, potem wśród modrzewi. Turkot głuszył słowa, a wóz trząsł wytrwale, aż wytrząsł ochotę do rozmów. Dzieci popsuły humory dorosłym. Spytały naiwnie, czy wracają wprost do Warszawy. Nie, na razie na Kraków, tam szukać punktu zaczepienia.

Wóz toczył się z brzękiem, miarowo stukały kopyta. Pasażerowie zatopieni w niewesołych rozmyślaniach, nad tym co minęło i nad trudnym początkiem, popadali w drzemkę. Okrzyk Chyły obudził wszystkich. Stangret wstrzymał konie i coraz bardziej zdumiony przyglądał się scenie rozgrywającej się nieopodal. Pierwsze ozwały się dzieci.

— O, jaki duży!

— Wcale nie duży, tylko ten pan jest mały.

— A dlaczego taki czarny?

— Nie mówi się czarny, lecz kary. Wrona jest czarna, Romeczku.

— Dlaczego? Przecież wrona ma siwą kamizelkę?

— Ale są inne wrony całkiem czarne!

— A czy to koń, czy to kobyła?

— Koń!

— Pani doktór ma oko. Będzie chyba wałach. Tak.

— O! Podparł się laską!

— Mamo, jaka ta Wandzia głupia, przecież to szabla!

— Czekajcie, próbuje wsiąść! Wsiadł! Do licha! Znów nic z tego.

— Ano, ułan, to on nie jest, proszę pana sędziego, ani kozak. Żal odjeżdżać, istny cyrk.

Ledwie człowiek dotknął stopą strzemienia, koń ruszył leniwie zmuszając amatora jazdy do skoków na jednej nodze. Gdy niewprawny jeździec wreszcie oswobodził nogę, koń stanął. Odwrócił głowę i czekał cierpliwie na ponowną próbę. Igrali w ten sposób zapewne czas dłuższy, bo człowiek nie okazywał już złości. Odpoczął chwilę, podparł się szablą i znów zadarł nogę. Koń tylko na to czekał. Ruszył i pociągnął znów o parę kroków. Widać było, że zabawa przypadła mu do gustu.

— Panieeee! Chce pan wsiąść?

— A bo co?

— To chodźcie tutaj z koniem!

— Powiedzcie to j e m u! — człowiek z szablą wybuchnął gorzkim, wymuszonym śmiechem. — Widzicie?

Szarpnął wodze. Koń zaparł się kopytami i nie tylko nie postąpił krokiem do szosy, lecz cofnął się nieco.

— Czekajcie... — Chyła okręcił lejce i poszedł na pole. Wrócili w trójkę.

— Panie drogi, co pan najlepszego wyprawia?

— Pan starszy mnie pyta? Od wczoraj tak jadę! Państwo pozwolą, jestem Operacz Mieczysław. Domyślam się, że tu wszyscy także rodacy warszawscy?

— To pański koń?

— A skądże! Chłopi wsadzili mnie na niego. Proszę pani, długa to i smutna historia... Tylko płakać nad ludzką podłością. Dzisiaj, to jeden drugiego... Ah, aby tylko zgnieść.

— Po coście złazili, skoro nie umiecie wsiadać?

— Panie furman! Co niby miałem zrobić? — rozzłościł się Operacz. — Łatwo gadać, jak się wozem jedzie!

— Uchylam pytanie! — wtrącił śpiesznie sędzia — Ze względu na obecność dam i młodzieży. Panie Operacz, proszę nie udzielać odpowiedzi.

Chyła uwiązał wałacha za wozem, Operacz wsiadł i odetchnął z ulgą.

— Proszę państwa, co tu dużo gadać. Człowiek przez samą swoją budowę stworzony jest do siedzenia na ławce, albo na krześle, albo do leżenia w łóżku. Na koniu, to już człowiek nie jest sobą. Jak go wsadzą, tak jedzie, ale niech przyjdzie chętka przystanąć w jakiej osobistej sprawie. Koniec z jazdą! Skacz potem na jednej nodze, aż pięta spuchnie z odcisków! Czy ktoś z państwa próbował kiedy tej sztuki? Odradzam!

Operacz zniżył głos.

— Co zaś tych chłopów, to świat się przewrócił na opak. Ot, były czasy! Przyjechali w słomkowych kapeluszach, pochodzili po mieście, kupili sobie carski brylant albo bilet do Ameryki, co kto uważał. A ja ze swojej strony pokazywałem pomniki i budowę metro.

— Hm! Metro, pan mówi? — sędzia chrząknął — Cóż to znowu?

— Zwyczajnie, proszę pana szanownego. Płacili mi po złotówce, bo nie jestem zdzierca, i za ogonkiem patrzyli przez dziurę po sęku.

— I cóż tam widzieli? — sędzia spytał groźnie.

— Różnie. Raz skład węgla, raz stróża w kożuchu, jak się trafiło. Złotówka, to znów nie taki pieniądz, żeby szampańskie życie pokazać za płotem. A teraz, ruszyć się nie można. Od razu do człowieka z koniem, zacinają batem i hajda — mówią — wracaj, skądżeś przyjechał.

— Są ludzie, co gęby mają wyższe od nosa — odezwał się Chyła.

— No, proszę — westchnął Operacz, skulił się, zamruczał — Straszne, proszę państwa — i zapadł w kamienny sen.

Obudził się przed stacją. Wszyscy już wysiedli i sędzia żegnał się ze stangretem.

— ... i proszę powiedzieć panu Szopiskiemu, żeby posunął wskazówkę. Sprawdziłem czas i okazało się, że nasze zegarki spóźniają się o całe pięć minut.

— Pożegnam państwa. Muszę odprowadzić czarnego diabła sklepikarzowi. Serdecznie dziękuję i z serca odwdzięczę się w Warszawie.

Operacz przypasał szablę i pociągnął konia, wypytując przechodniów o sklep Idziaka. Znamięcka zdążyła już załatwić sprawunek w aptece. Podała buteleczkę Chyle upominając, by nie zgubił i nie zapomniał oddać mężowi. Stangret przyrzekł załatwić wszystko pomyślnie i odjechał z powrotem do dworu.

Mecenas rozczulił się do łez. Omal nie ucałował stangreta. Czym prędzej odmierzył krople do szklanki i łyknąwszy, powiedział do matki, że to właściwie jest wzruszające. Stara Znamięcka, kobieta sucha i drobna, daleka była, pomimo lat, od zdziecinniałej starości. Uśmieszkiem, z którym nie rozstawała się od czasu kupienia trzeciej kamienicy, zgasiła wybuch jedynaka. W sposób dyskretny dała do zrozumienia, że istotnie niesposób odmówić synowej poczucia obowiązku.

— Bo, ostatecznie, czym by ona była? Powiedz sam! Czy widziała coś w życiu oprócz zalewajki? Nie wiedziała, biedactwo, co i na co włożyć. Dopiero dzięki nam stała się kobietą nie krępującą w salonie. Jeśli to czuje, dobrze o niej świadczy. Znaczy, że ma serce i wie, ile wzięła. Masz i ty serce, więc połóż się lub wyjdź na spacer. Mam nadzieję, że Wiesława znajdzie sobie jakieś popłatne zajęcie i mieszkanie dla nas. Mam już dość wsi. Zresztą, Pysowy nie mają przyszłości.

— Może być mama zupełnie spokojna. Isia da sobie radę. Ona gotowa dom postawić, jeśli zbraknie mieszkań. Zazdroszczę jej energii.

— Dom? Bardzo wątpię! Na razie nawet listu nie raczyła napisać.

— Ależ mamo! Przecież wyjechali wczoraj!

— Więc nic nie mówię. Cokolwiek powiedzieć, wszystko obracasz przeciwko mnie! Zachodzę czasem w głowę, coś ty w niej zobaczył? Chyba nogi? Właściwie, zbudowana jest okropnie. Truchleję, co wyrośnie z twoich dzieci.

Znamięcki, choć obyty z tym nie od dziś, złapał się za serce i opuścił

pokój. Udał się poza park, bo i tam docierał głos matki pytającej lokaja:

— A nie macie listu od mojej synowej?

Mecenas usiadł na pniu ściętej przed laty topoli i patrzył na szosę. Znów szumiała gwarem ciągnących bez pośpiechu taborów. Kolumna, której początek przegapił, a końca nie doczekał, sunęła na wschód. Wozy, konie, wozy, konie, wozy... Znamięcki zadał sobie trud liczenia. Urwał na sześciu tysiącach. Zdobyczne tabory dawały świadectwo zwycięstwom odniesionym daleko od dworu. Jednostajny ruch szasy — wydawało się bowiem, że płynie tam zielono-bura rzeka — oszałamiał swą powolnością i brakiem widzialnej granicy. Kto patrzył, odchodził pod wrażeniem, że wozy wiozą poćwiartowany hitleryzm, że to nie łupy jadą drogą, lecz bezpowrotnie odpływa czyjaś siła.

Wozy i sprzęt szły noc i dzień, i znowu noc. Nikt już nie liczył. Pytano tylko: jeszcze jadą? Aż przewinęła się plastyczna taśma filmu. Wróciła cisza. Przyszła wiosna, choć w kalendarzu była zima. I był to ni świt, ni ranek, po prostu zwykłe przedpołudnie, gdy Znamięcki zobaczył przed gankiem Michała Jaskółkę. Stary został wójtem.

— Pan pewnie do dziedzica? Jest zdaje się w gabinecie — odezwał się mecenas i odprowadził wójta do drzwi pokoju Szopiskiego. I pierwszy raz w życiu przyłożył ucho z jawnym zamiarem usłyszenia słów nie dla niego przeznaczonych. Rozumiał ważność aktu, był ciekaw jego formy.

W pokoju trwała cisza zmącona nerwowym chrząknięciem Szopiskiego. Wreszcie rozległ się głos wójta.

— Panie dziedzicu, trzeba wyjeżdżać.

Jaskółka otworzył drzwi i prawie zderzył się z mecenasem.

— A więc, to tak! — rzekł Znamięcki patrząc za oddalającym się chłopem. — Po prostu tak... Najzwyczajniej w świecie.

Wkrótce Szopiscy wyjechali do Bradczyc, a z miasteczka przenieśli się dalej, zapewne do Krakowa.

Fornalskie czasy przyniosły lepsze jedzenie i otworzyły park dla dzieci. Wiosna rosła w pąkach i ciepłym powiewem działała na uchodźców jak na wędrowne ptactwo. Najbardziej zasiedziali wiązali tłumoczki i odjeżdżali na jedną z wielu dróg wiodących do Warszawy. Z licznej gromadki zaledwie kilka osób doczekało się pięknowonnych róż na klombie i truskawek w sadzie.

Isia milczała. Niepokój syna udzielił się starej Znamięckiej. Staruszka przycichła na dobre zatroskana. Jakoś nie mogła wzbudzić w so-

bie wiary w siły i wytrwałość jedynaka. Nie widział jej się na tle nowych czasów, w niczym nie podobnych do przedwojennego życia. Aż nagle, bez listu i uprzedzenia, zjawiła się Isia i przecięła dysputę, której przewodził mecenas. Twierdził, że truskawki należy zbierać własnoręcznie, lecz o płaceniu nie może być mowy. Spór miał charakter wyłącznie teoretyczny, bowiem ogrodnik nie obniżył ceny. Uczone wywody zbijał skromnym zdaniem: będzie ciepłej, będzie taniej. Dworskie, nie dworskie, rozboju być nie może.

Isia kazała pakować manatki i poszła do Chyły. Wróciwszy zastała teściową i męża siedzących bez ruchu w salonie.

— Wiesz, Słoneczko, czy to nie zbyt nagle? Ot, tak — wsiadł na bryczkę, pojechał w uliczkę... naprawdę dziś, zaraz?

— Tak jest. Znalazłam dla ciebie posadę.

— Isieńko, powinnaś była urodzić się mężczyzną.

— Ty także.

— Ach, tak! — zerwała się matka — Co za kobieta!... Więc to nie j e g o dzieci?! — i zemdlała w kierunku fotela.

Po kwadransie siedzieli w bryczce sztywni, milczący, z wypiekami na policzkach. Ruszyli dobrze znaną drogą. Starsza pani Znamięcka uznała za stosowne odezwać się głośno.

— Dokąd o n a nas wiezie?

Mecenas chrząknął i udał, że nie słyszy. Na końcu alei bryka stanęła na krótko. Podszedł Jaskółka.

— Pani doktór jedzie, a w Bradczycach będzie na dniach wesele bardzo piękne. Nie gadają nic o tym w Krakowie? Może nie wiedzą, że aptekarz żeni się z Hanią? Tak, tak... Nowina ważna, bo to pierwszy ślub po wojnie. A małej Cesi nie spotyka pani w mieście? Prawda, ona przecież pojechała z innymi na Warszawę. O coś jeszcze chciałem zapytać... Naszego partyzanta nie widać? Też nie? Ha, pewnie wojuje smyk!

— Wojna skończona, panie Michale.

— Nie wszędzie. Możecie wierzyć staremu. Nie wszędzie i nie dla wszystkich. Gdybyście jednak zobaczyli Andrzeja, to proście, niech parę słów napisze. Dziwnie go polubiłem. Dawał się lubić, prawda?

Dr Isia skinęła głową. Chyła zaciął konie, pojechali. Jaskółka stał chwilę i patrzył za bryką. Oj, piekło tego dnia słońce, oj szczypało w oczy.

— Wojuje smyk... — powtórzył Jaskółka — wojuje...

*
* *

— Po wojnie przyjechałem tu, do dziadków. Wracałem, jak każdy, z niespokojnym sercem. Tęsknota ciągnęła, popędzała ciekawość, a strach wstrzymywał nogi, gdy szedłem do Gajów. Czy wyjdzie kto na spotkanie? Czy dom ocalał? Może spalone? Może nikt nie żyje? Trudny był powrót po zwycięskiej wojnie. Dopiero, kiedym zobaczył dym nad naszym dachem, zaczęła się radość i odetchnąłem swobodniej. — Andrzej uśmiechnął się do wspomnień. — Urlop minął szybko. Przeleciał jak jeden dzień. Z domu pojechałem w drugi koniec Polski, aż pod same góry. Nie widziałem ich nigdy przedtem. Sudety zaś do naszych Tatr całkiem niepodobne.

Nie musiałem pytać, jaka czeka mnie służba. Starczyło rzucić okiem. Budynki otoczone zasiekami, w podwórzu pancerki. Ludzie prawie że śpią w mundurach. Samochody gotowe do wyjazdu dzień i noc, ot, lepiej niż straż pożarna. A wokół lasy i góry. Trudno się do nich przyzwyczaić, bo co dzień są inne i nie tylko barwy, ale kształt jakby zmieniają. Tak, góry piękne.

Andrzej umilkł. Patrzył na piecyk huczący ogniem i zwlekał z opowiadaniem. Nie łatwo mówić o złej prawdzie. Powiedzieć jednak trzeba, przecież tak było naprawdę. Za oknem coraz potężniej trzaskały lody. Od strony Warszawy dolatywały głuche wybuchy.

— Saperzy próbują ratować mosty. Słyszycie? Trotylem lód kruszą.

— Powinni bombardować z powietrza — mruknął Tański daleki myślami od troski o mosty. — Ciężkie bomby połupałyby krę.

— Mgły podnoszą się. Zły czas dla lotnictwa. Może uda się jednak?

— Zapewne.

— A więc trafiłem znowu pod komendę Jacka. Brat wasz był już majorem, a ja świeżo awansowałem na plutonowego. Powitał mnie bardzo serdecznie. Całował, ściskał i ugościł, jak kolega kolegę. Czułem, że ucieszył się szczerze. Opowiedziałem o Szymoniku i o Chwiostku. Pokiwał głową nad towarzyszami.

— Szkoda ludzi, lepszych trudno znaleźć. Wielu walczy dzielnie, lecz umierać godnie nie każdy potrafi. O innych nic nie wiem. Pewnie poginęli. Z całego oddziału zostało nas dwóch.

— Wydał nas Justyn. Tak nazywał się chyba? No, ten faszysta, z którym rozmawiałeś w jarze? — powiedziałem, bośmy wypili na ty. Jacek mało nie rzucił się na mnie!

— A ty skąd wiesz? Kto ci głupstw nagadał? Justyna zastrzelili! Jeśli była zdrada, to ze strony chłopa! Przeklęty Jaskółka poleciał z językiem!

— Jaskółka? — teraz ja skoczyłem na nogi. — Przecież on wyniósł mnie z pola! Wyleczył! Krył przed hitlerowcami! Uratował broń! Za Jaskółkę dam się zabić!

— Tak? Nic nie wiedziałem o tym. No, ja za Justyna zabijać się ani myślę. Mówisz, że nie Jaskółka? To i lepiej. Zatem ktoś trzeci maczał w tym palce. Być może po prostu przypadek ściągnął nam hitlerowców na kark.

— Jesteś pewien, że faszysta zginął?

— Justyn? Oczywiście! Ząb kazał go rozwalić. Wypytywałem bardzo wielu ludzi. Rozumiesz, sam byłem ciekaw, kto nam tak wygodził pod Kalinkami. Zresztą — Jacek machnął ręką — dawna to sprawa i niech ją cholera weźmie. Nowej roboty nie braknie. Nudzić się u mnie nie będziesz. Amunicja płynie jak na wojnie.

Nie przesadzał. Przekonałem się wkrótce, że nie tylko amunicja, lecz i krew upływa wartko. Bandy w owym czasie miały dość broni, były jeszcze silne i harde. Teren zaś trudny. Znacie góry? Więc sami potraficie dopowiedzieć resztę. Ale na wszystko przychodzi koniec. Nastały spokojniejsze noce bez alarmów i łun. Zdawało się, że burza cichnie i odchodzi w inne strony. I wtedy odwróciło się szczęście. Raz po raz uderzaliśmy w próżnię. Zaczęło się od nowa. Bandy podniosły głowę.

Posłuchajcie i osądźcie sami, jak to jest z tymi przypadkami w życiu. W jednej z potyczek dostało się w nasze ręce dwóch ciężko rannych faszystów. Odwieziono ich do szpitala i tam leczyli się pilnowani przez posterunek. Po kilku dniach alarmują nas ze szpitala. Krzyczą w telefon, że była banda, zabrała rannych i poszła. Major wysłał mnie.

— Jedź — powiedział — i zrób porządek. Sprawa świeża, daleko nie uciekli.

Trzeba wiedzieć, że szpital stoi pod wysokim wzgórzem, które jak wał ochronny osłania miejscowość od północy. Ukryć się tam nie łatwo, bo las jest wysokopienny i bez poszycia, lecz nie ma dogodniejszej drogi do licznych dolin pełnych kryjówek.

— Goń w górę! — krzyknął major, gdyśmy już ruszali.

I ja tak myślałem jadąc w kilkunastu ludzi z dobrą osiemdziesiątką na liczniku. Przelecieliśmy most na rzeczułce i stanęliśmy przed wejściem.

Okazało się, że postraszyli dyżurną lekarkę pistoletem i kazali prowadzić się do pokoju, w którym leżeli ranni. Zanim milicjant zdążył wstać z krzesła, już zdzielili go po łbie. Odebrali broń, ściągnęli buty i mundur. Znieśli rannych i pozwolili zadzwonić nie wcześniej niż po dwudziestu minutach.

— Telefonować? Przecięliście kabel! — zawołała do nich lekarka.

— Przecież jest drugi aparat w kancelarii! — roześmieli się w nos i odeszli.

Nikt nie pomyślał wcześniej o drugim telefonie. Dziwić się trudno, strach umie zamącić w głowie. Dokąd uciekli? W górę, do lasu — wołają jedni. Inni znów przeczą, bo jakoby widzieli, że banda rannych kładła na wóz. Ot, normalna rzecz z naocznymi świadkami. Każdy plecie, co mu ślina przyniesie na język i dopiero jak oprzytomnieje, można poznać prawdę. O tym wszystkim dowiedziałem się znacznie później. Na razie szliśmy pod górę nie spodziewając się spotkania aż po drugiej stronie wzgórza. Za szpitalem zbocze wznosi się stromo i trzeba przejść ze dwieście metrów po goliźnie bez jednego krzaczka. Idziemy więc co sił, by jak najprędzej dopaść lasu i odnaleźć ślady. Raptem dostajemy ogień w plecy! Strzelają ukryci za murem szpitala! Czym się skończyło, domyśleć się łatwo. Wybili mi połowę ludzi i dopiero wtedy odjechali naprawdę. Wciągnęli nas w zasadzkę zupełnie prostym podstępem. Siedzieli pod mostem i czekali, aż pokażemy się na otwartym zboczu. Przez ten czas złowili drugiego milicjanta. Szedł on spokojnie na zmianę kolegi i rzecz jasna, nic nie wiedział o całym zajściu. Ledwie znalazł się na mostku, obskoczyli go faszyści. Rozzuli, zabrali mundur i broń i puścili w bieliźnie jak na pośmiewisko. Milicjant przybiegł do szpitala i krzyczy: Ludzie! Banda jest pod mostem! Nic nam już nie pomógł. W minutę potem zbieraliśmy faszystowskie kule.

Lekarkę znałem z Kalinek, bo właśnie Jaskółka przywoził ją do gajówki. Zapytałem, dlaczego pokazała faszystom drogę do pokoju. „Dobre sobie! Milicjant miał automat i nie strzelał, a ja czym mogłam się bronić? Tym?“ — i potrząsnęła mi przed nosem lekarską słuchawką. Ładna kobieta, ale bardzo dziwna. Raz drewno, raz człowiek.

Major rzucił pancerki w pościg, lecz wozy zmyliły trop i wróciły z niczym.

— Ot, widzisz, jak łatwo palnąć głupstwo. Ja pod Kalinkami, a ty pod szpitalem. Pech — powiedział wasz brat i zaklął mocno, jakby to mogło dobrych żołnierzy przywrócić do życia.

W krótki czas potem przyszli górale prosić o pomoc, bo banda żyć wiosce nie daje. Pojechał porucznik z plutonem i w najbliższym lesie zginął od granatu. Żołnierze przebili się z powrotem. Znów straty, znów faszyści górą. Wypadków podobnych było coraz więcej. Zaczęły się dochodzenia, ale nie wykryły zdrajcy. Major pozostał na stanowisku dowódcy. Spoglądaliśmy po sobie z nieufnością, lecz zakończenia nikt nie zdołał przewidzieć.

Pewnego dnia wezwał mnie major do siebie.

— Jest wiadomość poufna, że banda dziś w nocy uderzy na Kierców. Posterunek tam słaby, więc zwlekać nie można. Drogę wybierz sam, jak wyruszysz z koszar. Nikomu już nie wierzę.

— Kto ostrzegał? — spytałem przed odjazdem.

— Nauczyciel. Zaplątał się w polityczną robotę i teraz trzęsie portkami. Wiesz jak to jest, ograbią spółdzielnię i wystrzelają partyjnych.

Przez dwie godziny jazdy nie mogłem rozgryźć słów majora. Nauczyciela znałem osobiście. Był to człowiek rzutki i wcale nie strachliwy. Miał broń i dla byle głupstwa nie wołałby wojska na pomoc. Zapowiadała się przeprawa ostra, a dobór ludzi utwierdził mnie w tym mniemaniu. Jechałem bowiem na czele żołnierzy wybranych z całego oddziału. O zmierzchu stanęliśmy w Kiercowie.

Na posterunku cisza, drzwi zabite na głucho, nikogo nie widać. Pytam o milicjantów. Górale kręcą głowami, przesuwają kapelusze na oczy i gadają ni to, ni sio. Wzięli nas za inspekcję z województwa czy powiatu. Dobrze żyli z milicją i dlatego nie chcieli zdradzić, kto w jakiej siedzi chałupie i jaką zagaduje dziewczynę. Więc idziemy do nauczyciela. Zdziwił się bardzo. „Od dwóch miesięcy spokój — powiada. — „Dzwoniliście, towarzyszu, czy nie?“ Zrobił wielkie oczy i w śmiech. — „A po co? Tu banda nie przyjdzie. Wieś już nie ta sama, co zaraz po wojnie. Ludzie nie dadzą się łatwo!“ Spytałem, czy może ktoś telefonował w jego imieniu. Prawie się obraził. Poradził zjeść kolację, napić się mleka i jechać z powrotem.

Mnie naraz otworzyły się oczy. Pognaliśmy do koszar w tempie, jakiego jeszcze nie zaznała maszyna.

Andrzej podniósł głowę.

— Mówić dalej?

— Tak!

— Jechaliśmy jak po ogień i zastaliśmy nasze kwatery spalone do cna. Banda podeszła cichaczem, a major i kilku innych uderzyli znienacka od wewnątrz. Kto nie zginął na miejscu, ten spalił się żywcem. Polali benzyną i podłożyli ogień. Taka jest sprawa, obywatelu

kapitanie. Tejże nocy ścigaliśmy bandę i choć faszyści wielkiej nie doznali straty, poczuli jednak, że nie obleciał nas strach.

Wam słuchać ciężko, lecz wierzcie, mówić też nie łatwo. Przecież Jacek pociągnął mnie z domu do partyzantki. W lesie życie bogate, nie nudne. Ludzie związują się walką. To są mocne więzy. I patrzcie, wszystko popsuł, porwał, podeptał. Utopił dobre imię we krwi własnych żołnierzy. Co go opętało? Kto przyciągnął Jacka do faszystów i zrobił z niego wroga? Może prawda wypłynie z czasem. Na razie Pisany hula.

— Po urlopie — spytał Tański — wracacie do tego samego garnizonu?

— Tak. Zastępca dowódcy wezwał mnie do siebie i pytał w tej sprawie. „Czy dacie radę, człowiek jest człowiekiem. Wyście byli razem podczas okupacji? Mówcie otwarcie, nie tylko tutaj walczy się o spokój kraju!" Odpowiedziałem, że to wszystko prawda. Byliśmy razem długo. Jestem człowiekiem, nie drewnianą lalką, i dlatego właśnie chcę zostać.

Długo myślałem, dlaczego Pisany wysłał mnie do Kiercowa. Z początku zdawało mi się, że to przez wzgląd na dawne wspólne walki. Przecież gdyby nie Szymonik, Chwiostek, no i ja, to by Jacek nie wybił się z kotła pod Kalinkami. Dobrze o tym wiedział. Lecz potem, jak rzecz rozważyłem lepiej, nabrałem przekonania, że bał się popatrzeć mi w oczy. Musiał pamiętać, jak przysięgaliśmy w Gwardii Ludowej: „Ja, syn ludu polskiego, antyfaszysta..." Gdyby miał pewność, że zabije we śnie lub zastrzeli znienacka, pewnie posłałby kogoś innego. A teraz czai się w lasach. Dobrał sobie dobrych kompanów... Banderowcy, zdrajcy i paru esesmańskich wilkołaków na okrasę. Tyle wam mogę powiedzieć o Pisanym. Dalszy ciąg przeczytacie w gazetach.

Andrzej spojrzał na kapitana spodziewając się pytań. Tański westchnął i machnął ręką.

— Niech to wszyscy diabli. Nie wszystko jest dla mnie jasne, lecz niejasność nie usprawiedliwia. Chodźmy. Dziadkowie chcą na pewno zapytać jeszcze o Tusię.

Wrócili do sąsiedniej izby. Cok siedział naburmuszony i z rozdrażnieniem stukał palcem w pocztówkę leżącą na stole.

— Więc to nie jest Żolibórz? Nie?!

— Nie chciałbym gospodarza dotknąć, lecz na Żolibórz nie mogę się zgodzić. — Kaluta raz jeszcze spojrzał na zdjęcie i stanowczo rzekł — Nie!

— Andrzej! Gdzieście chodzili do fotografa? Mów, bo na mnie poty biją.

— Mieszkanie, rzeczywiście, ciepłe — zauważył uprzejmie Kaluta.

Andrzej zerknął na kapitana i wyjaśnił bez entuzjazmu.

— Pamiątka z pierwszego urlopu. Ot, tak dla hecy.

Fotografia była już mocno pożółkła jak większość nietrwałych odbitek robionych na poczekaniu przez ulicznych mistrzów obiektywu. Na wiklinowej kanapce siedział Andrzej i dwaj starsi mężczyźni.

— Ojciec i wuj Stefan... — mruknął Andrzej i spojrzał z wyrzutem na dziadka. — Było co wyciągać...

— Pamiątka historyczna — rzekł Kaluta. — Do wstydu nie ma powodu.

Tański pochylił się nad zdjęciem. Kanapka stała na tle wysokiego muru, a na cegłach bielały duże litery tworząc napis takiej treści: MY HITLERA W D.... MAMY!

— Żolibórz czy nie? — nastawał Cok.

— Żolibórz, przecież pamiętam dobrze, bo to Mietek Operacz namówił nas na zdjęcie. Ładną forsę zrobił na tym murku... Ludzie cisnęli się przed aparat jak po świeży chleb. Wojskowi mieli pierwszeństwo, więc nie czekaliśmy długo w ogonku. Ale nie tylko żołnierzy wyróżniał Operacz. Razem z nami przyszedł niewysoki jegomość w okularach, z krótko przystrzyżonym wąsem. Na smyczy trzymał białego szpica. Operacz, ledwie ich zobaczył, od razu w ukłonach zaprosił pod murek. Potem, gdy jegomość zamówiwszy dwa tuziny odbitek odjechał na łebka wojskowym samochodem, Mietek powiedział do ludzi: — Taki człowiek może iść choćby zaraz pod rozwalony pomnik, wejść na postument i stać tak długo, jak mu się spodoba. Czy będzie ktoś urągał? Wszak nie. Przyjezdny może się i zdziwi, ale nie warszawiak.

Tański uśmiechnął się mimo woli.

— Tak, to bardzo dziwne miasto. Są miasta ładniejsze i większe, bardziej ludne i o wyższych domach; lecz jedna Warszawa żyje duchem, trudnym do nazwania i nieuchwytnym, ale tak silnym, że ledwie wyjedzie się poza mury, już się wraca myślą.

— Warszawa...! Nie sztuka spędzić kupę ludzi i kazać mieszkać, bo są wolne pokoje. Tu każdy ciągnie z własnej woli, choć wie, że nie ma domu i rozwalona jest cała dzielnica. Czy tutaj ktoś wciska głowę w ramiona i schowawszy w rękawy ręce przemyka się ze skulonym karkiem? O, nie! Niedoczekanie! Wczoraj łzy, dziś śmiech, raz granat, raz kieliszek... Wiruje dzień warszawski jak dobra karuzela. Minęła chwilka i już jest zmiana! Popłacze człowiek nad ruiną, położy

kwiatek na mogile, lecz zaraz zadrwi sobie zdrowo i cudzą śmiesznością obetrze własne łzy. No, nie?

— Matka — szepnął Cok — nie masz ty gdzie piwa?

— Do szklanki zawsze ciekawy, jak słowik na cudzy groch... — mruknęła babka zła na Kalutę, że nie daje dojść do słowa.

— Miasto, proszę państwa, musi mieć fantazję, nie tylko urodę, i przez to podobne jest do kobiety. Zdarza się dziewczyna, za którą każdy odwraca głowę i mówi: — O, jaka ona ładna! — Powie i pójdzie dalej. Nie szuka znajomości. Inna zaś, choć pięknością nie sięga tamtej do połowy, kawalerów ma tylu, że imion nie może spamiętać! Dlaczego? Tego już państwu nie powiem. Pewne tylko, że tak jest z Warszawą. Łzy u nas prawdziwe, a śmiech od ucha do ucha, nie taki, za którym psy wyją. Warszawiak jeśli strzela, to myśli: — ja nie trafię?! — A jak całuje, to tak mocno, że trzeba szukać wózka, bo dziecko prawie w drodze. — Kaluta podniósł szklankę i łyknął piwa. — Tak to jest.

— Ano pewnie, nie można martwić się za długo.

— Prawda! Człowiek z twarzą karawaniarza nawet grobu nie wykopie dla siebie, bo rozczuli się w połowie roboty i ciśnie łopatę.

— E, to nie zmartwienie. Grób największego obejmie. Nie trza samemu ziemi ruszać. Na to mądrych nie ma.

— Panie Cok! Z pana też taki bazarowy polityk, że dalej nie idzie. Widzi pan kapitana? — Kaluta zniżył głos. — Uśmiecha się niby, ale minę ma taką, że mi mróz po krzyżu lata. Trzy ćwierci do śmierci! Zabawiam, zagaduję, a pan uczepił się cmentarza i parcele wychwala.

— Noo, śmiał się, nie śmiał...

Tański rozmawiał z babką. Cokowa wzdychała, szczypała obrus, wreszcie rzekła:

— Powiedzcie jej, panie, żeby nie oglądała się na ludzkie języki. Poznaję, wdała się Tusia w nieboszczkę Klarę. Także była prędka! Oj, cośmy z nią mieli... Niechże Tusia wraca. Byle szybko. Nie posłyszy złego słowa. My nie łobuzeria i dziecka skrzywdzić nie potrafimy.

Właśnie ucichły wybuchy saperskich ładunków. Mężczyźni przerwali rozmowę i nasłuchiwali. Mgła zgęstniała i ustał trzask lodów. Od rzeki napływał szum wzmagający się z każdą chwilą. Wisła ruszyła!

Andrzej wyszedł przed dom. Wrócił z wiadomością, że woda przybiera gwałtownie, a z miasta przyjechał dorożką młody Ciągardlak w oficerskim zagranicznym mundurze.

Cokowie spojrzeli po sobie.

— Ot, żeby tak Czesław pokazał się wreszcie...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

— Pani doktor... — siostra Apolonia potrząsnęła śpiącą i Znamięcka otworzyła oczy.

— Tak. Oczywiście. Już nie śpię. — Lekarka usiadła na łóżku i chwilę rozcierała czoło. Dyżur z soboty na niedzielę zawsze był najcięższy. — Co się stało? Aha... Siostrzyczko, nie ma kawy? Okropnie boli mnie głowa.

Siostra czekała cierpliwie i dopiero gdy Znamięcka wstała, wyszła cicho przymykając drzwi.

Izba przyjęć była na parterze. Znamięcka idąc na dół zobaczyła w półmroku hallu mężczyznę stojącego tyłem do schodów. Przy wejściu drzemał portier zwiesiwszy głowę na piersi.

— Proszę. — Znamięcka poszła przodem wskazując drogę. Mężczyzna poprawił kurtkę narzuconą na ramiona. Stąpał za lekarką starając się nie mącić ciszy podkutymi butami. W głębi korytarza Znamięcka przystanęła. Pchnęła drzwi i zapaliła światło.

— A więc...? — spojrzała na pacjenta i głos uwiązł jej w gardle. — Roman...! Ah, nie. Przecież to ty, Jacku!

Uśmiechnął się. Siadł na obitej ceratą kanapce i zapalił papierosa. Przyglądał się kobiecie ubawiony jej zdumieniem.

— O, przepraszam. Zapomniałem, że ty palisz także. Jesteś przemęczona. Ręce drżą. Dużo pracujesz?

— Wystarczająco. Co ci strzeliło do głowy? — Znamięcka oparła dłoń na stoliku i mocno zacisnęła palce. — Nic nie rozumiem.

— Tym lepiej. Bardzo dobrze, Isiu. Kobiety nie powinny domyślać się zbyt wiele. Pozwól, że cię przeproszę. Przerwałem podstępnie wypoczynek. Oczywiście, nie przywiozłem chorego dziecka. Nie piorunuj wzrokiem. To pomysł Romana.

— Słuchaj...! — Znamięcka z trudem chwytała powietrze.

— Pst! Wiedziałem, że skrupi się na mnie, choć spełniam cudzą prośbę. Pamiętasz jeszcze Romana? Przekonać go, gdy uczepi się jakiejś myśli, po dawnemu niesposób. Dotychczas się nie ożenił i nawet nie ma kochanki na stałe.

— Jacek, mówisz, jak gdyby to wszystko działo się wczoraj. Minęły lata! Ja mam męża, dzieci...! Gdzie jest Roman? Co to znaczy? Boże, nic nie rozumiem!

— Lata? Dla Romana nie istnieje czas. Uparty człowiek i bardzo ufający ludziom. Odradzałem, lecz Roman nie chciał nawet słuchać.

„Idź, ona jest odważna. Zresztą zrozumie, dlaczego zwracam się do niej. Nigdy nie była bezmyślną gęsią, choć stroniła od polityki".

— Odważna? Cóż on może wiedzieć? Czy był w Warszawie razem ze mną? — Znamięcka wzruszyła ramionami. — Jacku?...

Powstrzymał pytanie ruchem ręki.

— Kobieta tchórzliwa i słaba nie wyszłaby za mąż bez miłości. Oczywiście kobieta uczciwa, nie dziwka lecąca na forsę.

— To nie ma nic do rzeczy!

— Być może. Tłumaczyłem Romanowi: dajże spokój Isi. Na pewno miała dość przykrości po tamtej akcji. — Jacek westchnął. — Pamiętasz? Zabraliśmy wtedy rannych. Była też mała pukanina.

Znamięcka wstała. Przeszła szybko przez pokój i zatrzymała się z ręką na klamce. Jacek strząsnął popiół i rzekł:

— Mówiłem, to nie na twoje nerwy.

Isia znieruchomiała ujęta spokojnym głosem Jacka. Pobladła i dłonie przycisnęła do piersi. Drżenie ogarnęło całe ciało. Oparła się o drzwi i bezmyślnie patrzyła na papieros. Potoczył się po linoleum i spod szafki dymił szarą smużką.

— Więc Roman?

— Aha — Jacek zapalił papierosa i wetknął w roztrzęsione palce. — Siadaj. Dam ci wody.

— Nie! Niemożliwe! Przecież Roman zawsze był zapatrywań dzisiejszych! Dlatego więziono go w Berezie! Jacku! Ty kłamiesz!

— Ba, dawniej i dziś! Miły Boże! Czyż nie dostrzegasz różnicy? No, Isiu, trzymaj się ciepło. Pójdę już. Powtórzę wszystko Romanowi. Może wybije sobie z głowy i ciebie, i twoją pomoc. Nie bój się, on nie potępi. Rozumiemy, że ludzie żyją w strachu.

Jacek wstał, starannie zgasił niedopałek i zaczął naciągać kurtkę podbitą barankiem.

— Bardzo szarpała cię milicja? Doprawdy, nie mogliśmy postąpić inaczej. Oddać chłopców w ręce UB? Na powolne męczarnie? O, nie! Ma się jeszcze sumienie! Dokuczali ci bardzo? Powiedz?

— Nie. Dyrektor Utrecht miał przykrości.

— Utrecht? Ah, ten...

— Jacku! Zawdzięczam dyrektorowi mieszkanie i pracę w warunkach, o jakich nie mogłam marzyć w Krakowie.

— On da sobie radę. Wiesz, Isiu, nie znam się na etyce lekarskiej, ale wydaje mi się, że nie ma chorych faszystów i komunistów. Są ludzie potrzebujący pomocy. Wątpię, czy ktoś po złamaniu nogi określi przekonania polityczne pacjenta.

Znamięcka przymknęła oczy. Stała wciąż oparta o drzwi. Myślała: całe życie upływa na spłacaniu długów. Najpierw dopomagała rodzeństwu, by odwdzięczyć się matce za posyłanie do szkoły i gimnazjum. Potem znosiła humory Znamięckiej i urojone choroby męża, bo po zamążpójściu żyła parę lat wygodniej w lepszej, bogatszej sferze teściów. A teraz, jakby wszystkiego było mało, zjawia się Roman i ustami brata wystawia rachunek za zerwane narzeczeństwo. Dlaczego nie wyszła za Romana? Przyczyna była tak błaha, że trudno doszukać się pod furą listów i słów istotnego powodu. Nieopatrzne słowo powiedziane do Jacka, powtórzone przez niego przyjaciółce, urosło w koleżeńskiej plotce i podrażniło ambicję młodziutkiej medyczki. Roman był wtedy w wojsku. Wrócił i starał się wyjaśnić nieporozumienie. Natrafił na upór, który im bardziej nalegał, tym stawał się twardszy. Przespacerowali piękne wieczory nieczuli na słowiki przyśpiewujące innym parom, które z zapałem poddawały się wiośnie. Pachniały bzy i czeremcha, słowiki chrypły od cudzego szczęścia, a oni brnęli w kłótnię. Wreszcie Roman umilkł. Wtedy powiedziała spokojnie: — Zresztą, jestem już po słowie ze Znamięckim. — Tym kłamstwem przypieczętowała zemstę. Rozeszli się. Nie zdążyła nawet być kochanką Romana. Jak idiotka poszła za Znamięckiego. Zaimponował jej wówczas nadzwyczajną energią, z jaką rozpraszał dąsy rodziny broniącej się od biedniutkiej synowej. Roman znikł. Nie pytała, nie szukała. Czasem dotarła nie proszona wiadomość. Czuła wtedy niepokój w sercu i nie zaspokojoną miłość przelewała na dzieci i piękne krawaty męża. Znamięcki ubierał się dobrze.

I oto przeszłość znów powraca Jackiem. Isia otworzyła oczy, Jacek stał tuż przed nią gotowy do drogi.

— Zostań. Kto potrzebuje pomocy?

— Eh, daj spokój. Wytłumaczę cię przed Romanem. Masz dzieci. Powinien zrozumieć. Gdybyś była sama, ale dzieci...

— Nie z tobą.

— Pewnie, pewnie... Puść, Isiu, dochodzi druga.

— Pytam, komu potrzebny lekarz? Romanowi?

— O, nie. On się nie cacka z sobą.

— Nigdy nie był ciamcialamcią. Więc...?

— Dwaj chłopcy... Czekają na dworze. Ot, lekkie postrzały, tylko trochę brudne. Tu przyprowadzić?

— Tak jest. W razie czego, bijatyka sobotnia. Uprzedź.

— Nie będzie okazji do składania wyjaśnień. Puściutko wokół. Przyszliśmy w parę osób, więc nie spodziewam się wielu ciekawskich. Idę.

Z dwóch rannych znała Dębniaka. Chłopak o czerwonej krostowatej twarzy uśmiechał się głupawo. Najwyraźniej był skrępowany znajomością. Znamięcką widywał często, ponieważ odwiedzał dom Utrechta, w którym mieszkała też lekarka. Dawniej przychodził na obiady. Ostatnio zaś Utrecht wynajdywał dla Dębniaka zajęcia, które były pozorem pracy i usprawiedliwiały pieniężne datki. Dębniakowa chodziła na posługi lub brała pranie.

— Jak matka? — spytała dr Isia. — Nie było jej dawno.

— Pracuje.

— To dobrze. Gdzie?

— Pan Utrecht wepchnął ją do pralni. Robota ciężka jak diabli, a pieniędzy mało. Taka tania łaska. Żeby nie ja, to byłaby u nas bida gorsza jak chłopski przednówek.

Jacek zakaszlał ostrzegawczo i Dębniak speszył się jeszcze bardziej.

— Buty masz nowe.

— Od Utrechta. Dał.

— A widzisz!

— Nie jego, to lekko daje. Nie ze swego przecież.

— Obiady też z cudzego?

— Iii, to to nie. Chciał dobrze żyć z ludźmi. Bo on tego... Tylko nie podobny. Niemiec ich nie lubił. Dziękuję szanownej pani doktor. — Dębniak wstał i schylił się, by pocałować w rękę. Znamięcka cofnęła się.

— Nie trzeba. Możesz wyjść.

Jacek dostrzegł pogardliwy grymas i pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Dębowy łeb nasz Dębniak. Brak czasu na wychowanie i kształcenie chłopców. Jak czasy się zmienią, będą mieli pierwszeństwo do szkół.

Znamięcka wytarła ręce i zapaliła papierosa.

— Koniec. Nie pozostaje nic innego jak zawiadomić milicję. Z Romanem kwita.

Jacek roześmiał się. Spojrzał na zegarek.

— Jeszcze pięć minut mogę tu zabawić. Chcesz telefonować? Pozwól, wypalę papierosa. Nie lubię zaciągać się na powietrzu.

— Wynoś się!

— O, o, nic się nie zmieniłaś. Następnym razem zostawię Dębniaka w domu. Kwadratowy łeb, niech językiem wylizuje ranę. Kompromituje Romana.

— Następnym razem? — powtórzyła przeciągle Znamięcka. — Więc myślisz, że ja...?

— Ależ Isiu! Jestem pewien! Roman oszaleje z zachwytu! Jesteś cudowna. Nie marszcz czoła! Za wcześnie na pręgi mądrości.

— Jacek! Liczę do trzech.

— No, trudno. Widzę, że nie umiesz sama postawić kropki na właściwym miejscu. Miej wzgląd na dzieci.

— Nie twoje!

— Słyszałem już raz i nie zaprzeczam. Ale cóż ci przyjdzie z alarmu? Podniesiesz krzyk i stracisz kochane buziaczki.

— Zapomniałeś o amnestii. Wypaliłeś już?

— Prawie. Nie rozumiemy się, Isiu. Zmuszasz mnie do krępujących wyjaśnień. Pozwolisz powiedzieć?

— Byle prędko.

— Roman kocha cię nadal, więc dzieci też mu są nie obojętne. Żywa pamiątka umarłej miłości.

— Błazen!

Jacek pokiwał głową i westchnął parokrotnie.

— Roman marzy o wychowywaniu twoich dzieci. Z czasem gotów uwierzyć, że to jego własne. Nie dalej jak godzinę temu mówiliśmy o tym. On ma bzika na twoim punkcie. Miłość tłumiona wybucha niespodziewanie jak ładunki przechowywane zbyt długo.

Znamięcka zesztywniała z ręką niosącą papieros do ust.

— Gdzie jest Roman?

— Przed domem Utrechta. Podgląda dzieci i myśli o tobie.

— A więc to tak... Brawo. Godni siebie bracia. Szantaż...

— Uchowaj Boże! Po prostu samoobrona przed pochopną odmową. Dajmy spokój drażliwym tematom. Kiedy masz następny dyżur? Prędzej, Isiu, muszę już iść.

— Za dwa tygodnie.

— Diablo długo trzeba czekać. Ha, trudno. Zatem umawiamy się o tej samej porze. Dziękuję, Isiu. Co każesz powtórzyć Romanowi? Nic? Zamartwi się chłop. Isiu... Nie łam sobie głowy i nie szukaj naiwnych wykrętów. Szkoda fatygi. Do widzenia. Nie całuję cię w rękę, bo wiem, że nie lubisz.

Jacek pożegnał się z przesadnym ukłonem i wyszedł. Znamięcka stała bez ruchu. Słuchała, jak stukają podkute buty oddalające się w stronę hallu. Potem cicho brzęknęły drzwi i wóz odjechał turkocząc po bruku.

— Przyniosłam pani doktor kawę — siostra Apolonia postawiła kubek na stoliku.

— W samą porę... — Znamięcka wyciągnęła rękę i osunęła się miękko na kanapkę. Upłynęła chwila, zanim zdobyła się na wymuszony uśmiech i parę słów.

— Nic mi nie jest. Za dużo palę. To wszystko. Siostrzyczko, proszę przytrzymać kubek. Co za śmieszna historia, prawda?

— Nie widzę nic zabawnego.

Znamięcka oprzytomniała. Spojrzała uważniej, lecz z twarzy zakonnicy nie wyczytała nic poza codziennym uśmiechem.

— Już minęło. Pójdę położyć się.

Siostra Apolonia zgarnęła strzępy opatrunków i zawinęła w papier. Isia przyglądała się w milczeniu. Wreszcie zadecydowała: nie ma mowy o żadnych wyjaśnieniach. Wyszła na korytarz. Utknęła w hallu, jakby zabrakło jej sił na wejście wyżej.

Portier ziewnął i podniósł głowę.

— Pani doktor chce dzwonić? O, już pół do trzeciej.

Znamięckiej krew uderzyła do głowy. Zrozumiała śmieszność sytuacji. Powodowana bezwiedną siłą zdjęła słuchawkę i tkwiła przy telefonie nie słysząc jednostajnego bzykania sygnału.

— Dzwonić? Ależ nie! Zresztą, do kogo? Zamyśliłam się tylko. Nie ma rady, starość, panie Józefie.

— Proszę pani doktor, młody zawsze zasłania się starością, a jak się jej już doczeka, to nie daj Boże mu wspomnieć o latach.

— Tak jest. — Znamięcka poszła szybko na górę. — Pół do trzeciej... Zaledwie pół godziny. Właściwie, co mam zrobić?

Długo nie mogła zasnąć, choć ostatnie godziny dyżuru upłynęły w spokoju. Potem zapadła w ciężki sen przerwany początkiem szpitalnego dnia. Poszła na oddział uginając się pod wrażeniami nocy, które osiadły bólem w głowie. Bolały także plecy odnawiając wspomnienie nieudałego skoku do wody.

— Niechże mi kto powie, co ja mam zrobić?

— Proszę natychmiast iść do domu.

Obejrzała się zaskoczona. Utrecht gładził włosy podobne do siwej peruki.

— Pan dyrektor czyta w myślach!

— Nie. To pani zaczyna myśleć głośno. Musi pani położyć się jak najprędzej.

— Ależ panie dyrektorze... — próbowała nadrabiać miną.

— Ma pani lusterko? Nie? Proszę pójść do umywalni, przyjrzeć się dobrze i wędrować do domu. Józef sprowadzi fiakra.

Utrecht zatrzymał się. Spojrzał raz jeszcze na Znamięcką i mruknął:

— Nawet hitlerowski lekarz zwolniłby panią z pracy.

— No, tak. Nie wyglądam zbyt powabnie. — Drobne, złośliwe zmarszczki pokryły całą twarz. Mimo opalenizny pojawiły się plamy nadając skórze niezdrową, chorobliwą barwę. A przez gładko zaczesane włosy biegło siwe pasmo szerokie na palec.

Dopóki dzieci nie wróciły ze szkoły nie było mowy o śnie i wypoczynku. „Nie, w takiej atmosferze ciągłej obawy nie wytrzymam długo". — Znamięcka co chwila zrywała się z tapczanu i zaczynała krążyć po pokoju. — „W najbardziej trudnych sytuacjach nie traciłam głowy! Dlaczego teraz czuję się bezradna? Nie, nie zrobię głupstwa. Nie wolno tracić głowy".

Pod wieczór zjawiła się Utrechtowa i zaprosiła na kolację.

— Kieliszek wódki dobrze pani zrobi. O, nie, bez wykrętów! Nie wyjdę sama. Pozwalam upudrować nos i na tym kropka.

— Wie pani, martwi mnie Dębniak — odezwał się Utrecht, gdy z krzeseł przenieśli się na fotele. — Była dziś jego matka i skarżyła się bardzo. Włóczy się podobno nocami, znów pije, a na dobitkę ktoś przetrącił mu nogę. Wyraźnie kuleje.

— Nic groźnego, po prostu...

— Tak? Nie badałem go. Co, znów ból powraca?

Znamięcka ścisnęła palcami czoło osłaniając rumieniec. „Jakże łatwo zdradzić się głupstwem. Nie wolno tracić głowy!"

— Czy Dębniak zasługuje na tyle troskliwości? Bardzo wątpię! — powiedziała zapalając papierosa. — Robi wrażenie głupka rozbuchanego okupacyjnym stylem życia.

— Właśnie dlatego potrzebuje opieki. Nadto, pamiętam dobrze jego ojca. Człowiek prosty, jak to się zwykło mówić. Znakomity przewodnik i ratownik, a przy tym prawy i pełen godności, której na przekór tradycji nie doszukamy się u zaślinionych arystokratów. Był częścią tatrzańskiego świata, postacią i życiem dając dowód ogromnego wpływu gór na ducha i na ciało. Trzeba też dodać, że przeszłość była tu inna, odmienna od doli chłopa z nizin. Jarzmo pańszczyzny nie łamało karków. Bieda popychała w szeregi zbójników, lecz nie przykuwała do pańskich zagonów. Zresztą, wystarczy spojrzeć na tamtą stronę Tatr, by zrozumieć uczucia ówczesnych górali. Równiny falowały ciężkimi kłosami zbóż. Wiatr niósł pomiędzy skały zapach pszennego chleba. Wyobraźnia pomnażała skarby. Obfitość wszelkiego dobra oszałamiała i ciągnęła w leżące u stóp doliny. A kto już poznał smak chleba, ten nie powracał do owsianych placków. Bo z chlebem, jak z wolnością. Kto zaznał jej, nie umie żyć w niewoli... Podziwiają różne panie piękne

rzeźby w chatach i rozpiera je wiosna na widok parzenic. Nie pytają jednak, czemu lud dorodny i skąd jego sztuka. Właśnie z wolności ukradzionej panom.

— Będziesz musiał wziąć dorożkę... — wtrąciła Utrechtowa.

— Co, co takiego?

— A tak. Odbiegłeś od tematu daleko i na piechotę nie wrócisz przed nocą.

— Moja droga, jakże mogę mówić o Dębniaku zapominając o Tatrach! Przecież żył tutaj, nie w Australii.

— Słowem, ojciec porządny, matka zacna, a syn kolejarz — spróbowała zażartować Znamięcka.

— Nie mówmy źle o ludziach pracujących ofiarnie. Znów był napad na pociąg i są zabici.

— Pisany?

— Ha, zapewne. Pamięta pani wypadki sprzed lat? No, pożar i polewanie rannych benzyną? Doprawdy, czasami braknie sił do uwierzenia. Straszne dziedzictwo hitlerowskiej szkoły.

— Jakże to pogodzić z pochwałą zbójnictwa?

— No, pani Isiu! — Utrecht spojrzał z wyrzutem na gościa. — Jest różnica i to bardzo istotna. Posłużę się przykładem: stary Dębniak i jego syn.

— Przypuszcza pan, że Dębniak ma coś wspólnego z Pisanym? Na podstawie nocnych spacerów? Za mało nawet na akt oskarżenia.

— Nie o tym myślałem. Dębniak dorastał w okupacji. Nie jemu jednemu faszyzm zmącił głowę. Jak spędza noce, oczywiście nie wiem, lecz właśnie dlatego niepokoję się o chłopca, choć głupawy i nie dorównuje ojcu. Chcę mieć pewność, że nie będzie uprawiał bandytyzmu na rzecz Pisanego. Prosiłem Dębniakową, żeby przyszła z synem. Obiecała. Może potrafię przemówić mu do rozumu.

— Czas na moją prośbę, panie dyrektorze.

— Ależ pani Isiu! — Utrecht zaniepokoił się tonem. — Słucham, bardzo proszę!

— Chcę wyjechać i to możliwie szybko.

— Wyjechać? — powtórzył. — Czy dobrze zrozumiałem? Pani rzuca szpital? Przecież... Pani Isiu, co to wszystko znaczy?

— Muszę.

— Niechże pani da trochę czasu. Doprawdy, trudno tak od razu znaleźć kogoś na pani miejsce. Pracujemy ciężko, ale gdzie jest łatwiej? Chorych więcej, lekarzy mniej. Ma pani tutaj uczciwe mieszkanie... No i góry, góry!

— Pomimo wszystko nie mogę zostać.

— Zdrowie? Nerwy? Przyznaję, że ręka bezpieczeństwa nie wszędzie jeszcze sięga, lecz z każdym dniem spokojniej. Pani ucieka? Pani? Pani boi się?

— Tak jest. O dzieci.

— Czyż nie widzisz, jak pani Isia zmieniła się w ciągu paru ostatnich dni?

— Zwolnimy zatem panią z dyżurów na jakiś czas.

— Ah, nie! To niemożliwe!

— Więc taki sprawa wzięła obrót... Wypędza panią nasza — uśmiechnął się cierpko — *brutalité de la maison*. Dobrze. Załatwię wyjazd.

— I jeszcze jedno, proszę o dyskrecję.

— Zrozumiałe. To nie powinno trwać dłużej niż dwa, trzy dni. Wystarczy pani cierpliwości?

Skinęła głową i cicho powiedziała:

— Dziękuję.

— Zdaje się, że rozumiem położenie pani. Muszę przyznać się, że i ja ulegam chwilowym niepokojom. Gatunek Pisanych i powiedzmy Dębniaków-juniorów, żyje już poza społeczeństwem. Ale, pewna część społeczeństwa udziela nadal odpuszczenia grzechów i tym zachęca do zbandyciałej partyzantki. Spotykam co dzień ludzi i odpowiadam na ukłony i uśmiechy, lecz dobrze wiem, że najchętniej poszliby za moją trumną. To jednak nie wystarczający powód do zmiany przekonań. No, my nie mamy dzieci. Pani Isiu, a może pojechalibyśmy razem na milicję?

— Nie. Wolę nie ryzykować.

Rozmowa urwała się i Znamięcka podniosła się z fotela.

— Proszę raz jeszcze.

— Dobrze, dobrze... — odrzekł zniecierpliwiony Utrecht. — Zatem do jutra w szpitalu. Nie zmieniajmy trybu życia. Na noc niech pani łyknie jakiegoś świństwa.

Dwa dni przywróciły Znamięckiej równowagę ducha. Były to naprawdę piękne dni. Słońce brązowiło twarze, a góry lśniły liliowym odcieniem śniegów, podobne do kunsztownie rzeźbionych kryształów. Na łące pod szpitalem wysypały się krokusy i dobierały z nieba błękit do fioletu kielichów. Wilcze łyko opasało regle, różowym kwiatem wyprzedzając liście.

Trzeciego popołudnia Utrecht wręczył Znamięckiej kopertę.

— Może pani jechać, choćby dziś wieczorem.

Isia nie odpowiedziała. Patrzyła w okno po dawnemu spokojna. Sporo

jest bowiem prawdy w mniemaniu, że noc upiorom, a dzień służy ludziom.

— Nie jestem zdecydowana. Sama nie poznaję siebie. Raz tak, raz nie.

— No, to przywilej kobiety.

— Dotychczas nigdy nie zmieniałam zdania i byłam z tego dumna. Może nie jestem kobietą?

— A to współczuję — Utrecht uśmiechnął się lekko. — Zatem, wolna wola: jechać, zostać. Nie namawiam, nie odradzam.

— Co z Dębniakiem? Czy był już u pana?

— Ma przyjść razem z matką. Dziś lub jutro. Pani Isiu! Koperta!

— O, przepraszam...! Roztargnienie, to też nowy nabytek.

— Minie, zginie, nie zostanie śladu. Pójdziemy w góry i znajdziemy zdrowie.

Następnego ranka Znamięcka obudziła się prawie szczęśliwa. Powzięła postanowienie, a to najmilszy kochanek rozterki. Po przyjściu do szpitala nie mogła doczekać się spotkania z Utrechtem. O dziesiątej gabinet dyrektora był jeszcze pusty. Utrecht, jak na złość, spóźniał się wbrew zwyczajowi. Posłano portiera do domu. Wrócił na stopniu wojskowej sanitarki wiozącej żonę dyrektora.

— A on? — szepnęła Znamięcka. — Gdzie dyrektor?

— Zabili.

W chwilę później nad drzwiami sali operacyjnej zabłysło światło. Znamięcka poszła na oddział i bliska ataku histerii zabrała się do roboty. Siostra Apolonia musiała powtórzyć trzy razy wiadomość, zanim Isia zrozumiała jej sens. Operacja udała się i co ważniejsze, Utrechtowa żyje i najpewniej wywinie się śmierci. Dyrektor, jak wiadomo, zginął na miejscu.

Znamięcka wyszła wcześniej. Kupiła bilety do Krakowa i wysłała depeszę do męża. Przed domem zastała żołnierzy i tłum gapiów wpatrzonych w okna mieszkania Utrechtów.

— Doktor Znamięcka, to pani? — Oficer wszedł za nią do pokoju i wyciągnąwszy papier, poprosił o możliwie ścisłe odpowiedzi.

— Dziś wyjeżdżam. Już kupiłam bilety. Oto papiery wystawione jeszcze za życia dyrektora Utrechta.

— Znudziły się góry?

Serce skoczyło do gardła, ale opanowała się i powiedziała sucho.

— Nie umiem żartować w podobnej chwili. Wyjeżdżam, bo tu nie potrafię pracować. Powstanie zjadło nerwy. Szukam spokoju.

— Ba, proszę pani! Któż tego nie chce? Żeby o n i zrozumieli wreszcie! — Oficer zanotował adres krakowski, zadał jeszcze parę pytań i obiecał dać wkrótce odpowiedź w sprawie wyjazdu. Przed upływem godziny oficer zjawił się ponownie.

— Więc mogę pakować rzeczy?

— Oczywiście.

Zamykając walizkę Isia ogarnęła wzrokiem mieszkanie. Każdy kąt przypominał Utrechtów. Meble, kołdry, garnki, wszystko było ich. Pościel własna, lecz od miesiąca dopiero. Nie, tak wyjechać nie sposób. Znamięcka usiadła przy biurku i napisała list pełen krótkich zdań kończących się wielokrotnie powtórzonymi wykrzyknikami. Zakleiła kopertę i poszła do szpitala.

— Proszę oddać pani Utrecht, a tu pieniądze na kwiaty.

— Pani doktor nie będzie na pogrzebie? — siostra Apolonia uniosła brwi tak szczerze zdumiona, że zapomniała o uśmiechu.

— Tak jest. Wyjeżdżam, być może nawet dziś.

— Pieniędzy jest tak dużo, więc może kupię parę kwiatków do kaplicy?

Znamięcka zarumieniła się. Sięgnęła do torebki.

— Doprawdy, zapomniałam. Siostrzyczko, bardzo proszę, żeby były ładne. Do widzenia. — Wybiegła ze szpitala.

Później, gdy razem z dziećmi czekała w przedziale na podstawienie lokomotywy, opowiedziano jej dalszy bieg wypadków. Żołnierze idący w pościgu dopadli bandę, zanim zdołała dołączyć do głównego oddziału Pisanego. Widząc odciętą drogę do kryjówki, mordercy Utrechta przyjęli walkę w opuszczonych szałasach i stawili tam opór, złamany dopiero po kilku godzinach. Wśród zabitych rozpoznano Dębniaka. W jego kieszeni znaleziono kartkę zmiętą i zgniecioną w kulkę. To upewniło milicję, że strzelał Dębniak, a pozostali osłaniali dom podczas zamachu i torowali ucieczkę do czekającego w pobliżu wozu. Dębniak, jak domyślano się, nie zdążył przeczytać w y r o k u. Utrecht wyrwał mu kartkę z ręki i cisnął na podłogę. Być może tym, lub pogardliwym uśmiechem, z jakim widziano go później, przyśpieszył własną śmierć, lecz uratował żonę. Tępy morderca stracił pewność siebie i następne strzały były już mniej celne. Trudno powiedzieć, czy domysły trafiają w sedno i odtwarzają prawdziwy przebieg zdarzeń. Utrechtowa nie odzyskała jeszcze przytomności, a tylko ona mogła powtórzyć ostatnie słowa męża.

— Zabił Dębniak? Nie, to niemożliwe! — wybuchnęła Znamięcka głośnym sprzeciwem.

— Dlaczego? — zdziwił się siedzący naprzeciw mężczyzna. — Prze-

cież najczęściej giną ludzie z ręki Dębniaków. Takiego namówić nie trudno.

— Na pewno było inaczej — broniła uporczywie nie Dębniaka, lecz siebie.

— Nie widziałem na własne oczy, więc przysięgać nie będę.

W tej chwili wagony drgnęły i pasażerowie zakołysali się na ławkach. Doczepiono lokomotywę. Gdy ruszyli, porzucono zgodnie bandycki temat, by nie wywoływać wilka z lasu. Przytrafić się mogło i pod samym Krakowem.

Znamięcki czekał na peronie rozglądając się bezradnie w tłumie spieszącym do wyjść. Oczywiście dostrzegła go pierwsza. Dzieci rzuciły się do ojca, a Isia powiedziała cicho:

— Wróciłam.

— To bardzo dobrze, Słoneczko. Życie osobno nie ma sensu.

— O, tak. Wszystko potoczyło się na przekór rozsądkowi — myślała o rozmowie z Jackiem. Dała pochwycić się w sidła, zwabiona naiwną przynętą: to nie na twoje nerwy. Powtarzała często, że nie wolno tracić głowy, a jednak kruche wspomnienie jedynej miłości zakręciło w głowie niegorzej od mocnego wina. Poznała siłę strachu i przekleństwo życia w nieustannej trwodze. Przed strachem uciekała w ramiona męża.

Czułość żony zaskoczyła mecenasa. Przywykł określać Isię, jako istotę chłodną i pozbawioną temperamentu. Był zdania, że właśnie to upodobniło ich pożycie do grzecznościowej korespondencji wymienianej ze znajomymi z okazji świąt, urodzin czy Nowego Roku. Ot, parę słów od czasu do czasu. Przeważnie w sobotę.

Przy śniadaniu Znamięcki podzielił się z matką nowiną, oględnie dając do zrozumienia, że Isia jest zupełnie inna. Kładł to na karb osobistego uroku i nie widzenia się w ostatnim miesiącu. Przechodził lekką grypę i nie ryzykował wyjazdu z Krakowa.

— Zmizerniała biedactwo, lecz wyzbyła się oschłości, do której nieomal przywykłem — rzekł mecenas zanurzając łyżeczkę w jajku ugotowanym na miękko.

Znamięcka zerknęła na drzwi. Nigdy nie wiadomo, czy synowa naprawdę śpi, czy podsłuchuje.

— Nie chcę mącić waszego szczęścia — wyraziła obawy półgłosem — ale dałabym dużo za wiadomość, kto to był.

Mecenas zmarszczył czoło. Nie zawsze nadążał za myślami matki.

— Kto? Jej kochanek, oczywista.

Roześmiał się ubawiony pomysłem.

— Isia i kochanek? Ha, ha! Mamo, to wspaniałe! A po cóż on jej? Proszę mamy, Isia byłaby najszczęśliwsza, gdyby umiała zostać matką bez współudziału mężczyzny! — Znamięcki pokręcił głową nie tracąc uśmiechu. — W zdradę Isi nie uwierzę, nawet jeśli przyjdzie jej ochota nastraszyć mnie takim żartem. Zresztą, wszyscy uznają w nas najbardziej dobrane małżeństwo! Wszyscy!

— Poglądy głupców są przeważnie głupie — mruknęła matka i usiadła pod oknem zasłaniając się niedzielną gazetą.

Znamięcki uchylił drzwi i zajrzał do żony. Dzieci spały. Isia leżała wpatrzona w sufit. Nie odwróciła głowy.

— To ty?

— Ależ Isiu!

— Wiesz, matka ma rację. Nie jestem odważna. Biegam jak kura w środku kredowego koła, a wszystkim wydaje się nie wiadomo co. Zamknij drzwi.

— Może ci przynieść kanapkę z serem i filiżankę herbaty? Nie jestem pewien, czy są jeszcze jajka?

Isia wybuchnęła śmiechem serdecznym i głośnym. Dzieci poruszyły się przez sen, a stara Znamięcka syknęła znad gazety:

— No, tak. Jej się wydaje, że jest w garsonierze. Czego szukasz?

— Jajek. Isia nie chce sera.

— O, Boże! Zwariuję na starość w tym Krakowie!

...Miasto uspokajało. Wystarczyło wyjść na ulicę i zrobić kilka szybkich kroków, by momentalnie zwolnić i przyjąć rozważny stęp mieszkańców idących pod pachę z wiecznością. Hejnał rozczulał, nietknięte kamienice budziły tęsknotę za własnym domem, a w cieniu licznych wież malały troski. Isia odzyskała cudowny dar niepamiętania. Znajomych unikała. Nawet zobaczywszy Masłowca skręciła raptownie w obawie spotkania. I sędzia był ogniwem łańcucha, który prowadził do śmierci Utrechta. Wiedziała, że Masłowca nie zbędzie byle opowiastką. Przyznać się do własnej słabości? O, nie! Na to była za słaba. Więc jeszcze parę dni syciła sobą męża i dopełniała wyobraźnią tę miłość dla ubogich. Zaczęła wreszcie wierzyć, że nie stało się nic podczas dyżuru, że Jacek, no i Roman, odeszli z jej życia dawno i na zawsze. Wtedy właśnie przyszła odpowiedź Utrechtowej na list pozostawiony w szpitalu.

— Więc jednak Dębniak... — powiedziała Isia drąc na kawałki niebieski arkusik.

— Zamęczają mnie koledzy prośbami o szczegóły. Wiedzą, że pracowałaś z Utrechtem. Może zaprosić parę osób na sobotę?

— Nie. Polecę do Warszawy. Nie będziemy mieszkać w Krakowie. Na razie dzieci zostaną z tobą. Chodźmy, muszę mieć miejsce w samolocie.

Znamięcki złapał się za głowę i pobiegł za żoną.

— Czy masz pewność, że znajdziesz mieszkanie? Pracę?

— Tak jest! Postanowiłam pracować w Warszawie.

— Znów dawna Isia... — szepnął Znamięcki ze smutkiem. — Eh, diabli wzięli piękne dni Aranjuezu.

— Słucham?

— Nic, mówię, że pogoda piękna.

— Pilnuj dzieci, jeśli nie chcesz mnie stracić na zawsze!

— Bądź spokojna, Słoneczko. Razem z mamą...

— Nie mama, lecz ty!

— Pasażerowie odlatujący do Warszawy proszeni są do samolotu.

— Pamiętaj... — Isia uśmiechnęła się, jak potrafiła najczulej i powtórzyła, by mąż domyślił się sensu. — Pamiętaj!...

Po pięciu kwadransach wylądowała na warszawskim lotnisku. Lecz najszybszy lot, o ile naturalnie nie kończy go katastrofa, nie zrywa pasma wspomnień. Samolot uwalnia co najwyżej od kokluszu.

Isia zatrzymała się u znajomych i pierwszą noc spędziła na kuchennym stole, nie ryzykując spania w trójkę na składanym łóżku.

— Jak ci się spało? — spytała uszczypliwie koleżanka zasłaniając kocem ubierającego się męża. — Bo wy, tam w Krakowie, podobno macie każdy swoje łóżko?

— Staropanieńskie plotki! — odparła Isia i poszła na miasto. Wieczorem wróciła po walizkę. — Dziękuję kochani. Do widzenia.

— Już mieszkasz?!

— Tak, lecz nie jestem zachwycona. Drugi pokój ciemnawy, a kuchnia nie większa od łazienki.

— Zwariowała! — małżeństwo krzyknęło chórem. — To wpływ gruzów!

Narzucili płaszcze i zbiegli po schodach goniąc Znamięcką. Nie odstępowali na krok i nie uwierzyli, aż weszli za nią do odbudowanego domu.

— Rzeczywiście — rzekła przyjaciółka — to bardzo dziwna historia. Może dom na rozbiórkę? Może przywiozłaś worek dolarów? Nie?... Nic nie rozumiem... Aha, już wiem. Do widzenia, Isiu. No, no...

Znamięcka zamknęła drzwi i wyciągnęła puderniczkę. Popatrzywszy w lusterko poprawiła włosy i chwilę przyglądała się wymizerowanej twarzy.

— Bywało gorzej... — osądziła spokojnie. Potem zastukała do sąsiadów.

Byli to przyjaciele męża. Wrócili wcześniej, odbudowali się i dla świętego spokoju podzielili duże mieszkanie na dwa mniejsze lokale. Meblami służyć nie mogli.

— Ah, dostaniesz świetne graty w pierwszej lepszej bramie.

Więc wczesnym rankiem wyruszyła na poszukiwania. Nadpalone meble awansowały już do godności antyków i oszałamiały ceną. Południe zastało Znamięcką w głębi podwórza. Stała wpatrzona w tapczan pocięty odłamkami.

— Miłość nie boi się złamanego łoża, ale cena, cena!... Boże, cóż za zdzierstwo!...

— Przepraszam panią.

Odwróciła się. Znajomych spotykała co krok, ale tym razem nie umiała doczepić nazwiska do postaci. Zmarszczyła brwi — nie pomogło. Nie poznawała.

— Jechaliśmy jednym wozem. Już pani zapomniała o koniu, czarnym jak poniemieckie sumienie?

— Ależ pamiętam! Oczywiście! Pan miał wtedy szablę — uśmiechnęła się mimo woli. Operacz skrzywił się i zaproponował, by wstąpić do baru w sąsiedniej ruinie.

Po krótkiej rozmowie w towarzystwie dziecinnej butelki Operacz oznajmił, że meble są.

— Ja wiem, pani nie kupi umeblowania zjedzonego przez robaki. Pani potrzebny nie antyk wyszabrowany z zakrystii, ale porządny, przedwojenny masyw. Jest osoba z ziemiańskiej sfery z takimi właśnie meblami.

Osoba okazała się powinowatą starej Znamięckiej. Ujęta grzecznością Isi i wymową Operacza, nie wydziwiała długo i dobiła targu przyjmując złoty zegarek pod zastaw. Operacz pobiegł po wóz meblowy i wkrótce zajechał parokonną landarą. Czarne i srebrne ozdoby przypominały dawną karawaniarską świetność pojazdu. Jednym kursem przewieziono przedwojenny masyw na nowe mieszkanie.

Pozostało wysłać depeszę do męża i sprowadzić dzieci. Od poniedziałku miało się zacząć znów warszawskie życie. Na razie była sobota. Idąc na pocztę Znamięcka wstąpiła do kawiarni. Znalazła wolny stolik i sięgnęła po pisma. Od wyjazdu z Krakowa nie zaglądała do gazet.

Przeczytała uważnie notatki o wynikach amnestii, ale o Jacku i Pisanym nie znalazła słowa. Ogarnięta nagłą zadumą patrzyła tępo na fotografię broni złożonej przez leśnych ludzi. Zwolna, nie zdając sobie

sprawy z istotnej przyczyny, straciła dobry humor i zapomniała o wystygłej kawie.

Pisano również o katastrofie mostów. Runęły pod naporem ciężkiej kry pędzonej wysokim przyborem wód. Tuż obok wyśmiewano komitet odśnieżania miasta, bo obradował tak długo, aż przyszły roztopy i błoto zalało ulice.

— Czy pani pozwoli?

— Proszę — odpowiedziała niechętnie i szczelniej osłoniła się gazetą. — Przed wojną — myślała — było to nie do pomyślenia. Ba, nawet teraz w każdym innym mieście. Słynna bezceremonialność warszawska.

— Czy zwróciła pani uwagę, o tu, na tej samej stronie, że już wprowadzili się lokatorzy do pierwszego domu z b u d o w a n e g o po wojnie w Warszawie? To przemawia silniej od wszystkich gablotek poświęconych odbudowie miasta. Mam rację, prawda?

Znamięcka opuściła gazetę i zwęziwszy oczy już miała na końcu języka jakieś cierpkie słowo. Ale nie osadziła natręta. Patrzyła z przerażeniem na siedzącego naprzeciw oficera. Uśmiechał się do niej, mrugał porozumiewawczo. Poczuła, że słabnie, więc szybko sięgnęła po kawę. Oprzytomniała, gdy filiżanka wysunęła się z ręki i z trzaskiem rozprysła na podłodze. Z mgły wyłaniały się zdziwione, obojętne twarze. Wszyscy patrzyli na ich stolik. Zjawiła się kelnerka i kolorowym czepkiem zasłoniła Tańskiego. Znamięcka milczała długą chwilę.

— Wyjdźmy. Proszę cię, chodźmy stąd — powiedziała wreszcie zdławionym, obco brzmiącym głosem. — Proszę, już chodźmy.

— Ależ Isiu!... Zostańmy, przecież... Wstydzisz się wzruszenia? I cóż w tym dziwnego? Patrz, już zapomnieli o nas. Już nikt nie patrzy. Zaraz przyniosą nam kawę.

— Roman, doprawdy nie spodziewałam się podobnej bezczelności. Idę — poruszyła się na krześle, próbowała wstać, ale siły ją opuściły zupełnie.

— Isiu, Isiu, znów uciekasz... A ja myślałem, że tym razem naprawimy wszystko. No, niech i tak będzie. Dokąd chcesz iść? Nigdzie nie dostaniemy stolika. O, jest dla nas kawa. Bardzo pani dziękuję. Nie będziemy rozlewać i tłuc.

— Mam nadzieję — burknęła odchodząc kelnerka.

— Jak ty śmiesz!... — wybuchnęła Isia i zasłoniła dłonią łzy. — Czekałam tyle lat i — masz...

— Ależ, Isiu, nie stało się nic wielkiego. Rozbiłaś filiżankę i tyle w tym zmartwienia, ile dobrej wróżby. Tłuczone szkło przynosi szczęście — starał się żartować, nie rozumiejąc tonu kobiety.

— Więc to dla ciebie nic wielkiego? — podniosła głos. W głowie czuła mętlik. Uczucie, strach, wspomnienia dawnych, bardzo odległych dni, wszystko zmieszane razem.

— Znów zaczynamy zwracać uwagę. Gotowi pomyśleć, że cię uwiodłem. Isiu, przestańmy dowcipkować. Co ci jest?

— Pytasz? Chcesz wiedzieć, co mi jest? Ty?! O, Boże... — ścisnęła skronie. — A zresztą, wszystko jedno. Co robisz tutaj? W kawiarni, w oficerskim mundurze, z bronią? Chcesz sprowokować strzelaninę? Błazeńska brawura...

— Mogę rozebrać się. Jeżeli ułatwi nam to rozmowę, proszę cię bardzo.

— Oszalałeś? Zapnij mundur.

— Dobrze. Powiedz spokojnie, co to wszystko znaczy.

— Nie rozumiesz... No, tak. Słuchaj, ja nie chcę już. Ja już mam dość: wojny, powstania i — Utrechta. Uciekłam do Krakowa, ale i tam nie znalazłam spokoju. Przyleciałam tu. Szukam spokoju, rozumiesz teraz? Mam dzieci, własny kąt, i pracę w szpitalu od pojutrza. Czy ty potrafisz zrozumieć? Chcę żyć spokojnie. To wszystko. Kiedy... wracasz?

— Nie jesteś zbyt uprzejma, a umiesz być miła. Pamiętam... Tak, Isiu, jeszcze tydzień, dwa, najdłużej trzy. Nie pokażę się prędko. Obawiasz się kompromitacji? Powiedz, wciąż nie rozumiem!

— Tydzień, dwa!... Jakiś ty śmieszny! Ha, ha! Przecież cię zamkną! Uciekaj choćby zaraz, bo za pięć minut może być za późno. Kto wie, czy ja... Nie, ja na pewno nie, ale ktokolwiek pozna cię i wtedy...

— Albo ty, albo ja, a najpewniej oboje zwariowaliśmy naraz. Powtarzam: nie pokażę się prędko. Czy warto tracić czas? Tyle mamy do powiedzenia!... Isiu!...

— Podziwiam ciebie. Naprawdę. Ja nie mam sił, by stąd uciec, a ty mi każesz opowiadać.

Umilkli, bo przy ich stoliku zatrzymał się młody człowiek. Rozglądał się po przepełnionej sali szukając wolnego krzesła. Speszony gwarem i tłokiem, drapał się w podbródek angielską książką w zielonej oprawie.

— Podręcznik haftu — szepnęła Isia. — Znam angielski. To na pewno Anglik.

— Albo tubylec upozowany na anglosasa według warszawskiego żurnalu. Wetknął zielone ołówki w kieszonkę i już cudzoziemiec. Tyle tu wiedzą o Anglikach i Amerykanach, co dziecko o wielbłądzie, gdy patrzy na kozę.

— Ty znasz ich lepiej? Ciekawe.

— Wystarczająco dobrze. Przez parę lat stykałem się z nimi nos w nos.

— Więc tam są też Anglicy!... Popatrz, a w prasie cicho!...

— Są. Najwięcej Amerykanów, no i oczywiście Niemców.

— To już mniej miłe. Ale Amerykanie wszystkim kręcą, prawda?

— Na razie.

— Słuchaj, ty mi to musisz wszystko wytłumaczyć. Zaczynam rozumieć sytuację. Warszawa trzęsie się od plotek. Aha, więc dlatego jesteś tak bardzo pewny siebie. A ja myślałam, że to brawura, odwaga... Wtedy, tam na podgórzu...

— Przyjechałem do Polski na urlop. — Tański pobladł. Nagle zrozumiał wszystko. Znamięcka drgnęła. Znów zasłoniła oczy i wreszcie powiedziała spokojnie:

— I pomyśl tylko, co ja wygadywałam... Naprawdę przyjechałeś do Polski na urlop? A, Rom, jakie to straszne, jakie dziwne... Chyba tylko w tym kraju tak można błądzić wokół prawdy. Straszne.

— Jacek?

— Nie tylko on. Tak, miałeś rację. Dużo mamy sobie do opowiedzenia. Moje życie nie przemijało spokojnie. Ileż kłopotów musiałam pokonać sama.

— Jesteś sama? Isiu!

— Nie, mam dzieci.

Tański popatrzył na obrączkę na palcu lewej ręki i nie ponowił pytania. Znamięcka wyjaśniła:

— Dzieci w Krakowie u krewnych. Od paru dni mam własny kąt w Warszawie. Od poniedziałku idę do pracy. Ten sam szpital, ten sam oddział, niby nie zmieniło się nic, choć zmian tak wiele i tylu brak ludzi. Czy bardzo się postarzałam? Powiedz szczerze. Ah, nie mów już nic. Chodźmy, chodźmy!

— Owszem powiedzieć trzeba i to bardzo dużo.

— O, więc jednak!...

— Zgadłaś. Idziemy już. Zapraszam cię na obiad.

— To bardzo ładnie z twojej strony. Przyrzekam, nie rozbiję nawet spodka. Ale kto wie, czy tobie łyżka nie wypadnie z ręki. Nie wszystko jeszcze wiesz.

Tański wstał i mimo woli rozejrzał się wokół. Dopiero teraz zobaczył Lipowicza.

Poza kawiarnią świeciło słońce i razem z ciepłem sączyło wiosnę w czułe słowa. Isia i Roman, jak zawsze bywa w takich razach, mówili

o wszystkim i o niczym. Zwykła rozmowa na nowo zakochanych ludzi, ciekawa tylko dla nich dwojga.

Już mieli wejść do restauracji, gdy Isia cofnęła się szybko i pociągnęła Tańskiego za sobą.

— Zaczekajmy. Niech przejdą. Nie chcę rozmawiać, ani się widzieć z nimi. To Szopiscy. Mieszkałam u nich po Powstaniu.

Towarzystwo podrumienione mocno alkoholem potoczyło się w stronę rogu i tam hałaśliwie wołało o taksówkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lipowicz wyszedł wcześniej, przeczuwając, że nie łatwo zdobędzie taksówkę. Człapać po błocie do samego śródmieścia nie miał najmniejszej ochoty.

Na Marszałkowskiej wysiadł i poszedł w stronę Alej przystając często przed witrynami sklepów. Na dłużej, bowiem zapalał właśnie papierosa, zatrzymał się przy wystawie Służby Informacyjnej. Pełno tam było fotografii, pism i książek, żołnierzy w bermycach i królewskiej rodziny w rozmaitych pozach. Lecz tylko dwie książki, oprawione w jaskrawe zielone płótno, wpadły Lipowiczowi w oko. Stały nieco z boku, oparte o skrzydło nowego bombowca.

Lipowicz odsunął dzieci gapiące się na model latającej fortecy i ruszył spacerkiem do eleganckiej kawiarni.

Był stałym gościem lokalu, więc bez długich dąsów dostawiono mu stolik i dwa krzesła. Na jednym usiadł, na drugim położył teczkę i zagraniczne pisma. Zabezpieczywszy się w ten sposób od pytań: „Czy wolne? Można?“ zamówił butelkę pipermentu i dwie duże kawy. Pił zielony likier i czytał powieść „Krystyno, wejdź do wanny“. Podziwiał właśnie pomysłowość autora, gdy w drugim końcu sali wynikło zamieszanie.

Kelnerka zmiatała rozbitą filiżankę i wycierała rozlaną kawę. Naprzeciw bladej kobiety siedział oficer. Lipowicz podniósł się. Poznał Tańskiego.

— A, proszę. Mówiłem mu, że o spotkanie nie trudno. Codzienna historia. On wojował i nie pisał, ona czekała, czekała, aż pomyślała: zabity i machnęła się za innego. Tak... — mruknął. Odłożył książkę i zapalił papierosa. — Tak... Ciekawe, co z Ciżmą.

Złe wieści nadchodziły o niej z zagranicy. Podobno ze starym Byczotupskim. Ale, przystojną kobietę zawsze rozniosą na językach. Wspomnienia napłynęły szeroką falą... Lipowicz patrzył na szary dym unoszą-

cy się nad stołami i przypominał sobie zmienny koloryt Adriatyku. Dużo wody przetoczyło się od wyjazdu z cichego Clementino, Lipowicza nie od razu puszczono z Włoch. Najpierw kurs w zamku hrabiego Feretti pod Ankoną, potem szkolenie wyższego stopnia pod kierownictwem majora Janusza. Przechodził z rąk do rąk, podawany jak wiadro podczas pożaru chałupy — aż do Berlina. Eh, czy warto wyliczać cały łańcuszek? Grunt, że przyjechał p r a w i e legalnie i zaczął życie na dobrych papierach.

Odszukał willę starego Szulawki. Była odbudowana i mieszkali już w niej Ceresikowie. Dotarł do znajomych kupca, zamieszkał w willi. W domu Ceresików Lipowicz rozwinął się handlowo. Wkrótce związał się z kupcem spółką, a z córeczką flirtem pogłębionym z czasem. Lipowicz, człowiek w handlu nowy, wniósł do firmy ostrość spojrzenia, której już brakło staremu branżyście. Trafiała się raz cyna. Lipowicz odradził i Ceresik cofnął ręce, choć towar kusił, a zysk nęcił. Po wyroku Ceresik przez tydzień nosił kołnierzyki o dwa numery większe. Spólnika ucałował, Niusi szepnął, przypominając dobrotliwie: Zajrzyjno do Bogusia, może się nudzi akurat.

Interesy firmy pędziły Lipowicza po całym kraju. Tu złom srebrny, tam wyroby, gdzie indziej niedrogie maszyny. Z wiosek, z miasteczek, a najwięcej z zachodu, ciągnęli wszystko do środka, pod siebie. Podróże były Lipowiczowi bardzo po myśli. Przed paroma dniami spotkali się z Ceresikiem w Krakowie i wracali razem. Przypadek zdarzył, że odkrył wreszcie, kto dobrał się do klejnotów Szulawki ukrytych w piwnicy willi. Na pierścionku, który wysunął się Ceresikowi z kieszeni, były litery „W. S.". Wilhelm Szulawka! Stało się zrozumiałe, dlaczego wielogodzinne przeszukiwania piwnicy nie dały rezultatów. Klejnoty były w willi, ale Ceresik ubiegł Lipowicza. To była jedna sprawa, dla której przyjechał do Polski. Druga... to właśnie podróże pod płaszczykiem handlowych zabiegów. Wracając z drogi szedł na jedną z uliczek w willowej dzielnicy. Tam, przed domem na wprost furtki wiodącej do miniaturowego ogródka, czekał popielaty samochód o pięknych opływowych kształtach. Przez opuszczoną szybę Lipowicz wrzucał pudełko zapałek do środka wozu. A w najbliższą sobotę czekał w kawiarni na nowe zlecenia...

Jeszcze pięć minut... Lipowicz oprzytomniał i spojrzał w kierunku drzwi.

Cudzoziemiec z zieloną książką przeciskał się między stolikami, utkwiwszy wzrok w butelce pipermentu. Gdy był już blisko, Lipowicz wstał i uprzejmym gestem wskazał krzesło.

— O, przepraszam. Zaraz zabiorę teczkę i moje pisma.

— W porządku — rzekł pan z książką i raz jeszcze rzucił okiem sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak być powinno. Uspokojony, pozwolił nalać sobie likieru i odezwał się półgłosem.

— Zawartość pudełeczka bardzo ucieszyła szefa. Polecił mi wyrazić panu specjalnie serdeczne podziękowanie.

Lipowicz skinął głową. Blondynek wyciągnął papierosy. Położył pudełko na stoliku i wyjaśnił z uśmiechem.

— Oto zwrot kosztów. Proszę schować nieco później. Tak będzie lepiej. Nie należy zwracać uwagi. Szef uważa, że osoba Utrechta została wytypowana bardzo trafnie. Nikt wybitny, ani powszechnie znany. Tak, to było dobre. Doskonałe!

— Dziękuję.

— Bardzo proszę. Mamy nadzieję, że wypadek Utrechta ostudzi zapał wielu zwolenników reżymu. Śmiercią jednostki uchronimy słabych duchem od wiecznego potępienia. Oczekujemy wypowiedzi papieża w tej sprawie.

— Utrechta?

— Nie. Myślę o klątwie wiszącej nad komunistami. Waszyngton uchwalił, więc i Rzym podpisze.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że rozwalenie Utrechta zaostrzy stosunki w terenie. Utrudni wychodzenie z lasu i składanie broni.

— Niech pan to nazwie jakoś inaczej. Śmierć sama w sobie jest już dostatecznie smutna, więc po cóż czernić czarne? O, wypadek! To brzmi dużo lepiej. Prawda? Pański wniosek jest poprawnie logiczny. Zapewniam, że pamiętano i o tym przy obliczaniu kosztów.

— Ja nie dla pieniędzy.

— Bez wątpienia, lecz proszę wierzyć, że nawet najpiękniejsze idee przypominają w praktyce operacje giełdowe. Nasze akcje idą w górę, więc przynoszą wyznawcom pieniądze.

— Pewnie, że to słuszne. Cóż mi po idei, skoro pochłonie majątek i zostanę w podartych portkach?

— Pan może być spokojny. Wystarczy na piękne ubranko... — blondynek stuknął palcem w pudełko z papierosami. — Nawet nie na jedno!...

Wypili po kieliszku likieru i zapalili. Blondynek spytał.

— Interesuje nas jeszcze, jak pułkownik Pisany przyjął wiadomość o nowym zwierzchniku? Czy podkreślił pan, że to będzie cudzoziemiec? Oczywiście, władający znakomicie językiem, lecz jednak nie-Polak?

— Dałem do zrozumienia, że przyjedzie wysoki oficer aliancki. Ot, taki doradca taktyczny i obserwator.

— Bardzo dobrze. A zatem, miły panie, do następnej soboty. Godzina pozostaje bez zmiany. Kolor zobaczy pan w oknie. W razie jakiejś niespodzianki, proszę dać znać zwykłą drogą. Parę słów i pudełeczko wrzucić do samochodu.

— Więc znów przyjdzie ktoś inny? — Lipowicz skrzywił się. — Czy to rozsądne?

— Najbezpieczniej jest słuchać i nie wątpić. Niestety, opuszczam w tych dniach Polskę. A zatem, do widzenia, kochany panie. Raczej do zobaczenia się, bo i pan wybiera się podobno z powrotem?

— A tak... — przyznał zaskoczony Lipowicz i schował pudełko pozostawione przez blondyna. Dopijając samotnie resztę likieru, zastanawiał się: kto i c h poinformował o moich osobistych planach?

Lipowicz poczuł niepokój. Nie wiedział, kto ustawia książki w oknie, i nie mógł przewidzieć, z kim spotka się w następną sobotę. Wrzucał meldunki do popielatego samochodu, lecz nie umiałby wskazać człowieka, który je czyta.

— Wiem mało, ale to lepiej, niż wiedzieć za dużo. Zresztą, Pisany, to moje dzieło! Ile sprytu, ile ryzyka włożyłem w ten interes! Ale popchnąłem Jacka na drogę kariery. Proszę, już pułkownikiem, a co będzie później! — Lipowicz roześmiał się i odzyskawszy dobry humor, uregulował rachunek. Poszedł do domu.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Stanisław Zieliński

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

RZEKA CZERWONA

Mohamed Arab Arezki stał po cienistej stronie zaułka oparty plecami o mur. Na prawo i lewo od niego Europejczycy, Afrykańczycy i Azjaci wyczekiwali bezczynnie w cieniu. Po przeciwległej stronie, pod ścianą zalaną słońcem, wylegiwał się stary Murzyn, nieruchomy jak jaszczurka w skwarze południa. U wylotu zaułka migotał rybacki port. Dalej niebieska zatoka rozpościerała się szeroko jak niebo. Nad murem rzucającym gruby cień stało wysokie słońce. W gorącym powietrzu brzęczały muchy i miasto huczało za murem jak ul. Zaułek był duszny i brudny. Słony powiew zatoki dochodził tu już tylko jako odór ryb rozkładających się w porcie.

Mohamed Arab Arezki przerzucił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Patrzył z niechęcią na starego Murzyna, dygocącego w pełnym słońcu.

— Febra?

Murzyn pokręcił głową nie otwierając oczu.

— Malaria.

Szczękał zębami, kiedy mówił. Kulił się, jakby chciał zgarnąć dla siebie całe ciepło słońca. Jego bose stopy sięgały cienia. Mohamed mógłby na nie splunąć, tak były blisko.

— To czego tu szukasz — zapytał — tu jest targ na zdrowych. Obserwuję cię od rana. Powiem ci prawdę, rzygać mi się chce, jak patrzę na ciebie.

Murzyn otworzył oczy. Patrzył na Marokańczyka, jakby go dopiero zauważył. Najpierw zobaczył powykręcane wojskowe buty — wyżej wytarte mundurowe spodnie, jeszcze wyżej cywilną marynarkę bez guzików, a całkiem wysoko, na krawędzi muru, ledwo nakrytą cieniem śniadą twarz pod wytłuszczonym rondem kapelusza.

Murzyn zamknął z powrotem oczy.

— Nowy? — spytał pogardliwie.

— Co mówisz?

— Od dawna tu przychodzisz?

— Nie twój parszywy interes.

Murzyn poruszył się. Rękoma objął kolana i podciągnął stopy. Dźwignął się wpół. Zęby latały mu za sinymi wargami.

— Gdzieżeś siedział — spytał — tu, w Marsylii?

Mohamed Arab Arezki odwrócił głowę. Nikogo nie było widać u wylotu zaułka. Ludzie biali, żółci i brązowi stali ciągle w cieniu wzdłuż muru.

— Skąd wiesz, że siedziałem?

Murzyn powrócił zwolna po poprzedniej pozycji. Nogi wyciągnął, głowę i barki oparł o mur. Spod przymkniętych powiek patrzył na Marokańczyka.

— Ja tu przychodzę od dawna. Wielu takich jak ty widziałem.

— Ale już niewielu zobaczysz, sądząc po twojej gębie. Nachodziłeś się.

— Nachodziłem. Ty za to będziesz tu przychodził jeszcze długo. Nie masz się z czego cieszyć.

Mohamed znów odwrócił głowę. Murzyn leżał z zamkniętymi oczyma, jakby spał. Dreszcze biegały po nim jak szczury. Mohamed patrzył w nieruchomą uliczkę, białoczarną od słońca i cienia.

— Przychodzi tu kto czasem?

— A jakże, przychodzi. Jak potrzebuje tanio ludzi do śmierdzącej pracy, której nikt inny nie chce wziąć. Ci tutaj pójdą do każdej roboty i za byle co. Nawet do łamania strajków. Nie są zorganizowani.

— To dlaczego się nie zorganizują?

— Dlaczego ty się nie zorganizujesz?

Mohamed obrzucił spojrzeniem ludzi z lewej i prawej. Stali lub siedzieli w postawach wyrażających klęskę. Murzyni, Algierczycy, Chińczycy, biali, rozpoznawalni po kilkudniowym zaroście, wszyscy szarzy jak obierzyny w ścieku. Czekali z cierpliwością ludzi, którzy od dawna nic innego nie robili.

— Masz co zapalić?

Mohamed pogrzebał w kieszeni spodni. Z ociąganiem wyjął papierosa i przez chwilę przyglądał mu się z wahaniem. Wreszcie z uwagą przełamał go na dwie części, zważył je w rękach i tę, która wydała mu się lżejsza rzucił Murzynowi. Stary podniósł ją, obwąchał i włożył między wargi. Rozejrzał się, czy nie ma od kogo przypalić. — Nie było.

— Niewesołe to wszystko, co? Nie łatwo ci będzie po wyjściu z mamra. Za co siedziałeś?

Mohamed nie odpowiadał. Z zażenowaniem oglądał własne buciki.

— Nie bój się. Nie jestem z brygady afrykańskiej. Tu możesz mówić wszystko.

— Handel artykułami reglamentowanymi. Wyszedłem z wojska, wiesz. Żadnej pracy. Całe tygodnie bez pracy. Wpadłem z kondensowanym mlekiem.

— To co umiesz robić? Bo jak z tego wynika, handlować kondensowanym mlekiem nie. Więc co?

Mohamed znów zawahał się. Popatrzył na swoje ręce, duże i silne.

— Więc co? — nalegał Murzyn. — Każdy przecież coś umie. A ciebie czego nauczyli?

Przypatrywał mu się chwilę w milczeniu.

— Wojować? — podsunął wreszcie.

Marokańczyk spojrzał bezradnie. Murzyn machnął ręką.

— Znaczy się niekwalifikowany. I co ty chcesz z tym robić?

Mohamed wzruszył ramionami. Ciągle patrzył na swoje ręce. Murzyn widział je także. Zwisały wielkie i niepotrzebne na pierwszym planie, kiedy tak patrzył z dołu ku górze.

— Wiesz, powiem ci. Teraz mnie się chce rzygać, jak patrzę na ciebie.

Mohamed nie podnosił wzroku.

— Stul pysk — powiedział — nie zapominaj, że ty też tu przyszedłeś.

Murzyn zabulgotał jak indyk. Mohamed nie wiedział, kaszlał czy śmiał się.

— Ja już zapomniałem wojować. To było dawno.

Powoli, z uwagą odwinął nogawkę spodni i podniósł ją do pół uda. Pokazał palcem bliznę w kształcie gwiazdy, bladą jak róża na tle czarnej skóry.

— Lipiec 1917 przed Notre Dame de Lorette.

Teraz nie trzęsło nim już tak. Mówił nie szczękając zębami.

— Z tego żyjesz? — zapytał Marokańczyk. — Z pokazywania kulasów?

Murzyn szybko spuścił nogawkę. Ton, jakim odpowiedział, był urażony.

— Cóż ty myślisz, że ja jestem niekwalifikowany, jak ty? Ja mam fach.

Przerwał, jakby czekając na jakiś objaw zainteresowania. Marokańczyk splunął przed ciebie, nie celując.

— Mam fach — powtórzył czarny — nakłuwanie pereł.

— Co to jest?

— Nakłuwacz pereł? Co ty myślisz, że perły wyciąga się z morza już gotowe do nawlekania? To jest rzadki fach.

Usiadł podciągając chude nogi. Obie dłonie zbliżył do twarzy. Złożył palce, jakby w nich trzymał coś drobnego i cennego.

— To jest delikatna robota, perły nie wolno zgnieść ani uszkodzić. Otwory w nich muszą być okrągłe i równe. Ich oś musi przechodzić dokładnie przez środek perły. Rozumiesz?

— To czego z takim fachem tu szukasz?

— Teraz w perłach jest kryzys. Mało prawdziwych pereł. Teraz robią sztuczne perły, a to świństwo nie wymaga nakłuwania. Co chcesz? A jak mam atak, to i tak nie mógłbym pracować. Ręce mi się trzęsą. To musi być czysta robota, rozumiesz, ot taka! Do tego trzeba mieć złote ręce.

Przypatrywał się swym rękom jak bezcennym instrumentom. Wykonywał drobne ruchy długimi i cienkimi palcami.

— Jak nie ma pereł, albo jak mam atak, to przychodzę tu, na Anse des Auffes. Tu nie jest znów tak źle. Od czasu do czasu ktoś tu jednak ciebie potrzebuje. I jest słońce. Jak przyjdzie atak, to mi jest zimno. Tu po mojej stronie jest przez cały dzień słońce. Nawet w zimie. To już nie jest źle.

Rozejrzał się, nie wypuszczając z ust ułamka. Pod murem grupa Algierczyków raczyła się jedynym papierosem, siedząc w kuczki.

— Hej, wy tam! Możecie dać ognia?

Dziobaty Algierczyk wstał i podał mu ogarek. Potem wrócił bez słowa do swoich. Murzyn zaciągnął się łapczywie.

— Tu się ciebie nikt o nic nie pyta. Możesz tu stać czy leżeć godzinami, nikt się do ciebie nie wtrąca. Wolność jak się patrzy. Nawet policja zostawia cię w spokoju. Każdy wie, że ten kto tu przychodzi, nie może pójść nigdzie indziej. To jest najgorszy rynsztok w całej Marsylii. Kto tu przychodzi, nie może już nawet kraść.

Przypatrywał się z lubością swym palcom. Wykonywał nimi takie ruchy, jakby skubał niewidzialne pierze.

— Człowieku, jak przyjdzie atak, to palce mam jak nie swoje. Myślisz, że leżałbym tu inaczej? Skąd ten rynsztok wiedzie — wiesz sam. Z mamra. A wiesz dokąd? Nie wiesz. Do morgi.

Dreszcze zaczęły trząść nim znowu. Niedopałek zgasł i czerniał w kąciku ust, przyklejony śliną.

— Ty też tam zajedziesz, jak oni wszyscy — łypnął oczyma wzdłuż muru. — Ech, bracie, gdyby nie ta przeklęta malaria...

Wywrócił w słup oczy o żółtawych białkach. Stracił ochotę do rozmowy. Skulił się i poszarzał. Trząsł się, mimo że słońce świeciło mu z całej siły prosto w twarz.

W południe rozwyła się w porcie na głos syrena. Odpowiedział jej wystrzał z moździerza na skałach fortu św. Jana. Nieruchomy słup żaru nad miastem zbielał. Ludzie w zaułku wstawali przeciągając się, odrywali się od muru i odchodzili grupami lub w pojedynkę. Słońce zmiatało resztki cienia pod mur.

— Zjadłybyś kuskus? — spytał Murzyn wpatrując się natarczywie w Mohameda — taki tłusty z baraniną. Znam niedaleko miejsce, gdzie masz za czterdzieści franków kuskus jak się patrzy. Knajpa nazywa się „Pod Złotym Runem". Co byś na to powiedział?

Mohamed przełknął ślinę.

Murzyn zrobił wysiłek, aby usiąść. Robił to tak, jakby walczył z ciężarem każdej części ciała z osobna. Wyglądał jak olbrzymi karaluch grzebiący się w pyle.

— No co; idziesz?

— Idź sam — powiedział Marokańczyk — ja nie jestem głodny.

Murzyn gwizdnął przeciągle. Mlaskał głośno i wykrzywiał twarz, nadając jej wyraz zdumienia i politowania.

— Nie masz ani haka?

Mohamed nie odpowiadał. Patrzył na rąbek rybackiego portu, drżący w rozpalonym powietrzu. Murzyn cmoknął raz i drugi, tocząc oczyma.

— Nikt na ciebie nie czeka z żarciem?

Mohamedowi twarz się skurczyła.

— Idź do diabła — ryknął — cóżeś się mnie uczepił, jak gówno podeszwy? Nie chce mi się jeść, rozumiesz? Mam w dupie twój zasrany kuskus!

Murzynowi gęba poszarzała. Szybkimi ruchami rąk dawał uspokajające znaki. Marokańczyk pochylił się nad nim ze złą twarzą.

— Potrzeba mi twego kuskusu, ty dziadu! Troszczy się, zdechlak, czy mam forsę! Możesz się nie troszczyć...

Począł opróżniać kieszenie. Murzyn patrzył podniecony. Kucnąwszy Mohamed układał na bruku ich zawartość. Wyciągnął książeczkę wojskową, parę papierków z czerwonymi pieczątkami, wojskowe medale na wstążeczkach. Wreszcie wydobył garść metalu i podsunął go na otwartej dłoni pod nos Murzyna.

— Patrz tu, szara małpo! Widzisz?

Murzyn ledwie rzucił okiem. Na dłoni Marokańczyka leżał srebrny medalion z zielonym kamieniem pośrodku.

— To są te twoje pieniądze? — zapytał z pogardą.

Mohamed ochłonął nagle. Począł szybko zbierać wszystko z powrotem. O chwilę dłużej przetrzymał w dłoni medalion.

— To jest z Marakesz — powiedział takim tonem, jakby się chciał usprawiedliwić. — Kute srebro, ręcznie rzeźbione. Bardzo stara robota. Takie medaliony wyrabia się u nas w Moghrebie.

Zawahał się, wreszcie powiedział z ociąganiem:

— Gdybym sprzedał, miałbym parę tysięcy franków. Trzy albo cztery tysiące.

Murzyn ożywił się nagle. Spojrzał raz jeszcze na medalion i wyciągnął rękę.

— Pokaż no!

Mohamed włożył medalion do kieszeni. Murzyn wpatrywał się w niego podniecony.

— To dlaczego nie sprzedajesz?

Mohamed pokręcił głową.

— To jest z Marakesz — powiedział wolno — z Moghrebu.

— No to co? Nie można opylić dlatego, że z Marakesz?

Mohamed puścił pytanie mimo uszu. Kucał ciągle jeszcze nad rozpalonym brukiem.

Murzyn nie dawał za wygraną.

— I to są te twoje pieniądze? — mlasnął kilkakrotnie w sposób mający wyrazić politowanie. — Tym się dziś nie najesz na obiad. Nie masz co się puszyć. Żebyś widział te perły, które przekłuwałem na Madagaskarze!

Mohamed dźwignął się wolno z kucek. Począł otrzepywać buty z kurzu, badając z zainteresowaniem stan rzadkich gwoździ w podeszwach. Murzyn kręcił głową z wyrazem wielkiego ubolewania.

— Wszyscy jesteście jednacy — mruczał. — Człek radby się z takim ostatnim kęsem podzielić, a on obszczekuje cię jak pies.

Zwrócił się wprost do Marokańczyka.

— Dlatego, że jestem czarny? Do białego byś nie pyskował.

Mohamed nie odpowiadał. Usiłował wydłubać z podeszwy obluźniony gwóźdź. Murzyn machnął ręką.

— No dobrze już. Gwiżdżę na to. Pomóż mi tylko wstać, jestem bardzo słaby.

Mohamed pochylił się nad nim. Murzyn czepiał go się obiema rękami, jak ślepiec. Uśmiechnął się, pokazując zęby.

— A może wolisz pilaw? Na mulach, z czerwonym pieprzem? Podeprzyj mnie tylko dobrze, mógłbym upaść. Jeden drugiemu musi pomagać. Ale już ze mną lepiej. Mógłbym nawet coś niecoś wypić. — Trącił Marokańczyka zachęcająco w bok. — Nie wyglądasz na zbyt surowego mahometanina.

Ruszył powłócząc bosymi stopami. Był wyższy od Mohameda. Opierał się o niego całym chudym ciałem.

Przystanął po kilku krokach.

— Ech bracie, inaczej świat by wyglądał, gdyby jeden drugiemu pomagał. Nie byłoby Anse des Auffes...

Ruchem ręki przekreślił zaułek, w którym kipiało południowe słońce.

W dzielnicowym komisariacie policji nie zapalano mimo zmierzchu światła. Dzień kończył się spokojnie. Upał trwał, mimo że było już dobrze po zachodzie słońca. Półmrok łudził wrażeniem chłodu, więc przeciągano go, ile się da. Policjanci z dziennej zmiany byli jeszcze na rejonie. Obaj dyżurni stali w drzwiach porozpinani, paląc ostre papierosy. Komisarz wrócił o schyłku dnia z prefektury spocony od upału i teraz podrzemywał po ciemku rozwalony w fotelu. Z ulicy prószyło przez okna zmierzchem szarym jak popiół.

Było już prawie ciemno, kiedy komisarz ocknął się na pukanie do drzwi. Odruchowo zapiął mundur, włączając równocześnie światło. Był od razu zawodowo trzeźwy, bez śladu senności. Dyżurny sierżant zameldował się krótko i powiedział, o co chodzi. Komisarz bębnił dobrą chwilę palcami po stole i patrzył w okno, za którym ubywało dnia.

— Powiadomcie św. Mikołaja — powiedział — a tego tam dawajcie tu.

Nieuważnie przerzucił protokół. Kiedy inspektor Blanchard wprowadził aresztowanego, nie podniósł nawet wzroku. Zadał parę suchych pytań.

— Nazwisko?

— Mohamed Arab Arezki.

— Wiek?

— Dwadzieścia osiem lat.

— Stan cywilny?

— Wolny.

— Zawód?

Tamten zawahał się. Komisarz widział go, nie patrząc. W jego akcencie i wymowie była cała północna Afryka. Jakby sylaby grzęzły na przemian to w sypkim, to w mokrym piasku.

— No więc?

— Bezrobotny.

— Był karany?

— Tak.

— Jaki wyrok?

— Trzy lata.

— Za co?

— Czarny handel artykułami reglamentowanymi.

Komisarz podniósł oczy znad protokółu. Odrobina zawodowego zainteresowania błysła mu w zgaszonych oczach.

— Ładny wyrok. Co to było? Mleko?

Mohamed skinął głową. Patrzył z niepokojem, jak komisarz przerzuca leniwie papierki. Przestępował z nogi na nogę, przełykając raz po raz ślinę. Blanchard usunął się w kąt i stał pociągając w zadumie wąsa.

Komisarz skończył z papierkami. Bębnił palcami po stole i patrzył w okno. Wieczór zrobił się fioletowy. Z ulicy zalatywało wrzawą spóźnionej dziecięcej zabawy. Komisarz ziewnął.

— Byłeś pod Bir-Hakeim? — zapytał.

Mohamed skinął głową tak samo, jak kiedy tamten pytał o mleko.

Komisarz sięgnął po papierosa, stuknął nim o stół. Przypatrywał się przez chwilę Marokańczykowi stojącemu w postawie na baczność z rękami wzdłuż szwów.

— Byłeś pod Bir-Hakeim? — powtórzył wolno. Zapalił, pokiwał głową i ciągnął dalej.

— Potem trafiłeś do mamra, no i w parę dni po odsiedzeniu wyroku znowu tu jesteś. Jak na bohatera z Bir-Hakeim to szybko jedziesz.

Rzucił mu spode łba krótkie spojrzenie. Marokańczyk ani drgnął.

Komisarz ciągnął dalej obojętnie, głosem pozbawionym barwy.

— Tym razem nie wymigasz się trzema latami. Za pierwszym razem mogło się wydawać, że się tylko pośliznąłeś, że wrócisz na dobrą drogę. Tym razem wracasz przed sąd jako recydywista. Pięknie, nie ma co.

Palił papierosa patrząc w okno, za którym zapalały się jedna po drugiej gazowe latarnie. Zmierzch stał się od razu zielony.

Mohamed przestąpił z nogi na nogę, jakby chciał coś powiedzieć. Komisarz zwrócił się ku niemu wyczekująco. Musiał pochodzić z Korsyki, miał ciężką, czarną głowę i grube powieki. Popatrzył na Mohameda ostro, jakby stracił cierpliwość. W oczach błysnęło mu złe światło.

— Gdzieś się zwąchał z tym czarnym złodziejem — ryknął z wystudiowaną brutalnością, prostując się raptownie w krześle.

Mohamed drgnął. Oczy mu się rozbiegły jak spłoszone. Wrzask komisarza ustawiał wszystko na swoje miejsce. Mohamed znał to ze śledztwa: *passage au tabac.*

Komisarz nie czekając na odpowiedź dał inspektorowi ledwie dostrzegalny znak. Blanchard ruszył się bardzo wolno, podszedł z boku i nagłym kopnięciem podbił Marokańczykowi nogi. Mohamed upadł z roz-

machem w tył. Wyrżnął głową o ścianę i zsunął się po niej stuknąwszy łokciami o podłogę.

— Odpowiadaj! — ryknął komisarz.

Mohamed z podłogi dał znak, że będzie mówił. Blanchard przysunął sobie krzesło i siadł na nim okrakiem, krzyżując ramiona na oparciu. Gestem głowy kazał Mohamedowi wstać. W szarym cywilnym ubraniu, ze zwisającymi wąsami i łysiejącym ciemieniem, wyglądał niemal dobrodusznie.

Mohamed dźwignął się z podłogi.

— Nie znam wcale Murzyna — powiedział. — Spotkałem go na Anse des Auffes, gdzie czekałem na jakąś pracę. Powiedział, że mi postawi kuskus. Nie chciałem przyjąć.

Komisarz parsknął ironicznie.

— Słyszysz, Blanchard? Nie znał tego starego złodzieja, dlatego nakryliśmy ich obejmujących się czule. Nie chciał przyjąć zaproszenia na kuskus, dlatego je przyjął. Słyszałeś już kiedy podobne brednie?

Blanchard za całą odpowiedź posmutniał i kopnięciem z krzesła podbił Marokańczykowi nogi. Mohamed nie spodziewał się ciosu. Runął na wznak jak długi. Tym razem pozbierał się nie czekając na znak.

Komisarz zapalił świeżego papierosa.

— Radzę ci zmądrzeć, Larbi. Zaoszczędzisz wiele sobie i nam — powiedział cicho i niemal przyjaźnie.

Mohamed przestąpił z nogi na nogę.

— Panie komisarzu — powiedział — nic na to nie poradzę. Murzyna nie znam, nie wiem nawet, jak się nazywa. Powiedział mi, że jest nakłuwaczem pereł. Pomogłem mu wstać, bo miał atak malarii i był słaby jak małe dziecko. Aż do rewizji nie wiedziałem, że kradnie. Dopiero wtedy zobaczyłem, że ukradł mi srebrny medalion.

Komisarz wymienił z Blanchardem szybkie spojrzenie. Obaj robili wrażenie, jakby byli zaskoczeni i ubawieni zarazem.

Komisarz wstał zza biurka i przeszedł parę razy po pokoju. Popatrzył znowu w okno. Noc już się zrobiła zupełna.

— Słuchaj, Sidi — powiedział — chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że wpadłeś paskudnie.

Podszedł do biurka i podjął spośród akt sprawy malutką paczuszkę. Podrzucił ją na dłoni.

— Znaleziono to przy tobie.

Mohamed zaprzeczył ruchem głowy. Blanchard drgnął na krześle, ale komisarz powstrzymał go, machnąwszy ręką. Położył paczuszkę na protokóle.

— Wiesz, co za to grozi w twoim przypadku? Trzema latami tym razem się nie wykpisz. Kokaina to nie reglamentowane mleko.

Mohamed chciał coś powiedzieć, ale komisarz uprzedził go.

— Daj pokój. Znamy te kawały. Oczywiście, to policja podrzuca w czasie rewizji dowody rzeczowe. Powiedz, Sidi, kto ci w te bujdy uwierzy? Policja zeznaje przed sądem w oparciu o przysięgę służbową. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby sąd dawał wiarę każdemu handlarzowi narkotyków, który twierdzi, że policja mu je podrzuciła.

Przestał chodzić po pokoju i stanął naprzeciw Mohameda.

— Kiedy cię aresztowano, miałeś paczkę przy sobie. Sam ją wyjąłeś przy rewizji z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Popatrzył Marokańczykowi krzywo w oczy. Stwierdził z zadowoleniem, że przybrały już wyraz ślepi zaszczutego zwierzęcia.

Mohamed podniósł dłoń, prosząc o słowo.

— Panie komisarzu, ja nie powiedziałem, że policja podrzuciła mi tę paczkę. Ja myślę... w tej samej kieszeni miałem medalion. Ja myślę, że ten przeklęty murzyn...

Komisarz położył mu dłoń na ramieniu.

— Z kim się zadajesz, Sidi? Ty sam odpowiadasz za dobór przyjaciół. Nie radzę ci zawracać tymi historiami głowy sędziemu. Jak się będziesz upierał przy swoim, gotów jeszcze dołożyć ci ze złości ze dwa lata.

Odwrócił się i podszedł do biurka. Wziął do ręki książeczkę wojskową Mohameda.

— Szkoda. Żołnierz spod Bir-Hakeim. Medal Wojskowy i Krzyż Wojenny za męstwo w obliczu nieprzyjaciela. Kampania afrykańska, kampania włoska, kampania wyzwolenia. Trzy cytacje. Kiedyś byłeś porządnym człowiekiem i dzielnym żołnierzem.

Mohamed nie miał już nic do powiedzenia. Milczał ponuro z oczyma wbitymi w ziemię.

Na ulicy zatrzymał się ostro hamujący samochód. Oczy komisarza i Blancharda spotkały się na mgnienie. Komisarz leciutko opuścił powieki. Blanchard wstał z krzesła i wyszedł, szybko zamykając drzwi.

— Czas na ciebie, Sidi — powiedział komisarz. — Żal mi cię.

Westchnął ciężko i znów podszedł do biurka. Dumał dobrą chwilę, nieruchomy. Oczy miał znowu zgasłe.

Ocknął się nagle i podniósł na Mohameda grube powieki.

— Masz jedną, jedyną szansę, Sidi — mówił powoli akcentując każde słowo — daję ci ją jako żołnierzowi spod Bir-Hakeim.

Wytrzymał długą pauzę, po czym rzucił szybko, podając równocześnie papierosa:

— Podpisz kontrakt do Indochin.

Tego dnia Mohamed nic nie jadł, dwa razy wyrżnął łbem o ścianę, odbył drogę od buntu do rozpaczy. Kiedy wprowadzono sierżanta z fortu św. Mikołaja, podpisał kontrakt na dwuletnią służbę wojskową w Vietnamie, myśląc tylko o tym, aby wyjść na powietrze i dostać coś do jedzenia.

Nieco później komisarz uśmiechnął się do Blancharda, zapinając pas.

— Dobranoc, mój stary. Już po wszystkim. Czysta robota. Całe szczęście, że Francja nie mająca od dawna rządu, ma jeszcze policję.

Już miał wyjść, kiedy zadzwonił telefon. Blanchard podniósł słuchawkę i zameldował się. Komisarz zatrzymał się wyczekująco w progu.

— To do was, panie komisarzu — powiedział po chwili Blanchard — z prefektury policji. Wzywają was natychmiast. Jakaś dziewczyna zatrzymała transport z amunicją, kładąc się na szynach.

Kiedy komisarz wyszedł, Blanchard wziął z biurka malutką paczuszkę i schował ją do kieszeni. Potem podarł na drobne kawałki protokół, zamknął biuro, wsiadł na rower i pojechał do bistro „Pod Złotym Runem". Zaledwie paru Arabów stało przy szynkwasie, pijąc rum. W kącie stary murzyn spożywał pilaw. Blanchard podszedł do niego i położył na stole małą paczuszkę owiniętą w bilet pięciusetfrankowy. Murzyn zgarnął paczuszkę i banknot nie przerywając jedzenia. Kiedy Blanchard nie odchodził tylko stał dalej przy stoliku z krzywym uśmiechem, Murzyn podniósł oczy. Inspektor wykonał ręką krótki, rozkazujący ruch.

— Dawaj medalion — powiedział szeptem.

Murzyn wybałuszył oczy, ale Blanchard powtórzył szybki gest. Murzyn wskazał spojrzeniem szynkarza, a potem gestem brody talerz z pilawem. Blanchard podszedł do szynkarza i raz jeszcze powtórzył gest ręki. Murzyn nie słyszał słów, widział tylko ruchy warg. Szynkarz schylił się za szynkwas i po chwili położył na nim berberyjski medalion. Blanchard przetrzymał go w dłoni, przypatrując się, po czym włożył medalion do kieszeni i wyszedł. Arabowie przy szynkwasie nie odwrócili nawet głów. Tylko Murzyn odprowadził go wzrokiem, nie przestając jeść.

Hirsch nie mógł się dość napatrzeć. Z lewej wielki łuk zatoki napięty po horyzont na cięciwie lądu. Poniżej basen starego portu po-

kryty łodziami rybaków, jak żabim skrzekiem. Z prawej wysokie budowle nadbrzeża z oknami pełnymi słońca. Naprzeciw fort św. Jana, skośna perspektywa doków i pochyłe kominy okrętów malowane w czarne i czerwone pasy. Wyżej kamienny amfiteatr miasta schodzącego ze wzgórz, popielatych w skwarze późnego lata. Hirsch zsunął kepi na kark i rękawem otarł mokre czoło.

— *Herrgott* — zaklął — ależ gorąco.

— Gorąco — potwierdził Wiecki, zwany w wojsku dla jasności „Whisky".

Marokańczyk wzruszył ramionami. Jak tylko robiło się trochę cieplej, biali topili się niby łój.

Siedzieli na wale fortu św. Mikołaja, gapiąc się jak w rozpalonym powietrzu Marsylia dży ponad portem. Słońce zniżało się nad zatoką, zacierając zarysy dalekich wysp, leżących na morzu jak tłuste plamy.

„Whisky" rozpiął żółty drelich legionisty.

— Słuchaj, Hirsch — powiedział — postaw nam dziś po kolejce. Oddamy ci w Indochinach, jak dadzą resztę premii.

Hirsch zaśmiał się kwaśno.

— Każdy z nas dostał tyle samo, nie? Sprzedałem za tę forsę akurat to samo co wy. Własną skórę. Wyście ją już przepili.

„Whisky" wskazał na Marokańczyka, siedzącego na murze z nogami nad zatoką.

— On nie dostał ani centyma.

— Diabli go wiedzą. On też coś opłacił swoją brudną skórą. Sprzedać ją tylko za tych parę tysięcy — dla każdego byłoby za tanio. Nie wiem, jak tam jest u nich, u Marokańczyków. W Legii w zamian za skórę kwitują cię z przeszłości.

„Whisky" nie wiedział, co odpowiedzieć. Popatrzył na Mohameda, czy się nie odezwie, ale Marokańczyk siedział nieruchomo z gębą śniadą i ponurą. Kolonialny mundur zapięty był na nim na ostatni guzik. Czerwony fez i szeroki, czerwony pas nie miały żadnej zmarszczki. Obaj biali wyglądali przy nim w swych rozmamłanych dressach jak cywile.

Przez chwilę słychać było cykanie wielkich świerszczy w szczelinach murów i fosach fortu. Wreszcie „Whisky" splunął dźwięcznie na sposób podpatrzony u Amerykanów.

— Nie chcesz, to nie — zwrócił się do Niemca — gwiżdżę na twoją wódkę.

Hirsch patrzył na morze, mrużąc od blasku oczy. Miał piegowatą, wyblakłą twarz, zamazaną jakby po niej przeciągnięto ścierką. Przy-

był do batalionu niedawno, jeszcze jechało od niego forsą. W ciągu tygodnia kamractwa nie powiedział o sobie nic. „Whisky“ nie mógł dość opędzić się myśli, że to on, Hirsch, mordował w Polsce, Norwegii, Francji i Rosji, palił Warszawę, Rotterdam i Stalingrad, strzelał do niego samego pod Kutnem i Falaise.

Teraz stał tuż obok w kusym battledressie spadochroniarza Legii i patrzył na morze. Wyspa i zamek d'If ledwie rysowały się w płynnym, świetle, roztopione w słońcu. Wielki statek, przeźroczysty w tym blasku jak cień, dryfował u wejścia do portu, wypełniając zatokę żałosnym wyciem syreny. Z prawej, na tle szarej jak liszaj plamy po zburzonej dzielnicy starego fortu, zgrzytał ponad basenem powietrzny prom między czarnymi ramionami transportera. „Whisky“ splunął zawiesiście, po polsku.

— Diabli mi nadali tę Legię i ten parszywy fort. Raz by już się stąd wydostać.

Hirsch wskazał palcem w kierunku Chateau d'If. Daleko za wyspą pojawiały się na morzu białe grzywy, zwiastując mistral.

— Stamtąd uciekł hrabia de Monte-Christo. Zajął miejsce zmarłego więźnia i został zamiast niego wrzucony w worku w morze. Spróbuj, może i tobie się uda. To patentowany sposób. Podczas wojny niektórzy go próbowali. Ale w dzisiejszych czasach już się to nie udaje.

— Dlaczego? — spytał Mohamed.

Hirsch zaśmiał się.

— Bo teraz są fachowe „Leichenkommanda“.

„Whisky“ spojrzał na niego z ukosa. Przez chwilę szukał słów, którymi dałby mu do zrozumienia, że go ma za hycla.

Mohamed nie spuszczał oka ze statku.

— Popatrzcie — powiedział — to po nas.

Wychylili się przez mur, patrząc pod słońce. Statek szedł ku nim, rozczapierzony jak wielka ćma. „Whisky“ rozpoznał go od razu.

— Statek klasy „Liberty“ — powiedział — tyle razy mnie załadowywano i wyładowywano, że znam się na tym. „Liberty“ znaczy wolność.

Splunął precyzyjnie, trafiając w puszkę po konserwie na ładną odległość.

— Sto na sto możliwych — stwierdził z zadowoleniem.

Statek wchodził do portu. Mały holownik prychał przed nim, wyrzucając strumienie wody. Morze nabierało koloru farbki do prania. Biegały po nim olśniewające blaski, jakby odbite od tysiąca lusterek. Z nieba biło ogromne słońce.

Mohamed czochrał się po brodzie, którą zapuszczał zwyczajem strzelców marokańskich.

— U nas w taborze od kilku dni o niczym innym się nie mówi. My wiemy zawsze wcześniej niż Legia o tym, co się święci.

— Jakim sposobem? — spytał Hirsch.

— Diabli wiedzą, jakim sposobem — mruknął „Whisky" — ale to fakt. Oni zawsze wszystko wiedzą prędzej. Nigdy tego nie zrozumiesz. Ale skoro w taborze mówią, że nas będą załadowywać, to możesz być pewny, że tak się stanie. Jak ci w brussie powiedzą, że w nocy będzie atak, to nie zastanawiaj się dużo, skąd to wiedzą. Będzie atak, jak amen w pacierzu.

Zawahał się chwilę, nie wiedząc jak zakląć po francusku.

— Psia ich mać marokańska — zakończył wreszcie po polsku.

Statek przesuwał się wolno u stóp fortu po oleistej wodzie basenu. Widać było z góry jego pokłady, wyludnione i puste w słońcu.

— Jak upiór w biały dzień — stwierdził Hirsch.

„Whisky" wskoczył na mur, by lepiej widzieć.

— Ciekaw jestem, co tam wiozą? Nie płyną przecież z Saigonu z pustym kałdunem.

Mohamed wzruszył ramionami.

— Co wiozą? Gówno. W 43-im było tak samo, jak nas załadowywali do desantu na Sycylię. Wieczorem przyjechały statki, jak gdyby nigdy nic. My od tygodnia nie wychodziliśmy z koszar — alarm i alarm. Do północy wszystko już było załadowane, człowiek przy człowieku. Nie można się było ruszyć. Ludzie robili pod siebie, bo w klozecie wiecznie ktoś siedział, a na pokład nie można się było dostać. Okręt śmierdział jak zadżumiony.

Przerwał i znacząco pociągnął nosem.

— Ten też śmierdzi, aż tu czuć.

„Whisky" i Hirsch węszyli przez chwilę z niedowierzaniem.

— Może i śmierdzi — skonstatował „Whisky" — Cały ten port śmierdzi. W 44-ym przed inwazją załadowano nas na czyściutkie statki, prosto ze stoczni. Trzy tygodnie trzymali nas bez przepustek. Jak już się zdawało, że nikt tego dłużej nie wytrzyma — inwazja! Zbudzono nas w nocy i dawaj na łeb na szyję. Cieszyliśmy się z tego jak wariaci, choć nie powiem, każdy miał tęgiego pietra. Na morzu leżała mgła, trzęśliśmy się, a każdy mówił, że z zimna.

Zamyślił się, szukając we wspomnieniach. Na statku ruszył z łoskotem wał kotwiczny. Holownik odpływał szybko, prychając wodą.

— Tylko że wtedy — ciągnął dalej „Whisky" — czekało się na to, jak na powrót do swoich. Jak stanąłem na brzegu i powiedziałem sobie, że już suchą nogą mogę dojść do domu, to mnie aż zatkało!

— Jakoś nie doszedłeś — rzucił cierpko Hirsch.

— Nie tyś mi w tym przeszkodził. Próbowałeś pod Falaise, ale daliśmy wam w dupę.

Niemcowi gęba pociemniała. Obrzucił Polaka złym spojrzeniem, zaciskając usta. „Whisky" zlazł z muru i otrzepał ręce. Hirsch zrobił ku niemu krok.

— Słuchaj — powiedział — w Vietnamie pokażesz, co umiesz, dobrze? Tam się będziemy bić ze wspólnym wrogiem.

W Polaku się jeszcze gotowało.

— Nie ty mnie będziesz uczył, co mam robić w Vietnamie. Nas nie masz co uczyć, jak się trzeba bić. My już się tak bijemy więcej niż sto pięćdziesiąt lat, rozumiesz? Wiesz, co to San-Domingo?

Niemiec wytrzeszczył oczy, wyraźnie zbaraniały.

— Nie wiesz... A on wie — wskazał palcem Marokańczyka — on wie, bo teraz te świnie Francuzi wszystkie wojny robią jego baranim wojskiem.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Słychać było tylko, jak Marsylia huczy nad portem. W przystani zgrzytnął dźwig, potem syreny poczęły wyć w dokach na fajrant.

Hirsch popatrzył na zatokę, stary port i miasto wspinające się na wzgórza. Złota figura Notre Dame de la Garde świecąca w słońcu. Poniżej szare plamy oliwkowych sadów i kolorowe domy Marsylii. Machnął ręką.

— Dajmy temu pokój — powiedział — może to ostatni wieczór w Europie.

„Europę" wymawiał „Ojropa". „Whisky" wzruszył z niechęcią ramionami.

— Nie roztkliwiaj się. Dużo ci z tego przyszło, że dotąd przebywałeś w Europie? Ja tam domku w Szkocji się nie dorobiłem. Dolarów na handlu walutą na Riwierze nie zbiłem. Tyle, że wyniosłem z wojny całą skórę. Myślałem, że mi jej już więcej nastawiać nie przyjdzie. Ot i wykierowali mnie... Jadę robić „brudną wojnę", cholera!

Hirsch nie odezwał się ani słowem. Wystawił twarz do słońca i gapił się na morze. Mohamed patrzył na port i doki, na nadbrzeże, na którym wydłużały się cienie domów i ludzi.

— Jadę robić brudną wojnę — powtórzył „Whisky" — już po mnie przyjechali.

Splunął siarczyście w stronę przycumowanego statku.

— Załadują i jazda!

Mohamed przytaknął.

— Będzie nam ciasno, trzy kompanie, jedna Legii, jedna spadochroniarzy i tabor marokański. Będzie nam ciasno jak w chlewie.

Hirsch przeciągnął się w ramionach, aż kości trzasły.

— Musi się im cholernie śpieszyć. Czuję w kościach, że będzie tam robota.

„Whisky" popatrzył na niego spode łba.

— A bodajżeś skonał z twoją robotą. Wolałbym macać dziwki na Canebiére.

— Pomacasz i w Tonkinie, ile tylko będziesz mógł — odparł Hirsch.

Mohamed nie słuchał już od dobrej chwili. Wypatrywał czegoś w basenie św. Łazarza, przysłoniwszy oczy. Cienie padały tam coraz dłuższe i różowiejący blask prószył od morza. Pierwsze tchnienie mistrala nadleciało jak leciutki oddech i zmarszczyło powierzchnię basenu.

— Popatrzcie no, chłopcy, co się tam dzieje?

— Co się ma dziać? — spytał „Whisky".

Nagle zamilkł i wskoczył na mur.

— Jasna cholera! — zaklął po polsku.

— Co tam widzicie? Gdzie? — wołał Hirsch, wytrzeszczając spłowiałe oczy krótkowidza. Skoczył na mur za Wieckim, chwytając się go obiema rękami.

— Kusz! — wrzasnął „Whisky". — Patrz lepiej, co się dzieje w porcie!

Doki pełne były ludzi. Ale nie byli to ludzie, którzy przyszli podziwiać zachód słońca nad zatoką. W dokach stał zbity i groźny tłum, czarny w blasku zachodu. Czerwone sztandary powiewały nad nim z rzadka, łopocąc w powiewie mistralu. Pokrył w jednej chwili nadbrzeże i przybywało go ciągle. Widać było, jak chwieje się, postępuje naprzód i cofa pod naporem wciąż napływających szeregów.

— Będzie znowu chryja — powiedział „Whisky" — w tym kraju nie ma dnia, żeby nie było chryi.

Masy na nadbrzeżu zakołysały się mocniej i nagle ruszyły ku dokom św. Łazarza. Wtedy dopiero doszedł do fortu św. Mikołaja dźwięk przeciągły i rytmiczny, jakby ktoś włączył taśmę dźwiękową w niemy dotąd film.

— Śpiewają „Marsyliankę" — szepnął Mohamed.

Hirsch przesłaniał, jak mógł, rękoma oczy, ale nie widział dobrze na taką odległość. Od zatoki raziło czerwieniejące słońce.

— Co oni tam robią? Co się właściwie dzieje?

„Whisky“ patrzył uważnie. Twarz miał ściągniętą złym grymasem. Machinalnie skubał wąsiki pod zadartym, nadwiślańskim nosem.

— Wrzucają w morze czołgi i armaty, które wojsko wczoraj wyładowało.

Teraz widać było wyraźnie. Z przechylanych setkami rąk lor wpadały w morze ciężkie maszyny okryte czarnym brezentem. Z tej odległości słychać było tylko „Marsyliankę“. Ale widać było, jak woda chlustała wysoko, obryzgując ludzi i sztandary.

— Hirsch, szkoda, że nie możesz tego widzieć—powiedział „Whisky“.

— Widziałeś? — spytał Mohamed — teraz utopili wyrzutnię V2.

Hirsch słyszał tylko „Marsyliankę“, coraz potężniejszą. Zeskoczył z muru i odwrócił się plecami do portu.

— Bandyci — syknął — bandyci komuniści!

Przez chwilę patrzył na fort św. Mikołaja mrugając oślepionymi oczyma.

— Na oczach całego garnizonu — wycedził z pogardą.

„Whisky“ obejrzał się. Stoki i mury fortu oblepione były żołnierzami. Białe kepi legionistów poprzetykane były czerwonymi „chechia“ marokańczyków i beretami komandosów. „Whisky“ rozejrzał się dokoła. Naprzeciw, na wałach fortu św. Jana bielały gęsto kasarniane płótniaki Senegalczyków.

— Ci mają dopiero cyrk, jak Boga kocham!

Mohamed nie spuszczał oka z portu.

— To nie jest cyrk — powiedział. — Tam już jest Gwardia Lotna.

W porcie kotłowało się jak w garnku. Hirsch ożywił się nagle i wytrzeszczył oczy, ale w tejże chwili trąbki poczęły wzywać do fortu. Mohamed ruszył się pierwszy, strzepnąwszy mundur i ściągnąwszy pas.

— Nie chcą, abyśmy na to patrzyli — mruknął. — Tam się biją kamieniami z ceeresami.

Hirsch spojrzał raz jeszcze w stronę portu. „Marsylianki“ nie było już słychać. Od doków dochodziło wycie i pojedyncze krzyki.

„Whisky“ skręcił papierosa. Ślinił go długo, zerkając spod oka na Hirscha, usiłującego coś dojrzeć poprzez czerwone koła migające mu przed oczyma.

— Te, Hirsch — powiedział — uważaj, żebyś nie wpadł do wody, zaczyna się mistral.

Zakleił papierosa i zapalił. Hirsch odwrócił się bez słowa i wielkimi krokami podążył za Mohamedem. „Whisky“ splunął byle jak i nie spie-

sząc się ruszył ku koszarom. Trąbki grały na zbiórkę, w kółko, jak uszkodzona płyta.

Po wieczornym apelu wypuszczono żołnierzy na ostatnią szklankę pastis. Trzy kompanie wsiąkły w Marsylię jak w gąbkę. Miasto było nafarszowane żandarmerią po wieczornych rozruchach w dokach. Po dachach huczał mistral, wyrywając dachówki i brzęcząc blaszanymi kurami na kominach. Nad wzgórzami trwał długo w noc czerwony odblask zachodu. Żołnierze pili na umór, hałasując po szynkach. O północy patrole żandarmerii poczną wyżymać marsylską gąbkę z legionistów i strzelców.

„Whisky" wyszedł na Canebière, płynącą przez miasto jak świetlista rzeka. Śródmiejski tłum wypełnił ją, przelewając się z chodników na jezdnię. W bocznych ulicach stali przy karabinach, złożonych w kozły, gwardziści republikańscy w hełmach, jak błyszczące grzyby. W bramach domów czaiły się grupki policjantów ze zwiniętymi pelerynkami na ramionach. Wzdłuż ciemnych bocznic ustawiono samochody policyjne. Miasto wyglądało jak po ogłoszeniu stanu wyjątkowego.

Na Canebière było rojno w blasku lamp i neonów. Młodzi mężczyźni w swetrach rzucali żandarmom drwiny, nie odrywając twarzy od policzków dziewcząt. Stoliki i krzesła „bistros" wyjechały na środek chodników. Z barów dolatywał francuski walc grany na akordeonie.

„Whisky" skręcił w boczną ulicę. Neony i światła zrzedły. Kilku żandarmów siedziało w „jeepie" paląc papierosy. „Whisky" skręcił raz jeszcze i znalazł się w ślepej uliczce oświetlonej jedyną latarnią, przed futryną bez drzwi, w której zwisała pluszowa zasłona. „Whisky" odchylił zasłonę i zszedł po kilku stopniach do wąskiego baru, oświetlonego paroma kolorowymi lampionami. Od wejścia pachniało stęchlizną i mdłym zapachem burdelu. Tuż przy schodkach stał szynkwas, za nim tęga blondyna, odziana w czerwony szlafrok, wycierała szklanki. W głębi, gdzie bar rozszerzał się w obszerny hall, siedziało przy stolikach kilka młodych kobiet, rozmawiając cicho.

„Whisky" skinął głową blondynie za bufetem.

— Dobry wieczór, madame Cheminade.

Mama Cheminade ledwie raczyła spojrzeć. Skinęła mu głową, wydymając usta. Twarz miała upudrowaną, podczernione oczy, wargi malowane na fiołkowo w gruby łuk. „Whisky" przełknął jej milczenie i usiadł przy bufecie. Mama Cheminade bez słowa przysunęła kieliszek.

— Pernod — zamówił „Whisky".

Mama Cheminade znacząco stuknęła wierzchem otwartej dłoni w blat, nie sięgając po flaszkę. Drugą ręką dłubała w zębach wykałaczką.

— Zapłacę na końcu — powiedział bezczelnie „Whisky" patrząc jej w oczy.

Madame Cheminade wytrzymała przez chwilę jego wzrok, wzruszyła ramionami i sięgnęła po butelkę. „Whisky" zepchnął kepi na kark i śledził uważnie, jak napełniała szklankę zielonkawym płynem. Kiedy sięgnęła po karafkę z wodą, zaprotestował ruchem ręki. Wychylił pernod jednym łykiem, po polsku.

— Niech pani zawoła Minouche.

Madame Cheminade zmierzyła go wściekłym spojrzeniem. Przez chwilę szukała słów, zdolnych wyrazić jej oburzenie. Zdawało się, że ją rozsadzi.

— Tak sobie od razu myślałam — wykrztusiła wreszcie.

Rozejrzała się bezradnie. W lokalu nie było jeszcze nikogo. Dziewczęta siedziały w głębi, rozmawiając ciągle.

— Minouche ma klienta — zełgała — niech pan przyjdzie kiedy indziej.

„Whisky" pochylił się nad bufetem. Miał skrzywioną, spoconą gębę i złe, przekrwione oczy.

— Proszę słuchać, mamo Cheminade. Jutro odpływam do Vietnamu. Pani rozumie? No niech pani odpowiada, rozumie pani, czy nie?

Mama Cheminade patrzyła na niego osłupiała.

— Niech pani każe zawołać Minouche, niech pani ją wyciągnie spod gościa, jeśli trzeba, bo inaczej narobię tu takiego burdelu...

Mama Cheminade zatrzepotała się jak zbudzona sowa.

— Bibi! — pisnęła przeraźliwie — Bibi, zawołaj Minouche, niech zejdzie natychmiast!

Młoda Murzynka o piersiach jak rzepy wstała od stolika i skierowała się ku kręconym schodom w głębi hallu, kołysząc się przesadnie w biodrach. Za całe okrycie miała na sobie kuse dessous, przez które przezierało jej czekoladowe ciało. Wstępując na schody wyszczerzyła w stronę „Whisky" wielkie zęby z kości słoniowej.

Dziewczęta przerwały rozmowę i patrzyły z zaciekawieniem na mamę Cheminade i legionistę. „Whisky" czuł ich spojrzenia na plecach.

— Co się gapicie, krowy! — wrzasnęła mama Cheminade i walnęła tłustą dłonią w blat — nie widziałyście nigdy makrota?

Dziewczęta zachichotały i ich głowy zbiegły się nad stolikiem. Mamie Cheminade ulżyło widać, bo wzięła się z powrotem do wycierania szkla-

nek. „Whisky“ skorzystał z tego i sięgnął po butelkę. Mama Cheminade odwróciła się błyskawicznie i zgarnęła mu flaszkę sprzed nosa.

„Whisky“ chciał ją skląć, ale zobaczył, że Minouche schodzi po schodach. Okręcił się na taborecie i patrzył ponuro, nie odpowiedziawszy na jej powitalny ruch ręki. W odróżnieniu od półnagich dziewcząt miała na sobie arabskie spodnie i orientalny kaftan. Była nieduża, bez śladu „maquillage'u“. Na oko, niewiele w niej było cielesnego, ale wiadomo było, że miała w zakładzie mamy Cheminade największe powodzenie.

— Jak się masz — powiedziała po polsku — jak to ładnie, że przyszedłeś.

Podała mu rękę uśmiechając się jak dama. Machinalnie podniósł palce do daszka.

— To dlatego — wykrztusił — że się chciałem pożegnać. Jutro odpływamy.

Zauważył, że drgnęły jej usta. Przestała się uśmiechać. Siadła przy nim na taborecie i wyjęła z torebki papierosy. Podsunęła mu otwartą paczkę. Wziął ją do ręki.

— „Chesterfieldy“? Coraz więcej Amerykanów?

Skinęła głową.

— Napijesz się czego?

— Już miałem pernod. Zresztą nie mam grosza.

— Postawię ci.

Zwróciła się po francusku do mamy Cheminade wycierającej ciągle szklanki.

— Proszę jeden pernod, a dla mnie Saint-Raphael.

Wyjęła pieniądze i zapłaciła od razu.

— Ten pan miał już jeden pernod — powiedziała mama Cheminade, trzymając banknot w palcach nad otwartą szufladą. Minouche skinęła głową, nie wyjmując papierosa z ust. Madame Cheminade opuściła banknot do szuflady i wydała resztę.

— Kurwa jedna — syknął przez zęby „Whisky“.

Minouche spojrzała na niego ze zgorszeniem.

— Przepraszam, Nina. Wciąż jeszcze nie mogę się przyzwyczaić.

Kciukiem wskazał za siebie na bar, dziewczęta w bieliźnie, kręcone schody. Za każdą wizytą coraz mniej poznawał Ninę. Onieśmielała go coraz bardziej, nabierała manier pełnych dystynkcji. Niewiele w niej zostało z zahukanej ale szczerej dziewczyny, którą Amerykanie przywieźli po wojnie z obozu w Niemczech.

Wychylił jednym łykiem pernod i patrzył niecierpliwie, jak ona cedzi swój aperitif. Mama Cheminade skończyła wycierać kieliszki i odpa-

sała fartuch. Spojrzała na zegar wiszący na ścianie za bufetem i poprawiła palcami włosy.

— Napijesz się czego jeszcze?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie mogę już tego świństwa. Wódki bym się napił, polskiej gorzałki bym się napił. Ech, Nina, Nina...

Popatrzyła na niego trochę wystraszona.

— Słuchaj no, nie zrobisz mi tu czasem sceny, co? Opanuj się.

„Whisky" wzruszył ramionami.

— O północy muszę być w koszarach. Nie mam czasu na sceny.

Minouche nie odpowiedziała. Paliła papierosa, założywszy wysoko nogę na nogę.

— Tyle chciałbym ci na pożegnanie powiedzieć — ciągnął dalej „Whisky" — tutaj nie da się nawet spokojnie rozmawiać. Nie moglibyśmy pójść do ciebie?

Minouche uśmiechnęła się mimo woli. Powiedział „do ciebie", jak mawiał, kiedy to jeszcze oznaczało jej pokój, podnajmowany u mieszczańskiej rodziny w Dijon. Nie miał jej już nic do powiedzenia, wiedziała o tym. Wszystko na co go stać, to szybka miłość żołnierza i może jeszcze kilka nieporadnych słów żalu, że nie stało się tak, jak to sobie układali leżąc ze splecionymi ramionami w ciemności, podczas gdy miasto huczało i błyskało za oknami, jak burza na wiosnę. Mimo wszystko łzy stanęły jej w oczach.

— *Merde!* — powiedziała na głos mama Cheminade.

„Whisky" spojrzał na nią podejrzliwie. Musiała obserwować ich spod oka, udając, że pilnuje drzwi wejściowych. Do zakładu wchodzili pierwsi goście. Dziewczęta powstawały od stolików i rozeszły się po hallu kręcąc kuprami i wypinając biusty. Mama Cheminade uśmiechnęła się uprzejmie i wyszła zza kontuaru witać.

„Whisky" chwycił Minouche za rękę.

— Choćmy — póki się ich tu nie nawali!

Pociągnął ją ku schodom.

— *He, mon Légionnaire!*

Mama Cheminade patrzyła od kontuaru wzrokiem pełnym oburzenia, wypinając pierś z wielką godnością.

— To jest porządny zakład, najlepszy zakład w całej Marsylii. Tu się płaci z góry. Wyjście na piętro z dziewczyną kosztuje tysiąc franków.

„Whisky" zatrzymał się, nie wypuszczając dłoni Minouche ze swojej.

— Powiedz, czy ona wie, jak było między nami?

Minouche wzruszyła ramionami. Mama Cheminade podparła się pod boki i powiedziała dobitnie.

— U mnie się płaci, kawalerze, nawet po przedłożeniu metryki ślubu.

„Whisky" zacisnął zęby i ruszył ku mamie Cheminade zdecydowany na wszystko.

— Czekaj — powiedziała Minouche.

Podeszła do kontuaru grzebiąc w torebce. Wyjęła banknot i położyła go przed mamą Cheminade.

Mama Cheminade obejrzała banknot pod światło i nacisnęła klawisze kasy. „Whisky" zobaczył jeszcze, jak w okienku wyskoczyła liczba 1.000. — Wstępując na schody za Minouche miał oczy wbite w podłogę, nie mógł więc widzieć klienta, który od stolika zrobił w stronę dziewczyny gest zawodu. Minouche potrząsnęła uspokajająco głową przymykając powieki i wysuwając do przodu usta tak, jak się robi, kiedy się chce dać do zrozumienia, że to nie potrwa długo.

Hirsch wysunął się zza węgła i rozejrzał uważnie. Ulica była pusta. Rzadkie latarnie gazowe oświetlały ją skąpo. Dwa rzędy wysokich, spłowiałych domów o bladozielonych okiennicach, dalej niewielki plac zamiatany przez mistral. W górze żadnych świateł w oknach, żadnych gwiazd, tylko ciemność i wiatr.

Hirsch odwrócił się i gwizdnął krótko. Kilku legionistów przyczajonych pod drzewami skweru wyłoniło się z cienia.

— To tutaj, prawda Gémiani?

Czarny, przysadzisty legionista wskazał w stronę małego placu po drugiej stronie uliczki.

— To tam, dom na lewo. Widzicie ten garaż? Następny dom. Na dole jest księgarnia.

— Zajmują całą kamienicę?

— Tylko parter i pierwsze piętro. Trzeba uważać.

— Księgarnia jest ich?

— A jakże. Na dole jest także świetlica. Lokale biurowe na piętrze. Wszystkie od ulicy.

— Nieźle się orientujesz, co?

Gémiani zaśmiał się cicho.

— Byłem tam z wizytą oficjalną za Vichy.

— Aha!

Hirsch popatrzył po ludziach. Wszystko chłopy na schwał, niejedną

robotę już odwalali. Po wielu latach poczuł znowu iskrę kontaktu między sobą a drużyną.

— Koledzy — powiedział po niemiecku. — Wszyscy przyszliśmy tu dobrowolnie. Moglibyśmy pójść pić, jak inni, ale nie zrobiliśmy tego. Przywiodła nas tu ta sama idea, za którą walczyliśmy i cierpieli. Dziś znowu czynem możemy dać jej wyraz. Niemcy są znów wszędzie tam, gdzie toczy się walka o ocalenie Europy. Nie zawiedziemy poległych towarzyszy! *Sieg Heil!*

Rozdzielił sprawnie ludzi.

— Kluge zajmuje się parterem, moja trójka piętrem. Gémiani i Picot ubezpieczają nas. Po wykonaniu zadania wycofujemy się w stronę śródmieścia. Tylko spokojnie i bez pośpiechu. Pamiętać, że najmniej nam grozi ze strony policji. Gémiani, uwaga na te czerwone psy, zwłaszcza na dokerów. W razie czego wal granatami dymnymi. Zrozumiane?

Mówił w dalszym ciągu po niemiecku.

— Zrozumiane — powiedział Gémiani — rozumiem każdy język, jeśli się mówi do rzeczy.

Hirsch dał znak. Na skrzyżowaniu pozostał tylko Gémiani z dwoma legionistami. Stali pod drzewami skweru, odwróceni do siebie plecami, patrząc w różne strony. Jeszcze przez chwilę słychać było stukanie podkutych butów. Gémiani zapalił papierosa. Z miejsca gdzie stał, widać było plac Guispe i wychodzące nań ulice. Nie było na nich żywej duszy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. O tej porze dzielnica św. Ludwika śpi ciężkim snem. Wszędzie zamknięte okiennice, ciemno i cicho. Daleko począł bić natarczywie równy puls motoru, zbliżając się szybko. Gémiani przysiadł. Policyjny samochód omiótł plac podniesionymi światłami, objechał go wokół i oddalił się w stronę portu. Warkot motoru opadał i głuchł, aż zlał się w jedno z huczeniem mistrala na dachach.

— Gémiani!

Gémiani odwrócił się. Picot przywoływał go szeptem.

— Co się stało?

— Nic. Chcę cię tylko o coś zapytać.

Picot zbliżył się z wyrazem zafrasowania. Był to wielki, kościsty chłop. Mówił z silnym akcentem „ch'timi".

— Co ci jest, Picot?

— Nic mi nie jest. Chciałbym tylko wiedzieć, czy ty uważasz, że to jest w porządku.

— Co znowu nie jest w porządku?

— To, że my tu pilnujemy, my Francuzi, że ubezpieczamy tych szwabów. Nie mogę sobie dać z tym rady.

— Że niby co?

Picot podrapał się po karku łapą wielką jak łopata.

— Słyszałeś, jak ten Hirsch nami komenderował? I to po niemiecku! Nas tu postawił jako ubezpieczenie, a tam wziął samych Niemców.

Spojrzał na trzeciego legionistę, nieruchomego na skraju skweru.

— Temu tam wszystko jedno, Banderowiec — ma porachunki z całym światem. Ale my, Francuzi? Ty uważasz, że to jest w porządku?

— Czego ty chcesz właściwie, Picot? Widziałeś, co te świnie zrobiły dziś w porcie?

— Widziałem i krew mnie zalała. Myślisz, że tylko ty odsiedziałeś swoje pięć latek za milicję Darlana? Mnie też łupnęli zdrowo, jak po tej ich „liberacji" komuniści byli w rządzie. I za co? Za to, że w 1940 robiłem to, co nasz rząd robi dziś?!

— No więc czego chcesz?

— Widzisz, ja to sobie wyobrażałem inaczej. Myślałem, że tym razem bosze będą u nas ganiać na posyłki. Mierzi mnie to, że znów najeżdżają na mnie z góry. Jak słyszę tego Hirscha, zaczynają mnie boleć cycki.

— Boś głupi, Picot. Bez Niemców nie damy rady komunistom. A poza tym powiedz, czyj to był pomysł, twój czy Hirscha? Dopóki on musi za ciebie myśleć, dopóty ty musisz słuchać. Hirsch nie jest twoim wrogiem i nigdy nim nie był. Twój wróg jest tam!

Gestem głowy wskazał w kierunku, w którym poszli Niemcy.

Picot chciał coś odpowiedzieć, grdyka poruszyła mu się raz i drugi. Nie zdążył. Gémiani pochylił się do przodu jak gończy pies. Na końcu ulicy błysło krwawo. Cienie drzew rozbiegły się i zbiegły znów. Wtedy dopiero doszedł paciorkowaty łoskot wybuchów i cienki brzęk lecących na bruk szyb.

— Wiązki granatów odpornych — skomentował Gémiani.

W ciemności błysło raz jeszcze i już nie zgasło. Czerwonawy odblask popełzł ulicą i pełgał blado na szybach. Dało się słyszeć łomotanie otwieranych okiennic.

— Teraz granaty zapalające — powiedział Picot. — Najwyższy czas zwiewać.

Gémiani dostrzegł, jak obie trójki Niemców przebiegły skrajem placu i spłynęły w przecznicę. Czekał dopóki na plac nie wbiegło kilkunastu dokerów, dopinających w pośpiechu niebieskie bluzy. W ulicy, gdzie

mieścił się dzielnicowy lokal KPF, paliło się na dobre. Z okiem krzyczały kobiety z wściekłością, nie ze strachem.

O północy „Whisky" wracał do fortu. Na nadbrzeżu owionął go mistral zimny i suchy. W mieście słyszało się go, jak buszował po dachach. W porcie dął z całego tchu, lecąc od lądu. „Whisky" skulił się i zataczał, przytrzymując dłonią kepi. Światła morza i lądu ślepły w rozkołysanej czerni. Latarnia morska omiotła nadbrzeże oświetlając na mgnienie las masztów i grzywy palm mierzwione wiatrem. Daleko na morzu błysnęły w pustce zielone ognie boj. Dochodził od nich ryk wód spiętrzonych na falochronach awanportu.

„Whisky" szedł nadbrzeżem wymiecionym do czysta. Port huczał od mistralu jak organy. Po bruku chybotały cienie drzew w takt rozhuśtanych latarń. Wysoko nad cembrowiną basenu zamajaczyła w ciemności szara ściana okrętu przycumowanego ciasno do mola. „Whisky" rzucił na niego okiem. To był ten sam statek, który rozpoznał za dnia z murów fortu. Wszystkie światła były na nim pogaszone. Tylko nad lukami dziobu płonął jedyny reflektor. „Whisky" zatrzymał się zaciekawiony. Mistral przycichł odrobinkę i „Whisky" usłyszał skomlenie dźwigu okrętowego. Podszedł bliżej, zadzierając głowę. Dźwig uniósł się, obracając powoli. Mistral zadął znowu, zagłuszając wszystko. Dźwig opuścił się wolno, składając na nadbrzeżu wiązkę długich skrzynek z jasnego drzewa. Z cienia skoczyli po nie ludzie. Teraz dopiero „Whisky" spostrzegł, że wzdłuż zabudowań stoją rzędem samochody ciężarowe, kryte brezentem.

Mistral wył jak pies na śmierć. „Whisky" z gardłem wyschniętym i ściśniętym sercem patrzył, nie mogąc oczu oderwać, jak ludzie, których twarzy nie mógł rozróżnić, biorą na ramiona jedne po drugich świeżutkie trumny z jasnego drzewa i uginając się pod ciężarem odchodzą w kierunku kolumny samochodowej, ukrytej w mroku. Dźwig zaskowyczał nad głową, wracając po dalsze brzemię. Mistral dął przeraźliwie, huśtając światłami portu i podnosząc falę na morzu.

•

Yves Lemay siedział w gabinecie na Quai d'Orsay i słuchał bicia swego serca. Zapadł po szyję w głębokim fotelu klubowym, złożywszy głowę na oparciu. Dwie puste filiżanki po czarnej kawie stały na okrągłym stoliku. W popielniczce dymił jeszcze niedopałek, kiepsko zgaszony w pośpiechu przez Draveta. Pokój wypełniała dojrzała

cisza południa. Lemay słyszał w niej, jak mu bije w piersi spłoszone serce. Nasłuchiwał przymknąwszy oczy, wreszcie zebrał się w sobie i wstał. Czynił tak zawsze, ilekroć czuł w piersiach zimne palce lęku. Wiedział, że wystarczy odwrócić uwagę, a serce przestanie się ściskać.

Sekretarz uchylił drzwi i wsunął płaski pyszczek. Ujrzał dyrektora na tle okna, patrzącego na przezierającą przez platany nadbrzeża Sekwanę. Szpakowata głowa szefa tkwiła nieruchomo w empirowej framudze, niczym portret w złoconych ramach. Sekretarzowi pomyślało się ni stąd ni z owąd, że jego szef ma bardzo piękną głowę. Chrząknął cichutko, ale, kiedy dyrektor ani drgnął, wycofał się, przymykając uważnie drzwi.

Yves Lemay stał w złoconym oknie sięgającym obitej pluszem podłogi i patrzył na Sekwanę. Liście już więdły. Żółkły platany przed oknami. Po przeciwnej stronie rzeki, na „prawym brzegu", kasztany płonęły w błękitnej mgle, jak stare złoto. Daleko na prawo Plac Zgody wirował od samochodów — olbrzymi karuzel. Pod mostem Aleksandra przepływała berlinka, kładąc po sobie komin.

Lemay patrzył nieuważnie, mając jeszcze w uszach słowa Draveta. Zaledwie przed chwilą Dravet stał w tym samym oknie i popatrzywszy krótko na drzewa Pól Elizejskich, na rzekę i mosty, mówił:

— Nie mój drogi, ja ci już nic poradzić nie umiem. Nie żebym był za stary, to nie. Ale ja już tego wszystkiego dobrze nie rozumiem. Czego rząd chce w Indochinach? Wojny? To niech ją prowadzi, jeśli ma czym, no i jeśli ma o co. Pokoju? To niech go zawiera, jeśli ma z kim. Za moich czasów wojna i pokój były funkcją interesów. Na ulicy wrzeszczało się nieprzytomnie *„on les aura!"*, ale tu, na górze kalkulowało się na zimno, dodając kolumny cyfr. Poincaré mawiał, że wojna czy pokój, to zadania matematyczne do rozwiązania. Briand, który był po trosze poetą, dodawał, że to są równania o samych niewiadomych. Nic też nigdy do końca dobrze nie wiedział.

Zamyślił się, patrząc na miasto, dymiące w słońcu. Lemay milczał, zniechęcony. Ale po chwili Dravet począł mówić dalej.

— Czuję się czasem, jakbym był osobnikiem z gatunku skazanego na zagładę przez nadejście nowej epoki geologicznej. Uczucie to mam od czasu, gdy ze wschodu poczęły chronić się u nas osobniki naszego gatunku, uciekające przed pochodem nowej epoki. W przyrodzie gatunki nie mogące przystosować się do nowych warunków giną lub uchodzą w okolice, gdzie zachowały się jeszcze warunki im przyjazne. Ale pochód epok geologicznych doganiał swoje ofiary prędzej czy póź-

niej. Na razie jednak wydaje się im wszystkim, że ocaleli, umykając z krawędzi lodowca.

Patrzył na Paryż, przesłonięty mgłą jak z obrazu Moneta. Nozdrza mu drgały łapczywie, jakby chciał wchłonąć późne piękno krajobrazu, który znał na pamięć, a którym nie mógł się nigdy dość nasycić.

— Paryż — szeptał ze złośliwą melancholią — Paryż, miasto moje, któreś było kolebką wszystkiego, co warte życia, a które dzisiaj jesteś tego wszystkiego trumną.

Zaśmiał się chichotliwie i spojrzał z ukosa na Lemay'a.

— Lubi pan Londyn? — spytał Lemay, żeby coś powiedzieć.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, bo Dravet uśmiechał się ciągle do swych myśli, ciągnął dalej.

— Nigdy nie miałem zbyt wiele czasu na odkrywanie tego olbrzymiego miasta, które w tylu miejscach przypomina małe, prowincjonalne miasteczko śpiące pod starymi drzewami. Niezwykłe, pociągające miasto. Lubię jego uliczki o latarniach nie z tego wieku, jego „puby", do których ludzie wchodzą samotni i smutni, nic nie mówiąc i niczego nie widząc. Lubię to miasto o długich, pustych ulicach, nieruchome, sztywne, skazane, już stracone. Z jakąż oni się walą godnością i elegancją!

— A my? — spytał Dravet. — Żebyśmy choć umieli robić to z wdziękiem!

Lemay spojrzał na niego. Dravet uśmiechał się. Był siwiuteńki, mały, zasuszony. Uśmiechał się patrząc na jesień, płynącą nad Paryżem jak złoty anioł. Dziś uśmiech ten irytował Lemay'a bardziej niż zwykle.

— Co by pan zrobił — spytał brutalnie — co by pan zrobił, gdyby do Paryża weszli Rosjanie?

Dravet nie przestał się uśmiechać. Paryż leżał przed nim, a właściwie nie, nie przed nim, tylko już za nim, jak całe długie życie. Ulice, których nazwy były dla niego wspomnieniami ludzi i zdarzeń, bulwary, które w jego oczach przebijał Haussmann, wszystkie sprawy stulecia, których był uczestnikiem. Cała ludzkość przeszła tym miastem, cała młodość mieszczańskiego świata. Dravet czuł dobrze, że świat ten postarzał się z nim razem i to go cieszyło, do tej to myśli się uśmiechał.

— Co bym zrobił — odpowiedział — co bym zrobił? To proste. Skorzystałbym z moich osiemdziesięciu czterech lat, by umrzeć.

Lemay żachnął się, ale Dravet nie chciał już słuchać. Pożegnał się ze starczą ruchliwością, nie dokończył papierosa i wyszedł, uśmiecha-

jąc się ciągle. Dopiero po jego odejściu Lemay poczuł, jak go ta rozmowa zmęczyła.

Dravet miał osobliwy sposób patrzenia na świat. Lemay odnosił wrażenie, że stary polityk najchętniej zabrałby ze sobą do grobu mieszczańską epokę. Lemay podejrzewał go w skrytości, że zrobiłby to ze starczą złośliwością, śmiejąc się na łożu śmierci w kułak. Dravet miałby po temu swoje powody.

Osiemdziesiąt lat Draveta były wiekiem republiki. Mógł uważać historię Francji od abdykacji ostatniego cesarza po trosze za swoją osobistą sprawę. Jej dzieje były w gruncie rzeczy jego prywatnymi dziejami. Jego los był odbiciem losu Francji. Z perypetii jego życia można było odczytać koleje Trzeciej Republiki, jak ze szczątków wykopaliskowego zwierzęcia odczytać można historię jego gatunku. Od pięćdziesięciu lat Dravet znajdował się w głównym nurcie wielkiej rzeki, jaką jest czas. Żadne z wydarzeń epoki nie przepłynęło obok niego, wszystkie przewaliły mu się przez głowę. Był czas, kiedy rządził się w Europie jak szara gęś — i czas, kiedy nie miał nic do gadania we własnym domu. Był ministrem w pięciu gabinetach, premierem dwóch rządów, długoletnim delegatem do Ligi Narodów i permanentnym posłem do parlamentu z okręgu na Południu, w którym piastował urząd mera stolicy departamentu.

Po wojnie proponowano mu jeszcze kilkakrotnie reprezentowanie Francji na konferencjach międzynarodowych. Ale Dravet odmawiał zawsze. Kiedy wyprowadzony z równowagi Lemay począł robić mu z tego powodu gorzkie wymówki, Dravet wysłuchał go spokojnie, po czym odpowiedział ze smutnym uśmiechem:

— Mój drogi, dziś nie umiałbym już reprezentować Francji w jej polityce zagranicznej. Przez całe moje polityczne życie nie dbałem nigdy o to, czy mój rozmówca rozumie po francusku. Na wszystkich konferencjach, we wszystkich częściach świata, zwracałem się do mych kontrahentów w tym samym języku, w jakim mówię do mych współziomków, kiedy przychodzą na merostwo. Nie znam żadnego innego języka i nigdy nie odczuwałem potrzeby poznania go. Dzisiaj, na trzech zagadniętych po francusku dyplomatów jeden odpowie, że nie rozumie, a drugi odpowie tak, że ja go nie rozumiem. Dlatego wolę zajmować się polityką już tylko w moim okręgu wyborczym. Tam jeszcze wszyscy rozumieją i mówią po francusku.

Przyjaźń Draveta Lemay odziedziczył po ojcu. Po prawdzie niewiele mu z niej przychodziło. Stary lew zachował jeszcze grzywę, ale już stracił głos i serce. Od czasu drugiej wojny światowej uważał

sprawy tego świata już za nieswoje. Lemay szukał u niego jeszcze rady, a nie otrzymując jej, odczuwał dzielącą ich różnicę wieku jako różnicę już nie pokolenia, ale wręcz epoki. Kiedy powiedział to Dravetowi, usłyszał w odpowiedzi, że musi być różnica epoki między tymi, którzy zarabiali na wielkość republiki a tymi, którzy ją trwonią. Po czym stary przyjaciel poczynał opowiadać o starciach z Clemenceau i Poincaré, z których wyrastała historia.

Dravet odwiedzał Lemay'a w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przemierzając żwawo korytarze, które pamiętał z czasów swego ministrowania. Lubił nade wszystko widok z frontowych okien pałacu, ale wydawało mu się, że za jego czasów było z nich widać daleko większy kawał świata.

Sekretarz znów wsunął głowę przez drzwi. Lemay z niechęcią oderwał się od okna, za którym dojrzewał jesienny Paryż. Na widok teczki w rękach sekretarza, przywołał go gestem.

— No, niech pan pokaże, co pan tam ma, młody człowieku.

Sekretarz położył na biurku teczkę z aktami.

— Czy pan dyrektor ma dla mnie jakieś dyspozycje?

Lemay patrzył na niego przez chwilę, bawiąc się ołówkiem. Złapał się na tym, że nie może sobie ani rusz przypomnieć jego nazwiska. Na pewno jakaś dobra, stara, francuska rodzina, jakieś nazwisko z podręcznika historii. Młody człowiek przygotowywał się do przyszłych odpowiedzialności, do jakich powołała go klasa, z której wyszedł. Sekretarzował po kolei wszystkim najwybitniejszym osobistościom Quai d'Orsay. Od przełożonych swych przejmował kolejno najbardziej charakterystyczne cechy, ich sposób bycia i gesty, stając się powoli syntetycznym dyplomatą, jak trzeba. Wyróżnił się wpadłszy na pomysł kupowania zawartości koszy na papiery z biur poselstw młodych i niedoświadczonych republik. Kupował je od sprzątaczek płacąc gotówką i przebierał długo w nocy, usiłując złożyć skrawki. Wróżono mu szybką karierę.

— Pan dyrektor nie ma żadnych dyspozycji?

Lemay ocknął się.

— Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba. Wyjeżdżam za chwilę do Pałacu Chaillot. Już dzisiaj nie wrócę do ministerstwa. Nie będę potrzebował szofera. Niech tylko podstawi wóz.

Sekretarz skłonił się lekko.

— Pragnę przypomnieć, że ma pan dziś obiad u ministra Iranu.

— Dziękuję, pamiętam.

Nachylił się nad papierami. Pokiwał smutno głową i zamknął z niechęcią teczkę.

— Notę do ambasadora zaczyna się w połowie strony, młody człowieku — powiedział z wyrzutem. — Tylko noty do posła, wyżej.

Wręczył mu teczkę i wstał. Sekretarz cofnął się o krok. Wyglądał, jakby się chciał pod ziemię zapaść.

Lemay podał mu życzliwie rękę na pożegnanie. Nie chciał mu w gruncie rzeczy robić przykrości. Każdy, kto znajdował się w służbie Quai, był jednym ze swoich, jednym z kariery. Była to ostatnia służba nie zaśmiecona arrywistami z Resistance i progresistami z okresu rządu trójpartyjnego. Lemay był w pełni świadom wielkich tradycji tej służby, choć sam był synem żydowskiego bankiera, który zapisał się do historii założeniem najpiękniejszych ogrodów Paryża. Lemay uchodził za jeden z filarów Quai. Od końca wojny obnosił swą piękną głowę po wszystkich konferencjach międzynarodowych. Cieszył się opinią niezastąpionego od czasu, kiedy pozbył się dwóch najgroźniejszych rywali, podnosząc ich zasługi i zdolności tak długo, aż jednego mianowano stałym delegatem przy ONZ, a drugiego ambasadorem w Egipcie.

Lemay wziął kapelusz z rąk woźnego i zszedł na dziedziniec. Jego czarny Delahay stał już u wyjścia, szofer czekał obok przy otworzonych drzwiczkach. Lemay siadł przy kierownicy. Włączył kontakt i nacisnął starter. Motor zaszumiał nie głośniej, niż szumi krew w skroniach. Lemay przydepnął sprzęgło i włączył bieg. Przez chwilę słuchał tętna motoru, jak niedawno, na górze, bicia swego serca. Zwolna puszczał sprzęgło, naciskając gaz. Lubił maszyny o francuskiej linii, rasowe i czułe jak wysokiej krwi konie. Od razu za bramą przydał gazu, przerzucając szybko biegi. Skorzystał z zielonego światła u mostu Aleksandra, by rzucić się na setce w szeroką aleję. Zatrzymał samochód dopiero za mostem Jeny; Sekwana lśniła w słońcu między Polem Marsowym a wzgórzem Chaillot. Lemay zaparkował wóz i poszedł ogrodami Trocadero.

Na piaszczystych ścieżkach, wokół strzyżonych klombów i krzewów panował nastrój wiecznej niedzieli paryskich, jesiennych popołudni. W alejach bawiły się dzieci. Piastunki w granatowych kornetach czuwały nad wózkami — fachowe anioły. Od strony wodotrysków dochodziły krzyki chłopców, jeżdżących na wrotkach. Strażnik przechadzał się potrząsając laską. Pełni spokoju staruszkowie wynajmowali krzesła u parkowej i wystawiali twarze na promienie jesieniejącego słońca. Lemay szukał w tym obrazie dowodów niewzruszoności

porządku owego bogatego, pięknego świata, któremu na imię Passy. Czuł teraz jak nigdy swoją do niego przynależność. Do tego samego świata należał jego ojciec, twórca ogrodów Trocadero. To był świat tych pięknych, wyszukanie ubranych dzieci, których wychowanie polegało na wpajaniu w nie uprzedzeń klasy. Świat tych dystyngowanych staruszek o barwionych na liliowo włosach i dobrych, białych rękach. Świat, który Dravet miał nadzieję zabrać ze sobą do grobu, by nie zostawiać jego uroków tym, którzy żyć będą dalej.

Lemay obszedł zachodnie skrzydło gmachu i wszedł do pałacu.

Profesor Lefebvre, dyrektor Muzeum Człowieka, przyjmował w każdy czwartek. Lemay nie był u niego już dawno. Łączyła ich stara przyjaźń zawiązana jeszcze w Szkole Normalnej. Lemay zastał przyjaciela w narożnym salonie, którego drzwi wychodziły na wielki taras. Lefebvre wstał na powitanie i ściskał długo i serdecznie dłoń Lemay'a. Widać było, że jego wizyta sprawia mu prawdziwą przyjemność.

— Jak się masz, Yves. To zawsze wielka dla mnie radość, kiedy mogę cię widzieć. Ostatnio zdecydowanie mnie bojkotujesz.

Lemay odpowiedział mu uściskiem.

— Wiesz przecież, że przebywałem poza Europą. Czasy są trudne.

Rzucił okiem na taras, na którym stało kilkanaście osób ze szklankami w rękach.

— Masz dziś sporo gości?

— Nie ma chyba nikogo, kogo byś nie znał. W moim wieku nowych przyjaciół już się nie zyskuje. Co najwyżej traci się starych.

Ostatnie zdanie wypowiedział z odrobiną goryczy, albo tak się tylko Lemay'owi zdawało. Wystarczyło tego jednak, aby Lemay spojrzał bystro na przyjaciela. Wydało mu się, że Lefebvre postarzał się bardzo od czasu, kiedy go widział po raz ostatni. Jego łysa czaszka przybrała barwę starej kości słoniowej. Podłużna, woskowa twarz wychudła jeszcze bardziej. Tylko szczęki były wciąż te same, potężne i uparte, wiecznie kłócące się z niebieskimi oczyma dziecka, jakimi Lefebvre patrzył na świat poprzez ogromne okulary w złotej oprawie.

— Siadaj — powiedział Lefebvre — pogadamy trochę. Nie będą nam przeszkadzać — dodał czyniąc niejasny gest w stronę tarasu — wolą widok na Paryż i towarzystwo Chantal.

Lemay roześmiał się, siadając w głębokim fotelu.

— Nic dziwnego. Najpiękniejszy widok na Lewy Brzeg i najpiękniejsza dziewczyna Prawego Brzegu...

Lefebvre wykonał dłonią gest łagodnej dezaprobaty.

— Daj pokój. Chantal nie jest z tego brzegu, a...

— Wiem, urodziła się w Kambodży.

— ...a to mieszkanie wraz z widokiem z tarasu zbrzydło mi do szczętu od czasu ostatniej sesji ONZ. To już przestało być muzeum, to wieża Babel.

Lemay nie odpowiedział nic. Wiedział z doświadczenia, że Lefebvre potrafi na ten temat mówić bez końca. Paromiesięczna sesja ONZ w Muzeum stała się dla niego utrapieniem, które nie ustąpiło z jej zakończeniem. Lemay zapamiętał Lefebvre'a ponurego i milczącego, błądzącego po korytarzach i salach zajętych przez komisje i podkomisje Zgromadzenia, kiwającego smutnie łysą głową przed szkieletami ludzi neandertalskich lub pod portalami najpiękniejszych katedr Francji. Dostrzegł go raz zamienionego w słup soli na widok amerykańskiej stenotypistki stukającej na swej maszynie pod okiem Boga Ojca z Chartres, błogosławiącego z góry kamiennymi ramionami. Pewnego dnia Lefebvre zamknął się w swoim mieszkaniu, nie wychodząc i nie przyjmując wizyt aż do chwili, w której ostatni woźny Konferencji nie opuścił wzgórza Chaillot.

— Gdzie jest Chantal? — spytał Lemay.

Lefebvre podniósł na niego oczy. Odrobina krwi zabarwiła mu policzki.

— Gdzieś tam — wskazał oczyma taras — ale dokładnie nie wiem. Teraz nigdy dokładnie nie wiem, gdzie jest Chantal.

Ton tego zdania zastanowił Lemay'a. Przyjrzał się uważnie Lefebvre'owi. Stary siedział nieruchomo bez wyrazu w twarzy. Leciutka łuna krwi schodziła mu już ze skroni.

— Masz z nią kłopot?

Lefebvre zaprzeczył ruchem głowy.

— Źle mnie zrozumiałeś. Nie mam kłopotu z Chantal. Znasz ją przecież i wiesz, jaka z niej wzorowa córka.

Potrząsał ciągle głową, jakby przeczył swym nieujawnionym myślom.

— Nie, nie mam kłopotu z Chantal. Jedno, co jest w niej niepokojące, to jej przedwczesna dojrzałość.

— Cóż chcesz? Chantal skończyła świetnie Sorbonę. Jest już dorosła.

Lefebvre nie przestawał potrząsać głową.

— To nie to. Dziewczyna w 22-im roku życia jest już dorosła, ale nie jest jeszcze dojrzała. Podczas gdy Chantal... Zresztą zobaczysz sam. Czasem myślę, że może to dlatego, że nigdy nie miała matki.

Lemay popatrzył na taras. Panna Lefebvre musiała być gdzieś tam otoczona mężczyznami. Zasłaniało ją pewnie tych kilka znajomych

sylwetek widzianych z tyłu. Murzyński poseł z Gwinei o siwej wełnie włosów nad czarnym karkiem, młody ksiądz Despaul z Misji Paryża, mały Annamita w białej marynarce, z którym Lemay miał już gdzieś do czynienia, chyba w czasie wizyty Ho Szi-mina, jakaś zamknięta, słowiańska głowa, którą też już gdzieś widział. Na czwartkowych zebraniach u Lefebvre'a można było zastać kolekcję typów niezgorszą od tej, jaką profesor miał w gablotkach. I co najdziwniejsze, Lefebvre palcem nie ruszył w tym kierunku. Przyciągał ludzi, jak drzewo przyciąga ptaki.

Profesor René Lefebvre, dyrektor Muzeum Człowieka, cieszył się nielada sławą. Wiedział o dziejach ludzkości wszystko, co ziemia zachowała i wydała. Przemierzył i zbadał najbardziej zapadłe zakątki świata, poznał mowę, zwyczaje i przeszłość najbardziej zacofanych plemion ukrytych w sercu dżungli. Z badań swych i wędrówek wyniósł nie tylko wiedzę o losach ludzkości i pochodzeniu człowieka, lecz także głęboką wiarę w ludzkość i gorącą miłość człowieka. Opowiadano o nim, że kiedy przybył do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie Columbia University, wpisał na lotnisku w karcie ewidencyjnej w rubryce „rasa" słowo „człowiek". Był deputowanym z listy socjalistycznej, ale chodziły słuchy, że nie wszystko układa się najlepiej między nim a Komitetem Wykonawczym.

Lemay dojrzał wreszcie między marynarką Vietnamczyka a sutanną księdza profil Chantal. W tej samej chwili dziewczyna spostrzegła Lemay'a. Poznał po ruchu warg, że wymówiła jego nazwisko. Ksiądz i Vietnamczyk odwrócili równocześnie głowy i pozdrowili go ukłonem. Chantal przemknęła się między nimi i weszła do salonu. Głowy mężczyzn odwracały się za nią, jak słoneczniki za słońcem. W ten sposób więcej osób na tarasie zauważyło obecność Lemay'a.

Chantal była bardzo ładną dziewczyną. Lemay obserwował ją spod oka, kiedy przygotowywała herbatę. Lefebvre miał słuszność. Stała się nie tylko dorosła, ale dojrzała nagle, jak pewnego popołudnia wiosna dojrzewa w lato. Lemay patrzył z prawdziwą przyjemnością na jej smagłą twarz o nieco wystających, jak u ojca, kościach policzkowych i czarnych, skośnych oczach. Włosy miała gładkie i błyszczące, zwinięte w swobodny węzeł. Ubierała się z umiarem i smakiem klientki Faubourg St. Honoré. Chantal była czymś więcej, niż bardzo ładną dziewczyną. Było w niej coś, co przyciągało oczy kobiet, a mężczyznom nakazywało odwracać za nią głowy.

Lemay przyłapał się na tym, że obaj z Lefebvrem nie odrywają od niej oczu. Profesor patrzył na nią z taką miłością, że Lemay, który już

chciał na ten temat zażartować, ugryzł się w język. Chantal podała herbatę i uśmiechnęła się do ojca.

— Widzisz, przyszedł przecież wreszcie ten niepoczciwy pan Lemay!

I zanim Lemay zdążył cokolwiek powiedzieć, skinęła im ręką ode drzwi.

— Zostawiam ci go, abyście się mogli nagadać. Postaram się, aby wam nie przeszkadzano. Ksiądz Despaul dyskutuje tam z Van-Huu na temat przyszłości personalizmu w ustroju socjalistycznym. Wciągnęli całe towarzystwo do dyskusji. Zostawiłam tam Martina, który nic się na tym nie rozumie. Biegnę na pomoc biednemu Van-Huu.

— Biedny ksiądz Despaul — mruknął Lemay. Lefebvre roześmiał się na głos i przez chwilę śmiali się obaj odprowadzając Chantal wzrokiem.

Lemay pił herbatę małymi łykami. Właśnie myślał, od czego zacząć, kiedy Lefebvre spytał go, spoglądając znad filiżanki.

— Yves, masz mi coś do powiedzenia, prawda?

Lemay skinął głową. Odstawił filiżankę i sięgnął po papierosa.

— Tak, mój René, chcę z tobą pogadać. Tylko nie wiem jak, bo ta rozmowa musi być dla nas obu przykra. Chciałbym, aby była mniej przykra dla ciebie, niż będzie dla mnie.

— Mów śmiało, mój drogi. Nic, co od ciebie pochodzi, nie może sprawić mi przykrości.

Lemay popatrzył mu w oczy. Lefebvre podniósł okulary na czoło, jak czynił zawsze, ilekroć myślał o czym głęboko. Był to gest krótkowidza, którym odcinał się od widzialnego świata. Lemay pomyślał z wdzięcznością, że może w ten sposób przyjaciel chce mu ułatwić rozmowę. Lefebvre z okularami uniesionymi na czoło nie rozróżniał niczego na szerokość stołu.

— Bądź ostrożniejszy, René. Ochrona Terytorium ma cię na oku.

Lefebvre uniósł lekko brwi gestem zdziwienia.

— Ochrona Terytorium? Cóż takiego zrobiłem, że zasłużyłem na jej uwagę?

— Jak dotąd nic takiego, co stanowić by mogło podstawę do legalnej akcji przeciwko twemu immunitetowi poselskiemu. Ale znasz równie dobrze jak ja metody tych panów od roboty politycznej. Nie należy im dawać żadnych pretekstów. Powinieneś być nieco ostrożniejszy w doborze znajomości. Zwłaszcza jeśli chodzi o Vietnamczyków.

— O Vietnamczyków? Mój stosunek do tego narodu jest ogólnie znany.

Lemay wykonał gest zniecierpliwienia. Spokojne zdziwienie Lefeb-

vre'a zaczynało go wyprowadzać z równowagi. Poza tym cała rozmowa sprawiała mu przykrość.

— Wiem, wiem. Lata, które wśród nich spędziłeś, przyjaźń, jaka cię łączy z wieloma spośród nich, grób twojej żony w Kambodży... Ale powinieneś zrozumieć, René, prowadzimy z nimi właściwie wojnę. A ty wziąłeś udział w obchodzie rocznicy ogłoszenia niepodległości Vietnamu i nawet wygłosiłeś przemówienie, w którym wystąpiłeś przeciwko polityce Francji w Indochinach. Więcej nawet, solidaryzowałeś się z Ho Szi-minem. Piłeś za jego zdrowie i za niepodległość Vietnamu.

Profesorowi znów drgnęły brwi. Zamknął oczy i Lemay miał teraz przed sobą jedną z tych mumii, które Lefebvre przywoził z Peru i Egiptu.

— Za zdrowie Ho Szi-mina i za niepodległość Indochin pił prezydent Francji w Pałacu Elizejskim.

Lemay uśmiechnął się kwaśno. W odpowiedziach Lefebvre'a nie było cienia usprawiedliwiania się. Ba, nie były nawet wypowiadane w tonie wyjaśnienia. Lemay wyczuwał w nich zimne ostrze polemiki.

— Cztery lata minęły od tego czasu, to dużo, René. Teraz mamy wojnę. Powiesz może, że to nie jest wojna, i z formalnego punktu widzenia będziesz miał rację. Nie prowadzimy wojny w Vietnamie, bo wojna jest użyciem przemocy fizycznej w stosunkach między suwerennymi państwami. Prowadzimy tam akcję pacyfikacyjną przeciwko terrorystom w obronie wiernych nam grup ludności.

Lefebvre podniósł na przyjaciela oczy, nie opuszczając okularów. Lemay mimo woli odwrócił wzrok, choć wiedział, że Lefebvre ledwie go widzi.

— Nie, Yves, nie miałbym racji. Bo to jest wojna. To jest najgorsza wojna — niesprawiedliwa, niesłuszna, niepotrzebna, brudna wojna. Najohydniejsza wojna, jaką naród może prowadzić, bo zmierzająca do ujarzmienia drugiego narodu. Z tą wojną ja się nigdy nie zgodzę. Będę przeciw niej walczył, ile mi sił starczy. Nawet jeśli powiecie, że popełniam przez to zdradę stanu!

Lemay poruszył się na krześle.

— Nie powiem, aby mnie to twoje „nawet jeśli powiecie" nie dotknęło. Ja tego nie powiem, René.

Zrobił pauzę. Lefebvre milczał z zaciśniętymi szczękami, bezkrwisty i żółty.

— Ale ci, którzy tak powiedzą — ciągnął Lemay — będą mieli z państwowego punktu widzenia rację. Pomyśl, René, i powiedz sam, czy możemy dziś skończyć wojnę w Indochinach, to znaczy, czy możemy wyjść

z Indochin, bo o innym zakończeniu mowy być nie może, starają się już o to twoi vietnamscy przyjaciele. Nie możemy. Nie dlatego, abyśmy bronili tam francuskich interesów finansowych, czy spełniali wolę burżuazji kolonialnej. Ten etap mamy już za sobą. Wiesz dobrze, że kapitał finansowy został przez nasze banki niemal w całości wycofany z Indochin i że już tam nie wróci, choćby dla tego, że go już nie ma. Indochiny są dla naszej gospodarki narodowej interesem deficytowym. Dlaczego więc tam jesteśmy, dlaczego trzymamy się kurczowo granicy chińskiej i górskich dróg w dżugli, po co ta „obecność Francji", z której jesteśmy tak dumni, a która nas tyle kosztuje?

Zamyślił się i zapatrzył w okno. Daleko za plecami Lefebvre'a stała okrakiem wieża Eiffla — pokraczna żyrafa.

— Zrazu prowadziliśmy wojnę w Indochinach, ponieważ obawialiśmy się, że jeśli nie będziemy dość energiczni zastąpią nas tam Amerykanie. Że nas po prostu stamtąd wygryzą przy pomocy lepszego, nowocześniejszego kolonializmu, opartego nie o bagnety Legii, lecz o penetrację gospodarczą. Ze swoimi krzykliwymi hasłami antykolonialnymi mogli łatwo dojść za naszymi plecami do porozumienia z Vietnamem. Nasz prestiż w Indochinach miał przetrącony grzbiet. Plantatorzy i pogrobowcy imperialnej sławy wołali o drastyczne środki.

Lefebvre skinął głową. Okulary zsunęły mu się na nos. Ponuro popatrzył na Lemay'a.

— Ocena twoja jest słuszna. Dlatego właśnie zerwaliśmy układy z Fontainebleau i dlatego ten złowrogi mnich w mundurze admirała rozpoczął brudną wojnę. Ale jego ocena była niesłuszna. Nie da się „spacyfikować" narodu, gdy sprawa jego wolności stała się sprawą wyzyskiwanych i ciemiężonych.

Lemay skrzywił się z niesmakiem.

— Mówisz jak sam Thorez. Admirał d'Argenlieu rozpoczął wojnę w imię tego, co słusznie czy niesłusznie nazywa się „francuskimi interesami imperialnymi". Jego wojna miała być istotnie jeszcze jedną pacyfikacją z rodzaju tych, jakie Lyautey przeprowadzał w Maroku. Ale to było już dawno. Od tego czasu zmieniło się wiele. D'Argenlieu wrócił do klasztoru, a kapitały kolonizatorów do Paryża. Pomyłka d'Argenlieu nie ma dziś już najmniejszego znaczenia. Dziś chętnie ustąpilibyśmy Amerykanom tego miejsca w Indochinach, któregośmy im tak bronili. Tylko, że oni go już dziś nie chcą. W tym czasie przyszła Korea, wszystkie założenia polityczne przesunęły się pod jej wpływem. Na granicę Indochin przyszli czerwoni Chińczycy. Nie, René, nie mo-

żemy pójść sobie po prostu do domu. Teraz już nie my Amerykanów nie puszczamy do Indochin, ale oni nas z Indochin nie puszczają.

Lefebvre uśmiechnął się gorzko.

— Dziękuję ci za szczerość, Yves, choć nie powiedziałeś niczego, o czym bym już nie wiedział. Jednym słowem zaczęliśmy tę brudną wojnę w imię interesów własnych kapitalistów i pod presją własnych kół kolonizatorskich, a doszliśmy po czterech latach do tego, że prowadzimy ją w imię interesów kapitału amerykańskiego i pod presją amerykańskich kolonizatorów. To, co powiedziałeś, do tego się sprowadza, nie? Czy to ma mnie przekonać o słuszności tej wojny.

Lemay zrobił gest zniecierpliwienia. Poprzez oszklone drzwi widział Chantal, śmiejącą się na tarasie, a za nią szary bezmiar miasta, aż po wzgórza Belleville. Od okien zanosiło ogromnym spokojem pogodnego popołudnia.

— Nie, nie chcę cię przekonywać o słuszności niczego. Słuszność, to sprawa kryteriów. Chcę cię natomiast przekonać o nieuniknionej konieczności naszej obecności w Indochinach. A w tej chwili, obecność w Indochinach, to znaczy wojna w Indochinach. Wiesz, jakie znaczenie mają Indochiny dla całej naszej polityki, europejskiej i zamorskiej? Wiesz, że określają naszą politykę wobec Niemiec, naszą pozycję w Afryce, nasze sojusze i nasze finanse? Pamiętaj, René, to Indochiny leżą w sercu Europy.

Począł trzeć czoło gestem zmęczenia. Zgarbił się i sflaczał jakoś, jak od troski.

— Armia uważa tę wojnę za awanturę bez jutra. Rząd uważa ją za kabałę nie do wybrnięcia. Społeczeństwo jej nienawidzi. A mimo to nie ma innego wyjścia, jak dalej ją prowadzić. Nic na to nie poradzę, René. Ta wojna przestała być sprawą między nami a Vietnamem, lecz stała się sprawą między dwiema skłóconymi półkulami. Cała nasza polityka opiera się na założeniu, że pełna niezależność narodowa jest dziś nie do utrzymania. Stosunki między państwami układają się dziś nie na zasadzie ich suwerenności, lecz na zasadzie ich współzależności. Współzależność rządzi dziś polityką. Francja nie jest już w pełni wolna i niezależna, stała się współzależna jak wszystko. Współzależne są Indochiny, Korea, Formoza, Maroko — a jakże, Maroko, jak moglibyśmy prowadzić wojnę w Indochinach bez Maroka, hę? — Berlin, wybory prezydenckie w Ameryce i sytuacja socjalna u Renaulta.

Zaczerpnął powietrza, które chłodną falą napływało przez otwarte okna. Od Sekwany podnosiła się lekka mgła, różowiejąc w słońcu.

Dalekie wieże Saint Sulpice wystawały jak dwa nierówne kołki z zasnutego dymem horyzontu. Lemay ciągnął dalej.

— Jak chcesz, u diabła, abyśmy zakończyli tę wojnę? Nie możemy zakończyć ani jej samej, ani nawet „zimnej wojny", bo obie są stanem rzeczy, obie stanowią fakty współzależne. Tołstoj napisał, że król jest niewolnikiem historii. Rządy i parlamenty republikańskie są nimi także.

Lefebvre siedział nieruchomy, nie mówiąc nic. Jego łysa czaszka nabierała ciepłych odcieni wieczorniejącego nieba. Od tarasu dolatywał gwar głosów. Lemay poczuł znowu znużenie, jak po rozmowie z Dravetem. Zapragnął się znaleźć u siebie. Z przykrością pomyślał o oczekującym go jeszcze obiedzie. Ogarniało go powoli uczucie daremności wszystkiego.

— Słucham cię — powiedział Lefebvre.

Lemay spojrzał na niego zdziwiony.

— Ja już powiedziałem wszystko. Ostrzegłem cię. Rozważ to sobie dobrze. Byłbym niepocieszony, gdybyś wpakował się w jakąś kabałę. Jako członek socjalistycznej grupy parlamentarnej i komisji zagranicznej izby, jako uczony, masz pozycję, która powinna skłonić cię do większej rozwagi. Nie wolno ci angażować twego autorytetu w nieodpowiedzialnych wystąpieniach, w rodzaju tego ostatniego obchodu. Twoje nazwisko słyszy się niestety zbyt często w zestawieniu z różnymi akcjami, które rząd uważa za wrogie i antynarodowe. Twój podpis...

Lefebvre przerwał mu, wychylając się z fotela i kładąc dłoń na jego ramieniu.

— Powiedz mi, Yves, przyszedłeś tu z własnego popędu powiedzieć mi to wszystko, czy też w misji zleconej ci?

Lemay nie odpowiedział. Podniósł dłoń do oczu i długo patrzył na zegarek. Ręka Lefebvre'a opadła.

— Tak też myślałem — powiedział po chwili Lefebvre. Opadł z powrotem w głąb fotela i zdjąwszy okulary, począł je wycierać.

— Bo widzisz, to dla mnie pewna różnica. Od ciebie jako od przyjaciela mogłem przyjąć bez ujmy ostrzeżenia i rady, które są dla mnie obraźliwe, skoro pochodzą od administracji. To po pierwsze. A po drugie, wiem teraz, że po wyjściu stąd sporządzisz notatkę służbową z rozmowy ze mną. Nie gniewaj się, nie chciałem cię urazić. Ale ja nie jestem dyplomatą, więc mogę sobie pozwolić na powiedzenie ci tego, ty znów jesteś dyplomatą i nie możesz nie zrobić tej notatki, choć z drugiej strony musisz się od niej odżegnywać. Tak, tak, Yves. A nie

zapomnij napisać w tej notatce, że stary Lefebvre występuje ze swego stronnictwa i zgłasza akces do grupy progresistów. Możesz napisać, że jesteś pierwszą osobą, której o tym postanowieniu zakomunikował.

Przejrzał okulary pod światło. Lemay patrzył na niego zdumiony, z niedomkniętymi ustami.

— Dziwi cię to? Mnie to też dziwiło, kiedy do tego dochodziłem. Dla mnie to nie była łatwa droga.

Wycierał dalej okulary, patrząc gdzieś ponad głowę Lemay'a. Miał teraz zmącone, bezbarwne oczy ślepca.

— To nie jest wcale łatwe, odchodzić po tylu latach, nawet jeśli ma się przekonanie, że dalej razem iść już nie podobna. To nie jest wcale łatwe. Wszystko ciągnie cię w tył, ludzie, wspomnienia, nawyki. Po pięćdziesiątce nawet o zwykłej przeprowadzce myśli się z przerażeniem. A moja przeprowadzka obejmuje bardzo wielki bagaż — wszystko, czym było moje życie... Wiesz o nim prawie wszystko, Yves. Moja młodość... była taka sama jak twoja: arcymieszczańska. Wierzyliśmy w życie, talent, pracę, po trosze w pieniądz, niewiele w Boga, bardzo we Francję wolności, równości i sprawiedliwości. Cośmy wynieśli ze Szkoły Normalnej? Zdolność analizy bez zdolności wyciągania wniosków, odrobinę karteziańskiej jasności, z której zrobiliśmy narodowe bóstwo. Potem przyszła pierwsza wojna, śpiewaliśmy „Alzacja i Lotaryngia", zwolna przestawaliśmy śpiewać i wierzyć w cokolwiek. Tak, tak, Yves. Ciężko mi potem przychodziło odzyskiwać wiarę, tę najcudowniejszą wiarę, której bogiem jest Człowiek, a kościołem Ludzkość.

Włożył na nos okulary i bystro spojrzał Lemay'owi w oczy.

— Dziś dochodzę do wniosku, że sama wiara w człowieka, to nie wszystko. Trzeba jeszcze aktu wiary, a tym jest walka. I że jeśli nie jest się zdolnym do walki o to, co się kocha — to trzeba przynajmniej zdobyć się na walkę przeciw temu, czego się nienawidzi.

Lemay wzruszył ramionami.

— Daruj, René — szanuję twoje przekonania, ale ich nie rozumiem. Zdawało mi się zawsze, że dlatego stałeś się człowiekiem i działaczem SFIO, że program tej partii najbardziej odpowiadał twojemu światopoglądowi. Czyżbyś tak dalece miał sam sobie się sprzeniewierzyć? Nie mogę tego pojąć — jakto, ty, René Lefebvre, będziesz odtąd głosował z komunistami?

Lefebvre uśmiechnął się.

— A jakże, pewnie będę odtąd głosował z komunistami. Muszę ci się przyznać, że często brała mnie chętka głosować z nimi. To, za czym

oni głosują, nie jest nigdy takie całkiem złe, a to, przeciwko czemu głosują, nie jest nigdy takie zupełnie dobre. Moja stara partia? Ta schodzi na pozycje, na których nigdy nie chciałbym się znaleźć, z nią czy bez niej. Dziś mamy socjalistę w ministerstwie spraw wewnętrznych, jutro pewnie będziemy go mieli w ministerstwie wojny. Jeden łamie manifestacje przeciw polityce wojny, drugi będzie tę wojnę prowadził w Indochinach. Nie, Yves, ta partia, nawet jeśli dla względów taktycznych wyszłaby z rządu, nie przestałaby popierać jego polityki. A ta polityka to w ostatecznej konsekwencji — wojna.

— Ależ, René, nie wierzysz chyba poważnie w to, co mówisz! Powtarzasz po prostu bzdury komunistycznej propagandy o jakiejś tam „polityce wojny" i o rządzie, który ją rzekomo prowadzi!

Lemay nie ukrywał swej irytacji. Miotał się w fotelu w lewo i prawo, machając przy tym rękami. Lefebvre zdawał się nie zwracać na to uwagi.

— Oczywiście, że wierzę w to, co powiedziałem, a rozmowa z tobą jeszcze bardziej mnie w tej wierze utwierdziła. Bo ty sam, o czymże przyszedłeś mnie przekonywać? O współ-za-leż-ności! Dziś mamy gorącą wojnę w Korei i Vietnamie, a zimną w Berlinie i Paryżu. Jakże tobie, Yves, łatwo przyszło pogodzić się z nieuniknionością choćby tylko „brudnej wojny"! Wyrażałeś przy tym, jeśli się nie mylę, stanowisko rządowe. Widzisz, wzbudzanie w ludziach i narodach przekonania o nieuniknioności wojny, o niemożności wyjścia z niej lub uniknięcia jej, to jest właśnie polityka wojny. Choćbyście jeszcze nie uzbroili jednej dywizji, prowadzicie politykę wojny, gdyż przygotowujecie świadomość narodu do jej przyjęcia z rezygnacją. Otóż ja wierzę, że wojny da się uniknąć. Ale to mało. Wierzę również, że można i że trzeba skończyć „brudną wojnę" w Vietnamie. Temu to celowi mam zamiar ofiarować wszystkie swe siły, nie licząc się z niczym. To będzie mój wkład w walkę o pokój.

W miarę jak mówił opanowywało go wzruszenie. Lemay zdał sobie sprawę z przykrością, że jego wizyta nie miała żadnego sensu. Lefebvre odmówił dyskusji — wypowiedział po prostu walkę.

Siedzieli naprzeciw siebie bez słowa długą chwilę. Lefebvre milczał z dłońmi przytkniętymi do czoła. Lemay rozejrzał się bezradnie. Spełzłe światło późnego dnia schodziło zwolna ze ścian i sprzętów. Na tarasie ogarnianym przez cień odchodzący goście żegnali się z Chantal. Lemay wstał.

— Nie miej do mnie żalu, René — powiedział, starając się nadać głosowi jak najwięcej ciepła.

Lefebvre poruszył przecząco głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie o to chodzi. Podali sobie ręce. Wyszło to jakoś sucho i niezręcznie. Lemay chciał jeszcze coś powiedzieć, nie bardzo wiedział co.

— Pożegnaj ode mnie Chantal. Nie mogę zostać dłużej, mam wieczorem obiad.

Profesor odprowadził go do wyjścia.

— Bądź zdrów, Yves.

Kiedy Lemay wyszedł, Lefebvre stał jeszcze dobrą chwilę w drzwiach patrząc przed siebie. Usta poruszały mu się bezzębnym ruchem, jak gdyby ssały niewidoczny smoczek. Ale zaraz zebrał się w sobie, wyprostował i energicznym krokiem wszedł na taras.

Było już dobrze ciemno, a Chantal i Martin nie schodzili z tarasu i oparci o balustradę patrzyli na światła miasta migocące w dole jak rój świętojańskich robaczków. Po pogodnym dniu powietrze było rześkie, choć nieco mgliste. Nad wielkimi bulwarami stała wilgotna zorza, jak łuna olbrzymiego pożaru. Od rzeki zaciągnęło chłodem. Chantal wstrząsnęła się i przytuliła ramię do ramienia Martina.

— Pomówisz z ojcem?

Martin spojrzał na nią niespokojnie. Na jego jasnej, gallijskiej twarzy pojawił się wyraz troski.

— Gnębi cię to? — spytała znów Chantal.

Skinął głową. Chantal widziała jego delikatny profil na tle gwiazd. Podobał jej się szalenie ze swą suchą, rasową urodą, w której było już coś z wizerunku przyszłego bohatera.

— Pocałuj mnie — szepnęła.

Martin objął ją i pocałował, czule i krótko.

— Będę musiał jednakże pomówić z twoim ojcem. To zwykły nakaz honoru uczciwego człowieka i oficera.

Ostatnie słowa wypowiedział z wyraźną dumą. Chantal przytulona do jego ramienia, z głową wzniesioną do pocałunku, uśmiechnęła się z kobiecą wyrozumiałością. Martin ledwie ukończył z wyróżnieniem szkołę St. Cyr. Świeżutkie szlify podporucznika musiały mu jeszcze ciążyć trochę na ramionach. Pochodził ze wschodu, z jednej z tych szlacheckich rodzin, które parały się żołnierką od pokoleń.

— Wiesz przecież — mówił dalej — że za parę dni zdejmę piękny mundur elewa St. Cyr, a wdzieję battledress porucznika piechoty kolonialnej. Zostałem powołany na Daleki Wschód. Jak to pogodzić

z twoim ojcem, ze wszystkim, co on wyznaje? Co on na to powie? Jak dotąd nie domyśla się niczego.

— Nie wiem. Ostatnio jest jakiś nieswój. Zdaje mi się, że ma kłopoty polityczne. Zauważyłeś, jaki był zmieniony po rozmowie z Lemay'em?

— Nic dziwnego. Polityka to brudna sprawa. Na szczęście my, wojsko, nie mieszamy się do niej.

Chantal pocałowała go lekko w kąt ust. Nie musiała nawet wspinać się na palce, była zaledwie trochę niższa od niego. Ludzie często oglądali się za nimi na ulicy, jak na prowincji. „Popatrz, jaka piękna para".

Milczeli przez długą chwilę, patrząc, jak światła mostów topią się w Sekwanie. W rzekę wpadały co chwila czerwone to znów zielone słupy, w miarę jak zmieniały się automatyczne światła na przejazdach.

— Nie wyobrażam sobie, jak tam będziesz żył — westchnęła Chantal.

Martin wzruszył ramionami.

— Będę żył jak inni. W opowiadaniach kolegów to nawet nie wygląda tak strasznie. Najgorsze to nuda i deszcz. Niekiedy siedzi się miesiącami w izolowanych fortecach w górach. Podobno najgorsze jest otwieranie dróg dżungli dla konwojów. Mam tego przed sobą na pełnych osiemnaście miesięcy.

Przytuliła się do niego z czułością. Wzięła jego dłoń w swoją i tuliła do niej twarz.

Ucałował tkliwie jej oczy.

— Jedno mnie martwi najbardziej. Ostatnie dwa lata, bo tyle cię znam, upłynęły jak jedna chwila. Następnych osiemnaście miesięcy bez ciebie, to będzie wieczność.

Patrzyli sobie w oczy z uczuciem szczęścia.

— Wrócisz do mnie szybko — szepnęła Chantal.

— Poczekasz na mnie, prawda? — powiedział Martin.

Skinęli oboje głowami i uścisnęli się.

— No a teraz głowa do góry — rzekł Martin — nie jesteśmy przecież mazgaje.

Znowu zauważyli Paryż, rozpościerający jak okiem sięgnąć światła i łuny. Chantal oparła się o balustradę. Powiew idący od rzeki poruszał jej włosami i chłodził twarz.

— Powiedz, będzie ci żal Paryża? — spytała.

— Będzie mi żal opuszczać ciebie.

Poruszyła przecząco głową. W głosie jej już nie było wzruszenia.

— Nie, to nie o to chodzi. Ja nie mogę wyobrazić sobie życia bez Paryża. Nie potrafiłabym żyć poza Paryżem, lub czułabym się bardzo nieszczęśliwa. Ilekroć wyjeżdżam z Paryża, natychmiast zaczynam myśleć o powrocie. Nie rozumiem, jak ojciec mógł strawić tyle lat w obcych krajach. Ja nie umiałabym żyć gdzie indziej, nie mogłabym gdzie indziej czuć się szczęśliwa. Nie masz pojęcia, jaka jestem wdzięczna losowi, że stworzył mnie paryżanką. A pomyśl, że trzy miliardy ludzi nie ma tego szczęścia. Mogłam przecież być wśród tych trzech miliardów.

Patrzyła pałającymi oczyma na ogromne miasto całe w elektrycznej zorzy. Blisko prostokąt Pola Marsowego z pochodnią wieży Eiffla, dalej kopuła Inwalidów, kolorowa od świateł wstęga Sekwany, a daleko neonowe bukiety bulwarów i Montmartre'u, całe w mgłach i dymach.

— Wolałabym tu być biedna, niż gdzie indziej bogata. Czuję, że mogłabym umrzeć z tęsknoty za tym miastem. Znam w nim każdy zakątek, potrafię z zamkniętymi oczyma, tylko po zapachu rozróżnić każdą jego dzielnicę. Tam, na wyżynie Monceau chodziłam do szkoły. Tam, w dzielnicy łacińskiej odbywałam studia i żyłam miesiącami po studencku, jak ojciec był w Brazylii. Och, Martin, ty nie jesteś w stanie tego zrozumieć — nie jesteś paryżaninem!

Martin uśmiechnął się, ubawiony. To co mu się w Chantal tak ogromnie od pierwszej chwili podobało, to właśnie jej paryskość. Była paryżanką w każdym calu, w każdym szczególe garderoby, w każdym geście i każdym słowie. Wchłonęła w siebie cały urok tego miasta i przełożyła go na urok swej płci. Był w niej ten sam rozsądny umiar Północy i ta sama barwna łatwość życia Południa, to samo bogactwo i ta sama prostota. Czuło się w niej to samo dziedzictwo pokoleń, tę ciągłość sięgającą w głąb czasu, od której współczesność nabiera bukietu starego wina. Kiedy Martin przyjechał do Paryża ze swego rodzinnego miasta, z Nancy, kiedy poznał wkrótce po tym Chantal, czar stolicy świata i czar dziewczyny zlały się dlań w jedno przejmujące doznanie. Kochał Chantal za Paryż, który był cały w niej, a Paryż za Chantal całą w swym mieście wyrażoną. Chantal, gdziekolwiek na świecie spotkana, musiała przywoływać na myśl Pola Elizejskie i bulwary, uliczki wzgórza Św. Genowefy, Lasek Buloński i Ogród Luksemburski. Każde miejsce i każda pora Paryża musiały temu, kto znał Chantal, nasuwać reminiscencje jej wieczorów i poranków, jej oczu i ust.

— Kiedy wrócę, zobaczę was oboje w tej samej chwili. Ta myśl przez najbliższe półtora roku będzie musiała zastąpić mi szczęście.

Drzwi wiodące z salonu na taras otworzyły się, rzucając smugę światła. Profesor Lefebvre ukazał się w nich z pledem na ramionach.

— Przeziębicie się dzieci, wieczory są już chłodne.

Chantal powiedziała na głos:

— Mam sweter ojcze, a Martin jest zahartowany, jak na żołnierza przystało.

A zwracając się do Martina szepnęła:

— Powiemy mu teraz, dobrze?

Martin nie odpowiedział. Zsunął tylko obcasy z lekkim stuknięciem. Chantal podeszła do ojca stojącego ciągle w drzwiach i podstawiła mu trzcinowy szezlong.

— Usiądź z nami na chwilę. Owiń się tylko dobrze pledem. Popatrz na Paryż, wygląda jak ze snu.

Lefebvre usiadł. Od tych dwojga biło ciepło młodości, a może i miłości, ciepło, którego Lefebvre łaknął tego wieczora jak nigdy. Martin smukły i szlachetny, Chantal rozkwitła i ciepła — jaka piękna para!

— I cóż, mój Cydzie — zagadnął żartobliwie — nie uważasz, że trzeba przynieść Chantal coś do okrycia?

Martin wyszedł i po chwili przyniósł kaszmirowy szal, w którym Chantal wyglądała egzotycznie.

Usiedli oboje u stóp profesora na marokańskich poduszkach z tłoczonej skóry.

— Wiesz, ojcze — powiedziała Chantal — chcielibyśmy się pobrać.

Nastała krótka cisza, w której słychać było, jak przyspieszone bicie podziemnego tętna, dudnienie metro wlatującego na stację Trocadero.

— Cóż — powiedział wreszcie Lefebvre — nie wydaje mi się, żeby można było poprzestać na tym, co powiedziała Chantal. Co myślisz o tym, Martin?

Chłopiec odpowiedział spokojnie, nie podnosząc głowy:

— Wiem, to wymaga wyjaśnień. Oto one. Kocham Chantal i pragnę, aby została moją żoną. Ale zostałem powołany do Indochin. To oznacza półtora roku nieprzerwanej służby bez możliwości urlopu, chyba gdybym został ciężko ranny. Chciałbym, abyśmy się pobrali teraz, łatwiej mi będzie znieść to oddalenie z myślą, że w Paryżu czeka na mnie żona. Sądzę, że o mym uczuciu do Chantal wie pan od dawna.

— Nie — powiedział Lefebvre — nie wiem. Ojcowie o takich rzeczach dowiadują się zawsze ostatni.

Martin wykonał bezradny gest.

— Powinienem był właściwie dawno już z panem o tym pomówić. Mógł pan sobie przecież tego wszystkiego nie życzyć. Ale wolałem

nie przeprowadzać tak ważnej dla mnie rozmowy w mundurze ucznia St. Cyr. Niech pan mi wybaczy. I...

Podniósł na Lefebvre'a oczy i opuścił je z zażenowaniem.

— i jeszcze tylko... To jest jedyny zarzut, jaki mógłby mi pan postawić w związku z Chantal.

Światło z otwartych drzwi padało na jego wzruszoną twarz. Chantal nie odrywała od niej oczu. Otulona w barwny szal, czarnowłosa i skośnooka obudziła w profesorze wspomnienie, od którego ścisnęło mu się serce. Zwrócił się do niej.

— A jak ty sobie to wyobrażasz, córko?

Chantal przeniosła spojrzenie na ojca.

— Martin już powiedział wszystko. Teraz to już zależy od ciebie, ojcze. Moglibyśmy się teraz pobrać, a potem...

Lefebvre uśmiechnął się gorzko... a potem on by pojechał, prawda Chantal? Nie wychował córki na heroinę. Odsuwał od niej zawsze wszelką troskę, wszelki ból, pozwalał jej róść w paryskiej cieplarni na cudowny kwiat, którego barwą i wonią sam się odurzał.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Daleko na lewym brzegu zegar począł wybijać godzinę. Lefebvre pomyślał, że to bije godzina, którą odwlekał, godzina, w której miał sprawić Chantal pierwszy ból.

— Nie przyszło ci nigdy na myśl, że on może nie wrócić? Że może zginąć?

Teraz oboje podnieśli ku niemu twarze. Twarz Chantal zdziwiona raczej niż wstrząśnięta. Twarz Martina poważna, z rysem lekkiej dumy, jaką go napawać musiało prawdopodobieństwo własnej bohaterskiej śmierci.

Lefebvre mówił dalej:

— W Indochinach ginie codziennie jeden oficer — rocznie wynosi to więcej, niż ich wychodzi ze szkoły St. Cyr...

— Jesteś okrutny, ojcze — szepnęła Chantal.

Lefebvre pokiwał głową. — To ty jesteś okrutna, moja córko — pomyślał — tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Martin chrząknął głośno i powiedział z niezręcznością dobrze wychowanego młodzieńca, który sili się na ton łobuza:

— Nie chce pan wydać córki za przyszłego nieboszczyka...

Chantal, nie bacząc na ojca, zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Martinowi nic złego stać się nie może. Moja miłość go ochroni.

Lefebvre znowu pokiwał głową. Każda zwykła mawiać to samo w podobnych okolicznościach. Lefebvre, który był w okopach, wiedział

z doświadczenia, że dobrze napchany piaskiem worek chroni od nieszczęścia lepiej niż najczulsza miłość. Głośno powiedział:

— Wolałbym, aby twoja, jak mówisz, miłość, ochotna była chronić go z bliska w Tonkinie, niż z daleka, ze wzgórza Chaillot.

Chantal popatrzyła na ojca zdumionym wzrokiem.

— Nie rozumiem cię, ojcze.

— Nie chcesz mnie rozumieć. Wiem, co mówię, Chantal. Miłość jest najpiękniejszą przygodą, jaka może człowieka spotkać w życiu. Żadna cena za nią zapłacona nie jest za wysoka. Jest silniejsza niż jakiekolwiek inne uczucie. Nie boi się ani chłodu, ani głodu, ani strachu, ani starości, ani choroby, ani śmierci. To jest prawdziwa miłość, a tylko miłość prawdziwa jest poręką szczęścia. O cóż mi może chodzić bardziej jak o twoje szczęście, Chantal?

— Więc co — spytała Chantal — mam z nim iść w dżunglę? Tego chcesz?

Lefebvre siedział przez chwilę w milczeniu z pochyloną głową.

— Moja żona — powiedział jakoś cicho — poszła tam ze mną, bo mnie kochała. Zmarła w tym samym miejscu, w którym ty ujrzałaś świat. Jej grób zarosła dżungla.

Głos mu się załamał. Chantal otuliła się szczelniej w szal, przejęta chłodem. Martin siedział z zaciśniętymi ustami, z oczyma wbitymi w podłogę.

Profesor ciągnął dalej:

— Spytałaś przed chwilą, czy ja tego chcę. Ja niczego nie chcę, Chantal. Sama powiedziałaś, że to wy chcecie się pobrać. Ja nic nie mam przeciwko temu, pod warunkiem, że się kochacie naprawdę, bo małżeństwo jest tylko społeczną formą miłości. Dla twego szczęścia i dla mego spokoju ważniejsze jest nawet, czy ty kochasz Martina, niż to, czy on kocha ciebie.

— Panie Lefebvre — odezwał się Martin — zdaje mi się, że zaczynam pana rozumieć. Chce pan w ten sposób uniemożliwić Chantal małżeństwo z oficerem Korpusu Ekspedycyjnego. Takie małżeństwo kompromitowałoby pańską pozycję polityczną. Ojciec walczący przeciw „brudnej robocie", zięć prowadzący ją własnoręcznie, a córka pobierająca z tego tytułu zaopatrzenie ze skarbu państwa! To by był ładny kąsek dla pańskich przeciwników. Proszę pana jednak, na miły Bóg, niech mi pan to powie wprost. Tego właśnie obawialiśmy się oboje z Chantal, ale muszę powiedzieć, że tego właśnie oczekiwaliśmy.

Lefebvre patrzył na niego poważnie, nie przerywając mu najmniej-

szym gestem. Martin widział z bliska, jak w szkłach okularów profesora odbija się świetlana, paryska noc.

— Poruczniku Martin de Théoliere — powiedział z namaszczeniem Lefebvre — daję ci słowo, że się mylisz. Walcząc przeciwko „brudnej wojnie" walczę tym samym w obronie takich jak ty niepotrzebnych bohaterów, ginących co dzień na skraju pól ryżowych. Czy sądzisz, że słuszność mojej pozycji może być zachwiana przez fakt, iż odtąd stać będę także w obronie życia i sensu życia własnego zięcia, a tym samym w obronie szczęścia własnej córki?

Martin skłonił z czcią głowę.

— Przepraszam pana, profesorze, za to, że go nie doceniłem. Jest pan człowiekiem godnym najwyższego szacunku. Chciałbym ze swej strony zapewnić pana, że cokolwiek by się mi zdarzyć miało w Vietnamie, nie splamię nigdy honoru munduru, który noszę.

Profesor Lefebvre nic nie odpowiedział. — Ten chłopiec — myślał — chce na pewno przejść przez „brudną wojnę" nie splamiwszy rąk, w kazuarze i białych rękawiczkach St. Cyr. Chciałbym go widzieć po pierwszej pacyfikacji, w jakiej każą mu wziąć udział...

Martin czuł, jak dotykające go ramię Chantal drży od chłodu lub wzburzenia. Nic jej tu nie mógł pomóc, musiała sama rozprawić się ze sobą lub ojcem.

Chantal podniosła się i usiadła na podłodze u kolan ojca. Ujęła jego rękę, tuląc do niej twarz ruchem, który Martin znał tak dobrze. Siedziała teraz na wprost Martina, odległa o wyciągnięcie ramienia.

— Co mam robić, ojcze?

Lefebvre łagodnie wzruszył ramionami.

— Przecież ja od ciebie niczego nie wymagam.

Chantal przełknęła łzy.

— Nie chciałabym nigdy stać się niegodną twego szacunku. Ale jest mi ciężko. Chciałabym móc poradzić się matki.

Lefebvre drgnął.

— Tak — powiedział bezbarwnie — twoja matka umiałaby zapewne ci doradzić.

Chantal zwróciła się do Martina.

— Daj mi czas do jutra, Martin. Jutro ci powiem. Ojciec postawił mnie jak widzisz przed nielada dylematem.

Profesor Lefebvre przerwał jej.

— Ty mu też użycz czasu do namysłu, Chantal. Martin będzie go także potrzebował. Może i on z kolei zapragnie poradzić się matki...

Martin chciał zaprzeczyć, ale profesor ciągnął dalej:

— Nie mówcie nic, moje dzieci, niczego sobie nie przyrzekajcie, ani przed niczym się nie zarzekajcie, dopóki się nie przekonacie, że macie serca dobrze osadzone w piersi. A to się dopiero pokaże.

Myślał chwilę nad czymś, po czym powiedział z wysiłkiem, jakby pokonywując wielki wewnętrzny opór:

— Opowiem wam pewne zdarzenie z mojego życia, które może wam się przydać. Nie niepokojcie się, to nie będzie długa historia.

Poprawił pled na ramionach i popatrzył w gwiazdy. Stały wysoko nad miastem, blade i drżące, przyćmione światłami ziemi. Lefebvre przymknął oczy, jakby od bólu, i począł mówić.

— W 1928 roku kierowałem ekspedycją archeologiczną, która miała dokonać prac odkrywczych w Vat-Phon. Jest to tajemnicza świątynia buddyjska w głębi dżungli, na granicy południowego Laosu i Kambodży. Zbudowano ją w VII wieku na stoku wzgórza, na prawym brzegu Mekongu. Stała ona niegdyś w środku wspaniałego, kamiennego miasta. Miasto spustoszone zostało przez najazd Syjamu w XIII wieku. Od siedmiu stuleci pożera je dżungla. Już pierwsze odkrywki przekonały mnie, że Vat-Phon zatopiona w błocie i pokryta dżunglą jest cudem budownictwa, równym świątyni w Angkor. Znałem już zresztą szczątki „drogi królewskiej", która niegdyś łączyła Vat-Phon z Angkor. Zachowały się na niej po dziś dzień kamienne schrony pielgrzymie, zwane „dharmasala".

— Wkrótce mogliśmy już ustalić, że świątynia mierzy 600 metrów długości. Plan, jaki Charpentier narysował w 1914, okazał się dość ścisły. Nie wiadomo było tylko, gdzie szukać miasta, które otaczało świątynię. Ogarnął nas po prostu szał. Nie myśleliśmy o niczym, tylko o świątyni. Gdzieś opodal leżało miasto pożarte przez tropikalną dżunglę. Warto było temu poświęcić życie.

Przerwał i roztargnionym spojrzeniem powiódł po młodych. Widać było, że z trudem przychodzi mu oderwać się od wspomnienia starych murów w dżungli.

— Twoja matka... moja żona była tam ze mną przez cały czas. Ani spostrzegliśmy się, jak nadeszła pora deszczowa, później pora mussonu i znowu pora deszczów. Grzebaliśmy się w błocie, paliliśmy i trzebili dżunglę, trzęsąc się od malarii. Świątynia odsłaniała się cudownie piękna, cal po calu. Krajowcy uciekali nam ciągle, przejęci nabożnym strachem. Trzeba było werbować nowych. Trzeba było bronić kamieni zwróconych światłu słońca przed błotem i tropikalną roślinnością. Moja żona była młoda, pomagała mi z wszystkich sił. Widziała, że w Vat-Phon wkładam całe swe życie. Ale pewnego dnia, w środku pory deszczowej

zachorowała. Poczęła skarżyć się na bóle w brzuchu. Wzięliśmy ją na nosze i poczęliśmy przedzierać się ku najbliższej drodze. Bóle stawały się coraz dotkliwsze. Potem mówiło się, że umarła przy porodzie.

Wyciągnął dłoń ku Chantal i pogładził jej włosy.

— Umarła w głębi dżungli, w osadzie Moisów, do której zdołaliśmy z nią dotrzeć. Moisi są podobni do Indian, nadzy i prości; kobiety ich są bardzo piękne. Mekong wylał szeroko, nie można było przebrnąć przez błota i rozlewiska. Dżungla była mokra i parna jak łaźnia. Moisi na pierwszy nasz widok uciekli w las. Złożyliśmy umierającą w bambusowej chacie. Zanim umarła, zdążyła wziąć na ręce paromiesięczną, nagą dziewczynkę, w popłochu porzuconą przez Moisów na ścieżce. Dałem jej imię mojej żony — Chantal.

Lefebvre przerwał. Znowu dało się słyszeć głuche dudnienie metro, jakby serce miasta biło pod ziemią. Lefebvre nie przestawał gładzić dłonią włosów Chantal.

— Moisi nie wracali przez następną dobę. Nie mogliśmy cię tam zostawić.

Lefebvre nie mógł mówić dalej. Chantal siedziała u jego nóg, skulona jak psiak. Martin patrzył na nią znieruchomiałym wzrokiem Owinięta ciasno barwnym szalem wyglądała jak „nha-qué", wieśniaczka z wyżyn nad Mekongiem, siedząca w kuczki.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Mirosław Żuławski

MAO TSE-TUNG

W sprawie sprzeczności

DWA POGLĄDY NA ŚWIAT

W historii poznania ludzkiego z dawien dawna istnieją dwie koncepcje praw rozwoju świata: jedna — metafizyczna, druga — dialektyczna; stanowią one dwa przeciwstawne sobie poglądy na świat. Lenin mówi: „Dwie podstawowe (lub dwie możliwe? lub dwie dające się zaobserwować w historii?) koncepcje rozwoju (ewolucji) to: rozwój jako zmniejszanie się i zwiększanie, jako powtórzenie, i rozwój jako jedność przeciwieństw (rozdwojenie jedności na wzajemnie wyłączające się przeciwieństwa i wzajemny stosunek między nimi)".* Lenin mówi tutaj o tych dwóch odmiennych poglądach na świat.

Zarówno w Chinach, jak i w Europie metafizyczny sposób myślenia w ciągu bardzo długiego okresu dziejów cechował światopogląd idealistyczny i panował w umysłach ludzkich. W Europie w początkowym okresie istnienia kapitalizmu metafizyczny był również materializm. Wskutek tego, że wiele państw europejskich w toku swego rozwoju społeczno-ekonomicznego wkroczyło w fazę wysoko rozwiniętego kapitalizmu, że siły wytwórcze, walka klasowa i nauka osiągnęły niebywały w dziejach poziom rozwoju, a proletariat przemysłowy stał się największą siłą napędową historii — powstał marksistowski światopogląd dialektyczno-materialistyczny. Wtedy w obozie burżuazji, obok otwartego, niczym nie zamaskowanego reakcyjnego idealizmu, zjawił się wulgarny ewolucjonizm, który wystąpił przeciwko dialektyce materialistycznej.

Metafizyka lub wulgarny ewolucjonizm traktuje wszystkie rzeczy w świecie jako izolowane, znajdujące się w stanie spoczynku, rozpatruje je w sposób jednostronny. Wszystkie rzeczy i zjawiska w świecie, ich formy i kategorie traktują zwolennicy takiego poglądu na świat jako izolowane od siebie na wieki i nie ulegające nigdy zmianom. Jeśli zaś nawet przyznają oni, że zachodzą zmiany, to jedynie w postaci ilościowego zwiększania się lub zmniejszania oraz mechanicznej zmiany miejsca. Na domiar tego przyczyny owego zwiększania się lub zmniejszania i zmiany miejsca tkwią — ich zdaniem — nie w samych rzeczach i zjawiskach, lecz poza nimi, to jest w oddziaływaniu sił zewnętrznych. Metafizycy sądzą, że różnorodne rzeczy i zjawiska w świecie oraz ich właściwości są niezmienne od początku swego istnienia, późniejsze zaś zmiany stanowią jedynie ilościowe zwiększanie się lub zmniejszanie. Metafizycy sądzą, iż rzecz może jedynie odtwarzać bez końca samą siebie, lecz nie może przekształcić się w inną, odmienną rzecz. Zdaniem metafizyków, wyzysk kapitalistyczny, konkurencję kapitalistyczną, indywidualistyczną psychikę społeczeństwa kapitalistycznego — wszystko to można zaobserwować również w starożytnym społeczeństwie niewolniczym, a nawet, co więcej, w społeczeństwie pierwotnym, i wszystko to istnieć bę-

* W. I. Lenin, W sprawie dialektyki, patrz: Zeszyty filozoficzne, cyt. wyd., str. 327—328.

dzie wiecznie i niezmiennie. Mówiąc o przyczynach rozwoju społecznego metafizycy tłumaczą go zewnętrznymi dla społeczeństwa warunkami — środowiskiem geograficznym, klimatem itp. Usiłują oni po prostu znaleźć przyczyny rozwoju poza samymi rzeczami i zjawiskami, negując tezę dialektyki materialistycznej, która głosi, że rozwój wywołują sprzeczności wewnętrzne, właściwe samym rzeczom i zjawiskom. Dlatego też nie są oni w stanie wytłumaczyć jakościowej wielorakości przedmiotów i zjawisk oraz przekształcania się jednej jakości w inną. W Europie ten sposób myślenia w XVII i XVIII wieku znajdował wyraz w materializmie mechanistycznym, a w końcu wieku XIX i na początku XX — w wulgarnym ewolucjonizmie. W Chinach zaś rzecznikiem metafizycznego sposobu myślenia wyrażającego się w słowach: „niebo jest niezmienne i niezmienne jest tao" * była przez długi okres czasu na wskroś zgniła panująca klasa feudałów. Burżuazja natomiast była rzecznikiem materializmu mechanistycznego i wulgarnego ewolucjonizmu, importowanych w ostatnim stuleciu z Europy.

W przeciwieństwie do metafizycznego poglądu na świat światopogląd dialektyczno-materialistyczny wymaga, abyśmy badając rozwój rzeczy i zjawisk brali za punkt wyjścia ich treść wewnętrzną, związek, jaki zachodzi między jedną rzeczą a drugą, to jest, abyśmy rozpatrywali rozwój rzeczy i zjawisk jako ich wewnętrzny, konieczny samoruch, przy czym każda rzecz (zjawisko) w swym ruchu znajduje się we wzajemnym związku i wzajemnym oddziaływaniu z innymi otaczającymi ją rzeczami lub zjawiskami. Zasadnicza przyczyna rozwoju rzeczy znajduje się nie poza nimi, lecz tkwi w nich, w sprzecznej naturze, stanowiącej wewnętrzną właściwość samych rzeczy. Każdej rzeczy i każdemu zjawisku właściwe są sprzeczności wewnętrzne. To one właśnie wywołują ruch i rozwój rzeczy. Sprzeczności wewnętrzne właściwe rzeczom i zjawiskom stanowią zasadniczą przyczynę ich rozwoju, podczas gdy wzajemny związek i oddziaływanie wzajemne między jedną rzeczą lub zjawiskiem a innymi rzeczami lub zjawiskami — to przyczyny drugiego rzędu. Tak więc dialektyka materialistyczna stanowczo odrzuciła metafizyczną teorię przyczyny zewnętrznej lub bodźca zewnętrznego, lansowaną przez zwolenników materializmu mechanistycznego i wulgarnego ewolucjonizmu. Jest rzeczą oczywistą, że przyczyny czysto zewnętrzne mogą wywoływać jedynie mechaniczny ruch rzeczy, to jest zmianę objętości i ilości, ale nie można nimi wytłumaczyć, dlaczego rzeczom i zjawiskom właściwa jest nieskończona wielorakość jakościowa i dlaczego następuje przemiana jednej jakości w inną. W rzeczywistości nawet ruch mechaniczny, wywoływany przez bodziec zewnętrzny, dokonuje się również poprzez wewnętrzne sprzeczności rzeczy. W świecie roślinnym i zwierzęcym zwykły wzrost i rozwój ilościowy są również wynikiem przede wszystkim sprzeczności wewnętrznych. Zupełnie tak samo rozwój społeczny uwarunkowany jest przede wszystkim przyczynami nie zewnętrznymi, lecz wewnętrznymi.

Wiele państw, które znajdują się w jednakowych niemal warunkach geograficznych i klimatycznych, głęboko się od siebie różnią pod względem

---

* W epoce Han znany przedstawiciel szkoły konfucjańskiej Tung Czung-szu (179—104 przed naszą erą) powiedział cesarzowi Wu-ti: „Tao — pochodzi od nieba. Niebo jest niezmienne, a zatem niezmienne jest również tao" Filozofowie starochińscy często używali słowo „tao". Jego znaczenie — „droga", „zasada", a również „prawo", „prawidłowość".

poziomu swego rozwoju i rozwój ich odbywa się nader nierównomiernie. Nawet w jednym i tym samym państwie, które nie doznało żadnych zmian geograficznych i klimatycznych, dokonują się ogromne przemiany społeczne. Rosja imperialistyczna przekształciła się w socjalistyczny Związek Radziecki, a zasklepiona w sobie feudalna Japonia stała się Japonią imperialistyczną, chociaż geografia i klimat tych krajów nie uległy zmianie. W Chinach, gdzie przez długi czas panował ustrój feudalny, zaszły w ciągu ostatnich 100 lat ogromne zmiany, obecnie zaś dokonują się zmiany w kierunku utworzenia wyzwolonych, wolnych, nowych Chin, jakkolwiek geografia i klimat Chin bynajmniej się nie zmieniły. Co prawda, geografia i klimat całej kuli ziemskiej i poszczególnych jej części również się zmieniają, ale w porównaniu z przemianami społecznymi są to zmiany zupełnie znikome: dla tych pierwszych jednostką czasu, w ciągu którego następują dostrzegalne zmiany, są dziesiątki i setki tysiącleci, dla drugich zaś — tysiąclecia, stulecia, dziesięciolecia, a nawet kilka lat lub miesięcy (w okresie rewolucji). Z punktu widzenia dialektyki materialistycznej zmiany w przyrodzie uwarunkowane są głównie rozwojem jej sprzeczności wewnętrznych, a przemiany społeczne — głównie rozwojem sprzeczności zawartych wewnątrz społeczeństwa, to jest sprzeczności między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji, sprzeczności między klasami, sprzeczności między nowym a starym. Rozwój tych sprzeczności pcha społeczeństwo naprzód, doprowadza do zastąpienia starego społeczeństwa nowym.

Czy dialektyka materialistyczna wyklucza działanie przyczyn zewnętrznych? Nie, nie wyklucza. Dialektyka materialistyczna uważa, że przyczyny zewnętrzne są warunkiem przemian, a przyczyny wewnętrzne — podstawą przemian, przy czym zewnętrzne przyczyny działają poprzez wewnętrzne. Jajo po otrzymaniu odpowiedniej ilości ciepła przekształca się w kurczę, ale ciepło nie może przekształcić w kurczę kamienia, gdyż podstawa ich jest odmienna. Wzajemny wpływ poszczególnych narodów istnieje stale. W epoce kapitalizmu, zwłaszcza zaś w epoce imperializmu i rewolucji proletariackich, wzajemny wpływ i oddziaływanie polityczne, ekonomiczne i kulturalne poszczególnych państw są ogromne. Październikowa Rewolucja Socjalistyczna rozpoczęła nową erę nie tylko w dziejach Rosji, lecz także w dziejach całego świata. Wpłynęła ona na przemiany wewnętrzne w różnych krajach, także — i to ze szczególną siłą — na przemiany wewnętrzne w Chinach. Jednakże przemiany te, zarówno w różnych innych krajach jak i w Chinach, nastąpiły poprzez prawidłowości wewnętrzne samych tych krajów i Chin. W starciu między dwiema armiami o zwycięstwie czy klęsce decydują przyczyny wewnętrzne. Zwycięstwo jest rezultatem potęgi armii lub właściwego dowodzenia; klęska wypływa ze słabości armii lub błędów w dowodzeniu; przyczyny zewnętrzne oddziałują poprzez wewnętrzne. W roku 1927 w Chinach przyczyną porażki, jaką burżuazja zadała proletariatowi, był oportunizm wewnątrz samego proletariatu chińskiego (w Komunistycznej Partii Chin). Kiedy zlikwidowaliśmy oportunizm, rewolucja chińska znowu wzmogła się na siłach. Później rewolucja chińska znów poważnie ucierpiała od ciosów wroga — tym razem w rezultacie pojawienia się wewnątrz naszej partii tendencji awanturniczych. Kiedy zaś zlikwidowaliśmy awanturnictwo, sprawa nasza znów zaczęła odnosić sukcesy. Aby więc doprowadzić rewolu-

cję do zwycięstwa, partia powinna opierać się na słuszności swojej linii politycznej i na mocy swej organizacji.

Dialektyczny pogląd na świat zrodził się i w Chinach, i w Europie już w starożytności. Jednakże dialektyka starożytna miała charakter żywiołowy, prymitywny; w ówczesnych warunkach społecznych i historycznych nie mogła się ona jeszcze ostatecznie ukształtować. Wskutek tego nie mogła wszechstronnie objaśniać świata i na jej miejsce przyszła później metafizyka. Znany filozof niemiecki Hegel, który żył w końcu XVIII i na początku XIX wieku, wniósł do dialektyki nader poważny wkład, ale dialektyka jego była idealistyczna. Dopiero z chwilą, gdy wielcy działacze ruchu proletariackiego, Marks i Engels, uogólnili pozytywne wyniki osiągnięte przez ludzkość w toku rozwoju poznania, a w szczególności przejęli w sposób krytyczny racjonalne elementy dialektyki Hegla i stworzyli wielką teorię materializmu dialektycznego i historycznego, w dziejach poznania ludzkiego dokonała się olbrzymia rewolucja. W czasach późniejszych tę wielką teorię rozwinęli Lenin i Stalin. Skoro tylko teoria ta przeniknęła do Chin, natychmiast wywołała ona tutaj ogromne przemiany w umysłach ludzkich.

Dialektyczny pogląd na świat uczy ludzi przede wszystkim tego, jak należy badać, analizować ruch sprzeczności w rozmaitych rzeczach i zjawiskach oraz jak na podstawie tej analizy określać metody rozwiązania sprzeczności. Toteż konkretne zrozumienie właściwego rzeczom prawa sprzeczności jest dla nas niezmiernie ważne.

POWSZECHNY CHARAKTER SPRZECZNOŚCI

Dla ułatwienia wykładu zatrzymam się najpierw na powszechnym charakterze sprzeczności, a potem przejdę do jej specyfiki. Chodzi o to, że po odkryciu światopoglądu dialektyczno-materialistycznego przez wielkich twórców marksizmu, Marksa i Engelsa, oraz kontynuatorów ich dzieła, Lenina i Stalina, dialektyka materialistyczna została zastosowana z olbrzymim powodzeniem w wielu dziedzinach badania historii ludzkości i historii przyrody, w wielu dziedzinach przeobrażeń społecznych i przeobrażenia przyrody (na przykład w ZSRR). Powszechny charakter sprzeczności uznało już bardzo wielu ludzi i dlatego nie trzeba wiele mówić, aby wyjaśnić to zagadnienie; natomiast wielu towarzyszy, a w szczególności dogmatycy, nie orientuje się jeszcze w kwestii specyfiki sprzeczności. Nie rozumieją oni, że w sprzecznościach ogólne istnieje w szczególnym. Nie rozumieją oni również, jak wielkie znaczenie dla naszego kierownictwa praktyką rewolucyjną ma badanie tego, co w sprzecznościach jest specyficzne, właściwe konkretnym rzeczom i zjawiskom naszych czasów. Dlatego też problem elementu specyficznego w sprzecznościach wymaga poważnych studiów i należy rozpatrzeniu tego problemu poświęcić odpowiednie miejsce. Oto dlaczego badając właściwe rzeczom i zjawiskom prawo sprzeczności rozpatrzymy najpierw kwestię powszechnego charakteru sprzeczności, później przeanalizujemy szczegółowo kwestię specyfiki sprzeczności, a następnie znowu wrócimy do sprawy powszechności.

Problem powszechnego lub absolutnego charakteru sprzeczności ma dwie strony: po pierwsze — sprzeczności istnieją w procesach rozwoju wszystkich rzeczy i zjawisk, po drugie — w procesie rozwoju każdej rzeczy i każdego zjawiska ruch sprzeczności istnieje od początku aż do końca.

Engels mówi: „Sam ruch jest sprzecznością..." * Leninowskie określenie prawa jedności przeciwieństw głosi, że jest to „uznanie (wykrycie) sprzecznych, wzajemnie się wyłączających, przeciwstawnych tendencji we wszystkich zjawiskach i procesach przyrody (a więc także i ducha, i społeczeństwa)" **.

Czy słuszne są te tezy? Tak, słuszne. Wzajemna zależność i walka właściwych każdemu zjawisku przeciwieństw określa życie wszystkich rzeczy i zjawisk, jest motorem rozwoju wszystkich rzeczy i zjawisk. Nie ma rzeczy nie zawierającej sprzeczności. Gdyby nie było sprzeczności, nie byłoby rozwoju wszechświata.

Sprzeczność jest podstawą prostych form ruchu (na przykład ruchu mechanicznego), a tym bardziej podstawą złożonych form ruchu.

Engels w następujący sposób wytłumaczył powszechny charakter sprzeczności: „Jeżeli już prosta mechaniczna zmiana miejsca zawiera w sobie sprzeczność, to tym bardziej zawierają ją wyższe formy ruchu materii, a zwłaszcza życie organiczne i jego rozwój... Życie polega przede wszystkim na tym właśnie, że dana istota jest w każdej chwili ta sama, a jednak inna. Życie jest to więc także sprzeczność tkwiąca obiektywnie w samych rzeczach i procesach, nieustannie się wyłaniająca i rozwiązująca; a gdy ustaje sprzeczność, ustaje także życie, następuje śmierć. Podobnie widzieliśmy, że również w dziedzinie myślenia nie możemy ustrzec się sprzeczności, że na przykład sprzeczność między wewnętrznie nieograniczoną ludzką zdolnością poznawczą a jej rzeczywistym działaniem tylko poprzez ludzi, zewnętrznie ograniczonych i poznających w sposób ograniczony, rozwiązuje się w praktycznie, przynajmniej dla nas, nieskończonym szeregu następujących po sobie pokoleń, w nieskończonym postępie... Jedną z głównych podstaw wyższej matematyki jest sprzeczność... Ale i ona (niższa matematyka — przyp. red.) roi się od sprzeczności" ***.

Również Lenin w takiż sposób tłumaczył powszechny charakter sprzeczności:

„W matematyce + i —. Różniczka i całka.
W mechanice działanie i przeciwdziałanie.
W fizyce elektryczność dodatnia i ujemna.
W chemii łączenie się i dysocjacja atomów.
W naukach społecznych walka klasowa" ****.

W wojnie natarcie i obrona, posuwanie się naprzód i odwrót, zwycięstwo i klęska — są to wszystko zjawiska ze sobą sprzeczne. Bez jednej strony nie ma również drugiej. Walka i związek wzajemny tych dwóch stron stanowią wojnę w jej całości, są motorem rozwoju wojny, decydują o jej wyniku.

---

* F. Engels, Anty-Dühring. Część pierwsza. Filozofia. XII Dialektyka. Ilość i jakość, Warszawa 1949, str. 119.

** W. I. Lenin, W sprawie dialektyki, Zeszyty filozoficzne, cyt. wyd., 1947, str. 327.

*** F. Engels, Anty-Dühring. Część pierwsza. Filozofia. XII. Dialektyka. Ilość i jakość, cyt. wyd., str. 119—120.

**** W. I. Lenin, W sprawie dialektyki, Zeszyty filozoficzne, cyt. wyd., str. 327.

Wszelką rozbieżność pojęć ludzkich należy traktować jako odbicie obiektywnych sprzeczności. Obiektywne sprzeczności, odbijając się w subiektywnym myśleniu, wytwarzają pełen sprzeczności ruch pojęć, są motorem rozwoju myśli ludzkiej, rozwiązują nieustannie wyłaniające się przed myślą ludzką zagadnienia.

Przeciwstawność i walka różnych poglądów w partii powstają stale; jest to odbicie na terenie partii istniejących w społeczeństwie sprzeczności klasowych i sprzeczności między tym, co nowe, a tym, co stare. Jeżeli w partii nie ma sprzeczności i walki poglądów, w której toku następuje przezwyciężenie sprzeczności, życie partii ustaje.

Tak więc ustaliliśmy, że wszędzie, we wszystkich procesach, istnieją sprzeczności — zarówno w prostych, jak i w złożonych formach ruchu, zarówno w świecie obiektywnym, jak i w świadomości ludzkiej. Czy istnieje jednak sprzeczność w początkowym stadium każdego procesu? Czy proces rozwoju każdej rzeczy i zjawiska nacechowany jest sprzecznościami od początku do końca?

Jak wynika z artykułów, w których filozofowie radzieccy poddają krytyce szkołę Deborina, szkoła ta broni stanowiska, że sprzeczność pojawia się nie na samym początku procesu, lecz dopiero w określonym stadium jego rozwoju. Do tej zatem chwili rozwój procesu przebiega pod wpływem przyczyn zewnętrznych, nie zaś wewnętrznych. Tak więc Deborin stacza się do metafizycznej teorii bodźca zewnętrznego, do mechanicyzmu. Rozpatrując z tego punktu widzenia konkretne problemy zwolennicy Deborina dochodzili do wniosku, że między kułakami a masami chłopskimi w warunkach radzieckich istnieją jedynie różnice, lecz że nie ma między nimi sprzeczności, i zgadzali się całkowicie z zapatrywaniami bucharinowskimi. Rozpatrując rewolucję francuską uważali oni, że przed rewolucją w obrębie stanu trzeciego, który składał się z robotników, chłopów i burżuazji, również istniały tylko różnice, ale nie było sprzeczności. Ten pogląd szkoły Deborina jest poglądem antymarksistowskim. Zwolennicy Deborina nie rozumieli, że każda różnica już zakłada sprzeczność, że różnica to sprzeczność. Już w najwcześniejszym okresie pojawienia się burżuazji i proletariatu powstała sprzeczność między pracą a kapitałem, choć jeszcze się nie zaostrzyła. Między robotnikami a chłopami nawet w warunkach społeczeństwa radzieckiego istnieją różnice. Różnice pomiędzy nimi są sprzecznością; nie może ona jedynie zaostrzyć się i stać się antagonizmem, nie może przybrać formy walki klasowej, nie jest czymś równym pod względem znaczenia ze sprzecznością między pracą a kapitałem; w toku budownictwa socjalistycznego robotnicy i chłopi zawarli trwały sojusz i wspomniana sprzeczność rozwiązuje się stopniowo w procesie rozwoju od socjalizmu do komunizmu. Można tu jednak mówić tylko o różnicach w charakterze sprzeczności, nie zaś o istnieniu lub nieistnieniu sprzeczności. Sprzeczność ma charakter powszechny, absolutny, tkwi we wszystkich procesach rozwoju rzeczy i zjawisk i przenika wszystkie procesy od początku do końca.

Co oznacza powstanie nowego procesu? Oznacza to, że dawna jedność i tworzące ją przeciwieństwa ustępują miejsca nowej jedności i tworzącym ją nowym przeciwieństwom, a wówczas powstaje nowy proces, który zjawia się na miejsce starego. Stary proces dobiega kresu, nowy proces powstaje.

Nowy proces, zawierający nowe sprzeczności, rozpoczyna historię rozwoju swoich sprzeczności.

Lenin wskazuje, że Marks w Kapitale dał wzór analizy ruchu sprzeczności przenikających cały proces rozwoju rzeczy czy zjawiska od początku aż do końca. Jest to metoda, którą należy stosować przy badaniu procesu rozwoju każdego zjawiska. Również sam Lenin prawidłowo stosował tę metodę, nią przepojone są wszystkie jego prace.

„W Kapitale Marks analizuje najpierw najprostszy, najzwyklejszy, podstawowy, występujący najbardziej masowo, najbardziej powszedni, miliardy razy spotykany stosunek burżuazyjnego (towarowego) społeczeństwa: wymianę towarów. W tym elementarnym zjawisku (w tej „komórce" społeczeństwa burżuazyjnego) analiza ujawnia wszystkie sprzeczności (*respective* zarodek wszystkich sprzeczności) współczesnego społeczeństwa. Dalszy wykład pokazuje nam rozwój (i wzrost, i ruch) tych sprzeczności i tego społeczeństwa w Σ* „jego poszczególnych części, od jego początku do jego końca".

Następnie Lenin wskazuje: „Taka właśnie powinna być metoda wykładu (*respective* studiowania) dialektyki w ogóle..." **.

Komuniści chińscy powinni opanować tę metodę; tylko wówczas potrafią oni poprawnie analizować historię i współczesną sytuację rewolucji chińskiej oraz wyznaczać jej perspektywy.

Sierpień, 1937.

Mao Tse-tung

Rozdziały wyjęte z pracy Mao Tse-tunga W sprawie sprzeczności, która ukaże się nakładem Książki i Wiedzy.

---

* Σ — litera grecka „sigma" używana w matematyce dla oznaczania sumy. — Red. przekł. polsk.

** W. I. Lenin, W sprawie dialektyki, Zeszyty filozoficzne, cyt. wyd., str. 328.

Z poezji radzieckiej

MICHAŁ SWIETŁOW

NAD STRONICAMI „MANIFESTU"

Stulecie kartę odwraca po karcie —
Sto lat walk, zwycięstw, wysiłku ludzkiego!
To nie jest widmo, to żołnierz na warcie
U granic państwa komunistycznego.

Wstał świt różowy, czysty, jak umyty.
Wartownik zwrócił wzrok w stronę zachodu,
Tam lew brytyjski jak miś pospolity
Łapę swą własną ssie żarłocznie z głodu.

Wiekiem przeżytym kontynent się dławi,
Toń Atlantyku targa fali grzywę
Bijąc o brzeg, gdzie Nowy York wystawił
Olbrzymi pomnik wolności fałszywej.

Wartownik widzi, jak się w dali mieni
Przestrzeń obszarem żyzna i bogata —
To nie jest widmo, to żywa krew ziemi
Pulsując wstrząsa posadami świata.

Wiew dziejów nowe wciąż odwraca karty,
Lecz ta lśnić będzie blaskiem prawdy wiecznie,
Bo w niej przed laty stu został zawarty
Przyszły życiorys planety słonecznej.

1948

przełożył **Zbigniew Bieńkowski**

EUGENIUSZ DOŁMATOWSKI

MOGIŁA GOETHEGO

Tak będzie, wiem: wejdziemy świtem
Do zgrzybiałego niemieckiego miasta,
Co drzemie dachówkami mchu okryte,
A skośny deszcz stuletnie bruki chlasta.

Tak przejedziemy przez ulice puste,
Z luf karabinów deszcz strumieniem spływa.
I powie swoim żołnierzom dowódca:
„Tutaj, w tym mieście Goethe spoczywa".

Zeskoczą z maszyn owianych legendą
Gwardziści nasi z brygady Puszkina
I przy cmentarnym murze stojąc będą
Milczeć i miejsca znajome wspominać.

Przypomną owe puszkinowskie góry,
Trigorskie wspomną święte okolice,
Wielką mogiłę, tę samą, na której
Kolby mordercze roztrzaskały płytę.

Czołgów potężny wstrząsa miastem warkot...
Bulgoce deszcz.
Świt bladą zapala rakietę.
Milcząc gwardziści odprawują wartę
Obok kamienia, pod którym śpi Goethe.

AKTORZY

Nad granicą noc Nowego Roku...
Ciężarówka grzmi jak czarna burza.
Lekko w śnieżnym wirując obłoku,
Droga wprost na księżyc się wynurza.

Jak najprędzej dobrnąć by do stacji!
Dawno czeka oddział pograniczny.
Wśród wyciętych z dykty dekoracji
Zziębli ludzie zebrali się licznie.

Jak najbliższych witają na świecie,
Do jadalni prowadzą ich ławą.
Mówią: „Grać tu bez szminki możecie,
U nas, wiecie, jest dosyć ciemnawo".

Światło lampy mdłe gasnąć poczyna,
Świat nieznany wykwita i tłumny:
Staroświeckie fragmenty z Rasyna,
Szekspir uroczysty i rozumny.

Potem na sceniczne proste deski,
Wywołując naprzód młodzież całą,
Jak dzwon brzmiący
wstaje
Majakowski
Radość dłoni budząc długotrwałą.

Czas uchodzi szybko jak w pogoni,
Dla aktorów nikną scena, role.
Ludzie wchodzą w szubach ośnieżonych,
Inni znów odchodzą na patrole.

Wreszcie pożegnania czas nastaje.
Oto zjawia się i szofer śpiący.
Znowu, znowu dudniące rozstaje,
Przestwór rośnie chłodny i milczący.

Czy się kiedy Desdemonie śniły
Wschód Daleki, noc ta w głuszy białej,
I te w głosie jej lekko ochrypłym
Zakochane odtąd dwa oddziały?

1938

przełożyła **Anna Kamieńska**

ALEKSANDER PROKOFIEW

ODPOWIEDŹ

Śpią snem głębokim. Już ich nie zbudzimy.
Śpią pod wzgórzami i u miejskich bram.
Nie zapomnieliśmy! Nie zapomnimy!
Jakże zapomnieć nam!

Pod Moskwą śpią i śpią pod Pragą starą,
I tam, gdzie morze kipi w obcym kraju,
Śpią owinięci czerwonym sztandarem,
W bratnich mogiłach spoczywają.

I w piaskach płowych i w pól zieleni,
W ziemi dalekiej, w ziemi bliskiej...

My dzisiaj wszyscy powstajemy
Przeciwko śmierci transatlantyckiej.

Nie chcemy, żeby znowu mogiły
Rosły na całym globie,
Nie wydarliśmy przyjaciół miłych
Z serc pogrążonych w żałobie.

Tych, którzy padli, by na naszej ziemi
Żyło się jasno, spokojnie...
A więc za siebie i za nich krzykniemy:
— Śmierć wojnie!
Tej, która zwisa nad przestworem.
Transatlantyckim czarnym upiorem.

przełożył **Leopold Lewin**

MICHAŁ ISAKOWSKI

WIŚNIA

W jasne południe w rodzinne strony
Wracał staruszek śródpolną drogą.
Gdzieś tam wykopał wisienkę młodą
I niósł do domu — zadowolony.

Spogląda wokół na kłosy wiotkie
I na bociana na jednej nodze,
I myśli sobie: „Ech, na pamiątkę
Zasadzę wiśnię przy naszej drodze.

Niech sobie rośnie ludziom na chwałę,
Wielka — wielgachna i rosochata,
Niech upiększając drogę wspaniale
Każdego roku kąpie się w kwiatach.

Wędrowiec pod nią położy głowę,
Odpocznie w ciszy i w chłodnym cieniu,
I jedząc smaczny, soczysty owoc,
Pewnie i o mnie wspomni w milczeniu.

Nie wspomni — o to się nie pogniewam,
Ja i bez wspomnień sobie poradzę,
Wszystko mi jedno, nie chce — nie trzeba,
Wiśnię przy drodze i tak zasadzę".

przełożył **Leopold Lewin**

MIKOŁAJ TICHONOW

KIROW Z NAMI

Poemat

1

Mrok na oślepłe domy spada,
Jak ciężkie sny, jak majaczenia;
W żelaznych nocach Leningradu
Panuje cisza oblężenia.
Wycie wśród ciszy tej rozbrzmiewa,
Słychać syreny alarm ostry
I bomby świszczą ponad Newą
Płomieniem ogarniając mosty.
W grzechocie, wśród pocisków gradu,
Gdy wrogi nalot północ wieści,
W żelaznych nocach Leningradu
Kirow odbywa ront po mieście.
W żołnierskim, starym swym szynelu
Podąża krokiem tak swobodnym,
Jak kiedyś szedł na pułków czele,
Gdy je w zwycięskie boje wodził.
Na jego czapce błyska gwiazda,
Wzrok mu płomienie roziskrzyły.
Żal mu mieszkańców tego miasta,
Dumny jest z ich bojowej siły.

2

Stoi wartownik ponad wodą,
Marynarz Leningradu broni,
I Kirow, w twarz tę patrząc młodą,
Wiele powiedzieć mógłby o nim.
I marynarzy swych wspomina
Z okrętów na burzliwej Kaspii;
Gdzie stromo Wołgi brzeg się wspina,
Wśród pól walczyli astrachańskich.
Ten chłopiec równie jest odważny,
Wytrwały, mocny tak jak oni.
Ta sama siła w nim się żarzy
I bohaterski duch w nim płonie.
Wydarta reflektorem z mroku
Zwycięska nazwa statku: „Kirow" —
Na czapki błyska się otoku
Jak piorun, jak na wrogów wyrok.

3

W ruiny domów strop zapada,
Wkoło pozornie martwa przestrzeń,
W żelaznych nocach Leningradu
Kirow odbywa ront po mieście.
Jak żołnierz sprawiedliwy, groźny,
Idzie z wzniesioną w górę głową.
Godzina późna, czas jest mroźny...
Fabryka twierdzą jest surową,
Snu i spoczynku tu nie znają,
O chlebie zapomnieli ludzie
I jedną tylko troskę mają,
O jednym myślą w krwawym trudzie.
Cóż, że w warsztatach tych płomienie
Pocisków nieraz się wznosiły?
Trzeba odpędzać strach, zmęczenie,
Pracować ponad ludzkie siły.
Wtem pada pocisk. Lęk surowy
Ogarnia, ale czuwa starzec.
Słuchajcie tego starca mowy,
On prawdę czynów wam ukaże.
— Cóż z tego, że nie dojadamy,
Że chleb w niezmiernej u nas cenie —
My w sercach siłę stali mamy,
Później czas przyjdzie na zmęczenie.
Nie zdołał miastem wróg owładnąć,
Chce głodem nas zamorzyć w końcu,
Pozbawić Rosję Leningradu,
W kajdany skuć jego obrońców.
Nigdy nie stanie nieprzyjaciel
W naszego miasta świętych progach,
Rosjanin śmierć wybierze raczej,
Niż podda się przemocy wroga.
Pęknie blokady pierścień twardy,
Nowym uderzy front orężem,
Przecie niejedna z naszych fabryk
Nosi Kirowa imię mężne.

4

W żelaznych nocach Leningradu
Kirow po mieście ront odbywa
I serce mu rozpiera radość,
Że w ludziach moc nieustępliwa,
Że cały naród twardo stoi
Na straży ojczystego kraju...

Wciąż bliższe są odgłosy boju,
Pociski wkoło wybuchają.
Naraz huk bomby. W trzasku belek
Walą się domy w dymu kłębach,
Dziewczyna na oddziału czele
Na pomoc biegnie nieulękła.
Choć bije cegieł grad, choć stropy
Zapadające się łomocą,
Własnego życia nie poskąpi,
By zasypanym przyjść z pomocą.
Oto jest młodość: burza, radość,
Wiecznie zwycięska, wiecznie żywa.
W żelaznych nocach Leningradu
Kirow po mieście ront odbywa.

5

Zwiastunem radzieckiego wieku,
Trybunem był, do wielkich przemian
Prowadził lud, u stóp Kazbeku,
Gdzie wrzał zawzięty bój Podziemia.
Pamięta wrogów najścia nagłe,
Dni Astrachania pełne chwały
I noce w stepie, co jak szable
W ogniach wystrzałów rozbłyskały.
Tak sercem tkliwym lecz stalowym
Z trudnym się losem długo zmagał,
Były to dzieje dróg bojowych,
Strapienia, troska i odwaga.
Lecz całą duszą bohatera
Kochał Leningrad robotniczy,
Miłością, która nie umiera —
Do jakiej zdolni bolszewicy.

6

...Przyszedł dzień czarny, dzień żałoby,
Gdy wszystkich ogarnęła groza,
Ludzie ponieśli go do grobu
Jak przyjaciela, ojca, wodza.
Lecz Kirow został między nimi.
Walcząc, pracując dla zwycięstwa,
Gdy tylko wspomną wielkie imię,
Ich serce się rozpala męstwem.
Rowy, uliczne barykady,
Okop u samych bram głęboki,
W żelaznych nocach Leningradu

Kirow za miasto zwraca kroki.
Widzi: wzbijają się rakiety
W nocnych pożarów krwawej zorzy,
Tam wraże kryją się pikiety,
Tam hitlerowskie są obozy.
I głucho cekaemy walą,
Wybuchy — niby cięcia brzytwy,
Jak zbroje połyskują stalą
Czołgi rozbite w ogniu bitwy.
Wróg się do miasta rwie zażarcie,
Dawaj mu zaraz dom, schronienie,
Żarłoczny kałdun napchaj żarciem,
Córkę mu daj na pohańbienie.
W kobiecych futrach zrabowanych,
Straszny, morderczą bronią błyska,
Z pól twoich rwie się podeptanych,
By u twojego siąść ogniska.
Lud rusza w bój, by domów bronić,
Aby zagrodzić drogę wrogom —
Starzec, ściskając granat w dłoni,
Do walki idzie z hordą srogą.
I czołgi ciężkie w swych pancerzach
Na ośnieżone mkną równiny.
Na jednych napis: „Lud zwycięża“
I „Kirow z nami jest“ — na innych.

7

I pośród wściekłej kanonady
Z najeźdźców barbarzyńską hordą
W żelaznych nocach Leningradu
Na śmierć i życie walkę wiodą.
Czerwony sztandar w bitew dymie
Powiał okryty zwycięstw blaskiem,
Kirowa straszne wrogom imię
Prowadzi pułki leningradzkie!

Listopad 1941

przełożył **Seweryn Pollak**

JAN KOTT

O języku i stylu Trembeckiego

„...my, parafianie, w sporach, które smak tylko rozstrzyga, zdajemy się raczej na autora Zofijówki.“

(Mickiewicz: O krytykach i recenzentach warszawskich)

Kiedy młodziutki Michał Konarski przeczytał Trembeckiemu, już na krótko przed jego śmiercią, pochwalną apostrofę do autora Sofiówki, którą Franciszek Wężyk pomieścił w swoich Okolicach Krakowa, stary poeta zadziwił się niepomiernie i odburknął: „Za co mię oni bogiem robią, kiedy ja całe życie byłem sobie diabłem“.

Być może było w tym żachnięciu coś więcej niż dziwactwa starca. Być może inaczej by się zdziwił Trembecki, gdyby mógł przypuścić, że już w dziesięć lat później ta sama Sofiówka posłuży jako walny argument w rozprawie z klasykami warszawskimi.

Dwukrotnie walcząc z klasykami Mickiewicz powoływał się na doświadczenie poetyckie Trembeckiego, po raz pierwszy w Objaśnieniach do Zofijówki z r. 1822, po raz drugi w słynnym piśmie o Krytykach i recenzentach. Ten spór o Trembeckiego jest nie tylko ważny dla zrozumienia poglądów estetycznych młodego Mickiewicza i artystycznego uwstecznienia pseudoklasyków, ukazuje on nam z całą jasnością miejsce Trembeckiego w tradycji polskiego wiersza.

Zarówno pseudoklasycy jak i Mickiewicz cenili Trembeckiego niezmiernie wysoko. Ale pseudoklasycy i Mickiewicz co innego cenili w Trembeckim, innego Trembeckiego wybierali. Był to w istocie fragment wielkiego sporu o dziedzictwo Oświecenia, sporu, który rozstrzygnięty został dopiero w Polsce Ludowej.

Oświecenie było w każdej literaturze walką realizmu z klasycyzmem. Ale nie była to walka ani gustów, ani smaków, ani poetyk. Drożdżami, na których wyrastał realizm, było naprzód doświadczenie młodej burżuazji, która obraz swojego życia chciała zobaczyć w literaturze, a potem rosnące i wzbierające na siłach uderzenie w sam feudalizm. Jeszcze jaśniej przebiegał ten proces w polskim Oświeceniu. Klasycyzm przychodził do Polski jednocześnie z nowymi treściami Oświecenia, które podmywały kulturę wersalskiego dworu. Realizm polskiego Oświecenia szedł w parze z krytyką szlacheckiej Rzeczypospolitej, karmił się ścisłą obserwacją współczesnego życia, rósł razem z obozem reformy, dojrzewał w walce o język narodowy.

Jeżeli droga poetycka polskiego Oświecenia — w swoich dwóch głównych etapach: obyczajowej satyry, i upolitycznienia rodzajów literackich — prowadziła od rozpadu poetyki klasycznej do swoistego realizmu, droga pseudoklasyków wiodła z powrotem do monarchistycznej tragedii i przepisów na robienie wierszy. Był to odwrót na całej linii od treści ideowych Oświecenia, od bojowej krytyki feudalizmu. Odwrót ten zaznaczył się nie tylko w ideowym oportunizmie liberalnych obszarników, w zawężeniu się spojrzenia, w nudzie i martwocie opisów, sięgnął

znacznie głębiej, paraliżował wersyfikację i język.

Spór o Trembeckiego pokazał to bardzo jasno. Dlaczego właśnie o Trembeckiego? Pięknie pisze o tym Ważyk:

„[Mickiewicz] dziedziczył kulturę literacką Oświecenia bez ograniczeń i wypaczeń, odrzucając zaciemniające szkła epigonów. Mickiewicz walczył z epigonami o właściwą interpretację poetyki Trembeckiego. Nie walczył z nimi o Krasickiego, którego jeszcze fałszywiej interpretowali. Uczeń Trembeckiego nie wiedział, że jest uczniem Krasickiego. W Trembeckiego trzeba się było wgryzać, Krasicki był jak powietrze, którym się oddycha". [1])

Trembecki bez Ody nie do druku, Daniela Kalwińskiego i Pieśni dla chłopów krakowskich, oczyszczony z „grubiaństw" języka i wygładzony przez wydawców, z całej poezji Oświecenia zdawał się najbardziej przystawać do ideałów pseudoklasyków. Był szlifierzem słowa, rymował wspaniale, jego słowianofilstwo i kult dla oświeconego monarchy trafiały wreszcie na żyzny grunt; był zimny, przeważała w jego utworach opisowość, nikt tak zręcznie nie wplatał panegiryku w tok wiersza. Można go było porównać z Pindarem, Horacym i Safoną jednocześnie, jak to zrobił Bentkowski, chwalić jak Brodziński za spokojną imaginację, męski rozsądek i erudycję, albo sławić własnym lichym wierszem jego „szczęśliwy geniusz", „rzadki dowcip" i gładki rym jak dawniej Dmochowski, Feliński, a potem Wężyk. A jeśli trafiało się w jego wierszach na obraz czy myśl, która szokowała obrońców górnego smaku, można było zawsze powiedzieć jak Stanisław Potocki, że „jeżeli się wysoko wznosi, z wysoka spada".[2])

W ten sposób zrobiono z Trembeckiego „sztukmistrza". I zdanie to wśród historyków literatury przetrwało wiek. Tyle tylko że doszły łzy krokodyle, iż taki mistrz słowa polskiego miał taki niedobry charakter. Owszem, podkreślano wpływ Trembeckiego na młodego Mickiewicza, cytowano nawet fragment Kartofli:

O nowogrodzka ziemio, kraju mój rodzimy,
O, Trembeckiemi godzien uwielbienia rymy.

Porównano Zimę miejską z wierszem Do Miera, znaleziono w Pierwiosnku „obsłonki", w wierszu Do Lelewela — „następy" i „znanarowione ucho", w Dziadach „garść kądzieli" — przejęte z Sofiówki[3]), ale nikt aż do studium Adama Ważyka nie wskazał na doniosłość sporu o Trembeckiego, na to, że był to spór o dziedzictwo Oświecenia.

Trembecki, nawet przykrojony przez pseudoklasyków do ich własnych potrzeb, przerastał o głowę Dmochowskiego, Kniaźnina czy Felińskiego. To właśnie napisał wyraźnie Mickiewicz. Pokazał w „sztukmistrzu" poetę Oświecenia. Przede wszystkim w samej materii wiersza, w obrazie i w języku. Pisał:

„...chwała Trembeckiego nie kończy się na przymiotach powszechniejszych, jakich wymagać by można po każdym sztukmistrzu i po każdym dziele sztuki piękne. Trembecki ma przymioty sobie właściwe, które jemu i jego poezji

[1]) A. Ważyk: Mickiewicz i wersyfikacja narodowa, Warszawa 1950, s. 35.

[2]) F. Bentkowski: Historia literatury polskiej, Warszawa 1814, s. 308; K. Brodziński, Pisma, Poznań 1872, IV, s. 359; Fr. Ks. Dmochowski, Sztuka rymotwórcza, 1788, p. IV; A. Feliński. Do Stanisława Trembeckiego, Dziennik Wileński, 1805. O wierszowaniu, Dzieła, Wrocław, 1840, II; Fr. Wężyk, Okolice Krakowa, Pamiętnik Warszawski, 1800, III; St. Potocki, Pochwały, mowy, rozprawy, 1816, I, s. 101.

[3]) St. Tretiak: Mickiewicz i Trembecki, Szkice literackie, Kraków 1806, s. 31—62.

dają wyższość nad poezją poetów spółczesnych: gdy albowiem mowa polska poetycka charakter swój właściwy tracić zaczęła i postać przybierać obcą, francuską — Trembecki zachował cechy złotego wieku poezji narodowej. Kiedy naśladowanie i tłumaczenie poetów francuskich wprowadziło styl jednostajny tak dalece, że ta jednostajność w tłumaczeniu Iliady, Raju utraconego i Georgik francuskich co do zewnętrznego wydania zaciera zupełnie różnicę charakterów między odległymi wiekami, prostotą majestatyczną zdumiewającym Grekiem, między ponurym i olbrzymim Anglikiem i wreszcie lekkim, wymuskanym Francuzem — styl Trembeckiego wypływa z natury mowy ojczystej, jest więc giętki, sposobny równie do wydania górności jak prostoty myśli i różnych w tej mierze połączeń i odcieniów, ale zawsze właściwym sobie sposobem, nie tracąc bynajmniej piętna narodowości i oryginalnego talentu. Kiedy sztuka rymotwórcza dzisiejsza zdaje się przechodzić w sztukę wierszowania i ubiegać się szczególniej o płynność, harmonię, połysk, rzadkie rymowanie i inne zewnętrzne ozdoby — mowa Trembeckiego potężna, z wyboru i mocy myśli zalety szukająca, bogata, rozmaita, powinnaby zawstydzać i rozżalać nas, że tak ją na czerkieską przerabiamy".

Mickiewicz niesłychanie wyraziście przeciwstawia wycieńczonemu, zubożonemu i zredukowanemu do poprawności językowi epigonów i ich zewnętrznej, powierzchownej elegancji wiersza szerokie zaplecze językowe i kulturalne poetów Oświecenia. Pisze dalej:

„Talenta i język klasyków starożytnych, talenta i język ojczysty wieków zygmuntowskich, poznawanie gruntowne historii, literatury i innych nauk, oto jest wszystko, z czego Trembecki pokarm talentowi swojemu wyciągnął, zdrowo go pielęgnował i po mistrzowsku kształcił. Stało się więc, że Trembecki, w mowie polskiej znalazłszy niewyczerpane skarby, umiał nimi hojnie, ale zawsze rozsądnie zarządzać. Wskrzeszanie wyrazów niesłusznie zaniedbanych, wcielanie cudzoziemskich z języka pobratymczego, nowych tworzenie, łamanie składni, śmiałych wyrażeń i zwrotów używanie, słowem: samowolna, ale szczęśliwa nad mową władza jemu samemu właściwą być się zdaje, którą gdyby kto nie talentem i nauką, ale ślepo naśladując, zuchwałym wdzierstwem chciał osiągnąć, skaziłby język i wydałby się dziwacznie, czego liczne miewamy przykłady...".

Komentarz Mickiewicza do Sofiówki jest ciągle jeszcze najlepszym studium, jakie mamy, o języku i stylu Trembeckiego. Późniejsze prace do uwag Mickiewicza dorzuciły bardzo niewiele. A język Trembeckiego powinien pasjonować historyków języka, zbadanie jego jest zagadnieniem kluczowym dla językowego przełomu epoki Oświecenia i tworzenia się nowoczesnej polszczyzny. Podstawowe tendencje językowe występują u Trembeckiego z niesłychanym natężeniem i gwałtownością. Słusznie pisze Mickiewicz, że Trembecki wskrzeszał „wyrazy niesłusznie zaniedbane" i tworzył nowe. Ale władza Trembeckiego nad językiem — wbrew zdaniu Mickiewicza — nie była wcale samowolna.

Jak większość pisarzy Oświecenia Trembecki sięgał do językowego złoża literatury złotego wieku, według jej wzoru tworzył formy uboczne lub nawet modelował słowa nowe, sięgał śmiało po prowincjonalizmy i dialektyzmy, eksperymentował nawet z gwarą, ale przede wszystkim szeroko wprowadzał żywy potoczny język Warszawy i gminu szlacheckiego. Miał może obok Krasickiego najwyższą świadomość języko-

wą i poczucie jedności języka narodowego. Ale te wspólne tendencje wszystkim pisarzom stanisławowskim walczącym z makaronem polsko-łacińskim, a potem i polsko-francuskim, chociaż szły ze sobą w parze i prowadziły do unowocześnienia języka, nie występowały jednocześnie, a często krzyżowały się i zmagały ze sobą. Nawet u jednego pisarza. I właśnie przede wszystkim u Trembeckiego.

Wzbogacenie języka przez odnawianie archaizmów i wzbogacanie języka przez żywy nurt mowy potocznej, zwłaszcza tej, która wieczorem rozbrzmiewała na rynku Starego Miasta, na Grzybowie i na Nalewkach nie są zjawiskami jednorodnymi. Saskie zamulenie języka makaronizmami i świeżą pleśń galicyzmów można było zmyć potokiem żywej mowy warszawskiej, albo sięgnięciem po złoża językowe staropolszczyzny. Ale była to nie jedna tendencja językowa, tylko dwie tendencje różne. Co innego jest łamanie składni, jak to robił Trembecki, dla uwypuklenia słów i urozmaicenia toku wiersza, a co innego przejrzysta, logiczna, niemal zawsze niezauważalna i dająca nieporównaną potoczystość budowa zdania u Krasickiego. Innym zjawiskiem jest poszukiwanie rygoru, normy i likwidowanie form zapóźnionych historycznie, innym szukanie słów dla nowych treści i zjawisk, które nie miały dotąd polskiego słowa, a codziennie domagały się nazwania w kantorze facjendarza, w czasie prób „na teatrum", na sali sejmowej i w gabinecie geometry.

Przy obecnym stanie badań, kiedy nie mamy opracowania języka żadnego z wielkich pisarzy, rozróżnianie tych różnych tendencji językowych jest szczególnie trudne. Odwołanie się do współczesnej świadomości językowej może być bardzo zawodne. Weźmy przykład: Pisze Trembecki w przypisku przy wierszu Do N. N.: „Chodnik, słowo zdawniałe znaczy ścieżka". Dla naszego poczucia językowego „chodnik" jest wyrazem współczesnym, choć o przesuniętym nieco znaczeniu; natomiast „zdawniały" odczuwamy jako archaizm. Tymczasem dla Trembeckiego „zdawniały" było słowem potocznym, choć częstszą współcześnie formą było chyba „zdawniony", posługiwał się nawet nim często w listach, pisał na przykład: „Już, już byłem prawie rezolwowany dać na siebie samego dożywocie jednej zdawniałej niewieście". Od słowa tego obyczajem stanisławowskim nazwał nawet postarzałą amantkę w Synu marnotrawnym panią Zdawnielską. „Chodnik" natomiast prowadzi nas wprost od Trembeckiego w połowę XVII w., aż do Syloretu Wacława Potockiego, gdzie czytamy: „Ostrożnie, nie chcąc potykać się z nikim — Idzie nieznacznym do domu chodnikiem". I ten sam „chodnik" wiedzie nas jeszcze dalej do Fabiana Birkowskiego, który wspomina w kazaniu, jak w czasie najazdu Turków: „chodnikami tajnymi przez lasy do miasta żywność nosili". I wreszcie tym samym „chodnikiem" dojdziemy aż do Biblii Wujka, gdzie chodnik jest drewnianym gankiem, jakich cztery zbudował Salomon „między słupami cedrowymi". (Słownik Lindego).

Inny przykład. W przypiskach do wiersza Hymn do Apollina tłumaczy Trembecki „kruszyny" przez francuskie *„atomes particules"*. Słowniki podają nam pierwsze użycie słowa „kruszyny" dopiero u Lenartowicza i Kraszewskiego. Trembecki wziął jednak niewątpliwie słowo, które istniało, ale chciał mu nadać nowe, bardziej abstrakcyjne znaczenie. Nie odpowiadała mu widać „cząsteczka", której po raz pierwszy w tym znaczeniu użył Monitor. „Atom czyli drobna cząsteczka ma-

terii“ (Linde). W parę lat później inne jeszcze słowo znalazł Trembecki. W Sofiówce pisał:

Co chwila w niedostrzeżne
rozrabiany pyłki
Znowu innym istotom idę na posiłki.

W Hymnie do Apollina jeszcze jeden przypis: „Nierozwiązalny — *insoluble*“. Monitor zna tę formę. Ale widać z przypisu, że Trembecki odczuwa ją jako wyraźny neologizm.

I przykład ostatni. W bajce Myszka, kot i kogut mała myszka widzi nagle „dwoje żywiąt“. Trembecki daje notę: „Żywięta, animalia, to stare słowo, widzi mi się, że ma więcej energiii niż zwierzęta“. Znowu zaglądamy do Lindego. „Mieli między bogami Polacy Żywię, co wyłożyć możesz żywotnym albo żyjącym“. Cytat z Kromera w przekładzie Błażewskiego. A więc „żywięta“ od rzeczownika „żywię“, to typowy właściwie neologizm, urobiony z archaicznego pnia. W Sofiówce znalazł Trembecki szczęśliwsze słowo:

Innych żyjątek części obróciłem
w moje

„Żyjątko“ przejął Mickiewicz: „O morze, pośród twoich wesołych żyjątek jest polip...“. I „żyjątko“ żyje w języku.

Z przykładów tych wynika, że archaizm i neologizm — a podkreślimy raz jeszcze, że neologizmy Trembeckiego są zawsze urobione według wzorów polszczyzny zygmuntowskiej (w przeciwieństwie do neologizmów Naruszewicza urobionych na wzór złożeń greckich lub neologizmów Czartoryskiego wymyślonych i koncepcyjnych) — mogą się wzajemnie zastępować i spełniać podobne funkcje. A więc nie jest istotne formalne rozróżnianie archaizmów i neologizmów, choćby nawet doświadczony językoznawca mógł je bezbłędnie rozdzielić i ułożyć ich katalog, ale określenie ich funkcji. A funkcja ta może być bardzo rozmaita.

Niewątpliwie „wybija“ ona, uwyraźnia i uplastycznia słowo, zatrzymuje przy nim, a przez to jeszcze bardziej urozmaica tok wiersza. Ale służyć może zarówno obniżeniu jak i podwyższeniu tonu. Albo powiedzmy ściślej: może służyć urealistycznieniu obserwacji, konkretyzacji, uściśleniu i wzbogaceniu treści poznawczych albo też klasycystycznej stylizacji, ukoturnieniu i mitologizacji obrazu. U Trembeckiego archaizmy i neologizmy spotykamy w obu tych funkcjach, u Krasickiego tylko w jednej.

Język bowiem, w którym ten „sztukmistrz“ i „szlifierz słowa poetyckiego“ pisał swoje wiersze, jest — i tu kryje się największa niespodzianka, nieprzeczuwana przez żadnego z badaczy Trembeckiego — jest w istocie tym samym językiem, którym pisał listy a nawet i rachunki. Język wierszy Trembeckiego nie jest językiem sztucznym, wymyślonym, czysto artystycznym — jakby to chętnie chcieli widzieć formaliści; język wierszy Trembeckiego jest z grubsza biorąc tym samym językiem, którym mówił i pisał na co dzień, różni się tylko stopniem nasycenia charakterystycznymi dla niego elementami leksyki i składni, ale nie ich obecnością. To spostrzeżenie jest szczególnie ważne dla Trembeckiego, u żadnego innego z poetów Oświecenia sfera językowa nie wybija się tak na plan pierwszy, nie odgrywa tak doniosłej roli, nie decyduje niemal o wartości wiersza.

Trembecki w swoich listach podobnie jak w wierszach używał archaizmów i neologizmów modelowanych na wzór zygmuntowskiej polszczyzny, przy czym archaizmy te, wplecione w żywy tok współczesnej myśli, niejednokrotnie przesuwały swoje znaczenie, unowocześniały się. Pisze na przykład o Roni-

kierze, do którego przegrał pieniądze w karty: „ten ma weksel i proces przewiedziony, ale postrzegając, że już nic nie mam, czeka szczęśliwszych momentów, teraz zaś mógłby ten weksel za piątą część przedać przez szacunek gotowych pieniędzy". I oto ten archaiczny zwrot staje się niepokojąco nowoczesny, „gotowe pieniądze" już nas wprost prowadzą do gotówki, którą zawsze Trembecki darzył szacunkiem.

Ale przede wszystkim odnajdujemy w listach żywy nurt mowy codziennej, tej, którą mówiono na pokojach królewskich, ale również i tej, która rozlegała się w zajazdach, w kantorach facjendarzy i na staromiejskim rynku.

Mamy więc w listach zwroty, powiedzenia i porzekadła z żywego potocznego języka: „Żaden dłużnik nie był z pełna zapłacony, jedni z kapitału ustąpić, drudzy brać fantami albo kulawymi końmi musieli"; „stoję świeczka pod korcem"; „i ksiądz pleban człek"; „w śmiertelnych nudach tak mi sprzykrzyło być przy wolnym ogniu pieczonym"; „wartych torby sieczki"; „żyjąc jak czeladny rzemieślnik" itp. W Pokarmach, które są notatą, czytamy „zatylibyśmy jak szabasowa gąska" i „między wszystkimi opchaniami się żarłockimi, chlebowe jest najgorsze". Mamy dalej typowe zdrobnienia Trembeckiego: „tyrankowej", „ziomeczek", „dłużki", „zaszczytki", którym w wierszach odpowiadają: „poeciki", „wiercipiętka", „ziętaszek", „rumieńczyk", „zyszczek".

Mamy tak charakterystyczne dla Trembeckiego przymiotniki w stopniu wyższym tworzone przy pomocy sufiksu, nawet wtedy, kiedy już formy te wyszły z użycia, albo wręcz urabiane sztucznie na wzór szesnastowieczny. W listach spotykamy: „Obejźrańszy"; w wierszach: „obejrzańszy" („I Polak obejrzańszy po tylu przygodach"); „pochylszy"; „znańszy" (od: znany); „duższy" (od: duży); „miąższy" (od: miąski) i podobnie tworzone rzeczowniki: „najwyższość", „grubszość", „najlepszość".

Mamy dalej rzadkie zresztą u Trembeckiego złożenia; w listach znajdujemy: „bezecnych wartogłowców, którzy w wierszu zmienią się na „wartołeba"; mamy popularny neologizm stanisławowski: „dziwotwór", który w wierszach znajdzie się w towarzystwie: „przyszłowidza"; „długołupa" i „bohożercy" (chrześcijanina). Mamy wyraźne archaizmy jak „rozbit" i wyraźne neologizmy jak „morzanin" (odnajdziemy go w Polsce: „Ludwik zgromiwszy morzany..."). Mamy w listach ulubione przez Trembeckiego „następy", którym on chyba pierwszy nadał nowe znaczenie semantyczne — następstw, skutków i unowocześniając dawne „natarcia", „następowania". Tak to słowo przejmie potem Mickiewicz.

Mamy wreszcie niezmierne bogactwo przymiotników i czasowników o znacznie większej różnorodności przedrostków lub ich nagromadzeniu niż u innych pisarzy osiemnastowiecznych. Są to znowu albo rzadko używane oboczności, które istniały w języku, ale na ogół nie przedostały się do literatury, albo na ich wzór tworzone nowe formy. Dzięki tej rozmaitości przedrostków następuje wzbogacenie lub przesunięcie odcieni znaczeniowych i to przeważnie w kierunku wzmocnienia, zintensyfikowania czynności lub cechy.

Tak więc spotykamy w listach: „wkorzeniony", „nadpotrzebny", „nadcieńczony", „nieprzestanny" i „bezprzestanny", „niezaburzony", „niezliczny", „nieweszczwany" (ogar), „nieodbity" (mur), „zdłużony" (zadłużony), „poganny" (naganny), „nieodwłoczny" i czasowniki: „ukalić" (skalać), „zamrużać" (oczy), „przyśmierzać" i „zaśmierzać". Pisze

Trembecki, że stracił nadzieję „zaśmierzenia dłużków".

Prawie wszystkie te formy z listów odnajdujemy i w wierszach. Tylko dochodzą jeszcze nowe: „rozżywiony", „odrodny", „skrewniony", „zamszony", „zdumiały", „przepsuty", „zarzysty", „odrzeczny", „ujaśniony", „poniewolny", „schlebny", „poradny" (mądry w radzie), „zbujany", (rozburzony), „zhukane", (morze), „ograniczna" (wojna), „nieodbrodne" (rzeki) i tegoż typu czasowniki: „przemałpiać", „rozcieplić", „wyboczyć", „poddąć", „zachylać", „ucalić" (scalić), „uczerstwiać", „sprzyczynić", „uśliznąć", „nadsłabić", „stężyć", „zbracić", „porać" („Jest woda, którą porzą okręty i szkuta") itp.

Moglibyśmy tę listę jeszcze o wiele przykładów pomnożyć. Spotykamy również w listach i w wierszach formy pienne, które zostały wyparte przez formy przedrostkowe albo też po ich powstaniu zmieniły swoje znaczenie. W listach „winne" (sprawki), „opatrzne" (oko), „potkać"; w wierszach: „duszne" (zabawy, to jest praktyki duchowne), „wnętrzny", „mieszczony", „skutecznić", „niżyć" itp.

Przesuwanie się funkcji znaczeniowej jest często bardzo ciekawe. W listach trafiamy na zwroty: „wycieńczać czas" i „wycieńczyć skarb"; w Polance — dziewczyna, która odczuwa skutki swojej przygody z pasterzem, posyła do apteki „po cieńczące leki" (czyniące z powrotem cieńszą); tak więc słowo, które w swoim rozwoju zatraciło rodzącą się niegdyś metaforę, odnajduje ją z powrotem w celnym użyciu poetyckim. Czasem znowu odwrotnie: „uszkodzony" ma dla Trembeckiego znaczenie już nie materialne, znaczy tyle, co teraz „stratny". W listach czytamy: „Nie był ode mnie uszkodzony" (nie poniósł przeze mnie straty); w Synu marnotrawnym podobnie: „No, zięciu, musisz się coś dla brata uszkodzić".

Mamy wreszcie zarówno w korespondencji, jak i w wierszach jeszcze drugi typ charakterystycznych dla Trembeckiego przymiotników o formach obocznych, archaicznych lub modelowanych na archaiczne, tworzonych przy pomocy sufiksów. Funkcja ich różnicująca znaczenie podobna jest jak przy formacjach prefiksalnych. Ten typ występuje znacznie częściej w wierszach niż w korespondencji. Z listów wynotujemy: „jarmarkowy" (dzień), „dzikawe" (miejsce), „podróżny" (wiersz), „feniksowaty"; z wierszy: „cieniowy", „łuczny", „kłopotny", „szkodny", „stalny", „nieprzestanny" i mające wyraźniejszy charakter współczesnych neologizmów: „piechotny", „wadny" (mający wady), „kratny" (zakratowany).

Na zakończenie tej listy wspomnieć jeszcze trzeba o ulubionych rzeczownikach Trembeckiego zakończonych na „acz". Tworzone są według staropolskiego wzoru: szczekacz (u Reja: „Łapacza, a wykrętnika szczekaczem zowią"). Mają wyraźny semantyczny odcień pogardy i wulgarności. W Pokarmach Trembeckiego mamy: „pływacza" (rybę) i „czołgacza" (wąż). W wierszach obok Rejowego „szczekacza" i również staropolskiego „błąkacza" wyraźne neologizmy, własne lub współczesne: „skrzydłacz" (również i Naruszewicz lubił to słowo), „łykacz" (pijak), „zasiadacz" (który przydałby się nam obecnie zamiast „posiedzeniarza"), „szarpacz" (użyty i przez Krasickiego obok „uwielbiacza"), „wargacz" (Habsburg) i wreszcie przejęty przez Mickiewicza „latacz".

Jedność języka korespondecji i wierszy została udowodniona. Obecnie przystąpić należy do wniosków. A wnioski są rzeczywiście niezmiernie ciekawe. Okazuje się bowiem, że ogromna więk-

szość słów i zwrotów tutaj przytoczonych nie weszła do języka narodowego, do języka Mickiewicza i Słowackiego, do żywej polszczyzny dziewiętnastowiecznej. Jej kanonu nie będziemy szukać u pseudoklasyków. Pseudoklasycy bowiem tylko wysuszyli język Oświecenia, nie potrafili ani go wzbogacić, ani dokonać koniecznej selekcji. Ale język Mickiewicza, obok którego postawić możemy język Słowackiego, ma tutaj znaczenie decydujące.

Twórczość i odkrywczość językowa Trembeckiego uwypukla niesłychanie wyraźnie dwie główne charakterystyczne tendencje wielkiego przełomu, jakim był okres Oświecenia w formowaniu języka narodowego. Podkreśliłem już na wstępie, że chociaż tendencje te występowały równocześnie, były w istocie różne, a nawet sprzeczne. Jeden nurt prowadził do powrotnego wykorzystania złóż polszczyzny zygmuntowskiej, drugi — do pełnego wchłonięcia żywej mowy potocznej; języka warszawskiej ulicy, języka mas drobnoszlacheckich i plebejskich, nie zachwaszczonego ani łaciną, ani francuszczyzną.

Język Mickiewicza i Słowackiego, Mochnackiego i Prusa, język, którym mówimy dzisiaj, cały rozwój języka narodowego ukazuje, który z tych nurtów był silniejszy i który ostatecznie zwyciężył. Twórczość Trembeckiego, która jest najwyrazistszym przykładem pracy językowej Oświecenia, ukazuje oba nurty. Ale pierwszy z nich jest tylko wielkim i bardzo charakterystycznym meandrem, jaki zatoczyła rzeka języka narodowego, drugi jest nurtem głównym: prowadzi do dzisiejszej polszczyzny.

Język, którym pisał Trembecki listy i wiersze, jest ten sam. Ale język korespondencji jest budulcem, z którego powstawały wiersze. W korespondencji poety oba nurty są ze sobą zmieszane, w wierszach rozdzielają się zupełnie uchwytnie. Język wierszy libertyńskich, język najlepszych wierszy obyczajowych, język wierszy: D o J a s i a o f r y z o w a n i u i B a l o n, wiersza D o M i e r a, wiersza N a p o c h w a ł ę K o s s o w s k i e j, język przede wszystkim bajek i przekładu S y n a m a r n o t r a w n e g o należy do nurtu drugiego. Archaizmy i modelowane na ich wzór neologizmy — ich funkcja artystyczna jest ta sama — zgęszczone są najbardziej w wierszach panegirycznych, w historycznej monumentalizacji porównań i obrazów, które sławić mają Stanisława Augusta i jego dzieło. „Samowolna“ władza Trembeckiego nad językiem, jak ją nazywał Mickiewicz, podziwiając i ostrzegając jednocześnie przed jej naśladownictwem, występuje również tam, gdzie czysta opisowość zastępuje żywy realistyczny obraz świata i człowieka. Występuje ona szczególnie silnie w S o f i ó w c e, ale starcza S o f i ó w k a była już wyraźnym świadectwem artystycznego i ideowego regresu poety.

Dobrym przykładem tej stylistycznej funkcji archaizowania może być cały wiersz D o N a j j a ś n i e j s z e g o P a n a z r. 1787. Czytamy tam:

Wóz pochylsze godziny rozprzęgą
słoneczny...

Już wydawca w r. 1819 nie rozumiał tekstu i dał „rozprzęga“. Sens zdania jest oczywiście taki, że pochylsze, a więc wieczorne godziny, kiedy promienie słońca padają ukośnie, wyprzęgną wóz słoneczny. Podwójny archaizm ma uwznioślić to porównanie w złym stylu homeryckim między smutkiem natury po zachodzie słońca a smutkiem Warszawy po odjeździe króla.

Cały wiersz jest w tym stylu. Język uwzniośla peryfrazy, peryfrazy dać mają konieczny patos. Ale patos

ten jest fałszywy: i w języku, i w peryfrazach, i w treści. Oto końcowe wiersze:

Co za nagłe zmieniają noc w południe łony:
Chwieje murem huczącej muzyka Bellony.
Ach, śpiży! tyś nam powrót ojca ogłosiła,
Twoja nam melodyja dziś nad wszystkie miła.
Auguście: niech twe oko w czołach naszych czyta:
Oto niższa kolanem Warszawa cię wita.
Starcy i wiek wątpliwy, i młodzieży roje
Podwójne życia biorą przez ujźrzenie twoje;
Wspomożem nędznych, z więźnia zrzuciemy okowy...

I tak dalej. Podobnie brzmi początek epicedionu na śmierć Czartoryskiego: „Na powietrzu mieszczone kołyszą się spiże..." i wiele miejsc Sofiówki. O przykłady jest łatwo, ale są już niepotrzebne. Nie w tych wierszach Trembecki jest wielkim poetą.

Nawet najlepiej zestawione słowniki nie potrafią nam nic powiedzieć o nurcie języka, póki oderwane będą od kontekstu literackiego. Zdobycze wersyfikacji wchodzą do tradycji narodowej tylko wtedy, kiedy niosą je wiersze, które same do tej tradycji weszły. Podobnie jest i z językiem poezji; tylko wtedy on kanonizuje i utrwala oboczności i zdobycze języka, kiedy same wiersze należą do kanonu narodowej poezji. Nie można oceny materiału językowego poezji odrywać sztucznie od oceny samych wierszy, oceny artystycznej i ideowej; nie można układać katalogu zwrotów i wyrażeń bez względu na to, w jakim się wierszu znalazły, co wiersz ten znaczy, jaka jest jego wartość i jakie miejsce w tradycji, Inaczej historyczną dynamikę języka zgubi się w najpracowiciej choćby zestawionym słowniku.

Do niewątpliwych arcydzieł poezji Oświecenia należą bajki Trembeckiego. Język ich był już wielokrotnie analizowany [4]). Są tam „żywięta" i „sędzioły", „szkodne ozdoby" a nawet „archandya" i „peregrynant", ale przecież wszystkie wspaniałości języka bajek przynależą do innego nurtu językowego, wzięte są z żywej mowy potocznej. Z wszystkich gatunków literackich bajka miała największą tradycję plebejską i plebejskie słownictwo najszybciej przedostało się do bajki. Stąd pochodzą owe świetne: „wierzgnął, prytnął, chrapnął, ryknął", stąd „cysiam", wykreślone przez cenzurę pseudoklasyków, stąd ów „kot zagorzały", „barani syn" i „język smoczy"; stąd ów kogut „psi ptak" i „opętaniec" ze swoim „przemierzłym głosem", stąd niezrównane w swojej obrazowości czasowniki: „chlipać", „schrustać", „błyskotać", „frantować", „łupać", stąd zwroty „z paszczy narobił bigosu", „chyc z tarczana", „czy cię piekielnik rozpierzył", „paf go" i tyle innych.

Realistyczne słownictwo wyrasta tutaj z realizmu obserwacji. Bajka Lafontaine'a, która była dydaktyczną komedyjką odgrywaną przez zwierzęta dla poprawienia ludzi, zmienia się tutaj w realistyczny obraz i ludzi, i zwierząt. Jest u Trembeckiego niewątpliwie zachwyt nad bujnością i rozmaitością natury, ale jest przede wszystkim pasja poznawcza człowieka Oświecenia, jest w tych bajkach, chciałoby się powiedzieć, żywiołowy materializm.

Do tego samego nurtu językowego należy przekład Syna marno-

---

[4]) Najciekawiej w porównaniu z wzorem Lafontenowskim zrobił to W. Borowy. O poezji polskiej wieku XVIII, Kraków, 1947, s. 184—188. Borowy słusznie odnajduje u Trembeckiego kult pełnej i bujnej natury. Ale zatrzymuje się na progu interpretacji.

t r a w n e g o. Najświetniejszy chyba z przekładów osiemnastowiecznych i ciągle jeszcze nie doceniony.[5]) Ale czy można go nazwać przekładem? Trembecki krok w krok powtarza każdą kwestię Woltera, nie zmienia ani planty, ani intrygi, a jednak „przestosowanie" to tak różni się od oryginału jak obraz gwarnego i kolorowego tłumu w słoneczny dzień od nieoświetlonej fotografii. Tekst Woltera w porównaniu z Trembeckim wydaje się suchym i płaskim przekładem kipiącej życiem sztuki. Tak potrafił Trembecki przepoić oryginał polskim obyczajem.

Jest to arcydzieło języka. Tutaj szeroką falą wtargnęła żywa mowa drobnoszlacheckich mas. Miał rację mądry Linde, że z Trembeckiego wybrał bajki i S y n a m a r n o t r a w n e g o jako źródła do słownika. Od polszczyzny Trembeckiego w tej komedii przystosowanej z Woltera wiedzie już droga do języka P a n a T a d e u s z a i języka Fredry.

Wsłuchajmy się tylko w tę jędrną polszczyznę:

A ja, panie współtato, nie czekam zachodu,
Idę nasze czynności przynaglać do grodu.
Temu susceptantowi muszę natrzeć uszy,
Co lada rzecz rozwleka na kilka arkuszy.
Wszystko to dla sikorki, niech by się nią cieszył,
Byle by się przynajmniej z przepisaniem spieszył...

To już prawie Cześnik z Z e m s t y. Usłyszymy jego stentorowy głos jeszcze wyraźniej:

Ty bierz twoję Elżusię, a ja capnę jura!

Na co rejent słodkim głosem zaraz mu odpowie:

Jak go skryję, zje kata, kto go tam wymaca!

Jest i Papkin, tylko trochę skromniej rysowany; ale obdarzony jednakową swadą:

Jest to imię jednego dziwaka, rubachy.
Miałem honor u niego... obracać pieczenie,
Lecz gdy mię w świat poniosło moje przeznaczenie,
Byłem potem węgrzynkiem, turkiem, wytykaczem,
Laufrem, krukiem, od kruków uciekłszy — tułaczem.

Znajdziemy i Anielę ze Ś l u b ó w p a n i e ń s k i c h:

Wchodzę, wybiegam, sama uciekam przed sobą,
Próżno w osobność idę, próżno się odurzam.
Jeśli w głębiny serca myślą się zanurzam,
Im więcej w nie zaglądam, więcej mię przekona,
Że szczęśliwość na świecie nie dla mnie stworzona.

Jest nawet i Telimena w skromniejszej trochę roli podstoliny wendeńskiej. Na pytanie Zosi, przepraszam Elżusi: „Mianujcie mi waćpani tego oblubieńca!" — odpowiada z całym wdziękiem:

Regenta, niewdzięcznika, zdrajcę i odmieńca,
Za którym sama ścigam i rozsyłam szpiegów,
I który niewart moich tak wielu zabiegów.

---

[5]) Wydał go ostatnio i wstępem poprzedził J. Adamski w Bibliotece Narodowej. Seria II, nr 63, Wrocław 1951. Ale pochwały Adamskiego są jeszcze zbyt małe dla tego arcydzieła przekładu.

Oh: Pókim jeszcze była mej młodości bliska
Wspomnieć sobie żadnego nie dałam podpiska:
Znałam ich zdanie liche, ich rozmowę nudną,
Ale włos szpakowaty mniej mię czyni trudną.

Ale kiedy już jesteśmy w Soplicowie, posłuchajmy, jak skończyła się uczta:

Już też i ja bywalec i świadom hałasu,
Alem nigdy równego nie widział tartasu.
Co tam za przeraźliwe w całym domu krzyki!
Fraszka gwar jarmarkowy, fraszka i sejmiki.
Każdy waćpannę, ten tak, ten inaczej wini,
Każdy o tym rad mówi, każdy co przyczyni.
Zdumiałe muzykanty wypędzono z sali,
Ani im zapłacili, ni w gardło nalali.
Sześć zastawionych stołów z winem i kartami
W tumulcie wywrócono do góry nogami.
Lud się zbiega, a czeladź je, pije do woli.
Pan Bizarski klnie, łaje, pan rejent gryzmoli.

Chciałoby się tak cytować całymi stronami. Syna marnotrawnego można porównać jedynie z najlepszymi kartami Fircyka w zalotach i Powrotu posła. Prowadzi on do polszczyzny Pana Tadeusza, ale przede wszystkim ukazuje tradycję językową, obyczajową i stylową, z której czerpał Fredro. Wielkość i ograniczenie ideowe autora Zemsty i Ślubów, jego samotność w swojej epoce, tylko wtedy można zrozumieć, jeśli się zobaczy w nim genialnego pogrobowca komediopisarstwa Oświecenia. Tam są bez reszty źródła języka Fredry, tego samego języka, który odnajdujemy w Synu marnotrawnym. Jest to chyba najbogatsza w całej literaturze Oświecenia kopalnia przysłów, powiedzeń, porzekadeł, zwrotów mówionego języka.

Posłuchajmy tylko: „pod nos dmuchać", „kole prawda naga", „jak bizon goły", „baj sobie, bo ci widno", „głowy do pozłoty", „prawdy nie kryjąc w bawełnie", „że mię waćpanna wpędzasz do ciężkiej rozpaczy", „grzany miłością", „nauczę ja te baby gwizdać po kościele", „musi łapy polizać, gdy ma w trzosie mało", „kaduk spiskał" (licho wzięło), „może już gdzie nogami dynda na gałęzi" (pamiętamy w Zemście Papkinowskie: „Jak zadyndam gdzie na furcie"), „Świeć mu bakę otwarcie, szkodź mu po kryjomu", „język za zębami trzymać jak za wałem", „już mi to małżeństwo kością w gardle stoi", „wlulić w poufałość", „między nasze domy chcesz nasiać kąkolu", „przyprawił mi różki", „kiedy mi te oszusty zdarły się ze smyczy", „jak ów stary wywijacz co psu oczy sprzedał".

I do tego cała kolekcja soczystych i dosadnych określeń; a więc: baby i babsztyle: „maszkara", „sekutnica", „niezbednica", „dragon w spódnicy", „dziwotwór babi", „gorąca dziewica"; starcy: „siwiec", „łysoń", „rogala"; fircyki i modnisie: „wiercipiętka", „pustak", „marnik", „samczyk", „wartołeb", „świszczypałka", „szaławiła", „wdówkołów". Wystarczy, aby przerazić wszystkich pseudoklasyków.

Ale do najgłębszych cech języka, stylu i ideologii, ściśle ze sobą splecionych, zaprowadzi nas dopiero analiza trzech fragmentów, najświetniejszych może, jakie Trembecki napisał: wstępu do Powązek, do Polanki i do Sofiówki:

O miasto: cóż są twoje częstokroć pałace?

Łzami dobrych zlepiane ubogiego prace:
A gospodarze onych najczęściej bez cudu
Piją krew i żrą ciało jęczącego ludu.
Pełne są turmy Judy familiji winnej,
Za łączenie w przaśniki posoki dziecinnej.
Wnet ujrzem czarownice wleczone na stosy,
Wilkołek z opętanym pojeżą nam włosy.
Młodek bez doświadczenia i lękliwych starek
Zwodziciel, wśród stolicy uwija się Marek,
Przed niedołężną tłuszczą prorokiem się mieni,
Oko ma w niebie, rękę w bliźniego kieszeni:
Uchodzi mu bez kary łudzić tak bezwstydnie!
Z tych przyczyn, wyznam szczerze, Warszawa mi brzydnie.

Jeśli wolno użyć terminu racjonalistyczny realizm, to nigdzie chyba nie znajdziemy jego świetniejszego przykładu jak w tym fragmencie pisanym z tak rzadką u Trembeckiego pasją. Już pierwszy dwuwiersz jest wspaniały w swoim wielkim skrócie poetyckim. Nie dziwię się, że Ważyk wprowadził go niemal bez zmian do swojego wiersza Lud wejdzie do śródmieścia.

Nie nasze były mury
naszej architektury,
krwią zlepiane pałace,
te ubogiego prace.

Ale dwuwiersz wstępny Trembeckiego jest nie tylko świetny w swojej gęstości poetyckiej, jest on świadectwem bardzo dojrzałej wiedzy o świecie i o jego realiach. Od niego mógłby się zaczynać opis stanisławowskiej Warszawy. Porównajmy tylko ten ostry dwuwiersz z wrażeniami, jakie wyniósł z Warszawy w niewiele lat później oświecony niemiecki mieszczanin, Fryderyk Szulc:

„Nigdzie może, w żadnym z miast europejskich, z wyjątkiem Petersburga i Neapolu, nie ma tak wyrazistego, ostrego przedziału między różnymi warstwami mieszkańców jak w Warszawie. Nędza i zbytek, pałace i chałupy odznaczają dwa różne ludności działy...

...Stolica kraju, taką mającego konstytucję, jak Polska, składać się musiała z samych pałaców, ale też ktoś je budować musiał i ręce do tego były potrzebne. Toteż obok pałaców powstawały chaty dla robotników, co te mury wznosili. Nie można ich było zbyt daleko odsadzić, gdyż raz w raz byli potrzebni...

...Tak wyrosły pałace i chaty, książęta i zebracy — fizyczna i moralna podstawa bytu Warszawy". [6])

Obraz Trembeckiego się rozrasta. Od obrazu miasta przechodzi do ludzi. Pokazuje nam gospodarzy pałaców, znowu w drapieżnym skrócie, zuchwałym, zatrzymanym na granicy bluźnierstwa. Potem libertyn rozszerza obraz. Posłuży się dwuznaczną ironią, tak typową i dla wieku, i dla niego, ale niezmiernie celną. Zarysowane zostały wielkie sprzeczności Warszawy, która staje się kapitalistycznym miastem w feudalnym kraju. Od nich przechodzi poeta do obrazu metod tumanienia ludu rzekomymi cudami i podsycania religijnego fanatyzmu: zjawia się wilkołak, pławienie czarownic i rozruchy zwrócone przeciw Żydom. Podziwiajmy trafną selekcję realiów, ani jednego zbytecznego słowa, wszystko dla podsycenia ironii. Żadnej metafory oprócz wielkiej, która zrodziła cały ten obraz. I wstręt, wściekły wstręt racjonalisty do tej wiary w wilkołaki, w cuda, w zabobony. Ale obraz przy całej swojej konkretności jest jeszcze cią-

[6]) Polska w roku 1793 według podróży Fryderyka Szulca, Drezno, 1870, s. 38. Cytuję za C. Bobińską, Szkice o ideologach polskiego Oświecenia, Wrocław, 1952, s. 11.

gle ogólny. Trzeba go zamknąć indywidualnym portretem, trzeba palcem pokazać przeciwnika. I Trembecki pokazuje palcem księdza Marka, karmelitę, który był małym „prorokiem“ konfederacji barskiej i zrobił potem wielką karierę w mistycznym okresie polskiego romatyzmu. Ironia przechodzi w szyderstwo. Ale szyderstwo ściśle trzyma się realiów, nie popuszcza przeciwnika ani na włos, kompromituje aż do końca, uderza w najboleśniejsze miejsce: „Młodek bez doświadczenia i lękliwych starek zwodziciel...“ Posłuchajmy pamiętnikarza:

„Około roku 1786 przyjechał tu z Wołynia ksiądz Marek, karmelita, głośny z życia swego nader pobożnego, wyżej jeszcze wielbiony ze względu na jego świątobliwość, mocą której miał okazywać niejakie cuda. Rozeszła się wieść po Warszawie o jego tu przybyciu. Niektóre z pierwszych pań tu obecnych starały się go widzieć i słuchać jego rady duchownej w mocnym zaufaniu i uznaniu go za cudownego. Panny dworskie ubiegały się, aby mogły pozyskać z jego habitu lub chustki do nosa jakowych szczątek drogich dla siebie pamiątek“.[7])

Teraz dopiero nabiera dla nas pełni smaku i prawdy historycznej dwuwiersz:

Przed niedołężną tłuszczą prorokiem się mieni,
Oko ma w niebie, rękę w bliźniego kieszeni.

Ten libertyński wiersz zamyka mocną klamrą i kończy akcent osobisty:

Z tych przyczyn, wyznam szczerze, Warszawa mi brzydnie.

Teraz fragment drugi. Początek Polanki:

W końcu szerokim równin, gdzie się woda sączy,
Którą z odległych wiader Wisła z Narwą łączy,
Jest miejsce, któremu się uśmiecha fortuna.
Owieczki tam wydają nadobniejsze runa,
Bydło przynosi z pola pełniejsze wymiona,
Ziemia z wysoką lichwą powraca nasiona,
Pszczoła obficiej robi miód droższy niż złoto,
Pasma rolnicze ciągnąć nie spieszy się Kloto.
A kmiotek, często indziej smutny i ponury,
Tu wszystkie wesołością przechodzi Mazury.

Nie z najlepszości gruntów ta pomyślność płynie...

Jest to w przeciwieństwie do gwałtownych spiętrzeń obrazów w Powązkach spokojny i klasyczny opis pejzażu. Ale jest to opis racjonalisty. Nie ma w nim nic z bezinteresownego zachwytu przyrodą. Zaczyna jak rozumny geograf od określenia natury pejzażu: „w końcu szerokich równin“, potem podaje jego miejsce. I od razu mówi nam ten krajobraz o obecności człowieka. Tak gospodarz patrzy na ziemię. Podziwia bujność natury, ale oblicza zyski. Podziwia żyzność ziemi, ale chwali gospodarkę. „Mało który pisarz — mówi Borowy — nadawał taki walor poetycki wymionom“[8]). Sprzeczał-

[7]) Antoni Magier: Estetyka miasta Warszawy. Cytuję za K. Wł. Wójcickim, op. cit. III, s. III. Datę przyjazdu ks. Marka do Warszawy Magier podaje błędnie, był to rok 1776.

[8]) W. Borowy, op. cit., s. 191.

bym się o ten przymiotnik — poetycki; „nadobne runa“ i „pełne wymiona“ oznaczają tu wełnę i mleko.

„Pełne wymiona“ i „nadobne runa“ agitować mają za rozumną gospodarką: „Nie z najlepszości gruntów ta pomyślność płynie“. A rozumna gospodarka oznacza czynszowanie chłopów. I pejzaż kończy się obrazem wesołego kmiotka.

Podziwiam dyscyplinę opisu. Jest zupełnie ścisły. Nawet „źródła“ przyrównane do „wiader“ przypominają od razu, że z tej rzeki czerpie się wodę. W tym języku oszczędnej i surowej retoryki pozbawionym niemal ozdób i figur stylistycznych, języku zupełnie nowoczesnym wybija się tylko jedno słowo bardziej wyszukane: nadobniejsze; jedno słowo w całym fragmencie. Dopiero pod koniec przytoczonego ustępu, niespodziewanie, zabłądziła do wiersza Kloto. Ta jedna z greckich Parek staje tuż przy nadwiślańskim kmiotku. Ale tutaj właśnie przebiega granica realizmu Trembeckiego; granica klasowa i granica stylistyczna.

Teraz początek S o f i ó w k i:

Miła oku, a licznym rozżywiona płodem,
Witaj, kraino mlekiem płynąca i miodem:
W twych łąkach wiatronogów rżące mnóstwo hasa;
Rozroślejsze czabany twe błonie wypasa.
Baran, którego twoje utuczyły zioła,
Ciężary chwostu jego nosić muszą koła.
Nasiona, twych wierzone bujnością zagonów,
Pomnożeniem dochodzą babilońskich plonów.
Czernią się żyzne role, lecz bryły tej ziemi
Krwią przemokły, stłuszczone ciały podartemi.
Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty.
Zębce słoniów i perskie wykazuje szczęty.

Pozornie mamy pejzaż podobny jak w P o l a n c e. Ale zatraca już swój charakter humanistyczny. Opis w P o l a n c e służył pochwale rozumnej gospodarki i ludzkiego trudu. Tutaj, w stepowych latyfundiach Potockich, sławić można tylko bujność i żyzność samej natury. Trembecki został wierny szkole Oświecenia, opis jego jest dalej rzeczowy i ścisły. Obraz barana, którego ogon tak jest ciężki, że muszą go wozić koła, należy niewątpliwie do najświetniejszych. Ale kiedy z natury usuwa się człowieka, zawsze na jego miejsce wchodzi mitologia. Zamiast surowego stwierdzenia z P o l a n k i: „Ziemia z wysoką lichwą powraca nasiona“, tutaj w zdaniu o złamanej składni mamy urodzaj przyrównywany do plonów Babilonu. Ziemia bez człowieka przestaje być zwykłą ziemią, staje się „ziemicą“. I tę „ziemicę“ znajdziemy już o parę wierszy dalej [9]).

Jest człowiek w tym opisie, ale nie na ziemi, lecz w ziemi, której role są „stłuszczone ciały podartemi“. Wesoły, bo oczynszowany chłopek zamykał wstęp do P o l a n k i, napisanej w r. 1778, w ćwierćwiecze później, na feudalnej Ukrainie, już nawet ten konwencjonalny chłopek nie mógł wejść do opisu magnackiego parku. Z chłopa pozostała tylko socha, która wyorywa z ziemi „zębce słoniów i perskie szczęty“. Od „zębców słoniów“ przejdzie Trembecki już łatwo do panegiryku Katarzyny. O tysiącach pańszczyźniaków spędzonych do budowy ogrodu w stepie wspomni Trembecki raz jeden, pod koniec poematu; ale nazwie ich (w. 514) tłumem Bryarejów. Zmitologizuje, przyrównując

[9]) w. 23: „I obfita ziemica jest czym być powinna“.

do sturękich gigantów. Mitologia musi zasłonić prawdę o chłopskiej niewoli i zwierzęcym bycie pańszczyźniaka.

Mitologia i stylistyka. Konie zastąpią „wiatronogi", już określenie „ożywiona" zbyt jest proste, zastąpić je musi „rozżywiona". Rozjątrzenie języka i stylu idzie w parze z regresem ideowym, sztuczna drapieżność języka ma zastąpić dawną drapieżność spojrzenia, wynagrodzić ubytek realistycznych treści. Pseudoklasycy darowaliby nawet Trembeckiemu ów barani „chwost" w Sofiówce, którym Mickiewicz ich tak bezlitośnie osmagał, uważali ją przecież za arcydzieło.

Wielki Trembecki, ten, który przerastał o całą głowę klasyków warszawskich, który przeszedł do narodowej tradycji wiersza polskiego, u którego rzeczywiście terminował młody Mickiewicz, nie był „sztukmistrzem" ale poetą Oświecenia. To twórca zuchwałych libertyńskich wierszy i mistrz ścisłego racjonalistycznego opisu, to najświetniejszy w całym polskim Oświeceniu piewca zwycięstw ludzkiego rozumu nad siłami przyrody:

Choć się natura troistym grodzi
Ze stali murów opasem,
Rozum człowieczy wszędy
przechodzi,
Niezłomny pracą i czasem.

Tymi on wsparty, bory wędrowne
Burzliwym morzom poruczył,
Wydarł z otchłani kruszce
kosztowne
I skakać głazy nauczył.

Jan Kott

WŚRÓD KSIĄŻEK

MIECZYSŁAW JASTRUN: *Poemat o mowie polskiej*. Kraków 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 87.

Pisząc o nowym tomie poetyckim należy sobie zdać sprawę z jego wymiaru na tle bieżących osiągnięć naszej poezji. Myślę, że Poemat o mowie polskiej jest niewątpliwie najdojrzalszą artystycznie i ideowo pozycją poetycką obecnego roku. To nic że oczekiwaną. Tomiki poezji Jastruna od dwudziestu trzech lat przybywają dość regularnie zaskakując zawsze, czytane niecierpliwie, kryjąc na każdej kartce niespodziankę, prowokując oczekiwanie dalszego ciągu. Twórczość jego jest jak wykres, którego poszczególne odcinki składają się wyjątkowo dokładnie na linie rozwoju. Poeta pamięta o tym, co było w jego strofach i lubi do tematów i motywów powracać. Ale nie tylko powracać. Jastrun wartościuje je, swoją dawną i obecną postawę. Tak było wtedy, gdy w dwudziestoleciu międzywojennym łamał się w sprzecznościach estetyzmu i symbolizmu szukając wyjścia do świata Rzeczy ludzkiej przez narastający nurt realizmu, poszukiwania, które radykalizującego się inteligenta prowadziły w pobliże klasy robotniczej już w niektórych wierszach przedwojennych (Przypomnienie). Kręte schodki do wieży z kości słoniowej estetyzmu zerwała burza faszystowska, choć poeta nie wyzwolił się ostatecznie od pozostałości swojej dawnej postawy twórczej. Jednak w najpiękniejszych wierszach pisanych w okresie okupacji Jastrun oddawał hołd bohaterstwu polskich komunistów i Armii Czerwonej niosącej nam wyzwolenie społeczne i narodowe. Po tomach zbierających te utwory i z bezpośredniego okresu powojennego (Godzina strzeżona, i Rzecz ludzka) przyszedł Sezon w Alpach, w którym poeta wracał jeszcze niekiedy w kuszące ścieżyny „wonnych gąszczów pamięci" (jak kiedyś określił jego poezję Zawodziński), by jednak w ostatecznej wymowie tomu położyć na tamtych drogach surowe pieczęcie ostrzeżenia. Rok urodzaju i Barwy ziemi były tego dobitnym przykładem. Niezdecydowany, antyfaszystowski jedynie humanizm poety zaczął nabierać nowych barw i dźwięków mowy poetyckiej — humanizmu socjalistycznego — radości nowego czasu, trudnego, ale czasu, w którym łamał się i hartował nowy człowiek. Barwy ziemi — szukanie ich piękna — to również cecha Poematu o mowie polskiej, który zawarł poemat tytułowy oraz garść wierszy lirycznych o różnorodnej tematyce.

Wraca jeszcze niekiedy w wierszach tomu surowa ocena błędów pierwszego okresu drogi pisarskiej poety — choć już z pewnego oddalenia, z perspektywy nowych osiągnięć. „Niejeden pusty kłos wydałem tęczowej barwy" — czytamy w utworze W śnieżycy. Te słowa mają nie tylko funkcję oceny przeszłości, są programem poetyckim, tak często formułowanym przez poetę. To negatyw. W jednym z najpiękniejszych utworów zbioru Tylko wiersz — określił Jastrun pozytywnie rolę poezji:

Tylko wiersz, co jak ziemia jest nagi,
Tylko wiersz, co się w metal wwierca,
Będzie trwał nie tracąc sił i wagi,
Będzie bił jak serce, dłużej od serca!
Tylko gniew sprawiedliwie poczęty,
Tylko ból wyczerpany do końca,
Tylko doświadczenie — jak kłos zżęty,
Tylko cień, co jest tylko drugą twarzą
słońca.

To nie indywidualny, płyciutki, choćby nawet zapatrzony w głęboką otchłań czasu programik. Sygnalizuje on nową epokę w rozwoju poezji narodowej.

Dlatego też, nic dziwnego, że motyw społecznego i politycznego zaangażowania poezji cechuje silniej niż zwykle ostatni tom Jastruna. Znalazła w nim również miejsce i liryka miłosna, utwory mówiące o pięknych sprawach życia osobistego, o narodzinach i szczęściu rodzinnym, o pięknie przyrody ojczystego kraju. Lecz czyż nie dlatego uzyskały one pełny, humanistyczny wyraz, że czytamy je na tle dominującego tonu poezji politycznej, walczącej, sięgającej po sprawy najżywiej nas obchodzące, będące codzienną troską naszą — troską robotnika i troską artysty. Można na pewno mówić o dojrzałości ideowej tych utworów, która posiada dla nas tym większe znaczenie, że została oddana w pięknym i sugestywnym kształcie artystycznym. W Balladzie o wojnie i pokoju poeta dał szeroki obraz walki o pokój. W celowy sposób posłużyła temu konstrukcja utworu. W szeregu krótkich skondensowanych obrazów przedstawia poeta walkę toczącą się przecim imperialistom — w nieprzepartej sugestii konkretu, za pomocą licznych kontrastów wydobywających dialektyczny obraz świata. Obnażenie grozy faszyzmu dokonane zostało z wyjątkową siłą. Posłużył do tego również obraz ubiegłej wojny faszystowskiej. Temat ten nieraz wracał w wierszach Jastruna jako groźne wspomnienie. Tutaj nabrał nowej wymowy — surowego ostrzeżenia dla współczesnych. Jeszcze silniej zaznaczyły się te akcenty ostrzeżenia w utworze Wspomnienie o profesorze J. P., który — jak pisze poeta — zginął w obozie faszystowskim. Zacytujmy końcowe strofy:

Niebo jest dla gestapowców,
Niebo jest dla esesmanów.
Wolni chodzą z mordami
pogrobowców
I kłaniają się u bram Watykanu.

Dziś wspominam cię, dawny kolego,
Profesorze, Palusiński Janie!
Oto piekło ziemskie i niebo —
I ten wiersz mój na pożegnanie.

Trzeba się przyznać do rzeczy uważanej za wstydliwą dla krytyka — urzekł mnie niejeden z tych utworów. Ale urzekł w sposób nowy — i o tym chciałbym napisać. O czymś nowym, co odczytuję coraz silniej w wierszach poety. Jastrun napisał niemało wierszy o tematyce społecznej i politycznej, tematyce walki o pokój. Wiele pięknych i szczerych utworów znalazło się w Roku urodzaju czy w Barwach ziemi. Te, które dorzucił nam w ostatnim zbiorku nie są rewelacją pod względem ilościowym. Nie zmienił się pewien profil tematyczny poety zasłuchanego również w filozofię życia, subtelnie dotykającego najczulszych osobistych spraw. Tych utworów jest najwięcej w poezji Jastruna i obecnie. Ale poeta ten sam kontur swojej twórczości wypełnił treścią utwierdzającą go jeszcze silniej w wielkich sprawach epoki. Jastrun jest poetą, który poddaje się wciąż czynnie nowym doświadczeniom życia. Dlatego ciągle przybywa coś z nowego spojrzenia na świat zamykany w kształcie poetyckim. W wierszach politycznych jakkolwiek żywo reagujących na bieżące wypadki było dotąd jeszcze u Jastruna coś z artystowskiego przeżycia, coś z żywego niewątpliwie, lecz wykończonego trochę zbyt w zasłuchaniu we własną sztukę stosunku do rzeczywistości. Mówiło się o pewnym otamowaniu przeżycia przez poetę, o pewnym chłodzie, będącym jego indywidualną jakoby cechą — o pewnym tak rozumia-

nym klasycyzmie. Już w tomikach poprzednich były utwory zdecydowanie temu przeczące, świadczące o kierunku przemian. Obecny zbiór jest jeszcze jednym krokiem po tej linii. Nowe wiersze Jastruna z tego kręgu tematycznego czytałem z biciem serca. Artystowskie przeżycie nie ma już w nich roli, co wyraża się w pełnej intonacji wzruszeniowej. I dlatego mam wrażenie, że sprawa socjalizmu, sprawa walki o pokój jest problemem i motywem pierwszej linii poetyckiego frontu Jastruna już w bezpośredniej praktyce twórczej — że te utwory określają bez reszty całość jego twórczości. To sprawia, że poezja Jastruna coraz pełniej oddaje humanizm nowego czasu — humanizm socjalistyczny. Niech posłuży mi metoda przekonywania za pomocą tekstu poety. W wierszu Radogoszcz mówiącym o okrucieństwach faszyzmu dał Jastrun obraz ludzi spalonych żywcem, „czarnych jak lalki woskowe". Ale nie pozostał przy tym obrazie:

Czyż znowu mam zobaczyć
Żywcem spalonych ludzi,
Albo samemu spłonąć
W powietrza strasznym pożarze?
Drzewo zielone, dębie,
Który szumisz nade mną,
A w ziemię wrastasz głębiej
Z każdym rokiem, bądź ze mną,
Życie, bądź z nami, bądź ze mną!

Polityczne wiersze Jastruna nigdy nie są konwencjonalizowane zużytą często frazeologią złego propagandzisty — buszującą dość swobodnie w naszej poezji. Częste jest u poety wyjście poza ujętą poetycko treść polityczną dla podporządkowania się głównemu motywowi: manifestowi nowego humanizmu. Jest w tych utworach ideowa i wzruszeniowa bezkompromisowość. Na tym polega prawdziwy czyn poetycki. Spust wielkiego pieca, 500% normy — to są prawdziwe czyny ludzi pracy. Poezja staje się taka, gdy jest odważna politycznie, ludzka i jednoznaczna. Zaangażowana w sposób oczywisty. Jest argumentem i bronią w walce o pokój. Tylko takie utwory przepisują sobie terenowi agitatorzy, przygotowując się do akademii. W utworze Ziemia spalona napisze poeta o dwudziestym wieku:

Choćbyś spaloną ziemię pozostawił wszędzie,
Gdzie przelecą twe armie w gorejących hełmach,
Powróci człowiek, drzewo, kwiat, i świecić będzie
Ta ziemia pełna śmierci, a tak nieśmiertelna.

Na tle wierszy mówiących o trudnej walce dnia dzisiejszego wybieganie niekiedy z pełną nadzieją w przyszłość jest zaczerpnięciem szerszego oddechu. Częste to w poezji realizmu socjalistycznego. Na tym właśnie polega jej rewolucyjna romantyka. Tak robił Majakowski w Pełnym głosem. Poezja wielkiego kroju powinna posiadać tę cechę — dążność poety do wielkiej syntezy swojego stosunku do życia i wiedzy o nim, swoich humanistycznych dążeń. Ten motyw szczególnie silnie został zawarty w utworze Między przeszłością a przyszłością. Spojrzenie w przyszłość, to charakterystyczna cecha ideowej zawartości poezji Jastruna. Czyż poeta nie ma prawa wytyczać nowych dróg w przestrzeni swojego serca? Pod jednym warunkiem — nie odrywając się od teraźniejszości. W metaforze poeta zwraca się do przyszłego — „Czy nie chciałbyś się przenieść w nasz wczesny wiek?" Miłość do naszego czasu, tony żywego patriotyzmu dźwięczą w tym wierszu. I dlatego właśnie wzrusza ukazaniem drogi, która „łączy się z dalą".

Cykl wierszy o „maleńkim synku“ powstał nie tylko z indywidualnych przeżyć poety. Wydaje mi się, że w tonacji, w kolorycie obrazuje on nową radość życia, tak trudną do znalezienia poecie błąkającemu się w sprzecznościach dekadencji. Ocena i dostrzeżenie nowego w utworach tego typu nastręcza dosyć duże trudności przy analizie. Trudno mówić o nowym na podstawie jednego utworu. Można zauważyć go jednak na podstawie obserwacji stosunku poety do życia, wyborze tematyki w całym cyklu utworów, w atmosferze aktualnego etapu rozwojowego jego całej twórczości.

Przemijanie czasu — oto charakterystyczny temat wczesnej poezji Jastruna. Przemijanie ukazane pod kątem śmierci, nieuchronnej zagłady osamotnionej jednostki. Była w tych utworach jakaś daremna walka z konsekwentnie narzucającym się pesymizmem. Czyż poeta odszedł od ukazywania procesu przemian, od tematyki mijania? Przecież narodziny nowego to dialektyczny symptom odchodzenia tego co stare. Czyż w wierszach „o synku“ Jastrun nie trąca niejednokrotnie wprost o filozoficzny problem przemijania? Ale decyduje wybór akcentu: zwrócenie uwagi na to co młode, nowe, co mówi o niestarzeniu się człowieka. Z dwu istniejących stron procesu życia Jastrun ukazuje optymistyczną i dlatego jego poezja zawiera pełnię humanizmu. Znikła gdzieś obsesja okrucieństwa czasu. Zacytuję jeden z utworów, nie związany zresztą z omawianym tu kręgiem tematycznym wierszy „o synku“:

Nie mówcie, że starzeję się, mój wzrok
Jest tak samo jasny jak przed laty.
Nie mówcie, że starzeję się, mój krok
Jak dawniej czule omija kwiaty.
W strumieniu górskiej wody obmyję
twarz.
Jak ty zanurzę w nim ręce.
Jak dawniej odzwierciedlam świat,
który znasz.
I tylko serce moje bije prędzej.
(Nie mówcie...)

Związanie się z „ludzkimi sprawami“ pięknie wyraził poeta w metaforze „przyspieszonego bicia serca“. Warto tutaj zwrócić uwagę na realia, budowę obrazów, metaforę. Charakterystyczna była między innymi w dawnej poezji Jastruna taka rekwizytornia umierającego czasu: stare meble toczone przez korniki, rozłażący się frak-emeryt — lub z drugiej strony metafizyczny czas prowadzący ku śmierci samotną jednostkę. Jawnie mieszczańskie rekwizyty w pierwszym przypadku, poddane artystycznej sublimacji — w drugim.

Dosyć trudno pisać o reliach poetyckiej mowy. Jak systematyzować poezję, jej realia? Jak przy tym oddać świeżość tych wierszy? Z drugiej strony nie wolno wpaść w beztroską impresyjność. Stwierdźmy: Realia liryków Jastruna oddają na pewno urodę życia. Wiosna, kwitnące kwiaty — piękne metafory ludzkich przeżyć, pewnych stanów psychicznych. Opis dziecięcego ciałka, dziecięcego snu, pierwszych kroków, narodzin — to radosne wyrażanie pełni życia. Zacytujmy:

Ten chłopczyk po raz drugi połączył
nam ręce.
W nim bije, moja miła, nasze wspólne
serce.
Czym był wczoraj? ziarenkiem kłosu,
iskrą tylko —
A dziś ziarenko to, po iluś tam
miesiącach,
Myśli, łączy ze sobą rzeczy i imiona.
Patrz! teraz, kiedy w słońcu fruwają
nasiona
I pyłki kwietnia, jego myśl już
tęczująca

Blask swój kładzie na każdym
przedmiocie i pyłku
I jest jak puch wiosenny rozkwitłego
mlecza,
Półroślinna, półgwiezdna, ale już
człowiecza.
(Ten chłopczyk)

Przy czytaniu poezji tego typu przypomina się atmosfera poezji renesansowej. Są oczywiście różnice. W cytowanym wyżej utworze np. — spojrzenie na dziecko od strony dwojga ludzi idących razem przez życie, krąg nowej moralności, wspaniały fakt rodzenia się nowej myśli ludzkiej tak pięknie zmetaforyzowany przez poetę — tego nie byłoby chyba w renesansowych utworach. Człowiek naszej epoki patrzy na życie piękniej i szerzej. Ta paralela jednak znalazła również oddźwięk w wierszach poety, w pięknym nawiązaniu do trenu Kochanowskiego „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim..." Utwór Jastruna rozpoczyna się charakterystycznymi słowami: „Odkąd wszedłeś do domu mego, synku mały, wszystkie w nim rzeczy, wszystkie meble odmłodniały..." Kochanowski wyraził w Trenach niewątpliwie nie tylko indywidualny ból po stracie córeczki, lecz i dużo z rozczarowań niepełnej renesansowej radości. I dlatego ta zmiana akcentu tym bardziej znamienna.

Nie było tematyki narodzin w poezji dekadenckiej. W liryce poetów, którzy wyznają nowy sens świata, ta tematyka zaznacza się wyraźnie. Jest dążeniem do pełnego przekazywania ludzkich spraw. Weźmy lirykę socjalistyczną lub postępową poezję krajów kapitalistycznych: Nazim Hikmet, z liryki radzieckiej Antokolski, Szczipaczow. W poezji polskiej można by mówić o urodzaju, gdyby zgromadzić wszystkie utwory o tej tematyce — szczególnie u poetów, którzy debiutowali po wojnie. Wieczny temat — powie ktoś. Rzeczywiście. Czyż dzieci zaczęły się częściej rodzić? Ale nowa epoka nie tylko stwarza tematy. Wydobywa często te, które w zalążku tkwiły już wcześniej.

Często umieszczenie motywów tej liryki w kręgu wielkich społecznych spraw nadaje tym wierszom szczególny akcent — dzięki któremu wychodzą zupełnie bezpośrednio poza krąg czysto osobistych spraw. W utworze Wielka bajka poeta opowiada synkowi o kraju „dzisiaj" rosnącym pracą zetempowskich brygad i kraju jutra, w którym będzie panował człowiek, który ujarzmił przyrodę i zwyciężył wojnę. W tym utworze również poeta wyraził może najpiękniej prawdę, która wywiodła go z tragizmu samotnego przemijania — przekazywania nowym ludziom ludzkich spraw, ciągłości społecznego istnienia. Ten sam motyw znajdujemy w utworze Jabłka.

Coraz silniej zaznaczająca się w poezji Jastruna skłonność również do większych form poetyckich znalazła swój wyraz w poemacie tytułowym. Poemat o mowie polskiej posiada jednak specyficzną cechę artyzmu Jastruna — konstrukcję zdecydowanie liryczną. Narracja ogólna przeplata się co chwila z konkretnym, jednostkowym obrazem, który sam starczyłby za mały utwór liryczny. Tak jest w strofach ukazujących nędzę ludu w pańszczyźnianej Polsce, gdzie Jastrun delikatnie odwołuje się do obrazu Szymonowicza, czy to dźwięczą pogłosy strof Zimorowicza o „niedoli wyrobników". Tak jest w pięknym fragmencie końcowym — o bibliotece — symbolu kultury narodu oddanej ludowi:

Pośród książek, co stoją w ściśniętych
szeregach,
W różnych barwach okładek, spokojnie
i czujnie,

Jest książka nieczytana o nietkniętych
brzegach,
Która czeka na chwilę, aby żyć
podwójnie.
. . . . . .
Jeszcze takich: od roli, maszyn
i warsztatów,
Czytelników nie znała stara biblioteka,
Jak matka siwa, która zasiadła wśród
kwiatów,
By święcić narodziny nowego
człowieka.

Tak w szeregu obrazów odbiła się historia polskiego narodu i ludu i ojczystego języka — rodzenie się polskiej kultury od walki o język polski w okresie Odrodzenia, aż do ulotek polskich socjalistów i komunistów, których twarde słowa nowego ładu społecznego zostały ukształtowane w tej samej mowie, co liryka renesansowa Kochanowskiego. Z nowej perspektywy — klasy robotniczej dojrzał Jastrun bliską nam tradycję literatury, czy lepiej — półliterackiego dokumentu życia i walki — Wielkiego Proletariatu i KPP. Ujął Jastrun rozwój języka jako formy coraz doskonalszej wyrazu myśli. Dojrzał plebejuszy, którzy chronili język przed zasklepieniem się w żargonie warstw panujących rzucając w nowy sposób nowe treści ideowe. I tak napisał jedyny w swoim rodzaju utwór — jakby opowieść historyczną, jakby refleksje na temat literatury rodzinnego języka, wglądając w jej plebejską tradycję, czasem rzucając obraz, a czasem myśl — poemat pochylony nad tradycją, współczesny w zakończeniu — ukazujący nowego czytelnika i bohatera literatury.

Jastrun należy do nielicznej grupy naszych poetów, których twórczość żyje nie tylko pełnią ideową, lecz i pełnią kształtu artystycznego. „Wiersz mój podobny fontannie i studni artezyjskiej“ — pisze poeta. Obrazy nabrały konkretności. Przerzucając przedwojenne tomiki Jastruna i porównując je z obecną jego drogą twórczą widzimy dopiero jasno, jak ubogie w realia, abstrakcyjne, mało wyraziste, a przez to skazane bardziej na zasnucie się mgłą oddalenia były liczne jego wczesne utwory liryczne. Odbiegały od realizmu i stanowią dziś egzotyczną krainę, do której powędruje czasem historyk literatury. Bardzo silna u poety skłonność do poezji mówiącej o przeżyciach intelektualnych, poezji filozoficznej — w owym czasie realizowała się przez opis jałowych, metafizycznych problemów. W rezultacie pozbawiało to twórczość Jastruna zbyt często obrazu, tej materii poetyckiej, która musi żyć w poezji obok uogólnienia. Charakterystyczne było w twórczości Jastruna pewne klasycyzowanie w manierze schyłkowej estetyki mieszczańskiej — odwoływanie się do jakoby ponadczasowych pewnych pojęć, słów, prawd — szukanie raczej tego, co wyraża niezmienną prawdę — choćby tą prawdą była nieuchronność przemijania wszystkiego. Nie jest to oczywiście z mojej strony wycieczka przeciw ogólnym treściom intelektualnym czy filozoficznym, jakich wiele w dzisiejszej poezji Jastruna, lecz przeciw takiemu ich ukształtowaniu, które odbiega od realiów, od treści epoki, w poszukiwaniu ponadczasowej treści życia. Słowo „ponadczasowy“ mówi jasno, że chodzi o abstrakcyjność poezji o określonej treści filozoficznej — idealizmu, będącego podszewką każdej współczesnej dekadenckiej poetyki.

Że jednak sprawa „abstrakcyjności“ nie jest jedynie dziedziną panowania idealizmu, jasno wykazał chyba artykuł Ludwika Flaszena Uwagi o poezji Jastruna (Życie Literackie Nr 18, 1952 r.). Z drobnym zastrzeżeniem. Wykazał to trochę — ponad normę. Zacznijmy od etykietki.

„Abstrakcyjność“ Jastruna nie jest bynajmniej zagadnieniem jednolitym“ — pisze Flaszen. Następnie zaś analizując cztery style, które charakteryzują jego zdaniem oblicze poetyckie tomów Rok urodzaju, Barwy ziemi oraz Poemat o mowie polskiej dochodzi do wniosku, że po pierwsze: w stylu hymnu filozoficznego i ody „uczonej“ poezja Jastruna jest „abstrakcyjna bez cudzysłowu — w sensie jak najbardziej dosłownym“; po drugie w stylu kameralno-romantycznym następuje połączenie tezy ogólnej z konkretną sytuacją liryczną; po trzecie w stylu ludowej romantyki obraz jest doprowadzony do granic prymitywu i prostoty, mówi językiem w pewnym sensie odkonkretnionym; po czwarte wreszcie w stylu retoryki obywatelskiej, w wierszach politycznych Jastruna żyje konwencja obok konkretu, tu — przyznaje Flaszen — grozi poecie pewne skonwencjonalizowanie języka poetyckiego. Cała jednak reszta „abstrakcyjności“ jest indywidualną jakoby cechą artyzmu poety. Cóż za abstrakcyjny poeta — mógłby powiedzieć ktoś, kto nie czytał Jastruna. I na tym właśnie polega — niezamierzone może do końca — przegięcie artykułu Flaszena. Że zagubił się w tym wszystkim Jastrun — mistrz konkretu, jakich mało we współczesnej polskiej poezji, mistrz obrazu lirycznego, a nawet większych form pół-epickich (Opowieść o pierwszych dniach, Poemat o mowie polskiej).

Tak więc Flaszen zbyt wiele ciężaru przy analizie poezji Jastruna przerzucił na jej abstrakcyjność. To jedno. Pozostaje jednak istotna kwestia analizy ważnego dla poezji Jastruna zagadnienia poezji intelektualnej. Zwraca tu uwagę niedoprecyzowanie przez Flaszena terminu „abstrakcyjność“ — pewien brak jasnego do końca postawienia sprawy odrębności języka poezji jako stylu. I choć Flaszen nadmienia, że istnieje specyfika poetyckiego spojrzenia — gubi ją w dalszych wywodach. Nim przejdę do tej sprawy zajmę się samym zagadnieniem ataku Flaszena. Słusznie, że uzasadnia pełnoprawność liryki, jak ją nazwał, elementarnych pojęć światopoglądowych. Ale przecież nikt jej nie atakował. A już najmniej Matuszewski, z którym walczy Flaszen. Fragment artykułu Matuszewskiego, który posłużył Flaszenowi za „punkt inicjujący“ mówi o czymś wręcz innym. Matuszewski nie atakował pojęciowego bardziej języka liryki intelektualnej i filozoficznej. Atakował pewne odrywanie się od realiów i konkretu pulsującego treścią epoki. Bo było niewątpliwie u Jastruna uleganie stylistycznym konwencjom symbolizmu, było pewne odkonkretnianie wyrażanych treści, co przyznaje również Flaszen. I na pewno sprzyjało temu u poety — brak pewnych doświadczeń, pewnego bliższego zaangażowania się w sprawach naszej rzeczywistości i przezwyciężenia długoletnich przyzwyczajeń swego dawnego warsztatu pisarskiego. Było to bardzo wyraźne zwłaszcza w Roku urodzaju, który właśnie omawiał Matuszewski. Grozi to poecie niejednokrotnie i teraz. Jak jednak osłabła ta, wynikająca niewątpliwie z poetyki symbolizmu charakteryzującej twórczość Jastruna w okresie dwudziestolecia — skłonność do obrony przed wtargnięciem realiów, owych właśnie niepowtarzalnych w innej epoce, charakteryzujących jeden czas, słów. Jak nasyca się wciąż słownik poety. Nazwy chemiczne, hasła polityczne, słowa, które niedawno weszły do słownika. W jednym z utworów pisze o promieniach ultrafioletowych, w innym wplata w tok wiersza hasło będące dziś na ustach milionów: *Ami go home*. Przypomnę tytuł jednego z utworów Z i e-

mia spalona. Tak właśnie określają imperialiści amerykańscy taktykę swej wojny w Korei — taktyką spalonej ziemi.

Zajmę się jednak teraz dalej merytoryczną zawartością części analitycznej dalszych wywodów Flaszena, który położywszy zbyt duży nacisk na udowodnienie rzeczy, jak się zdaje już udowodnionych, nie zanalizował właściwie specyfiki ukształtowania liryki intelektualnej Jastruna.

Bo to nie prawda, że u Jastruna „kwestie poetyckie płyną na zasadzie jedynie logicznego, racjonalnego biegu myśli". Na tej zasadzie jest napisany podręcznik filozofii. Liryka intelektualna i filozoficzna odznacza się bogactwem obrazów, transponowania pojęć logicznych na język poetycki, od abstrakcji — do konkretu. Weźmy choćby fragment, w którym Flaszen widzi czystą abstrakcję:

Uniosłeś odległość gwiazdy do gwiazdy,
Ujeździłeś iskrę elektryczną,
Dałeś rzeczom bezimiennym nazwy
Między promieniem i liczbą.

Po pierwsze: założenie. Wiersz mówi nie w kategoriach języka nauki — wychodzi od pochwały człowieka, który opanowuje przyrodę. Po drugie: konkret i metafora. Język nauki mówi: obliczenie odległości między gwiazdami, Jastrun pisze: uniosłeś odległość; i dalej: ujeździłeś iskrę elektryczną zamiast — odkryłeś zjawisko elektryczności itd. Przełamać sprawy filozofii w konkretnym doświadczeniu człowieka, mówić o nich językiem poezji nie pozbawionym obrazu — wtedy dopiero poezja staje się wyrazicielem elementarnych tez światopoglądowych — wyrazicielem filozofii i doświadczenia mas. Słusznie pisze Flaszen, że poezja Jastruna w dużym stopniu spełnia tę rolę. Ale właśnie dlatego, że ukonkretnia te problemy i przełamuje je w jednostkowym doświadczeniu.

Szufladkując twórczość poety na style, co wynikło ze słusznego dążenia do ukazania specyfiki artystycznej, uderza jednak wielką dowolnością i pewnym ograniczaniem istotnej różnorodności poezji Jastruna — mówi Flaszen o odkonkretnionym języku stylu ludowej romantyki. Po pierwsze — na marginesie — nie wydaje mi się, by Jastrun wytworzył taki styl w swojej poezji, choć można chyba mówić o elementach podobnego spojrzenia na rzeczywistość w jego utworach, po drugie — Jastrun nigdy nie posuwa się do granic prymitywu, nie stylizuje się na prymityw ludowy. Flaszen pisze jeszcze o stylu kameralno-romantycznym. I tu znów — szufladka. Czy można tak określić utwór, w którym poeta zawiera wielkie tezy światopoglądowe (Jabłka). Pisałem wyżej o pewnych utworach Jastruna, w których tematyka „osobista" zaczyna się splatać coraz silniej bezpośrednio z najkonkretniejszymi przemianami, jakie niesie epoka socjalizmu. I nie jest tak, że schematem liryki o tematyce osobistej u Jastruna jest budowa dwuczłonowa — od konkretu do ogólnej wypowiedzi. Wiele znajdziemy utworów bez wypowiedzi ogólnej. A zresztą czyż ona świadczy o abstrakcyjności? Tak, broniąc Jastruna przed słusznym zarzutem pewnej abstrakcyjności udowodnił Flaszen, że jest to największą zaletą poety. Oto logika! Tym powikłaniom sądów sprzyja zresztą poezja Jastruna — trudna do analizy i oceny.

Wrócę do jeszcze jednej tezy artykułu Flaszena nie wypowiedzianej wprawdzie wprost, wynikającej jednak z całego toku jego uwag. Dzieląc twórczość poety na style odwołał się Flaszen do pewnych, istniejących już w tradycji kanonów stylistycznych: romantyzmu,

Oświecenia (np. styl kameralno-romantyczny, styl wizyjno-romantyczny, ody „uczonej"). Jest to w istocie stwierdzeniem wtórności artystycznej poezji Jastruna. Taka teza uderza zupełną dowolnością i brakiem materiału dowodowego, i zwłaszcza w odniesieniu do ostatniego okresu twórczości pisarza — wyraźnie mija się z prawdą (myślę o ostatnich trzech tomach poety). Były u Jastruna pewne zależności i wpływy.

Najczęściej jednak pewne zależności stylistyczne występowały u Jastruna w formie świadomego nawiązywania do motywów tradycyjnych — niejako było to inkrustowanie tekstu tradycyjnymi motywami. Zresztą ostatni tom poety zawiera znów o wiele mniej takich odwołań i nawiązań. Myślę, że to dobrze. Że jest to oznaką dalszego etapu walki o realizm. Owa „inkrustacja", której nie można określić bez reszty jako cechy wtórności artystycznej, gdyż jest również pewną indywidualną cechą stylu poety, owo nawiązywanie do tradycyjnych motywów często jednak wypływało z braku dostatecznie szerokiego spojrzenia na dziejące się sprawy — z wąskiego kręgu doświadczenia społecznego. Niejednokrotnie nie obniżało to realizmu jego utworów w ogólnej wymowie pod względem ideologicznym, lecz bez wątpienia konwencjonalizowało jego język poetycki, obrazowanie, metaforykę, dawało poezji pewne cechy wtórności. Niepowtarzalność doświadczenia zawsze obdarza artystę nowym obrazem, odświeża język, budzi od nowa urodę poezji. Tak więc przyznając Flaszenowi jakąś część prawdy nie dyskutuję z nim jednak o nieznaczne przesunięcie akcentów — lecz sądzę, że należy je całkowicie przestawić.

Co jeszcze poza tymi uwagami, jakie wymieniłem, na marginesie polemiki z Flaszenem charakteryzuje *novum* artystyczne poezji Jastruna?

Metaforyka Jastruna w okresie dwudziestolecia lekceważyła istotne związki rzeczy i spraw. Odwołam się do jednego przykładu. W jednym z utworów Spotkania w czasie pisał Jastrun: „Jak cień odjęty od istnienia cień rzucających — tak samotna". Oderwanie cienia od przedmiotu go rzucającego stwarzało pojęcie samotności irracjonalnej godzącej się z filozoficzną podbudową ówczesnej poezji Jastruna. „Cień co jest tylko drugą twarzą słońca" — czytamy w cytowanym wyżej utworze Tylko wiersz z ostatniego zbioru poety. Wydobycie przeciwności dialektycznych zjawiska, polemika z możliwą sugestią arealizmu — oto cecha nowej metaforyki Jastruna.

Praca twórcza Jastruna jest coraz bardziej odpowiedzialnym dla poety zadaniem oddania prawdy o otaczającym świecie, jest poszukiwaniem takich form, które potrafiłyby ją oddać bez reszty, i nie przez odkonkretniony symbol:

Ja się spalam, męczę
W pracy swej, kreślę, mażę, nim dwa słowa zdźwięczę,
Nie jak dwie płaskie dłonie zrymowane oklaskiem,
Ale jak jedną prawdę, co zrzuca każdą maskę.
(Tak żyć jak ty na przykład...)

A jakież bogactwo wersyfikacji! Nasza krytyka poetycka wpadła w jakiś godny pożałowania elitaryzm badawczy. O wersyfikacji Jastruna pisał chyba ostatni raz Karol Zawodziński w 1935 r. W Poemacie o mowie polskiej zawarł Jastrun różnorodność form rytmicznych — od krótkiej sylabowej frazy, do długiej frazy wiersza sylabotonicznego. Sonet, sestyna, strofka czterowierszowa będąca charakterystyczną formą liryki Jastruna.

Każda forma metryczna jest użyta przez poetę celowo, gra rolę w oddaniu atmosfery utworu — zgadza się z nią: pięciozgłoskowiec dla oddania żartobliwej atmosfery wiersza do synka Na łące, oktostych siedmiozgłoskowy dla erotyku Pożegnanie, aż do trzynastozgłoskowego sylabowca dla Poematu o mowie polskiej. Uderzająca jest umiejętność korzystania z tradycji wersyfikacyjnej. Właśnie trzynastozgłoskowiec zrósł się w języku polskim z formą poematu.

Jaki akcent położyć na koniec tych uwag o poecie? Myślę, że to co bez reszty określa obecną pozycję ideowo-artystyczną poezji Jastruna, to wyrażanie coraz pełniej treści humanizmu socjalistycznego. To znalazło tak silny oddźwięk w cytowanym wyżej wierszu Radogoszcz. Jest to wezwanie do życia, które przyszło poecie wraz z nowym spojrzeniem na świat. Zapominamy zwolna o Jastrunie — poecie tragicznego przemijania i śmierci. Jego poezja odbija nasz czas rodzący wciąż nowe życie. Myślę, że połączenie tych właśnie treści z artyzmem sprawia, że poezja Jastruna „wchodzi coraz głębiej w ojczystą mowę".

Jacek Trznadel

JULIAN STRYJKOWSKI: *Bieg do Fragalà*, Kraków, 1951, Czytelnik; str. 356.

Krajem „kwitnącej cytryny" i „cichego cyprysu" stały się Włochy w sztuce innych narodów. Krajem romantycznych tęsknot, „pomnikiem przemijania spraw ludzkich", krajem „zastygłego czasu", wiecznie żywej sztuki. Piękno krajobrazu i dziwna przygoda, Włochy wielkich miast i pomników przeszłości. Włochy ruin — tak często widzieli pisarze-turyści kraj i naród włoski. Dekoracyjność i egzotyka przeżyć stała się cechą wyróżniającą tego wszystkiego, co zrodziło się na ziemi włoskiej.

A przecież już kilka lat po rewolucji 1905 r. pierwszy pisarz proletariatu ujrzał Włochy w ich właściwym świetle, ujrzał je w walce o nowe Włochy socjalizmu. Zabytki sztuki nie przesłoniły mu obrazu tych, którzy „przyjaźniąc się z księżmi, karabinierami i policją" mawiali, że „biedacy zawsze pracowali na bogaczy, a głupcy na mądrych i tak powinno być zawsze"; wpatrzony w najbardziej błękitne niebo nad wyspą Capri — pamiętał o „ciemnych płytach antycznej drogi wybrukowanej przez różnoplemiennych niewolników Rzymu". Zasłuchany w szum morza pamiętał o „kamieniarzach w mokrych łachmanach i skórzanych łapciach podobnych do nowych i mocnych kamieni", cień palm nie przesłonił mu ani widoku na wpół nagich neapolitańskich dzieci, ani strajku w Neapolu i Parmie. „Wśród grubych latorośli starej winnicy, w cieniu domku z łóz oplecionych powojem i drobniutkimi chińskimi różami" dojrzał „chłopów, którzy chodzili po polach zbitymi gromadami niby owce, w milczeniu, groźnie, poważnie", wypatrzył, że „spoza każdego węgła, pagórka i drzewa sterczały uparte głowy chłopów".

Właśnie w tym „romantycznym" kraju dosłyszał Gorki pieśń śpiewaną przez miliony głosów, dojrzał ludzi, którzy „w swym sercu noszą słowo jednoczące świat", tutaj właśnie pokazał więź łączącą ludzi, walczących o socjalizm. Już wtedy dojrzał „uśmiechającego się dobrym uśmiechem gospodarza tej ziemi" i bogatego Amerykanina z jego fałszywą brzęczącą monetą. Już wtedy, w kilka zaledwie lat po pierwszej rewolucji rosyjskiej dojrzał bohatera naszych czasów, „bojowników o sprawę swej klasy, których przestępstwem było zorganizowanie 25.000 włókniarzy,

otrzymujących za swą pracę sześć dolarów tygodniowo".

W małych opowiadaniach — „bajkach" — jak je sam nazwał, w aurze „błękitnych spokojnych jezior i gór, uskrzydlonych wiecznym śniegiem", w aurze „spokojnego snu dziecka" uchwycił tętno czasu i kierunek rozwoju. Bajki włoskie pokazały skalę realizmu wielkiego pisarza. Każda z nich wyrasta z walki, każda otwiera perspektywę na przyszłość zwycięskiego socjalizmu przetwarzając elementy dekoracyjności i egzotyki w realia codziennego, specyficznie włoskiego życia. Naród włoski zdobył sobie w twórczości Gorkiego prawo obywatelstwa, jako naród walczący o zwycięstwo socjalizmu, a piękno przyrody stało się elementem dynamiki rozwoju.

W dwadzieścia lat później, kiedy ulice „wiecznego miasta" rozbrzmiewały okrzykami ku czci „duce", a czarne koszule przyćmiły blask włoskiego słońca i błękit nieba, wielki humanista Romain Rolland pokazał śmierć komunisty francuskiego, który na ulicach Rzymu zginął w walce z faszyzmem. Włoski faszyzm stał się ostatnim ogniwem uświadomienia nieprzejednanego intelektualisty, ostatnim ogniwem „jego piętnastu lat walki" o „rządy rozumu", ostatnim ogniwem wiodącym do przeświadczenia, że do pokoju w świecie droga prowadzi przez rewolucję.

*

Po dwudziestu latach, kiedy nieostygłe jeszcze popioły faszyzmu tlą się zarzewiem nowych płomieni, kiedy twórcze poczynanie wolnych ludów chce się zdusić za kolczastymi drutami wskrzeszonych hitlerowskich obozów zagłady — we Włoszech Scelby i de Gasperiego znowu „strzela się do komunistów, którzy przelewali krew pod faszyzmem i ginęli pod okupacją". „Walka starej, zezowatej na jedno oko, zgniłej prawdy kapitału, z młodą, twórczą, przetwarzającą życie i człowieka prawdą socjalizmu" stała się trzonem zasadniczym „spotkań włoskich" w literaturze naszych czasów.

Włochy w Biegu do Fragalà Stryjkowskiego to nie Rzym — miasto wiecznych pamiątek, nie Wenecja, ani nie Sorrento. To palące słońce, ziemia spękana od posuchy, nagie krzaki tarniny, to nieogarniona przestrzeń ziemi obszarniczej leżącej odłogiem, to wsie przypominające cmentarze i wsie nie mające cmentarzy, wsie, z których „umarłych nosić trzeba piętnaście kilometrów, by w porze deszczowej wrzucić ich do prawdziwego morza". I niezależnie od tego, czy to będzie w Rocca di Zolfo, czy Rocca di Neto, czy Costeli al Mare, czy Isola Copo Rizzuto, czy Crotone czy Catanzaro, czy Cozenza — obraz jest wszędzie ten sam. Nędzne skrawki spękanej od suszy lub gnijącej od mokradeł ziemi biedoty wiejskiej w morzu nieogarnionej, leżącej odłogiem ziemi wielkich obszarników. Ziemia, której nie wystarczy na grób — i olbrzymie latyfundia; beznadziejna praca, której pożytek można zmieścić „w naparstku" i beznadziejna nędza sprzedających się na targu najemników; beznadziejny żywot robotów, których dziś niczym się nie różni od wczoraj i niczym się nie będzie różnić od jutra.

Włoska wieś powojenna — widomy znak przestępczości kapitalizmu, martwota i skostniałość form bytowania, które zrodziły się już nie wiadomo kiedy i gdzie, które dziś wyglądają tak jak przed laty stu, podobne do siebie jak „kocie łby, którymi od niepamiętnych czasów wybrukowane były kręte uliczki Rocca di Zolfo".

Martwota wegetacji, gdzie nawet warstwa sadzy dokoła przepalonego

trójnoga trwa nie wiadomo od kiedy, a dym czepiający się porowatych ścian wychodzi przez zawsze otwarte drzwi.

Włoska wieś powojenna — widomy znak przestępczości kapitalizmu, marnotrawienie materiału ludzkiego, tych wszystkich, którzy jak Salvatore „kręcą się grupkami i pojedynczo bez różnicy, czy to była niedziela czy dzień powszedni", tych, których marzeniem jest praca tylko „za spanie i jedzenie", tych, którym za to spanie i jedzenie zaproponować można budę psa i jego żarcie.

Włoska wieś powojenna — widomy znak słabości kapitalizmu, którego jedyną skuteczną metodą rządzenia jest siła karabinu i zdrada. Karabinier Prezzo, prowokator-sklepikarz, Concetto z płochliwymi oczyma, i błogosławiący ich poczynaniom ksiądz Luigi — to właściwe podpory reżimu.

Włoska wieś powojenna — widomy znak słabości kapitalizmu, którego nie stać na pracę twórczą, na odbudowę kraju, który w bezruchu i martwocie chce utopić twórczą wolę ludu.

Włoska wieś powojenna — widomy znak tej wciąż rosnącej, olbrzymiej siły ludowych mas, świadomych, że potrafią lepiej „prowadzić fabryki i uprawiać pola", którym już teraz nie wystarcza zdobywanie ziemi, którzy żądając pracy walczą o odbudowę kraju.

Włoska wieś powojenna — teren wzmagającej się, przybierającej na ostrości walki ludu o doliny Fragalà, ale równocześnie walki o wspólnotę tej ziemi, o kolektywną uprawę i o wspólność narzędzi pracy. Opanowanie doliny Fragalà, to nie tylko „strajk na opak", nie tylko świadomość, że „nasza pszenica to nasz strajk" i nie tylko walka z bezrobociem i zacofaniem kraju, to nie tylko „praca na przekór baronowi" i nie tylko początek usuwania obszarników z latyfundiów. Opanowanie doliny Fragalà — to nie tylko zdobycie ziemi. To ziemia wspólnie uprawiana, wspólnymi narzędziami, to wspólne plony. Bieg do Fragalà — to bieg nie tylko Salvatore, to droga ludu włoskiego, dla którego opanowanie doliny Fragalà jest również próbą przekształcania się świadomości. Ziarno rzucone w ziemię nocą przez kilku komunistów, ziarno, które wzeszło pięknym kłosem na od lat nieoranym ugorze, i pełna wahań droga Salvatore — to obraz różnych szczebli świadomości. Świadomości członków włoskiej partii komunistycznej i tych, którzy w ciężkim trudzie, w walce z najróżnorodniejszymi oporami wypracowują w sobie świadomość ludzi budujących socjalizm. Marzenia Salvatore o własnym kawałku ziemi, marzenia o pracy „tylko za jedzenie i spanie, pracy, która jedynie go obchodzi" a później i uświadomienie sobie, że ta praca czeka na niego tylko w dolinie Fragalà, że zdobędzie ją tylko poprzez dolinę Fragalà „dymiącą jak pełna miska" — to obraz tych przemian świadomości ludu włoskiego, który zrozumiał sens targu najemników, który postanowił nie być już więcej przedmiotem sprzedaży i kupna, lecz chce stać się podmiotem dziejów swego narodu, gospodarzem swego kraju. Samotne wędrówki Salvatore od wsi do wsi i z miasta do miasta, przeświadczenie, że ludzie są sobie obcy i w końcu bieg jego do tych, którzy bronią doliny Fragalà — to obraz drogi samotnego, nie uświadomionego chłopa do szeregów walczących o socjalizm, to obraz narastania świadomości rewolucyjnej włoskiego ludu, którego przekonała i przekonywa rzeczywistość. Etapy przemian Salvatore zawarte są w granicach cierpliwego słuchania, cierpliwego przypatrywania się, cierpliwej wiary i — zdecydowanej walki. Zrozumiał beznadziejność własne-

go istnienia, cyniczne przymierze nigdy nie widzianych obszarników z policjantami i księdzem Luigi, poczuł łączność z tymi, którzy tak jak on skazani są na śmierć w umierających wsiach, odczuł radość płynącą z prawa „do ożywienia ziemi od wieków zaniedbanej". Gianni i Salvatore są braćmi, ale stają się nimi dopiero w walce. Robotnik i chłop poprzez swoje związki żądają słowa, a słowo to staje się pociskiem wymierzonym w „świat wyzysku, przemocy i gwałtu". „Bezrobotnych jest dość. I bezrobotni wychodzą i budują drogi, mosty, elektrownie. Bezrobotni mówią: nie chcecie dać nam pracy, to weźmiemy sobie sami... Bo kraj ten, bo fabryki, bo ziemia jest nasza". Nieprzejrzana armia bezrobotnych najemników, bezrobotnych robociarzy, pracujących robotników i głodujących chłopów staje do walki z kapitalizmem „doprowadzającym ich kraj do ruiny". Stają z nimi i inni, którzy nie chcą obszarników, ziemi leżącej odłogiem, zamkniętych fabryk, elektrowni, zaniedbanych dróg. Stają ci wszyscy, którym drogi jest kraj, których walka toczy się o to, by ziemia rodziła więcej, którzy nie chcą „produkować narzędzi do nowej wojny, narzędzi śmierci, którzy chcą pracować dla życia". Walka o dolinę Fragalà przerasta w walkę o prawo do siewu i prawo do zbioru. Walka o dolinę Fragalà przerasta w walkę o pokój.

Ziemia spękana od słońca, porosła tarniną rozbrzmiewa echem ciężkich, fermerskich butów Salvatore. Wsie tonące w mokradłach odnajduje się na mapie własnego kraju jako punkty oporu przeciwko gwałtowi i przemocy imperializmu, chłop włoski wychodzi ze swej zagrody. Droga, którą przebywa do lokalu włoskiej partii komunistycznej, to droga przezwyciężania zakorzenionych przez wieki oporów, przeświadczenia, że wszystko będzie jak jest, że nic się zmienić nie może, że „ani niebo się nie zmieni, ani ziemia się nie zmieni, ziemia będzie zawsze jak pijawka wyciągała z człowieka wszystkie soki, a na miejsce jednego de Gasperiego przyjdzie inny". Droga, którą przebywa do lokalu włoskiej partii komunistycznej — to przezwyciężenie wyrosłego w zagrodzie oderwania się od kolektywu, to pierwszy etap rozwoju Salvatore, który idzie i chce iść „sam". Droga do lokalu włoskiej partii komunistycznej prowadzi przez świadomość, że żądania sprowadzają się tylko do żądania prawa do pracy, prawa do ziemi niszczejącej w swej bezpłodności, że dalej tak żyć nie można, że wobec tego „trzeba coś zrobić". W tym momencie narodzin ofensywnej postawy wobec rzeczywistości znika granica między robotnikiem i chłopem. Proces dorastania do sojuszu pokazał Stryjkowski jako proces zwykłej logiki rozumowania, wysnuwania wniosków ze zbieranych doświadczeń, jako inicjatywę oddolną mas. „Róbcie coś" — to wołanie najsilniejszego najemnika Francesco Russano, to wołanie tych wszystkich, którzy nie mogą już dłużej chodzić bez pracy, którzy, jak niekomunista, młody chłopiec Lino, posiedli prawdę, że „obszarnicy dobrowolnie ani razu nie ustąpili", że zwycięstwo należy do walczących.

Bieg do Fragalà, to nie tylko dojrzewanie Salvatore, postaci typowej uosabiającej charakter i kierunek przemian w konkretnym miejscu i konkretnym momencie historycznym. Salvatore urasta do typu na tle szerokiego obrazu mas ludowych ciążących ku komunizmowi, na tle jeszcze szerszych mas zmobilizowanych słowem „pokój". Wyznacznikiem kierunku jego drogi jest konflikt zasadniczy burżuazja-proletariat pokazany w swoim najszerszym aspekcie. Miłość ojczyzny czy zdrada, budowa kraju czy jego ruina,

zaprzedanie się imperializmowi amerykańskiemu czy rozwój sił wytwórczych włoskich mas ludowych, zaprzepaszczenie człowieka czy jego obrona i wydźwignięcie. Wybór Salvatore, wybór walczących mas włoskich wykracza poza granice głuchych wsi i wegetujących wsi-miasteczek, a pierwszy kraj socjalizmu staje się wzorem i miernikiem osiągnięć. Związek Radziecki, kraj twórczego i tworzącego człowieka jest busolą, ku niemu zwracają się oczy najemników sprzedających się na targu, robotów w sezonowych okresach pracy i w czasie beznadziejnie powracającego bezrobocia. „Czy taki człowiek jak ja, wykwalifikowany monter, musi jeździć w Rosji z miasta do miasta, chodzić od wsi do wsi, od chaty do chaty, taskać cały swój warsztat... i pytać, czy kto ma coś do naprawy?“ Jazda z miasta do miasta, wędrówka od wsi do wsi, pukanie do drzwi każdej chaty stało się udziałem Salvatore i innych z Rocca di Zolfo, z Rocca di Netto, z Montecatini, tych wszystkich, którzy dni i noce spędzali na placu Pitagorasa, by „sprzedać się za byle solda“. Związek Radziecki jest busolą powstającego związku młodzieży komunistycznej, który chce walczyć przeciwko „sprzedaży jego krwi“, przeciwko zamiarom prowadzenia wojny właśnie z krajem przywróconego do swych wszystkich praw człowieka. Wypisane na sztandarach związkowych hasło pracy i pokoju staje się wykładnikiem miłości ojczystego kraju i internacjonalizmu, zespolenia z krajami robotnika i chłopa. Na fali tej dojrzewającej świadomości mas pokazał Stryjkowski kierunek rozwoju narodu włoskiego, zasięg oddziaływania i rolę komunistycznej partii Włoch, która również z kobiety „przytroczonej jak owca do siodła“, zamykanej na kłódkę, czyni pełnego człowieka. Luiza i Angelina to dwa bieguny tego rozwoju, a między nimi całe bogactwo postaw: ludzi skrzywdzonych przez życie jak Maria, nieszczęśliwych jak Immaculata, nieprzejednanych jak Luiza, czułych i po ludowemu wierzących jak Chiara, kumoszek jak Pasqualina, matek jak Vincenza i komunistek jak Angelina.

*

Bieg do Fragalà to Włochy spękanej od spiekoty ziemi i Włochy mokradeł, Włochy nieogarnionej dla oka obszarniczej ziemi leżącej odłogiem i kwitnących w rękach ludu dolin Fragalà — Włochy północy i południa, Włochy walczące. Przełamany został kanon opisu kraju włoskiego, kraju dojrzewającej cytryny i pysznie wegetującej przyrody, kanon kraju wielkiej przygody, kraju gondolierów i hotelarzy. Dynamika walki o socjalizm stała się gruntem, z którego wyrósł prawdziwy i pełny obraz tego kraju i właściwy bohater narodu włoskiego.

Baron Berlingieri nie zjawił się w Rocca di Zolfo. „Po co miał przyjeżdżać do Rocca di Zolfo, gdy ziemia jak okiem sięgnąć leżała odłogiem?“ Bohaterem książki jest lud włoski. Jego drogi, drogi robotnika i chłopa, pokazał autor Biegu do Fragalà. Fabrykant, obszarnik ukazani zostali pośrednio przez aparat władzy: karabinierzy, prowokatorzy i szpicle, aparat przemocy wspierający się o kler, policja na amerykańskich jeepach szarżująca tłum — to druga strona barykady. Fabrykant, obszarnik — ukryta sprężyna wszystkich poczynań gwałtu i przemocy przestali być bohaterami. Przełamany został kanon powieści, w której reprezentant ginącego świata jest soczewką skupiającą wszystkie promienie. Rozrachunek ze światem kapitału wyszedł w książce Stryjkowskiego z tego, co rośnie i rozwija się, nie z tego, co umiera i skazane jest na zagładę.

*

Walka tego, co rośnie i rozwija się z tym, co ma pozory trwałości ale umiera i skazane jest na zagładę, jest trzonem powieści. Dzieje przemian Salvatore, proces dojrzewania do świadomości rewolucyjnej jest procesem tej samej walki. Stąd linia kompozycyjna powieści, trzy jej ogniwa zasadnicze, w których nierozerwalnie splata się obraz tego, co się dzieje w kraju, z tymi przemianami, które zachodzą w duszy Salvatore. Postawa jego wobec zachodzących procesów rozwojowych jest również jego rozwojem. „Pług i ludzie odchodzili coraz dalej. Salvatore przemoczony dygotał z zimna. Stał. Niech go wszyscy zobaczą. Chciał krzyknąć: „Hej, ludzie, co robicie?“ Ale patrzał milcząc na ciemne sylwetki pochylone nad ziemią i pługiem. A za nimi szedł wyprostowany Armando z torbą przewieszoną u szyi i widać było ciągły ruch ręki, rzucającej ziarno“.

Ciągły ruch ręki rzucającej ziarno w opanowanej dolinie Fragalà, wiec na Placu Wolności, skąd dochodzi gruby i mocny głos Noce, „walka w dolinie Fragalà“ o zbiory — to trzy szczeble odpowiadające trzem częściom powieści, trzem ogniwom rozwoju Salvatore: od obserwacji do działania, od biernej postawy, raczej negatywnej, do czynnej afirmującej. „Jeszcze ostatnim wysiłkiem wzdęła się przestrzelona pierś Salvatore i ciepła jeszcze żywa krew spływała zastygającą powoli strugą i wsiąkała w kamienną glebę Fragalà“. Siew dokonany w nocy przez kilku ludzi, których „razem z mułem była siódemka“ i żniwo zbierane przez „najemników, którzy szli zbitą masą“ przez „chmarę ludzką, jakiej jeszcze w Rocca di Zolfo nikt nie widział“, to widomy znak przemian, które zaszły w masie chłopskiej, obraz przemian świadomości dorastającej w ostrej walce do rewolucji. Salvatore staje się jednym z wielu, jego droga staje się uosobieniem wszystkich oporów warstwy chłopskiej, wszystkich zahamowań, tego, co było dziedzictwem pokoleń i tego, co dał kilkuletni pobyt u australijskiego fermera. Powolne, stopniowe wyzwalanie się z obciążeń, dorastanie do świadomości klasowej, pokazał autor właśnie poprzez zwolnione tempo zdarzeń, poprzez uderzający prymat konkretu, tego co jednostkowe i poszczególne, tego co dopiero długą i mozolną drogą dorasta do uogólnienia. Droga od siebie do innych — to właściwy łańcuch przemian Salvatore. Plastycznym wyrazem tych przemian jest powracający w momentach węzłowych motyw twardych fermerskich butów i zmienianych trzech funtów szterlingów, owocu ciężkiej pracy u fermera. Bieg do Fragalà odbywa Salvatore boso odrzuciwszy ciążące mu buty z Australii, wyzbywszy się ostatnich groszy stamtąd przywiezionych, groszy, które „nie były komunistyczne“. Bieg do Fragalà odbywa boso, wzbogacony o wszystkie doświadczenia swego pobytu w Rocca di Zolfo, do której „można dostać się tylko na własnych nogach“, wzbogacony o wszystkie doświadczenia pobytu w więzieniu w Neapolu, o bezpośrednie zetknięcie się z robotnikami, którzy „zrobili mu miejsce biorąc go między siebie“.

Amerykańskie jeepy szarżujące tłum, który manifestuje w obronie pokoju, orzeszki amerykańskie, które sprzedaje się zamiast włoskich pomarańczy, łupiny orzeszków pływające po czarnej i tłustej wodzie — z drugiej strony narastająca fala strajków i demonstracji, to widomy znak tego, co dzieje się w kraju, szeroki odpowiednik osobistych doświadczeń Salvatore.

Prawdę, o którą walczy włoska partia komunistyczna, zasadnicze wytyczne jej działania pokazał Stryjkowski w trud-

no uchwytnych, wymykających się konkretach, w drobnych realiach codziennego życia. Te właśnie drobne realia codziennego życia, których się na ogół nie zauważa, nabierają w całej powieści szczególnej wymowy. Płyną one z odmienności i specyficzności spojrzenia chłopa w ogóle i chłopa włoskiego w szczególności. A przecież z tych pozycji pisana jest powieść. Stąd zwolnione tempo zdarzeń części pierwszej, pozorna statyka i nieruchawość toczącej się akcji, pozorny brak selekcji, nagromadzenie faktów przy pozornym braku dziania się. Stąd uderzająca siła konkretu, realiów związanych najściślej z codziennym życiem, które wyznacza odizolowana zagroda i dzielące miedze. Prymat tej codzienności znajduje wyraz w typowych dla mentalności chłopskich porównaniach („potrząsało nim jak ziarnem na rzeszocie", „popędzał karabiniera jakby to był jego muł", „kotlina mgliła w dole jakby to była micha z parującym mlekiem"), w typowych tylko dla chłopa powiedzeniach („razem z mułem było ich siedmiu"), w sformułowaniach uderzających swoim prymitywizmem, ale trafiających w sedno („nie tylko on ma żołądek", „ci co pieką chleb w Neapolu zjadają go sami jak w Rocca di Zolfo", „słowa sytego nie są dla nas"), szczególnym typowym dla mentalności chłopa włoskiego wyrazie afektu, („żeby mu nic nie pozostało tylko czarny kot, który woła miau") i w typowo ludowym uogólnieniu (mieszkał Sandro syn Andrea z żoną swoją Giudittą z Bonacasa, z miasteczka złych kobiet).

Przemiany wewnętrzne przejście na pozycje klasowe w postawie wobec rzeczywistości znalazło swoje odzwierciedlenie w zasadniczej zmianie stylu w ostatniej części książki. Szybkie tempo zdarzeń, rytm miasta staje się widomym znakiem konfliktu dorastającego do ostrej walki, która z poszczególnych miejscowości i punktów oporu przenosi się wszędzie, obejmuje cały kraj, wyładowuje się w demonstracjach i strajkach. „Strajk na północy trwał. Schodził z góry coraz niżej ku południu. Pod Ferrarą w walce o ziemię zabito znowu najemnika. Na drzwiach sekcji pod nazwiskiem Marii Margotty i Pasqualle Lombardi wypisano węglem trzecie: Aristide Marrone. Znowu właściciel wyjął pistolet i zabił człowieka na miejscu". Styl komunikatów, przytaczanie całego łańcucha zdarzeń bez zatrzymywania się na poszczególnych ogniwach, styl telegraficzny jest uderzający zwłaszcza w zestawieniu z poprzednimi partiami książki. „Strajk objął Apulię i Lukanię... W kraju strajk był powszechny. Strajkowali chłopi i robotnicy. Na wsi dwa miliony najemników włożyło ręce do kieszeni. Strajkowali najemnicy, dniówkarze, dzierżawcy, połówkarze, podnajemcy, małorolni. Robotnicy w miastach poparli chłopów". Tak wygląda rzeczywistość widziana nowymi oczyma. Słowo strajk występuje jako ogniwo zasadnicze w krótkich, pełnych dynamiki zdaniach a nagromadzenie podmiotów narzuca szeroki obraz uogólniający, przenosi akcent z poszczególnych konkretnych postaci na masy, zachowując przy tym całą konkretność komunikatu przesłanego z pola walki. Obraz: „dwa miliony najemników włożyło ręce do kieszeni" przez swą lapidarność i siłę skrótu stawia rzeczywistość sztorcem przed oczyma czytelnika.

I dalej: Neapol w walce demonstrantów z policją, gdzie obrazy przesuwają się z szybkością taśmy filmowej, gdzie na tle ponurych i wielkich okrętów wojennych odbywa się demonstracja w obronie pokoju i przeciwko podżegaczom amerykańskim, ten obraz Neapolu w walce widziany oczyma Salvatore, uczestnika demonstracji, jest dowodem, że dwoistość stylu jest zamierzona, że w każdym wypadku styl jest wyrazem

określonej postawy wobec rzeczywistości. Ciekawe, że zwolnione tempo, pozorna statyka (pozorna, bo jest przecież dynamiką rozwoju), że to zwolnione tempo części pierwszej i drugiej nie pozostawiło jednak miejsca na nieodłączny zawsze i wszędzie krajobraz włoski. Surowy klimat tego krajobrazu, powtarzające się motywy tarniny, kaktusów, spękanej od słońca ziemi, ziemi koloru miedzi, burej pustyni głazów — nie jest przypadkiem. Wyrasta znowu z postawy chłopa wobec rzeczywistości, z ciążącej nad nim przewagi konkretu, realiów codziennego życia, nieustannej troski o ziemię i nieustannej troski o niebo. Ziemia, spękana od słońca, osty i tarnina zamiast kłosów, to widzi chłop w otaczającym go krajobrazie. I znowu charakterystyczne: powrót Salvatore z więzienia do rodzinnej wioski, powrót najemnika, który zrozumiał sens i istotę dziejących się zdarzeń, który znalazł swoje miejsce w szeregach walczących, łączy się właśnie z opisem krajobrazu, który wykracza poza obserwacje poszczególnych elementów, obejmuje całokształt, staje się wyrazem nastroju. „Maleńkie jak pudełka zapałek domki zaczerwieniły się nagle jak od wybuchu pożaru. Zza chmur wyłoniła się łuna wschodu. Objęła pół nieba. A potem zaczęła blednąć i zanikać jak fale na piasku. Wzeszło olbrzymie słońce, ziemia zaczęła parować, mgły snuły się tam i sam, niezdecydowanie szukając drogi. Uciekały coraz niżej i napełniły zapadliny wśród wzgórz. Z mostku na Neto wyglądały one jak morze. Piały z daleka koguty. Na ścieżkach wiodących do Rocca di Neto ukazywali się ludzie na osiołkach. Zaczynało się życie". Salvatore przetworzony, Salvatore, który zrozumiał, ujrzał po raz pierwszy wieś, w której na próżno szukał pracy tylko za jedzenie i spanie, wieś tak bardzo podobną do tej, w której się urodził.

„Wieczna chwała naszym bohaterom, którzy padli w walce o ziemię" — pisali dużymi literami na murze komuniści włoscy.

„Wieczna chwała bohaterom, którzy polegli w walce o wolność i niepodległość naszej ojczyzny" — brzmiały rozkazy wodza naczelnego Armii Radzieckiej.

Nawiązanie do bohaterskich walk narodu radzieckiego o jutro świata oddaje charakter walki komunistów włoskich, jej napięcie i klimat. Walka o ziemię staje się walką o wolność i niepodległość ojczyzny, partia komunistyczna staje się armią szturmującą okopy wroga. I tutaj przychodzą komunikaty z frontu, a hasła, które wysuwa, zachowują w książce Stryjkowskiego cały patos walki o jutro socjalizmu włoskiego kraju. Są na nowo zrodzone, na nowo wyrastają z ziemi porosłej tarniną, z urwistych skał i kamiennych wałów. Dlatego mają siłę przekonywającą. Mobilizują. Stają się busolą świadomych jak Giovanni i Armando, nauką życia jeszcze błąkających się, olśnieniem dla zbłąkanych jak Giuseppe i jego synowie.

Stają się tworzywem żywej i rodzącej się sztuki ludowej.

„Wracali z pola wieczorem śpiewając coraz to nowe pieśni.

— Zły Prezzo przyszedł na pole i chciał zabić mi męża — śpiewała Lucia.

— Chciał zabić największego i najsilniejszego w naszej Rocca di Zolfo — odpowiedziała Vincenza.

— Chciał zabić największego i najsilniejszego w naszej Rocca di Zolfo — śpiewały kobiety chórem.

— Chciał zabić Franceska zły Prezzo, ale kobiety się rzuciły i pobiły złego karabiniera — śpiewała Lucia.

— Wyrwały mu z rąk straszną broń, żeby nie mógł strzelać do naszych mężów — śpiewała Vincenza.

— Żeby nie mógł zabić naszych mężów — śpiewały chórem.

— Gdzie jesteś teraz, zły Prezzo, co liczyłeś raz, dwa, ażeby zaczęli do nas strzelać? — zaczęła cienkim głosem Pierina.

— Gdzie jesteś, zły Prezzo, Rosalia przykłada ci mokry ręcznik do twarzy, a nasi mężowie skosili całe zboże — śpiewała Lucia.

— Rosalia przykłada ci mokry ręcznik do twarzy, a mój Vito zdążył z miasta i odwiózł zboże do wsi — śpiewała Pierina.

— Vito odwiózł zboże do wsi — śpiewały chórem.

— Mężczyźni nasi i mężczyźni z Bonacasa kosili pszenicę, a my wiązałyśmy snopy aż do wieczora — śpiewała Vincenza.

— A my wiązałyśmy snopy aż do wieczora — śpiewały chórem.

— Mój Vito przywiózł z miasta kosy i nasi mężowie kosili, i ci z Bonacasa kosili aż do wieczora — śpiewała Pierina.

— I ci z Bonacasa kosili aż do wieczora — śpiewały chórem.

— Namówili mężczyzn z Bonacasa, żeby kosili dla obszarnika, ale skosili dla najemnika — śpiewała Vincenza.

— Skosili dla najemnika, nie chcieli dla obszarnika — śpiewała Pierina.

— Skosili dla najemnika, a nie chcieli dla obszarnika — śpiewały chórem.

— Berlingieri, baronie, mieszkasz w wielkim mieście i masz dużo ziemi — śpiewała Vincenza.

— Mieszkasz w dużym mieście i masz dużo ziemi — śpiewały chórem.

— Masz dużo ziemi i karabinierów — śpiewała Vincenza.

— Karabinierów i żołnierzy, Berlingieri, bodajbyś już nie żył — dokończyła Lucia i kobiety roześmiały się. Potem znów zaczęły śpiewać, aż doszły do wsi".

Walka narodu włoskiego o wolną socjalistyczną ojczyznę rodzi ludową sztukę walki. Pieśń o „złym ojcu Filipello", o „biednej Angelinie, która nie chciała bogatego", ta pieśń śpiewana przez kobiety w części pierwszej Biegu do Fragalà — już nie wystarcza. Z walki zrodziła się pieśń o najemnikach, obszarniku i karabinierach, o mężczyznach z Bonacasa, radości kobiet, które „wiązały snopy aż do wieczora".

Opis tej walki nie pomijający żadnego konkretu, żadnego poszczególnego ogniwa — dorasta od razu do uogólnienia, staje się obrazem nowego szczebla walki i nowego szczebla świadomości.

*

Bieg do Fragalà jest orężem w walce narodu włoskiego o socjalizm, orężem w walce o pokój, orężem w walce o jutro świata.

Barbara Rafałowska

ADAM WAŻYK: *Mickiewicz i wersyfikacja narodowa*, Warszawa, 1951, Czytelnik; str. 143.

I

W nielicznych dotąd wypowiedziach o książce Mickiewicz i wersyfikacja narodowa Adama Ważyka pojawiło się już jej określenie: praca przełomowa. Książka pulsuje najbardziej aktualną problematyką współczesnej kultury naszego narodu, problematyką kształtowania się socjalistycznego społeczeństwa. I to jest najistotniejszym zbiornikiem zagadnień, dyskusji, rozwiązań, które odnajdujemy

u Ważyka. Można to oczywiście powiedzieć o niejednej współczesnej książce. A więc może to tylko truizm? Nie sądzę. Książka Ważyka ma na pozór charakter bardzo specjalny. Zagadnienia wersyfikacji. Czy budziły kiedykolwiek szersze zainteresowania? Uczone dzieła wierszologów istniały jakoś w odosobnieniu. Dobrze jeszcze, gdy poza wąskim gronem badaczy zaglądał do nich przygodnie krytyk czy „kandydat na poetę", łudzący się, że może odnajdzie w nich wskazówki, „jak robić wiersze".

Franciszek Siedlecki, najwybitniejszy badacz okresu międzywojennego, pisał w 1937 roku: „Przystępując do badań w dziedzinie samej już wersyfikacji polskiej, trzeba stwierdzić fatalny stan polskich przygotowawczych prac nad nią... kompletny zaś już brak chociażby najogólniejszego, lecz zasługującego na zaufanie przewodnika po dziejach wiersza polskiego".

Niewiele zmieniło się w tym zakresie do czasu ukazania się książki Ważyka, skoro Maria Dłuska — autorka prac z zakresu wersyfikacji — oświadczyła całkiem niedawno: „Mimo tak długiej i poważnej tradycji naszych badań wersyfikacyjnych, mimo że wśród tych, którzy je podejmowali, nie brakło prawdziwych talentów naukowych, cechuje je wciąż, aż do dzisiaj, coś ułamkowego, niezupełnego..." Autorka tych słów dostrzega przyczyny tego stanu rzeczy, wskazując na brak właściwej perspektywy w patrzeniu na formę wiersza. Ale właściwej perspektywy i ona nie umiała ukazać. Nie była zdolna ukazać jej burżuazyjna estetyka, burżuazyjna nauka. Nawet Siedlecki, człowiek lewicy osaczony formalistycznymi teoriami, formalistyczną praktyką badawczą maskującą się pozorami postępowości, nawet on, którego prace były bodaj najpłodniejsze w dziedzinie badań form wierszowych w dwudziestoleciu, nie umiał wyjść poza ogólnikowe wskazania, na najlepszych stronach swoich Studiów z metryki polskiej dowodząc, że procesy zmian, rozwoju wersyfikacji tylko na pozór przybierają postać zjawisk „autonomicznych". Że poza zmianami językowymi warunkują je szersze zjawiska ogólnoliterackie, kulturalne, społeczne.

Gdy wkraczał w obręb właściwej nauki, wartościowania, wykrywania norm, najbardziej podstawowe formaty wersyfikacji zaczynał traktować jak ubogich krewnych, jako istniejące nieomal inercyjnie. Epigoństwo młodopolskie Porębowicza stanowiło dlań twórczą kontynuację tradycji wersyfikacyjnych Słowackiego. Pozorna przewaga schyłkowych wzorów wersyfikacyjnych w okresie dwudziestolecia, w okresie rozkładu burżuazyjnej sztuki, zaciemniała i jemu pole widzenia. Z tego samego powodu Dłuska zamyka swe cenne w szczegółach Studia z historii i teorii wersyfikacji polskiej taką oto deklaracją: „I rzeczą talentu, być może geniuszu, są narodziny przyszłej wielkiej epopei naszych czasów. Epopei tonicznej." Prorokowanie jest tu — jak widzimy — bardzo ostrożne. Ale zapytajmy, dlaczego epopeją naszych czasów ma być epopeja toniczna? Niebezpieczeństwa tego typu wersyfikacji nie są obce Dłuskiej. Widzi mniej lub bardziej jasno jego ograniczenia. Widzi w przeszłości świetniejsze wzory, których dostarczają najwyższe osiągnięcia literatury polskiej. Więc — jeszcze raz — dlaczego epopeja toniczna? Odpowiedź jest jedna: działa najbardziej fałszywa teoria wzajemnego eliminowania, pożerania się systemów wersyfikacyjnych. Rozwój tonizmu jest mimo bardzo odległego rodowodu stosunkowo najświeższej daty, więc z nim wiąże autorka największe nadzieje. Nie zważa, że daty nie można odrywać od kon-

tekstu historycznego, od jej miejsca wśród innych zjawisk, od rozkładu burżuazyjnej sztuki, sztuki biorącej rozbrat z najcenniejszym dziedzictwem narodowym. Jej „proroctwa“ przyznające najwyższy awans systemowi tonicznemu, lecz nie mające podstaw w dotychczasowej tradycji narodowej literatury, opierają się na złudnej podstawie awanturniczych manifestów poetyckich grup literackich, maskujących swój epigonizm ideowy i artystyczny — pseudorewolucjami formalnymi. Teraz możemy już jaśniej powiedzieć — badania wersyfikacji, mimo pewnych większych czy mniejszych osiągnięć, znajdowały się w ślepym zaułku. Wyjście zeń prowadziło przez oparcie wiedzy o wersyfikacji na właściwych kryteriach, które dawałyby podstawę uogólniającym wnioskom o dziedzictwie wersyfikacyjnym poezji współczesnej.

Takich kryteriów mogła dostarczyć tylko marksistowska nauka, marksistowska teoria literatury. Potężnym bodźcem były tu prace Stalina o językoznawstwie, zawarte w nich przesłanki rozwiązania zagadnień trwałych wartości w sztuce. Książka Ważyka jest właśnie wyrazem twórczego zastosowania wskazań Stalina w badaniach nad wersyfikacją. „Poezja narodu socjalistycznego — pisze Ważyk na wstępie — przejmując poznawcze ideowe, humanistyczne doświadczenie dawnej poezji narodowej, dziedziczy język nie jako surowy materiał, ale jako wykształcony instrument. Formy poetyckie nie powstały przypadkowo — przegląda się w nich uroda języka. Odrzucanie lub lekceważenie tego zasobu doświadczenia wersyfikacyjnego skazałoby poezję na życie awanturnicze i zdziczałe. Zasklepianie się w gotowych formach, robienie z nich kanonu — tamowałoby rozwój poezji. Z tradycji można wyciągnąć nowe wnioski, ale trzeba ją dokładnie określić.“

Punktem wyjścia dla tego rodzaju poszukiwań musi być określenie, na jaką tradycję należy się orientować. Ważyk określa ją w sposób jasny i nie budzący wątpliwości: „Wielka tradycja poezji jest równocześnie właściwą tradycją wiersza. Jedynie w oparciu o wielką tradycję można scharakteryzować wersyfikację polską, znaleźć trwałe kryteria oceny, określić zdrowe normy rytmiki. Sama prozodia polska i klasyfikacja wierszy wymaga połączeniach dwóch czynników, rzeczywistego rytmu języka i tradycji wersyfikacyjnej.“ (s. 5).

Właściwy zatem pogląd na historię wersyfikácji, na dziedzictwo form wierszowych musi być zbieżny z poglądem nowatorskim na dzieje literatury, z nowatorskim wartościowaniem literatury narodowej. I wspólna musi być odpowiedź, co w niej stanowi wielką tradycję. A więc „poezja staropolska od Kochanowskiego do Wacława Potockiego, okres Oświecenia i najpełniejsze, najbardziej miarodajne doświadczenie wielkich romantyków, Mickiewicza i Słowackiego.“ (s. 5). Nie jest to zbyt szczegółowa wskazówka, na pewno nie wyczerpuje wielkiej tradycji. W książce musi ją Ważyk uzupełnić fragmentarycznym ujęciem wkładu Konopnickiej, gdzie indziej (w artykule Do zagadnień formy wierszowej, Pamiętnik Literacki, 1951) wskaże ostrożniej na potrzebę krytycznego ujęcia dziedzictwa wersyfikacyjnego Słowackiego. Ale to są dalsze szczegóły. Rozstrzygną je dalsze analityczne badania. Źródła wielkiej tradycji wersyfikacyjnej zostały wskazane słusznie. Szczególne miejsce zajmuje w niej Mickiewicz. I nie jest to tylko zwyczajna deklaracja mająca na uwadze jego miejsce w literaturze polskiej. Przeprowadzona przez Ważyka analiza bogactwa i żywotności wzorów wersyfikacyjnych poezji Mickie-

wicza uprawnia autora książki do wniosku, „że żadnemu poecie żadnego narodu nie przypadła w udziale tak ogromna i tak wielostronna praca wersyfikacyjna jak Mickiewiczowi.“ (s. 6) Analiza wcześniejszych etapów z jednej strony oświetla stan, jaki w tej dziedzinie zastał Mickiewicz, z drugiej zaś ukazuje formy dziedziczenia; epigońskiemu typowi dziedziczenia przeciwstawia metody twórczego przejmowania spadku przeszłości, nowatorstwa sprzymierzonego z wielką tradycją.

W dziedzinie wersyfikacji Ważyk uogólnia: „Kochanowski przekazał poezji polskiej trzy rzeczy: wypracowany model sylabowca, biały wiersz sylabiczny dramatu i pierwszy zawiązek wiercza nieregularnego, na poły rytmicznego, nastawionego na siłę intonacji“ (s. 17), a nieco dalej: „Model Kochanowskiego o żeńskim rymie, na stałej średniówce powyżej ośmiozgłoskowca — jest klasycznym sylabowcem polskim“ (s. 19). Ważnym obyczajem wersyfikacyjnym odziedziczonym po Kochanowskim jest pięknie nazwany przez Ważyka „krok czarnoleski“ — obyczaj charakteryzujący się tym, że nadaje rytmowi wiersza modulację trocheiczną ożywianą kontrastami modulacji, ograniczonym odstępowaniem od niej, zmianą rytmu. I tak jak wiersz biały, „krok czarnoleski“ nie był kontynuowany w poezji staropolskiej. Powrócili do niego dopiero najbardziej świadomi spraw wersyfikacji poeci Oświecenia — Krasicki i Trembecki.

Szczególny nacisk położył Ważyk w swej książce na tradycję wersyfikacyjną Oświecenia. Tłumaczy się to jasno słusznym upatrywaniem w poezji tej epoki początków nowoczesnej poezji polskiej zarówno w treści, jak i w swym kształcie artystycznym. Ale jeszcze jeden istotny wzgląd przemawiał za szczególnym uwzględnieniem dziedzictwa wersyfikacyjnego poetów wieku Oświecenia: była to chęć wykazania, że rzeczywistymi kontynuatorami zdobyczy poezji Oświecenia, kontynuatorami w sensie dialektycznym, a nie epigońskim, byli właśnie Mickiewicz i Słowacki, a nie „pseudoklasycy“, chociaż i Mickiewicz, i jego przeciwnicy ideowi i literaccy odwoływali się do — jak go nazywa Ważyk — „fenomenu słowa poetyckiego“ — Trembeckiego.

Na kanwie przejmowania dziedzictwa wersyfikacyjnego Oświecenia Ważyk pokazuje w sposób mistrzowski mechanizm kontynuacji wzorów poetyckich, złożony mechanizm wyciągania wniosków z wielkiej tradycji. Wskazuje, że mogą być wnioski wielkie, które sprawiają, że „między wierszem Mickiewiczowskim a oświeceniowym są ogromne różnice, ale nie ma zasadniczych sprzeczności“ (s. 28), oraz wnioski małe, martwe, które czynią z żywo rozwijającego się organizmu bezduszny mechanizm, niezdolny do rozwoju. Do wzorów Trembeckiego sięgał i Mickiewicz, i najzdolniejszy bodaj „pseudoklasyk“ Alojzy Feliński, który nawet obwieścił, że „mechanizm wiersza polskiego nic już prawie nie mógł być udoskonalony po Trembeckim“. Jeden w głębokim przymierzu z tradycją tworzył nową wielką poezję narodową, drugi obracał swój kunszt na rzekome udoskonalenie przerzutni, uściślenie rymu. To, co dla jednego było przesłanką tworzenia poezji żywej, pulsującej siłą uczucia, energią dramatycznej walki, dla innych było przesłanką umartwienia poezji, monotonii wersyfikacyjnej, huśtawki rytmicznej. Ważyk jasno dowodzi, że samowiedza artystyczna poetów Oświecenia, ich kultura literacka, „zgoda artystyczna z językiem“ stworzyły podstawę świadomości poetyckiej

Mickiewicza. I nie to jest najistotniejsze, że Mickiewicz walczył ze swoimi antagonistami pseudoklasykami o właściwą interpretację dziedzictwa Trembeckiego, nie walczył zaś o właściwą interpretację poetyki Krasickiego, która nam wydaje się dziś co najmniej równie ważna. Istotny jest fakt — a świadectwem jest twórczość Mickiewicza — że był uczniem Krasickiego. „W Trembeckiego — pisze Ważyk — trzeba było się wgryzać, Krasicki był jak powietrze, którym się oddycha" (s. 35). Pewne, tylko częściowe wyjaśnienie tego zjawiska tkwi zapewne w znanym spostrzeżeniu przytoczonym przez Ważyka w objaśnieniu do przekładu Eugeniusza Oniegina, że Trembecki reprezentuje w tradycji wersyfikacyjnej Oświecenia język o cięższej — czy też powiemy — trudniejszej instrumentacji dźwiękowej, Krasicki natomiast instrumentację łatwiejszą, „jaśniejszą".

W tym całym, dość skomplikowanym zagadnieniu sedno sprawy mistrzostwa mickiewiczowskiego, jego nowatorstwa artystycznego tkwi w twórczym, śmiałym przetwarzaniu i wzbogacaniu wielkiej tradycji poezji polskiej, do której szerokim nurtem wkraczała przetwarzana literacko poezja ludowa. „Mickiewicz — pisze Ważyk — wzniósł nowy szczebel artystyczny dla wersyfikacji polskiej" (s. 74). I to szczebel najdonioślejszy. Ważyk określa go zwięźle i dokładnie: „Plastyka toku i słowa została poddana bardziej zaawansowanej, a więc bardziej realistycznej metodzie, uzależniona od tematu, motywu, treści, uczucia" (s. 74). To tłumaczy orientację na Mickiewicza, szukanie w jego doświadczeniu wzorów, norm. „Żaden poeta polski nie był tak wolny od inercji wersyfikacyjnej jak on, żaden zresztą nie wkładał tyle ambicji w zespolenie formy z treścią" (s. 16).

Taka jest więc racja historycznej orientacji. Ale czy jest ona zbieżna z orientacją normatywną? Poruszamy najistotniejsze zagadnienie książki Ważyka: kwestię trwałych wartości w zakresie wersyfikacji. Ważyk daje tu najsłuszniejszą dyrektywę ogólną na gruncie doświadczeń Mickiewiczowskich. Pisze: „Poetyka romantyczna była zjawiskiem historycznym, które miało swój początek i koniec. Wpłynęła na zdynamizowanie wiersza polskiego i wywołała nowe zjawiska wersyfikacyjne. Zjawiska wersyfikacyjne, nawet związane z określoną poetyką, nie zawsze dzielą jej los. Mają szersze znaczenie, jeśli przegląda się w nich natura języka, którą poeta poznał lepiej od innych i której z większą śmiałością doświadczał. Język jest trwalszy niż poetyka — zachowuje trwałe wizerunki wersyfikacyjne dla przyszłych pokoleń." (s. 74).

Pełne zrozumienie tej prawdy oparte jest na przesłankach wynikających z prac Stalina o językoznawstwie (por. art. M. R. Mayenowej O poetyce, Pamiętnik Literacki, 1951), chociaż bardzo ogólnikowe sugestie takiego pojmowania problematyki nie były obce badaczom np. Wóycickiemu albo Siedleckiemu, który pisał z głębokim przekonaniem: „...prawie niesposób nam jest wyobrazić sobie jakikolwiek z wierszy Pana Tadeusza w oderwaniu od konturu intonacyjnego". Ogólniej umiał to już sformułować Wóycicki. Ale sugestie najbardziej nawet płodne od pełnego uświadomienia sobie zagadnienia, do uczynienia z niego naczelnej dyrektywy badawczej dzieli jeszcze ogromna przepaść. Ważyk zdecydowanie ją przekroczył. I to świadczy o przełomowym charakterze jego pracy dla badań nad wersyfikacją.

II

Ograniczenie znaczenia książki Ważyka do poruszonych powyżej zagadnień, byłoby przeoczeniem innych niepoślednich jej wartości. Trzeba to powiedzieć wyraźnie: książka Ważyka jest cennym wkładem do walki o nowe, marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce. Atakuje dorobek burżuazyjnego literaturoznawstwa na płaszczyźnie — szczerze mówiąc — dotąd prawie nietkniętej, na płaszczyźnie trwałego wkładu artystycznego poszczególnych epok i twórców do narodowego dziedzictwa poezji. Wiele na przykład pisano o elementach realistycznych w twórczości sielankowej Szymonowicza. Ale nikt chyba nie wykazał w tym stopniu, co Ważyk, że realistyczne tendencję twórcy Żeńców zespolone były z językiem ludu, jego wysłowieniem, „które zawsze stanowi najmocniejszy nurt językowy mimo przestarzałych nieraz form gramatycznych." (s. 60). Ważyk wnikliwie wskazuje na toczącą się w obrębie sielanki Szymonowicza walkę między realizmem a idyllicznym konwenansem. „Szymonowicz — czytamy — w wielkich przebłyskach realizmu widział rzeczywiste, posępne życie chłopstwa, przygniecionego feodalnym brzemieniem." (s. 71). Co ciekawsze — Ważyk przekonywająco udowadnia, że sielanka Szymonowicza, w której ten świadomie mieścił i opis, i monolog liryczny, i dialog dramatyczny, była „jedynym prototypem romantycznej koncepcji dramatu z braku innej tradycji". Pogląd chyba zaskakujący, ale odpowiadający prawdzie. Dalej: w książce Ważyka znalazło się nawet miejsce na uwydatnienie poważnej zasługi tak niedocenianej pisarki osiemnastowiecznej jak Drużbacka, której rola w oczyszczeniu języka z „saskich" naleciałości została słusznie podkreślona.

Dalszych przykładów dostarczyć tu mogą fragmenty książki poświęcone Jasińskiemu, jego nowatorstwu w zakresie udoskonalenia polskiej techniki pieśniowej. „Przed pieśnią polską w okresie Oświecenia stanęły nowe zadania rytmiczne" — pisze Ważyk — i drogę ich rozwiązania ukazał nie olimp poetycki, nie Trembecki, Kniaźnin czy Karpiński, lecz poeci znani lub nie znani z nazwiska, „orientujący się na warstwy plebejskie". Właśnie Jasiński, poeta-jakobin, pierwszy w Polsce poeta-rewolucjonista, ukazał drogę usunięcia niezgodności akcentowej między tekstem słownym a śpiewem bez uciekania się do panującego wówczas obyczaju przestawiania akcentów w śpiewie (tzw. transakcentacja meliczna). Sięgał do wzorów pieśni ludowej, „otwierał zwyczajnym polskim ludowym kluczem drzwi do sylabotoniki pieśniowej", „szedł drogą ludową".

Zgodnie z ogólną orientacją całej książki Ważyka na ukazanie bogactwa i wzorów doświadczenia poetyckiego Mickiewicza, rozdziały i partie poświęcone tym zagadnieniom mają najistotniejsze bodaj znaczenie w walce marksistowskiego literaturoznawstwa. Znajduje ono w tym zakresie podniety, sugestie i rozwiązania analityczne jak najbardziej cenne i płodne. Sprawozdawca musi jednak kapitulować wobec rozległego materiału. Musi ograniczyć się do wybranych szczegółów, zostawić poza zasięgiem swojej uwagi świetne rozważania nad charakterem poetyki i wersyfikacji rozwiniętej przez romantyzm, sugestywne partie poświęcone Balladom, przełomowi romantycznemu widzianemu od strony ekspresji stylu poetyckiego, partie mówiące o doświadczeniach Mickiewicza z wierszem sylabotonicznym, rozwiniętym przezeń po bliższym zetknięciu się z poetami rosyjskimi. To i wiele innych spraw o niepoślednim znaczeniu

trzeba pozostawić na uboczu. Można tylko na przykładzie ukazać — nie waham się powiedzieć — rewelacyjną stronę nowatorskich perspektyw, jakie ukazuje książka Ważyka. Nie jest rzeczą przypadku, że pierwsza syntetyczna książka marksistowska, poświęcona syntetycznemu ujęciu twórczości Mickiewicza, nosi znamienną nazwę Spór o Mickiewicza (ukazująca się obecnie praca Stefana Żółkiewskiego). Ważyk w swojej książce dostarcza wielu argumentów przemawiających za rozstrzygnięciem tego sporu w interesie właściwego pojmowania dziedzictwa wielkiego poety. Dla charakterystyki ujęć Ważyka niech starczy jeden tylko szczegół: w pracach Juliusza Kleinera o Mickiewiczu krytyka podkreślała wyjątkową trafność analizy ideowej Grażyny, w której spod historycznej maski, klasycznego kształtu, wygląda przejrzyście aktualny, narodowowyzwoleńczy poemat polityczny. Pogląd Kleinera oceniali bardzo pozytywnie również i marksistowscy badacze. Ważyk pierwszy ukazał połowiczność tego poglądu. Pogłębił przekonanie o politycznym charakterze poematu wskazując na jego polemiczny charakter wobec pseudoklasycznej poetyki, w której kształty oblekał się konserwatywno-arystokratyczny światopogląd i służalcza postawa sfer dygnitarsko-szlacheckich wobec zaborcy. Ważyk wykazuje pozorność pseudoklasycznej poetyki Grażyny, jej dramatyczność wykraczającą poza kanon pseudoklasycznego poematu. „W stylu i toku Mickiewicza — pisze Ważyk o Grażynie — glazura pseudoklasyczna jest bardzo cienka i podejrzana. Wystarczy poskrobać a zniknie.“ (s. 66). Kilka prób podejmowanych tu przez autora dowodzi całkowitej słuszności tego twierdzenia.

Jeśli chodzi o wersyfikację okresu romantyzmu i poromantyczną, poza doświadczenia Mickiewiczowskie Ważyk wykracza rzadko i tylko przygodnie. Brakiem — nie tyle książki Ważyka, ile stanu badań nad wersyfikacją — jest niedostateczne zanalizowanie dorobku wersyfikacyjnego Słowackiego. Jest to o tyle istotne, że w dalszym rozwoju wyprowadzane były z niego najrozmaitsze wnioski, dobre i złe. Trochę zbyt ryczałtowo potraktował Ważyk poezję „pozytywistyczną“ (cudzysłów pochodzi tu ode mnie: myślę, że przyszłe badania uzasadnią jego rację). Surowo lecz sprawiedliwie ocenia Ważyk wersyfikację Młodej Polski, ocenia ją — krótko mówiąc — jako wyraz znikczemniałych upodobań, jako przejaw upadku kultury. Pisze: „Pretensjonalna jałowość treści lirycznej w poezji Młodej Polski znalazła doskonałe uzupełnienie w wyszukanych rytmach, w niedorzecznym nadużywaniu męskich rymów, w usztywnionych potworkach miarowego wiersza. Poezja zeszła do rzędu „nastrojowych“ wprawek rytmicznych. Obcesja rytmu zagłuszała słowa, pojęcia, myśli. Młoda Polska widziała w rytmie podstawowy i niejako wydzielony czynnik artystyczny, a nie czynnik wspomagający emocjonalnie treść wiersza“ (s. 117). Ostra rozprawa ze zwyrodnieniem wersyfikacji w okresie Młodej Polski, z zakorzenionymi przez nią fałszywymi, secesyjnymi wyobrażeniami ludowości w poezji, biegunowo przeciwstawnymi tradycji pojmowania ludowości przez wielkich romantyków, rozprawa podjęta w imię odcięcia się od złych tradycji Młodej Polski wiedzie nas ku innemu aspektowi książki Ważyka, ku zagadnieniu wypracowania norm i wzorów współczesnej poezji polskiej, poezji socjalistycznej.

III

Książka Ważyka o wersyfikacji jest pracą skierowaną „do towarzyszy poetów“, wyrasta z potrzeb współczesnej poezji kształtującego się narodu socjalistycznego, jest pracą uczestnika walki, głęboko troszczącego się o jej właściwy kierunek rozwojowy. Gdzie szukać dla niej wzorów i norm formy poetyckiej — oto w gruncie rzeczy najistotniejsza problematyka książki. Nasyca ją treścią właściwa orientacja w wielkim dziedzictwie narodowej poezji, która oczywiście nie jest nienaruszalnym dogmatem, lecz zdrową podstawą rozwoju. Przyjmuje jako zasadniczą podstawę poezji — zgodnie ze wskazaniami Stalinowskimi — język ogólnonarodowy. Podstawą wersyfikacji musi być rzeczywisty rytm języka. Rozbrat z nim, mimo najbardziej wyszukanych teoryjek o odrębności języka poetyckiego, odmienności w nim praw akcentacji, czyni dany obyczaj wersyfikacyjny niezrozumiałym, niesprawdzalnym. Ważyk w jednym z przypisów pisze z uzasadnioną ironią o teoretykach wiersza tonicznego, którzy mają na swym koncie powyższą teorię, że poza nimi wszyscy Polacy czytają normalnie „i cała mania „toniczna“ pryska w zetknięciu z praktyką społeczną“. Językiem, którym posługują się poeci, rządzą te same prawa, co językiem ogólnonarodowym. To podstawowe prawo o języku jest także naczelną przesłanką wywodów Ważyka, który stwierdza lapidarnie: „Przy przejściu do poezji rytm zostaje poddany rygorom, nie przestając być przecież rytmem języka“. (s. 6).

Przyjęcie rzeczywistych norm języka, orientacja na wielką tradycję poezji, w której najpełniej przegląda się uroda języka narodowego — oto podstawa, z której współczesna poezja może jedynie wyprowadzić właściwe wnioski dla rozwoju form poetyckich odpowiadających nowym socjalistycznym treściom. Ważyk nie poprzestaje jednakże na ogólnikach. Na miejsce płytkiej i fałszywej teorii rugowania jednego systemu wersyfikacyjnego przez drugi uzasadnia rację istnienia zasadniczych typów wierszy współżyjących w poezji polskiej. Ale nie przypisuje im równorzędnego znaczenia; nie uznaje również mechanicznego prymatu jednego rodzaju nad drugim, choćby nawet ten rodzaj był „ostatnio“ „najżywotniejszy“. (Dla badaczy dwudziestolecia było to jednoznaczne z wierszem tonicznym, bądź z wersyfikacją młodopolską.) Właściwy prymat określa wielka tradycja poezji, jej wielkie doświadczenia. „Na pytanie — pisze dlatego Ważyk — jaki jest system wersyfikacji polskiej i czy w ogóle mamy jakiś system, czy też niewydarzony chaos, możemy sobie odpowiedzieć, że odziedziczyliśmy zespół instrumentów niejednakowej mocy, wytrzymałości i znaczenia. Instrumentem głównym jest sylabowiec, inne rodzaje wiersza — instrumentami podrzędnymi.“ (s. 6). I dlatego przywołując najsłuszniej przykład Mickiewicza, Ważyk podkreśla, że przy pozornej otwartości polskiego systemu wersyfikacyjnego (czasem Ważyk mówi o otwartości systemu wersyfikacji polskiej bez ostrzeżenia, że tak jest tylko na pozór — to nie wydaje się słuszne, sam autor zgromadził na to sporo kontrargumentów), trzeba widzieć nie tylko poszczególne formy wierszowe — takiej ich rozmaitości nie osiągnął żaden poeta polski — ale i proporcje, w jakich występują. Zatem postulat gradacji form wierszowych? A tak, bo taka zawsze istnieje, choć nie zawsze jest słuszna. Sylabowiec jest w gradacji danej przez Ważyka najbardziej eksponowany. Nie ma tu nic z doktrynerstwa. „W poezji

polskiej — pisze autor — ta gradacja ma tym większe znaczenie, że podporządkuje chaotyczny na pozór obraz naszej wersyfikacji, ostrzega poetów, lub co najmniej powinna ich ostrzec, przed awanturniczym widzi mi się, nie stanowi jednak niewzruszonej zapory dla awansu poszczególnych form wierszowych. Tylko że awans poszczególnych form można ocenić dopiero na tle ogólnego obrazu przekazanego przez wielką tradycję." (s. 12). Postulować właściwą gradację, a uchylać się od ukazania jej konturów — byłoby zbyt płaskie i połowiczne. Już z dotychczasowych wywodów widać, że Ważyk jest od tego jak najdalszy. Uzasadnia wielką tradycję sylabowca i jego żywotność, wskazuje na wiersz nieregularny jako na instrument „bystrej myśli, błyskotliwej narracji", przypomina wielką tradycję trzynastozgłoskowca, podkreślając i to, że był najbardziej bezpośrednią formą rozumowej wypowiedzi poezji politycznej Oświecenia. Ważyk ostrzega przed groźbą monotonii rytmicznej zawartą w sylabotonizmie, polemizuje wyraźnie z przerostami techniki białego wiersza, którego wielka tradycja mickiewiczowska stawia na drugim miejscu po sylabowcu. Ale ta tradycja — jak to zostało podkreślone — wiąże się z tradycją „Mickiewiczowskiej tresury słowa".

Dokonując przeglądu białego wiersza występującego w różnej postaci od Kochanowskiego poprzez Kniaźnina, Brodzińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida po zalew młodopolski, Ważyk stwierdza: „Biały wiersz polski ma więc tradycję cenną (oczywiście Ważyk nie ma tu na myśli tradycji młodopolskiej, która ma raczej charakter ostrzeżenia — to tylko z zestawienia mojego może się tak wydawać), ale niezasobną. Mówiąc bez ogródek, biały wiersz polski jest bardzo niewdzięczny i w tym sensie trudny, że rezygnując z tak nośnego elementu jak rym, musi legitymować się szczególną kulturą i czujnością słowa, szczególną także siłą intonacji." (s. 17). Tu tylko ostrzeżenie przyznajmy, ważkie ostrzeżenie, w innym przypadku, np. w partiach o rytmie jambicznym gest ostrzegawczy bywa wykonany z większym rozmachem. Jeszcze wyraźniej ujawni się on w rozważaniach o zakresie stosowalności różnych typów rymu, gdzie obok ograniczonej rehabilitacji rymu gramatycznego napotkamy na słuszne postulaty w zakresie rymotwórstwa w poezji dla dzieci i w przekładach klasyków.

Książka Ważyka jest postulatywna. Ukazuje kryteria wartościowania wersyfikacji, sugeruje normy. Nie traktuje tradycji, wielkiej tradycji poezji polskiej, jako zjawiska kanonizowanego czy systemu skończonego, poza który nie można już zrobić kroku. Przeciwnie, praca Ważyka służy sprawie rozwoju, sprawie nowatorstwa, sprawie osiągnięcia przez poezję polską wyższego szczebla rozwoju, odpowiedniego szczeblowi rozwoju, na który wkracza socjalistyczny naród. I to jest najistotniejsze w jego książce, tak ze wszech miar cennej.

Samuel Sandler

EDMUND JAN OSMAŃCZYK: *Siedem gawęd.* Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 108+6 nlb.

Marian Brandys pisał niedawno, że znakomita publicystyka Edmunda Osmańczyka nie doczekała się jeszcze pełnej i sprawiedliwej oceny krytycznej. Słusznie pisał, ale okazało się wkrótce, iż znakomity publicysta jest również kapitalnym gawędziarzem, pomówmy przeto o Osmańczyku-gawędziarzu.

Leży przed nami niewielki, starannie wydany tomik, z rysunkami w tekście

Mieczysława Piotrowskiego i ciekawą okładką projektowaną przez Marka Rudnickiego. Autor: Edmund Jan Osmańczyk; tytuł skomplikowany, jak te sprzed dwu stuleci: Siedem gawęd. O dwóch światach, dwóch epokach, dwóch Mickiewiczach i jednej miłości. Niewiele zrozumieliście? — to posłuchajcie wyjaśnień autora: „Chciałem osnuć opowieść wokół Mickiewicza, ale nie tego, który żył według metryk od roku 1798 do 1855, lecz wokół tego, który dziś żyje wśród nas. Otóż gdybym był historykiem literatury i jednocześnie dziejopisem spraw polskich ostatnich lat stu, pokusiłbym się o opracowanie monumentalnego dzieła pod nagłówkiem Żywot Adama Mickiewicza w narodzie polskim w latach 1855—1955. Niestety, nie mam żadnych po temu danych, a że temat nie dawał mi spokoju, więc postarałem się choć naszkicować go w wiele wybaczalnej formie gawędy". Gawęda bowiem jest najswobodniejszą opowieścią osnutą wokół jakiejś postaci czy zdarzenia. Gawęda pozwala łączyć wspomnienia z dniem dzisiejszym, wybiegać myślą w przyszłość, znów wracać do minionego, potrącać o wiele najróżniejszych spraw, a wszystko wiązać nicią własnych przeżyć.

Kiedy już wiemy, o co chodzi, zajrzyjmy do gawędy pierwszej, „w której będzie mowa o bardzo wielu, bardzo różnych sprawach, opowiadanych kolejno aż do chwili, kiedy w tok opowiadania wmiesza się Mickiewicz, a autor dla nabrania tchu zrobi przerwę". Ponieważ nam tchu na razie nie brak, wyjaśniajmy dalej, jak rzecz się przedstawia i o czym tam mowa. A więc czytamy o dociekliwości w człowieku i o tym, że od 22 lipca 1944 roku, każdy chłopak i każda dziewczyna posiadają — zagwarantowane Konstytucją — prawo do twórczej, rewolucyjnej dociekliwości; oraz o wolności w naszym świecie, która jest „powszechnym prawem i obowiązkiem myślenia politycznie kategoriami naszego czasu, kategoriami epoki socjalizmu, w którą zwycięsko weszliśmy, oraz powszechnym prawem i obowiązkiem realizowania zadań socjalistycznej epoki". Wreszcie zgodnie z zapowiedzią zjawia się Mickiewicz; otwieramy wraz z autorem Kalendarz robotniczy na rok 1951 i pod datą 24 grudnia znajdujemy notatkę o urodzeniu w tymże dniu i tymże miesiącu roku 1798 — Adama Mickiewicza. Potem cofamy się w przeszłość, aby zobaczyć, „jaki to Mickiewicz żył wśród narodu podległego wolności bogaczy". Czynimy to z niezbyt wielką ochotą, ale — jak nam wyjaśnia autor — jest to niezmiernie pouczające: „Ludzie urzeczeni przyszłością muszą jednak sięgać pamięcią wstecz, podobnie jak narciarz, który się cofa do tyłu, gdy chce się mocniej odbić od progu skoczni". W żywym barwnym kalejdoskopie zdarzeń przedstawia nam Osmańczyk pośmiertne dzieje poety, z których wyciągamy ostateczną konkluzję: Mickiewicz, zamurowany w brązowych pomnikach, zafałszowany w historii literatury, stał się narodowi nieznany i obcy. W latach 1855—1945, a więc w ciągu lat dziewięćdziesięciu, wydania zbiorowe pism Mickiewicza sięgały od dwóch do pięciu tysięcy egzemplarzy, a było ich zaledwie coś ponad dziesięć, bo i kto miał je kupować? Ci, co mieli pęd do wiedzy, nie mieli na chleb. Ci, co mieli na marcepany, rzadko wydawali na książki. Drukował za to, w mało skądinąd znanym miasteczku dawnej Galicji i Głodomerii — Złoczowie, niejaki pan Zuckerkandl „bryki", w których można było odnaleźć najbardziej napuszone słowa, jedynie właściwe do oddania

uczuć przepisanych ówczesnym programem szkolnym dla „wieszcza, który cierpiał za miliony". W jubileuszowym zaś roku 1898 jakiś pan M. Szolc wydał poezje Mickiewicza w postaci maciupeńkiej książeczki, nie większej od dwu kostek cukru, a mimo to liczącej kilkaset stronic druku, który odczytać można było tylko przy pomocy szkła powiększającego. To drukarskie cudeńko na czarnej, długiej aksamitce umieszczały w dzień trzeciego maja polskie matrony we wgłębieniu między wyniosłymi piersiami. „Uczyniono bowiem z Mickiewicza — jak to pisał Boy w swej kapitalnej rozprawie Mickiewicz i my — rodzaj „trzeciego maja" przeciw pierwszemu majowi, sztandar przeciw socjalistom. „Mickiewicz — to była tradycja, kontusz, wiara, ład i porządek". Po dziewięćdziesięcioletnim pośmiertnym żywocie Mickiewicza wśród swego narodu — konkluduje Osmańczyk — mrok panował nadal tak wielki, że nie tylko wciąż jeszcze były miliony Polaków, którzy znali poetę z imienia jedynie, ale wyrastały pokolenia, dla których jego nazwisko było nic nie mówiącym dźwiękiem.

Na to, aby Mickiewicz stał się własnością całego narodu, powszechną i umiłowaną jak chleb, potrzeba było rewolucji, która zmieniła gospodarcze i społeczne oblicze kraju. Od Lipcowego Manifestu PKWN rozpoczyna się nowy, jakże inny, rozdział w pośmiertnych dziejach autora Pana Tadeusza. Już w maju 1945 r. Krajowa Rada Narodowa, jeszcze w warunkach wojennych, powzięła uchwałę w sprawie zrealizowania Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza. Na początek wydaliśmy pisma zbiorowe poety w nakładzie trzykrotnie bodaj większym od wszystkich wydań poprzednich. A Pan Tadeusz rozszedł się w nakładzie wyższym niż wszystkie nakłady tego dzieła razem w ciągu lat ponad stu — w nakładzie półtora miliona egzemplarzy. Osmańczyk też pisze o tym wszystkim, ale jakże wspaniale potrafi zamknąć sporo informacji w barwnej, urzekającej gawędzie. O czym on tam nie wspomina! O Tarnowskim i o Boyu, o powtórnym pogrzebie Mickiewicza w Krakowie w 1890 r. i o tym dlaczego z tego powodu mały Edmundek przegrał procę, o ZWM-owcach, którzy rzucając w 1943 r. granaty na Cafè Club rozrzucili jednocześnie ulotki z napisem: „Gwałt niech się gwałtem odciska. Adam Mickiewicz — Za Pawiak" — i o kazaniu jezuickiego kaznodziei, który jesienią 1939 r. wywodził w kościółku św. Andrzeja Boboli, że nowemu upadkowi ojczyzny winna jest „szatańska działalność Boya". Zresztą nie dam rady wymienić wszystkiego: ta szczuplutka książeczka mieści w sobie więcej niż niejeden opasły tom, a przy tym czyta się ją jak... właśnie, jak najciekawszą gawędę...

Przy tym uderza pasja i żarliwość Osmańczyka. Są w jego nowym tomiku stronice gniewne i ostre. Kiedy pisze o swych wrażeniach z podróży po Ameryce, kiedy wspomina o filozofie, który myśli, jak „całkowicie zniszczyć życie ludzkie", kiedy pisze o Bęc-Walskich czekających na rezultaty „cudu skrzyżowania zadżumionej wszy z atomową bombą" — głos pisarza rozbrzmiewa gniewem i nienawiścią do tych wszystkich, którzy grożą zniszczeniem temu, co z tak ogromnym trudem zdobyliśmy, co tak ciężkim wysiłkiem zdobywamy. Zagrażają więc nowemu żywotowi Adama Mickiewicza. Książeczka Osmańczyka pisana dla młodzieży jako zobowiązanie zlotowe — spotka się na pewno z gorącym przyjęciem wśród młodych czytelników, czyniąc im bliższą i droższą postać wielkiego poety.

Ludwik Grzeniewski

JÓZEF HEN: *Druga linia,* Warszawa, 1951, Wydawnictwo MON; str. 264; *Moja kompania,* Warszawa, 1951, Wydawnictwo MON; str. 54.

Nie ma powodu ukrywać faktu, że nasza literatura współczesna nie może się jeszcze pochwalić ani ilością, ani jakością powieści poświęconych wojsku ludowemu — wielkiej kuźni kształcącej świadomych obrońców naszej wolności, strażników naszego pokojowego budownictwa.

Widzimy dość często naszych żołnierzy przy odbudowie, w akcjach pomocy wsi, widzimy ich powracających z obozów letnich, lecz nie widzimy ich w naszej współczesnej literaturze. Dlatego też jest rzeczą niesłychanie ważną, by każdą pozycję poświęconą przedniej straży naszego pokojowego budownictwa jak najrzetelniej omówić, każdą próbę pokazania nowego oblicza naszego wojska jak najdokładniej przeanalizować.

Książki Józefa Hena, szczególnie powieść Druga linia, której tematem jest powstawanie I Armii, doczekały się stosunkowo niemało recenzji. Ale, niestety, nie zawsze krytyka nasza zdawała sobie w dostateczny sposób sprawę z doniosłości podejmowanej problematyki.

Janina Preger na łamach Nowej Kultury (nr 20) przyznaje co prawda, że Hen w swojej powieści poruszył „zasadnicze sprawy", zwraca uwagę na to, że powieść zawiera dużo ciekawych wykładów i dyskusji, dostrzega jej wartości „dydaktyczne, popularyzatorskie", ale nie dostrzega jej walorów artystycznych. Dlaczego? Bo, według autorki artykułu, Hen nie „umiał pokazać wszystkich swoich racji w czynach i losach postaci" poprzez akcję. Recenzent Życia Literackiego do oceny tej dodaje, że główny bohater, Krzemniak, jest „nie tyle typowy, co „ilustracyjny".

Zarzut ten świadczy o zupełnej nieznajomości życia żołnierskiego i jego zadań. Właśnie w armii większa część dnia upływa na szkoleniu bojowym i politycznym (a w książce Hena mowa jest o batalionie szkoleniowym...). Przesunięcia tych proporcji mogłoby doprowadzić do zatracenia specyfiki życia wojskowego.

I tu dochodzimy do sedna sprawy.

Największą zaletą powieści Hena Druga linia oraz mniej — moim zdaniem — udanego opowiadania Moja kompania jest umiejętność ukazania poprzez opisy, syutacje i problematykę prawdy żołnierskiej, prawdy stosunków żołnierskich nowego typu. Walory powieści Druga linia potęguje jeszcze i to, że autor dojrzał to nowe od początku formowania się I Armii, że już w dalekich Sumach nad Pszołą rysował się profil nowego żołnierza, narodziły się nowe pojęcia i ideały, już wtedy Armia przestała być zbiorowiskiem posłusznych, ślepych manekinów, a stawała się kolektywem ludzi świadomych swoich celów i zadań, swojej misji historycznej. Gdybyśmy chcieli zanalizować zamierzenia autora, okazałoby się, że wykroczyły one daleko poza intencje dydaktyczno-popularyzatorskie i dotknęły sprawy o wielkim znaczeniu poznawczym. Mianowicie: pokazania przyczyn siły, oblicza moralnego, walorów kształcących żołnierza niezwyciężonego obozu pokoju. Przy tym autor postawił sobie za zadanie tę niezmiernie doniosłą prawdę zobrazować na doświadczeniach pierwszych miesięcy organizowania polskich jednostek bojowych u boku armii zwycięskiego socjalizmu — prawzoru i nauczyciela armii Polski Ludowej.

Dzieje szeregowca Krzemniaka, jego opory ideologiczne i zmiana, jaka w

nim zachodzi pod wpływem nowej rzeczywistości, dzieje powstawania armii polskiej na ziemi radzieckiej, pokazanie jej wzniosłych celów, szczerego patriotyzmu i zdecydowanej woli walki o wyzwolenie kraju zarówno z niewoli hitlerowskiej jak i spod jarzma rodzimej reakcji kapitalistyczno-obszarniczej — są typowe, pouczające, pełne prawdy historycznej i psychologicznej. Niejeden ochotnik obarczony anglosaskim kompleksem i „tradycyjną" nieufnością do Rosji, został wyleczony dzięki pracy polityczno-wychowawczej takich oficerów-komunistów jak Badura, niejedna dziewczyna, jak Marysia Wiśniewska oddała za sprawę swe życie. Umiejętność pokazania przemian ludzi w sposób przekonywający, żywy i barwny, a miejscami wzruszający, świadczy dobrze o możliwościach pisarskich Józefa Hena.

Czytałem książkę Hena Druga linia po opublikowaniu recenzji w Nowej Kulturze i Życiu Literackim, szukałem więc i „braku motywacji psychologicznej" i „ilustracyjności" i muszę stwierdzić, że takie postaci powieści jak Badura, główny bohater Krzemniak, czy jego kapral z ekipy sanitarnej, Marysia Wiśniewska, w najmniejszym nawet stopniu nie dają powodu do tak krzywdzącej oceny. Czy ich życie wewnętrzne zostało w pełni ukazane? Można z całą stanowczością stwierdzić, że wszystkie posunięcia, przemiany, wydarzenia mają swoją motywację, że wszystkie postacie żyją swoim życiem i mówią swoim językiem, językiem żołnierskim. Ma się rozumieć, że dla ludzi nie znających rzeczywistości wojskowej otaczanie opieką przez porucznika Badurę niesfornego ochotnika Krzemniaka jest dość zagadkowe. Kto zna wojsko niewątpliwie zarzutu niedostatecznej motywacji z tego powodu nie zrobi. Nawet w normalnych czasach, normalnych okolicznościach — a cóż dopiero o setki kilometrów od ziemi ojczystej — żołnierze z jednej wioski czy okolicy lgną do siebie. Łączy ich krajobraz i ludzie im bliscy, ścieżki tysiąckroć zdeptane ich nogami... Tak więc szczególne zainteresowanie, jakie okazuje oficer polityczno-oświatowy w stosunku do swego rodaka, ma swoją rację psychologiczną.

Ale skąd w naprężonej sytuacji wojennej tyle wyrozumiałości dla — w istocie obcego ideologicznie jeśli nie wrogiego — człowieka? Motywacja i tu jest przekonywająca: po pierwsze Krzemniak jest mu klasowo bliski — syn małorolnego chłopa, po drugie jest bardzo szczery i swoich „nastrojów", „racji", „nastawień" nie ukrywa, po trzecie nie znalazł sobie miejsca wśród odszczepieńców i zdrajców spod znaku Andersa, wreszcie odznaczył się przy pracy w kopalni radzieckiej. I porucznik Badura, wzorując się na zasadach pedagogicznych Makarenki, postanawia walczyć o duszę ambitnego Krzemniaka. Daje mu drużynę, nie osłabiając czujności.

Ale w postępowaniu kapitana Badury jest również motyw inny: konieczność wychowywania ludzi. Bohater powieści Hena nie jest postacią pokazową, lecz dla ówczesnej rzeczywistości typową. Potwierdzenie tego znajdujemy w epopei Wandy Wasilewskiej, poświęconej formowaniu się Pierwszej Polskiej Armii.

I fakt, że zmienił się nawet Będziniak — ślepe narzędzie sanacji — nie mówiąc już o Janie Krzemniaku, który stanął w pierwszych szeregach budowniczych rzeczywistości socjalistycznej w wyzwolonym kraju, jest dowodem wyższości naszego wojska nad wojskiem kapitalistycznym, jest dowodem, że w

końcu muszą dojrzeć nawet zatruci i zaślepieni.

Reasumując powtarzam: postać głównego bohatera Krzemniaka, oficera polityczno-wychowawczego Badury, warszawianki Marysi Wiśniewskiej — są postaciami typowymi, żywymi i świetnie podchwyconymi przez autora. Zarówno sam problem jak i atmosfera batalionu szkoleniowego, są prawdziwe i nie budzą zastrzeżeń. Powieść Druga linia czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem dzięki żywej prawdzie pełnych lapidarności, pogody i barwy, dialogów, w których każda z postaci mówi swoim językiem. Hen potrafił ewolucję duchową Krzemniaka pokazać nie tylko poprzez zmianę nastawienia, poprzez uaktywnienie się, lecz i poprzez zmianę leksyki wzbogaconej samokształceniem.

Książka Józefa Hena — mimo widomych braków w malowaniu niektórych postaci drugoplanowych (niewyraźnej Irki Kulikówny, niewidocznego Mysiaka i innych), mimo nazbyt skrótowego opisu pierwszych dni po wyzwoleniu w Rzeszowie, mimo braku dostatecznej motywacji przestępczej działalności w bandzie Kmicica, brata Krzemniaka i patriotyzmu ojca — ma bogatą skalę polityczno-poznawczą. Scena zebrania w Stefanówce, poświęconego reformie rolnej, któremu przewodniczy Marysia, jej śmierć z rąk bandytów, przejmuje grozą i jest wstrząsającym obrazem zezwierzęcenia, do jakiego prowadzi nienawiść ku Nowej Polsce ludzi dnia „wczorajszego".

Józef Hen spraw nie upraszczał. Pokazał dobitnie, że często nawet o człowieka, którego pochodzenie klasowe predestynuje na budowniczego socjalistycznej rzeczywistości, trzeba się bić i że określenie swojego miejsca w walce klasowej nie jest rzeczą automatycznie rozstrzygniętą samym tylko pochodzeniem.

Żywy jest tok narracji powieściowej, wartki jego nurt. Hen nie wysila się na stylistyczne rozbudowywanie opisu czy sytuacji. Sprawność i krótkość zdań potęguje wrażenie powagi i impetu dziejących się wydarzeń. Szlak od Sum do Lublina i tragicznych doświadczeń w Stefanówce jest świadkiem tęsknoty za krajem ojczystym, namiętnego pragnienia walki z wrogiem, radości ze zwycięstw i awansów. Hen ujawnia właściwe oblicze amerykańsko-angielskich sprzymierzeńców i uświadamia, że praca w kraju nie pójdzie tak gładko, bo za Polaków mają się i ci, którzy strzelają do najlepszych synów narodu. Krzemniak i Badura nabierają przekonania, że ich droga w kraju nie będzie usiana różami, że wrogie siły, zdeprawowane i klasowo wrogie jednostki, jak i ci, którym władza ludowa odbierze ziemię, fabryki i przywileje, będą stawiać zacięty opór. I ostatni akord tej ciekawej powieści zapowiada bezkompromisową walkę z siłami nienawiści i mordu.

Powieść Józefa Hena jest pozycją cenną, bo porusza wiele doniosłych spraw, bo pokazuje proces wzrostu świadomości ludzi I Armii, ich bohaterską walkę, ich prawdziwy, szczery patriotyzm. Wzruszająco kreśli Hen, jak głęboko tkwi w sercu każdego bojownika słowo Polska, jak głęboką treścią jest ono wypełnione i jak najlepsi synowie życie swoje oddali dla jej wyzwolenia i przebudowy.

*

Wydaje się jednak, że po wzruszającej scenie pożegnania Stefańczyka z Krzemniakiem, po wymownym zobrazowaniu bohaterstwa na przyczółku wiślanym, opowiadanie Moja kompania traci wiele na wymowie.

Opowiadanie mimo wewnętrznego ciepła ma wątłą konstrukcję. Ale i ta,

będąca odbiciem własnych przeżyć autora, relacja o walkach spod Lenino, o bohaterstwie naszych żołnierzy tchnie wielką prawdą. Jest w tej małej książeczce sporo miejsc celnych i wzruszających. Spotkanie chorego na malarię Rysiewicza, który zwiał ze szpitala i poszedł do swojej kompanii, z chłopami białoruskimi, niektóre sceny batalistyczne (walka z „ferdynandami"), bojowa przyjaźń — to najbardziej celne fragmenty.

Książki Józefa Hena są lekturą ciekawą. Uczą patriotyzmu i bohaterstwa, pokazują oblicze naszej armii, uczą umiłowania prawdy i nienawiści do wrogów naszego niepodległego bytu i swobodnego życia, uczą czujności i nienawiści ku faszystom każdej narodowości, i miłości do wszystkich ludzi walczących o szczęście, wolność i rozkwit swojej ojczyzny.

Salomon Łastik

T E A T R

GLOSSY O „DRODZE DO CZARNOLASU"

W roku 1569 (to jest mniej więcej w tym samym czasie, w którym rozgrywa się akcja Drogi do Czarnolasu Aleksandra Maliszewskiego) jakiś nieznany nam z nazwiska wielbiciel Kochanowskiego napisał, że raczej wichry obalą Tatry, słońce wzejdzie na zachodzie i Wisła wróci do morza, niż zgaśnie w Polsce sława tego poety. Prof. Tadeusz Sinko, który przytoczył owe pochwały w swym wstępie do Pieśni Kochanowskiego, zwraca uwagę — iż w tym czasie znali współcześni tylko niektóre utwory Kochanowskiego, jak Pieśni o potopie, O śmierci Jana Tarnowskiego, Satyr, Zgoda, niektóre Fraszki i Pieśni. Był to zaledwie początek poetyckiej drogi Kochanowskiego; dopiero kilkanaście lat później miały powstać: Odprawa posłów greckich, czy Treny.

Można więc śmiało powiedzieć, że wśród wielkich naszych pisarzy Jan Kochanowski był jednym z najszczęśliwszych; że nie mógł się skarżyć na brak oddźwięku w społeczeństwie. Miał lat niespełna trzydzieści, gdy utwory jego krążyły w rękopisach — zanim je zdążono wydrukować. Wszyscy je czytali, zachwycano się nimi powszechnie. Nawet starsi pisarze nie odczuwali wobec artyzmu Kochanowskiego zawiści; swą nowością nie budziły w nich zdumienia. Rej przyznawał pisarzowi wyraźną nad sobą wyższość. O ileż trudniejszy start miewali u nas już nie tylko romantycy, ale i pisarze epoki Stanisławowskiej czy XVII-wiecznego baroku!

Owe zjawisko szybko rosnącej sławy poetyckiej Jana Kochanowskiego jest jednym z motywów akcji w Drodze do Czarnolasu. Pozwala to wniknąć autorowi sztuki w istotę ważnych problemów epoki. Bo zważmy, że popularność Kochanowskiego wynikała z szybkiego (w stosunku do epok poprzednich) upowszechniania kultury w okresie naszego złotego wieku; wynikała ona także z programu poetyckiego, który Kochanowski sformułował sobie wiele lat wcześniej (podczas pobytu we Francji). Nasi badacze stwierdzają, iż w porównaniu z drugą połową wie-

ku XV, polskie złote stulecie jest okresem, w którym nauką, literaturą i sztuką interesują się już nie tylko sfery dworskie oraz część świeckiego i duchownego możnowładztwa, ale i szerokie sfery szlachty a nawet mieszczaństwa. Setki młodych ludzi zmierzają w tym czasie z Polski na Uniwersytety zachodnie: do Włoch, Francji, Niemiec, Niderlandów; niektórzy docierają nawet do Hiszpanii lub Wielkiej Brytanii. Gdyby ktoś mógł popatrzeć z zewnątrz na szlaki prowadzące z Polski, zobaczyłby rzesze wędrowców zmierzających do wielkich ośrodków myśli. A ponieważ w tym czasie nie było jeszcze przedziału między wiedzą a sztuką, wszyscy niemal ludzie oświeceni czytywali wiersze i wszyscy się nimi zachwycali. Między Andrzejem Patrycym Nideckim, filologiem i wydawcą Cycerona — a twórcą Fraszek czy Szachów nie było różnic w zainteresowaniach.

Program poetycki Kochanowskiego ułatwiał jeszcze porozumienie między poetą a dużą częścią narodu. Poeta studiował w Krakowie i Królewcu, we Włoszech i we Francji. Najdłużej przebywał na sławnym uniwersytecie padewskim; przewodniczył nawet „nacji polskiej", czyli był jakby prezesem koła polskich słuchaczy. Na takie stanowisko nie mógłby się dostać człowiek małej czy lichej nauki. Bliska przyjaźń ze sławnym w całej Europie latynistą Nideckim również pozostawiła ślady na umysłowości poety. Kochanowski znał łacinę na wylot, nauczył się po grecku, włosku i francusku. Jak wiadomo był poetą dwujęzycznym, łacińsko-polskim.

W roku 1558, tuż przed powrotem do kraju, wybrał się drogą morską do Francji. O podróży tej marzył od dawna — ale gdy postawił nogę na ziemi Gallów, doznał pewnego zniechęcenia. Zdezorientowany błąkał się po tamtych drogach, aż napotkany przypadkiem inny cudzoziemiec dopomógł Kochanowskiemu do poznania całego kraju. Razem zwiedzili główne miasta i najpiękniejsze okolice. Razem też poznali poetów francuskiej „Plejady" i jej wodza Ronsarda, którego poznanie notuje nasz poeta z uniesieniem radości. Ronsard i „Plejada" głosili ideę unarodowienia poezji wedle klasycznych wzorów. Formy i gatunki greckich i rzymskich poetów miały być przyswojone literaturze ojczystej. Piękno zdobyte trudem pokoleń miało być teraz przekazane rzeszom narodu w ich własnym języku. Było to niewątpliwie wielkie wydarzenie w dziejach nowoczesnej myśli artystycznej.

Kochanowski nie przejął tego programu od Francuzów. Sam myślał podobnie; niezależnie od nich do takiego doszedł wniosku. Ale spotkanie z „Plejadą" utwierdziło go w przekonaniu o słuszności własnych myśli. Możemy sobie wyobrazić, z jaką radością oświeceni Polacy przyjęli wiersze, które zadowalały ich ideały estetyczne wykształcone na Rzymianach i Grekach, a równocześnie brzmiały dźwiękami własnej mowy, którą w myśl ideałów humanizmu nauczyli się kochać. Przed Kochanowskim twierdzono, że język polski nie jest na tyle melodyjny, aby pozwolić na stworzenie naprawdę wartościowego poetyckiego rytmu. Autor Zgody rozbił ten przesąd; wiersz jego brzmi dźwiękiem najczystszym, wywiera nieodparty urok. Trudno się zgodzić ze zdaniem pewnych badaczy, którzy od złotego wieku liczą dopiero genezę polskiego języka literackiego. Ale można zapewne powiedzieć, że właśnie autor Czego chcesz od nas Panie? i jego poetyccy towarzysze wyzwolili z naszego języka zaklęte skarby nie tylko rytmu, ale i obrazowości. Ten wykształcony klasyk umiał sięgać

po skarby wyobraźni ludowej w Sobótce czy w niektórych metaforach poematu Zgoda.

Aleksander Maliszewski obierając Kochanowskiego na głównego bohatera swej sztuki, powziął decyzję o dużym znaczeniu. Staraliśmy się wykazać, że w umysłowości pisarza i jego losach krzyżowały się wielkie zagadnienia epoki. Sztuka o Kochanowskim to w istocie sztuka o nowej kulturze renesansowej, o jej problemach dziś jeszcze istotnych. Można nawet powiedzieć, że głównym tematem tego utworu jest początek walki o kulturę nowoczesną, której dalszy przebieg znaczył się klęskami czy zwycięstwami epok następnych. Sukces Maliszewskiego, jak mi się wydaje, polega na tym — że pozornie zacieśniając temat do wątku biograficznego, pozostał przy tym wierny szerokim horyzontom tej sprawy.

Można by się zastanawiać, czy moment biograficzny został wybrany trafnie. Maliszewski wiedziony instynktem dramaturga, ograniczył się do pewnych lat w życiu poety. Wszystkie znane mi próby „sztuk biograficznych" („od kolebki do zgonu") kończyły się niepowodzeniem; potrzeby kondensacji, a przede wszystkim wymogi rytmu dramatycznego nieuchronnie do tego prowadzą. Dlatego słusznie postąpił pisarz, narzucając sobie pewne ograniczenia czasowe. Wybrał lata 1562—1564. Czy trafnie?

Były może w życiu poety momenty bardziej dramatyczne, ostrzejsze: choćby owe narodziny „programu poetyckiego", które się nieco wcześniej dokonały na ziemi francuskiej; albo tragiczny epizod ze śmiercią Urszulki.

Ale lata wybrane przez Maliszewskiego pozwoliły na ukazanie momentu, jeśli nie najbarwniejszego, to najbardziej decydującego i przejściowego. Wtedy właśnie Kochanowski dokonał ważnego życiowego wyboru. Trzy akty sztuki Maliszewskiego, to trzy etapy owej drogi do Czarnolasu, jaką zapowiada tytuł. Wróciwszy z zagranicy, wzbogacony zasobem humanistycznej wiedzy, próbuje Kochanowski oddać ją na usługi krajowi. Rozmyśla o dworskiej karierze; stara się (czy raczej starają się dlań przyjaciele) o stanowisko królewskiego sekretarza. Różne koterie i grupy próbują go wciągnąć do swej gry politycznej; dumny a przebiegły wojewoda nie waha się omotać poety przy pomocy pięknej swej córki. Równocześnie zabiega o Jana stronnictwo dygnitarzy kościelnych, walczące nie tyle o dogmaty, co o majątki zagrożone hasłami „egzekucji".

Tu pojawia się zagadnienie, które mogłoby budzić sporo nieporozumień. Aż do końca był Kochanowski poetą najściślej związanym z życiem swego społeczeństwa; dowodem choćby Odprawa posłów greckich. Nie wiem, czy ściśle zgodna z historią jest ukazana w zakończeniu Drogi do Czarnolasu decyzja wycofania się z życia dworskiego i powrotu w zacisze czarnoleskiego dworu; pewne funkcje dworskie pełnił poeta, jak się zdaje, dość jeszcze długo; sekretarzem w ścisłym znaczeniu słowa nie był nigdy. Myślę jednak, że finał utworu należy rozumieć nie w ten sposób, iż Maliszewski każe się Janowi wycofać z czynnego udziału w troskach i życiu narodu; chodzi natomiast o to, iż w poecie rodzi się świadomość wad i niedostatków ówczesnego życia publicznego. A to jest sprawa bardzo doniosła.

Jest w sztuce piękna scena, w której wojewodzianka Hanna mówi do Kochanowskiego słowami łacińskich jego erotyków, a on jej odpowiada wierszem polskim. Współcześni chlubili się poetą, który mieszkał w bezpośrednim ich sąsiedztwie, a umiał władać heksame-

trem tak sprawnie, jak uwielbiani Rzymianie. Dorota Podlodowska z zachwytem deklamuje Czego chcesz od nas Panie? i naiwnie chciałaby podpatrzeć tajemnice narodzin wiersza. Ale za chwilę zobaczymy, jak pijana szlachta bezmyślnie i bez sensu wyśpiewuje słowa poematu Zgoda — w takt burd i awantur — i w imię sympatii do „Jasia" chce „incognito" porąbać jego samego. Rozdźwięk między Kochanowskim a dużą częścią jego rodziny (bracia Kacper i Piotr, stryj Filip) jest w sztuce nawet wyolbrzymiony — wbrew historii. (W rzeczywistości Kacper Kochanowski był człowiekiem wykształconym, poeta sławił go w pogrzebowej mowie). Myślę, że chodziło Maliszewskiemu o to, by na przykładzie rodziny pokazać niedostateczne pogłębienie procesów kulturalnych wśród szlachty. Mówiliśmy o tym, że złoty wiek jest okresem względnego upowszechnienia nauki i sztuki w społeczeństwie ówczesnym. Oczywistą jest prawdą, że rozwój kultury został u nas zahamowany pasmem nieustannych wojen XVII stulecia. Złoty wiek, to jeszcze czas szczęśliwy. Rozwój kultury materialnej i dobrobytu pozwala na takie zjawiska, jak entuzjazm dla poezji humanistów czy początki nurtu plebejskiego, albo ośrodek myśli ariańskiej w Rakowie. Ale już nawet i wtedy zaczyna się upadek miast i coraz większe ograniczanie praw chłopskich. O zagadnienie chłopskie ocierają się raz po raz bohaterowie Drogi do Czarnolasu. Spekulant, stryj Filip, przy potakiwaniu braci poety, głosi lakonicznie sformułowane hasło „W łeb chłopa!" Z ludźmi takimi nie może znaleźć wspólnego języka poeta, który ze swym przyjacielem Nideckim rozprawia o Utopii Morusa, i który się entuzjazmuje ideą Frycza - Modrzewskiego:

„Prawo ma być jednakie dla chłopa i pana
jako że kmieć i szlachcic z jednej krwi i kości".

Podkreślono już takt i kulturę, z jaką autor Drogi do Czarnolasu potraktował sprawę Kochanowskiego — poety. Sztuka jest przeważnie pisana trzynastozgłoskowcem zbliżonym do tego, jakim przemawia Satyr, Zgoda, czy hymn Czego chcesz od nas, Panie? Łagodność Kochanowskiego z tej epoki wyraźnie odpowiadała twórcy Wczoraj i przedwczoraj. Nie ma tu namiętnych starć, czy ostrego piętrzenia dramatycznych działań.

*

Przez okno otwarte na ogród, w pierwszym akcie Drogi do Czarnolasu, wpada na scenę pełno letniego radosnego słońca. Nastrój tej słoneczności udało się osiągnąć w przedstawieniu warszawskiego Teatru Współczesnego. Nie myślimy o ujemnych stronach tego życia, jak nie kojarzymy naszego wyobrażenia o wsi z rojami dokuczliwych much, które się na pewno gromadzą w pobliżu stajni. Ważna jest atmosfera spokoju i szczęścia, które łączymy z myślą o dalszym życiu Jana z Czarnolasu, życiu sprzyjającym twórczości. Reżyser (Erwin Axer), scenograf (Otto Axer) i aktorzy umieli do wytworzenia takiej wizji dopomóc. To ważny punkt w pracy teatru. Na tym tle pięknie się rozwija akt pierwszy, osiągając punkt szczytowy w końcowej scenie między Janem i jego siostrą, Anią. To uroczy moment, gdy wpatrzona w Kochanowskiego jak w tęczę dziewczyna chce go jeszcze zatrzymać i uchronić od rozczarowań; gdy ustępuje wobec szlachetnych argumentów brata:

W życiu o wiele nie stoję za nic
Niech mnie fortuna, sława nie czeka.
Ale to, Aniu, szczęście bez granic
bić się o wolną myśl dla człowieka.

Pochwalamy tutaj od razu Danutę Szaflarską, która nasyciła swą Anię rysami prostoty i wdzięku, życzliwości, rozsądku, prawości, pogody. Rola Szaflarskiej, na pierwszy rzut oka dość nieefektowna, mieni się szczegółami trafiającymi do naszej wyobraźni.

Znakomitym osiągnięciem aktorskim wydaje mi się Wojewoda Tadeusza Białoszczyńskiego. Jest w nim zdecydowana pogarda dla ludzi, charakteryzująca rozpanoszonego magnata, daltonizm moralny i społeczny, gdy np. niechęć poety do wojny próbuje Wojewoda wyzyskać do przestawienia agresji inflanckiej na multańską, złośliwy uśmieszek, gdy się naigrawa z oberżysty, Gąski. Wybuch wściekłości w akcie trzecim, po rozmowie z królem wypadł zupełnie naturalnie.

Dorotę Podlodowską zagrała Zofia Mrozowska. Są zapewne echa sławnej jouvetowskiej sceny ze Szkoły żon, w owym epizodzie, gdy Dorota deklamuje poecie hymn Czego chcesz od nas Panie. Ton dziecka, któremu się zbiera na płacz, wobec „wsyp" i pomyłek recytacji, był szczęśliwą inwencją artystki.

A Wyrzykowski? Niełatwa jest rola Jana Kochanowskiego w tej problemowo bogatej sztuce. Poeta jest tu równocześnie: dojrzałym człowiekiem o zdecydowanym światopoglądzie i programie działania, oraz 30-letnim młodzieńcem, skorym do wesołych przekomarzań z pannami, wrażliwym na piękno niewieście. Wyrzykowski ujął skomplikowany i bogaty ten charakter w sylwetę jasną, wyraźną i interesującą. Pięknie mówił wiersz, ujmująco rozwiązał sceny miłosne aktu drugiego. W ogólnym jednak nastroju smutek przeważał u niego nad radością życia, powaga nad zmysłem humoru i potrzebą entuzjazmu. Tę sylwetkę łączyło się bardziej z twórcą Zgody niż Szachów czy Fraszek.

Pokonawszy wiele trudności, uniknąwszy sporej ilości niebezpieczeństw, wynalazłszy dużo szczęśliwych rozwiązań, zespół Teatru Współczesnego stał się, wraz z autorem sztuki, współtwórcą tego wartościowego przedstawienia.

Wojciech Natanson

NA WIDNOKRĘGU

KONGRES ZDEMASKOWANYCH

W dniach od 29 września do 3 października odbył się w miejscowości Morecambe doroczny kongres brytyjskiej Partii Pracy, głównej w chwili obecnej partii socjal-demokratycznej. Kongres zebrał się w okresie, gdy następuje przyśpieszone ujawnianie wszystkich konsekwencji powojennej polityki rządów angielskich, tak labourzystowskiego jak i churchillowskiego. A konsekwencje te są niewesołe. Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że to, co dziś nazywamy popularnie kryzysem ekonomiki brytyjskiej, ma już swoją 50-letnią historię: jest to wynik procesu wywołanego działaniem prawa nierównomiernego rozwoju kapitalizmu w jego imperialistycznej fazie oraz jeden z elementów powszechnego kryzysu kapitalizmu. Dwie wojny światowe, które kolejno zapoczął-

kowały pierwszy i drugi etap powszechnego kryzysu kapitalizmu doprowadziły z jednej strony do ostrego skurczenia się sfery eksploatacji należącej do kapitału brytyjskiego, przy czym proces ten, w formie narastania ruchów narodowo-wyzwoleńczych, trwa nadal, a z drugiej do przesunięcia układu sił w obozie imperialistycznym na rzecz Stanów Zjednoczonych. Były labourzystowski minister handlu Wilson słusznie zauważa, że „już w latach dwudziestych rozpoczął się proces wysysania świata (oczywiście kapitalistycznego — red.) przez Amerykę". W trakcie drugiej wojny światowej pozycja Wielkiej Brytanii pogorszyła się radykalnie. Wystarczy wskazać, że od 1939 do 1945 Wielka Brytania straciła jedną czwartą swojego majątku narodowego w formie rezerw walutowych, inwestycji zagranicznych, nieruchomości zniszczonych przez wojnę, parku maszynowego zrujnowanego nadmierną eksploatacją itd. W szczególności, podczas gdy w 1939 brytyjskie dochody z inwestycji zagranicznych pokrywały $^1/_5$ ówczesnego importu — w 10 lat potem pokryły już tylko $^1/_{25}$. Wielka Brytania stała się krajem dłużniczym. Podczas gdy w 1938 na każdego obywatela Wielkiej Brytanii przypadało przeciętnie 80 funtów wierzytelności wobec zagranicy netto — w 1945 przypadało na każdego już 20 funtów długu netto, a w 1951 — 55 funtów długu netto.

Już w 1945 roku było jasne, że podstawy imperialnej polityki brytyjskiej zostały zniweczone i że jeśli Wielka Brytania ma utrzymać stopę życiową swych obywateli — może liczyć w tym tylko na własny wysiłek produkcyjny. Jednakże ówczesny rząd labourzystowski poszedł inną drogą. Zadłużając się coraz bardziej u Stanów Zjednoczonych i podporządkowując ekonomikę i politykę brytyjską dyktaturze Stanów, labourzyści sądzili, że za amerykańskie dolary potrafią uratować imperialne mocarstwo brytyjskie i tak je „zreorganizować", by Wielka Brytania mogła nadal żyć kosztem innych narodów. Rachuby te okazały się zawodne. Wszystkie elementy kryzysu ekonomiki brytyjskiej istniejące w 1945 — wychodziły coraz ostrzej na jaw i w końcu 1951 rozpoczął się trwający do dziś dnia trzeci etap, szczególnie burzliwy, tak zwanego dolarowego kryzysu brytyjskiego. Kryzys dolarowy tzn. niemożność powstrzymania ciągłego wzrostu zadłużenia wobec USA i ciągłego odpływu majątku narodowego do kas Wall Street — ogniskuje w sobie podstawowe wyniki strukturalnego kryzysu gospodarki brytyjskiej. A trzeci powojenny etap kryzysu dolarowego jest z kolei bezpośrednim wynikiem zapoczątkowanego w 1950 wielkiego wyścigu zbrojeń, do którego zmusza Wielką Brytanię uzależnienie od USA, do którego zmuszają ją konsekwencje całej powojennej polityki rządów brytyjskich.

Wymieńmy główne elementy charakteryzujące sytuację gospodarki brytyjskiej w połowie 1952: 1) w wyniku całokształtu inflacyjnej polityki mającej umożliwić finansowanie zbrojeń spada szybko poziom życiowy ludności: płaca realna zatrudnionych, obliczona bez uwzględnienia wzrostu wydajności pracy, zmniejsza się obecnie w tempie ok. 6% rocznie, a zarazem rośnie szybko ilość bezrobotnych, których w połowie br. było 500 tysięcy oraz nie mniej niż 200 tysięcy częściowo bezrobotnych; 2) pogłębiają się dysproporcje strukturalne w gospodarce brytyjskiej: inwestycje w przemyśle pokojowym zostały w roku bieżącym sprowadzone do zera — a pamiętajmy, że podczas gdy jedynie utrzymanie przedwojennego poziomu technicznego przemysłu Wielkiej Brytanii wymagałoby w okresie 1946—50 inwestycji w

sumie 7,3 mld. £, zainwestowano faktycznie 4,9 mld.; wskutek zmniejszającego się popytu na rynkach zagranicznych i na rynku wewnętrznym wegetuje przemysł konsumcyjny, którego główne gałęzie od połowy ubiegłego roku wykazują spadek produkcji wahający się od 5 do 30%; wskutek niedoinwestowania maleje produkcja przemysłów dobywczych, która jest dziś o 10% niższa niż w 1938; rozrasta się natomiast produkcja zbrojeniowa — na każdy tysiąc pracujących wypada w Wielkiej Brytanii 82 roboczolat w przemyśle zbrojeniowym rocznie, co jest najwyższą liczbą w całym świecie kapitalistycznym; 3) słabnący potencjał produkcyjny i rosnące wymagania zbrojeniowe powodują kurczenie się eksportu brytyjskiego, który w połowie br. był o 13% niższy niż w połowie roku ubiegłego — jedyna droga zwiększenia tego eksportu, tzn. zakończenie wyścigu zbrojeń i rozwój stosunków handlowych z krajami obozu socjalistycznego, jest blokowana przez zakazy amerykańskie; 4) kosztem poziomu mas i przemysłu pokojowego kontynuowane jest sztuczne redukowanie importu dla zrównoważenia eksportu; w roku bieżącym import został zredukowany o 600 milionów funtów w porównaniu z poziomem, jaki byłby potrzebny do utrzymania wysokości spożycia wewnętrznego z roku 1951; 5) następuje rozrost zysków wielkokapitalistycznych w tempie ok. 20% rocznie kosztem wzmożonej eksploatacji kolonii i spadku poziomu życia mas pracujących.

*

Masy pracujące Wielkiej Brytanii są coraz bardziej zaniepokojone i zniecierpliwione wyżej opisanym rozwojem sytuacji. Do ich świadomości dociera zarazem z coraz większą siłą zrozumienie przyczyn obecnego złego stanu rzeczy. Socjal-demokracja brytyjska od dziesiątków lat pełni rolę burżuazyjnego piorunochronu: najistotniejsze zadanie widzą przywódcy Labour Party w zacieraniu świadomości klasowej robotników brytyjskich, w wytwarzaniu nastrojów „solidarności narodowej". Labour Party jest ugrupowaniem wiernych obrońców imperialnych interesów brytyjskich. W miarę jednak jak słabnie imperializm brytyjski, w miarę jak sfera eksploatacji w krajach zamorskich maleje i ciężar eksploatacji imperialistycznej przesuwa się coraz bardziej na barki robotnika angielskiego — zadanie przywódców Labour staje się coraz trudniejsze. Historyczne doświadczenie wykazuje, że za każdym razem, kiedy polityka prowadzona przez kierownictwo Labour zostaje w oczach mas zdemaskowana i bankrutuje, kiedy szeregi labourzystowskie radykalizują się i odrywają od swych przywódców — następuje zmiana ekipy rządzącej w Labour: do steru przychodzą „nowi ludzie" z pozornie „nowym programem" po to, by prowadzić starą politykę oszukiwania, obezwładniania mas pracujących.

23 kwietnia 1951 z ówczesnego rządu Labour manifestacyjnie wystąpiło trzech ministrów: Aneurin Bevan, Harold Wilson i John Freeman. W motywach swej dymisji oświadczyli oni, że nie zgadzają się na „nadmierny wysiłek zbrojeniowy" i na „zbytnie uzależnienie od USA", że żądają „samodzielnej polityki brytyjskiej". Od tego czasu minęło półtora roku. Ukształtowana w tym czasie tzw. grupa Bevana pozyskała dla swego „programu" masowe poparcie wśród szeregowych członków Labour. W Partii Pracy rozwinął się masowy ruch przeciw zbrojeniom i przeciw wiązaniu się z agresywną polityką Stanów Zjednoczonych. Wystarczy wskazać, że poszczególne oddziały partyjne nadesłały na ostatni Kongres Labour w Morecambe 109 rezolucji ata-

kujących te dwie fundamentalne zasady „dwupartyjnej polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii". Jak dalece wzrosła świadomość polityczna brytyjskich mas pracujących wskazać może fakt, że reprezentatywne dla owych 109 rezolucji były wnioski tak radykalne, jak cytowana przykładowo rezolucja organizacji partyjnej w Lambeth (Norwood):

„Kongres patrzy z rosnącym zaniepokojeniem na istniejący pęd do wojny i stwierdza z naciskiem swe zdecydowane przekonanie, iż problemy stojące przed ludzkością mogą być rozwiązane jedynie metodami socjalistycznymi. Kongres uważa, że socjalistyczny punkt widzenia problemów światowych jest niezgodny z: 1) kontynuowaniem poparcia dla interwencji sił ONZ na Korei; 2) zwalnianiem hitlerowskich przestępców wojennych; 3) niepopieraniem ruchu niemieckiej klasy robotniczej przeciw zbrojeniom; 4) traktatem z San Francisco i projektowaną remilitaryzacją Japonii; 5) planem zubożenia ludzkości poprzez gigantyczny wyścig zbrojeń, mogący prowadzić tylko do wojny.

Kongres domaga się, by egzekutywa partii i grupa parlamentarna oparły swą działalność na następujących wytycznych politycznych: 1) wycofanie wojsk brytyjskich z Korei, Malajów i Egiptu; 2) sprzeciw wobec embargo na eksport tzw. strategicznych artykułów do Chin i Rosji; 3) sprzeciw wobec wszelkich układów mogących doprowadzić Wielką Brytanię do podjęcia dalszej akcji przeciw Chinom; 4) zmuszenie do publikacji istniejących układów i publicznego sformułowania istniejących rozbieżności z USA; 5) wycofanie się z paktu brukselskiego i paktu atlantyckiego; 6) odmowa kontynuowania dalszego wyścigu zbrojeń".

W obliczu tak radykalnych nastrojów mas przebieg kongresu Labour mógł w najwyższym stopniu zaskoczyć kogoś, kto po pierwsze nie zna procedury labourzystowskich kongresów i po drugie żywił złudzenia na temat roli grupy Bevana. Na kongresie Labour nie tylko nie został uchwalony żaden radykalniejszy wniosek w istotnych sprawach, ale w ogóle jeden tylko został dopuszczony do debaty. Rzecz leży w tym, że kierownictwo kongresu należące *ex officio* do ludzi z egzekutywy ma prawo „komasowania" nadsyłanych rezolucji w sposób, jaki uważa za stosowny. Rzecz leży po drugie w tym, że system głosowania na kongresach Labour daje z zasady większość reakcyjnemu kierownictwu, chyba że na kongresie wystąpi siła równie zorganizowana i jednolicie kierowana jak grupa przywódców. Członkostwo Labour jest mianowicie dwojakiego charakteru: członkostwo indywidualne nie przekraczające jednej szóstej ogółu członków obejmuje terenowe oddziały Labour — członkostwo zespołowe opiera się na fakcie przynależności do partii całych ugrupowań takich jak przede wszystkim związki zawodowe, stowarzyszenia spółdzielcze i ugrupowania kobiece. Wstępujący do związku zawodowego staje się automatycznie członkiem Labour. Otóż, jeśli chodzi o delegatów na kongres, wybrani przez masy byli faktycznie tylko delegaci terenowych organizacji partyjnych — delegaci ugrupowań takich jak związki zawodowe byli po prostu mianowani przez kierownictwa tych organizacji, a kierownictwa te stanowią z kolei część kierownictwa samej Labour Party. Z tym wszystkim przebieg kongresu byłby zupełnie inny, gdyby nie rola grupy Bevana. Akcja bevanowców na kongresie sprowadziła się do prób zastąpienia dotychczasowej ekipy kierowniczej przy przyjęciu programu tej

ekipy, a przy wykorzystaniu natomiast poparcia, jakie Bevan i jego ludzie pozyskali swymi dotychczasowymi wystąpieniami właśnie przeciw temu programowi. Rachuby Bevana zostały częściowo uwieńczone pozytywnym skutkiem. Czołowi działacze grupy Attlee — były wicepremier Morrison, byli ministrowie skarbu Dalton i Gaitskell, były minister obrony Shinwell, były minister wojny Strachey, były minister dla spraw Commonwealthu, Noel Baker — przepadli w wyborach do egzekutywy na rzecz ludzi z grupy Bevana. Grupa Attlee, zachowując większość w egzekutywie dzięki miejscom zarezerwowanym dla przedstawicieli związków zawodowych, otrzymała jednak poważny cios. Wybory do egzekutywy odbyły się w pierwszym dniu kongresu i już następnego dnia grupa Bevana dowiodła, że nigdy nie zamierzała na kongresie dokonać czegokolwiek więcej, jak tylko właśnie skapitalizowania rezultatów półtorarocznej demagogii w celu zwiększenia swego stanu posiadania w kierownictwie. Czołowi przywódcy grupy Bevana zrezygnowali w ogóle z zabierania głosu w kwestiach „drażliwych", takich jak polityka zagraniczna, czy wyścig zbrojeń. „Teoretyk" bevanowców, Crossman, zabierając głos w debacie z całą szczerością stwierdził, że „rezygnuje z omawiania kwestii kontrowersyjnych". W tej sytuacji dołowi delegaci walczący o przeforsowanie na kongresie postępowych postulatów zostali osamotnieni i oczywiście nie mogli niczego osiągnąć. Konserwatywny Times pisał o tym: „Delegaci lokalnych organizacji partyjnych stoczyli beznadziejną walkę, aby podtrzymać sprawę, o którą bili się od dawna. Nie mogli jednak usunąć wrażenia, że wypadki i ich własni przywódcy (tzn. grupa Bevana — red.) wystrychnęli ich na dudków".

Sam Bevan podsumowując przebieg kongresu, oświadczył otwarcie korespondentowi AFP, że odtąd „jedność partii została ponownie przywrócona, ponieważ jeszcze przed kongresem pewne przeciwieństwa powstałe w toku minionego roku dały się usunąć". Oznacza to, iż Bevan w pełnym porozumieniu z Attlee pragnie przenieść rozgrywkę między obu ekipami kierowniczymi na „forum wewnętrzne" przetargów gabinetowych tak, aby uniknąć niepożądanego „mieszania się mas" do tej rozgrywki. Oznacza to, że grupa Bevana odrzuca swoje dotychczasowe demagogiczne postulaty na temat redukcji zbrojeń i zerwania z zależnością od Ameryki. Oznacza to, że Bevan najwyraźniej doszedł do wniosku, iż opieranie jego demagogii na tych właśnie postulatach mogłoby przyczynić się do zbytniej radykalizacji mas.

Jaki więc wniosek pozwala wyciągnąć przebieg kongresu Labour? Otóż, trzeba stwierdzić, że bevanowcy uzyskując doraźny sukces w postaci rozszerzenia swego stanu posiadania w ekipie kierowniczej Labour, uczynili zarazem wielki krok w kierunku samozdemaskowania siebie w oczach szeregów partyjnych. Innymi słowy przebieg kongresu przyczynił się poważnie do osłabienia szans Bevana na skuteczne odegranie roli nowego „piorunochronu". Rezultat ten jest już tak wyraźny, że znajduje swój wyraz nawet w niektórych komentarzach burżuazyjnych. Wieloletni komentator od spraw Labour Party i związków zawodowych, Mackay, pisał w ostatnim dniu kongresu w burżuazyjnej News Chronicle, na temat „rozłamów w Labour". Mackay wskazywał na rozgrywkę między Attlee i Bevanem, rozgrywkę między lokalnymi organizacjami Labour a delegacjami reakcyjnych kierownictw związków zawodowych i wreszcie na „rozłam, który dopiero zaczyna się ujawniać, rozłam pomiędzy grupą Bevana i ludźmi,

którzy za tą grupą głosowali. Ten ostatni rozłam jest, być może, najbardziej interesujący ze wszystkich i najtrudniejszym zadaniem Bevana w ciągu nadchodzącego roku będzie nawrócenie jego własnych zwolenników na jego dzisiejszą linię polityczną, która jest z polityką Attlee i Morrisona prawie identyczna w niemal każdej kwestii". Komentator Mackay zmarł nagle na udar serca w dniu zakończenia kongresu Labour. Jak się zdaje, jego ostatni w życiu artykuł zawierał tak dużą dozę prawdy, na jaką reakcyjni komentatorzy rzadko sobie pozwalają.

Krzysztof Wolicki

DYSKUSJA O RODZAJACH POETYCKICH

Rozpoczął ją w maju br. poeta M. Gribaczow przy omawianiu pozycji poetyckich w majowych numerach miesięczników literackich. Na wstępie tych Uwag o wierszach (Litieraturnaja Gazieta nr 65) autor poematu Kołchoz „Bolszewik" stwierdza, że w poezji radzieckiej zachodzą interesujące i ważne dla jej dalszego rozwoju procesy, które stoją pod znakiem wytrwałych poszukiwań różnorodności rodzajów i form poetyckich.

Analizując opublikowany w czasopiśmie Oktiabr poemat J. Chelemskiego Opowieść komsomolska (postać główna poematu: Mikołaj Ostrowski) Gribaczow dochodzi do wniosku, że autor poematu nie pracował nad jego kompozycją, utwór nie jest jasny i zwarty kompozycyjnie... A zwartość kompozycyjna — zdaniem Gribaczowa — powinna być nierozłączną, bezsporną właściwością tego rodzaju poetyckiego.

Na postawione przez siebie pytanie, czym właściwie jest poemat epicki czyli opowieść wierszem, autor artykułu odpowiada: „...jest to artystyczne odsłonięcie charakteru w działaniu — na przestrzeni określonego wydarzenia. Nie zastępuje to wątku i kompozycji, lecz zakreśla ich granice, stanowi teren, na którym poeta wprawia w ruch charaktery". Gribaczow wymienia trzy podstawowe warunki budowy poematu: Jedność wydarzenia, jedność konkretnej postaci i charakteru, ciągłość akcji. Zdaniem Gribaczowa poemat Chelemskiego nie odpowiada tym wymaganiom, „... — zamiast tego, by odsłonić naczelną ideę poprzez konkretną postać, autor przeważnie daje kronikarskie epizody i pisze komentarze do dziejów Komsomołu w ogóle."

Gribaczow uważa, że wady i braki Opowieści komsomolskiej nie są zjawiskiem odosobnionym w radzieckiej twórczości poetyckiej. Szukając przyczyn wad kompozycyjnych w poematach poeta dochodzi do wniosku, że... „nie można pisać poematu o Komsomole — w ogóle, o klasie robotniczej — w ogóle, o kołchozach — w ogóle. Idea ogólna wymaga w sztuce konkretnego obrazu i postaci, konkretnego wydarzenia". Gribaczow przypomina, że poeta powinien zawsze pamiętać o tym, iż nosicielem idei jest człowiek. „Tylko wtedy, gdy autor jasno sformułował ideę i przedstawił charakter postaci, w której działaniu ma się odsłonić owa idea — zyskuje on kryterium dla doboru tworzywa i materiału faktycznego, przeznaczonego na budowę wątku i kompozycji, kryterium dla wytyczenia językowych właściwości utworów".

Zdaniem Gribaczowa krytycy i teoretycy niestety zbyt rzadko poruszają ogólne, podstawowe zagadnienia poetyckie. Sprzyja to zacieraniu się pojęcia poematu jako ściśle określonego gatunku poetyckiego, co w rezultacie przyczynia się do powstawania „poematów-wierszowanych biografii, poematów-monologów..."

Artykuł Gribaczowa wywołał ożywio-

ną polemikę. Omówię tu dwie wypowiedzi w tej dyskusji zamieszczone na łamach Litieraturnej Gaziety: poety L. Oszanina i krytyka Z. Kiedrinej. W artykule O „bezspornych właściwościach" rodzajowych (Litiernaturnaja Gazieta Nr 78 z czerwca) Oszanin kwestionuje definicję poematu zawartą w artykule Gribaczowa, zarzucając jej niejasność i nieścisłość.

„Przypuśćmy — pisze Oszanin — że „odsłonięcie charakteru w działaniu na przestrzeni określonego wydarzenia" stanowi „bezsporną właściwość" rodzajową wierszowanej opowieści czyli poematu epickiego. A jakież są „bezsporne właściwości" poematu lirycznego? Gdzie przebiega granica między poematem lirycznym a epicznym?" Oszanin wychodzi z założenia, że „...zagadnień kompozycji, odtworzenia charakterów ludzkich — nie można załatwić jedną gotową formułką, że pod nią nie można podciągnąć różnorodnych przejawów poezji. Poeta w każdym wypadku szuka formy najodpowiedniejszej dla swojego pomysłu, a forma ta na swój sposób bywa niepowtarzalna".

Na przykładach poematów Majakowskiego Lenin i Dobrze! Oszanin wykazuje, że te wielkie dzieła poezji radzieckiej w żaden sposób nie mieszczą się w wąskich ramach definicji Gribaczowa. Zastanawiając się nad tym, do jakiego rodzaju można zaliczyć poemat Dobrze! Oszanin dochodzi do wniosku, że to — z jednej strony „poemat liryczny, ponieważ wiele jego stronic poeta poświęcił przeżyciom bohatera lirycznego, ponieważ nie ma w nim „jedności konkretnej postaci" (według definicji Gribaczowa — J. S.), ani zwartego wątku. Lecz w poemacie odmalowany jest wspaniały, prawdziwie epicki obraz Wielkiej Rewolucji Październikowej... A satyryczne postacie wrogów rewolucji?... Poemat Dobrze! — to liryczno-epicki obraz, nie mieszczący się w żadnej definicji „bezspornych właściwości" rodzajowych".

Podobnie przedstawia się sprawa klasyfikacji rodzajowej poematu Włodzimierz Iljicz Lenin. Oszanin sięgnął po przykłady także do współczesnych poetów radzieckich, poddał analizie trzy poematy epickie A. Twardowskiego, które znacznie różnią się od siebie pod względem kompozycji, budowy wątku, zarysowania postaci.

Kraj Murawija stanowi poemat o zwarcie zbudowanym wątku, starannie i wyraziście zarysowanej postaci bohatera, Nikity Morgunka; jego charakter poeta odsłania w działaniu — w trakcie epicko opisanych przez poetę podróży bohatera po Kraju Rad. Lecz już następny poemat Twardowskiego — Wasilij Tiorkin nie odpowiada wąsko pojętej definicji poematu epicznego. Autor nazwał swój utwór „książką o żołnierzu" — „bez początku i bez końca". I rzeczywiście w Tiorkinie nie ma ciągłości akcji, zwartego wątku. Natomiast postać bohatera poeta odmalował bardzo starannie, ze wszystkimi szczegółami epickimi. Również narracja poetycka w Tiorkinie jest typowo epicka. Nie można też — wywodzi Oszanin — tego niezwykle popularnego w Związku Radzieckim utworu nazwać — z powodu jego kompozycji — na przykład cyklem nowel poetyckich, gdyż każdy z rozdziałów poematu wnosi coś nowego do charakterystyki bohatera, uzupełnia ją i wzbogaca. Trzeci poemat Twardowskiego, Dom przy drodze, pomimo konkretnego wątku i konkretnie zarysowanych postaci bohaterów — Andrieja i Aniuty — zdaniem Oszanina stanowi raczej poemat liryczny, ponieważ przepojony jest lirycznymi refleksjami.

„Widzimy więc — pisze autor Hymnu młodzieży demokratycznej — że Twardowski trzy swoje utwory epiczne stworzył w trzech odmien-

nych płaszczyznach, ponieważ w każdym wypadku kierował się nie dogmatycznymi przepisami o budowie poematu, lecz potrzebami żywego tworzywa, istotą zadania stojącego przed nim jako artystą". Oszanin wylicza szereg utworów epickich, które nie dadzą się podciągnąć pod ściśle określone normy rodzajowe, w których trudno ustalić granicę między poematem epickim a lirycznym, w których liryka i epika zespalają się, wzajemnie się uzupełniają i wzbogacają. „Wydaje mi się — konkluduje Oszanin — że poety nie można krępować w wyborze takiego czy innego rodzaju poetyckiego, takiej lub innej formy".

Z. Kiedrina w artykule Prawa rodzajowe (Litieraturnaja Gazieta nr 87 — z lipca) zamieszczonym — jak zresztą wszystkie te artykuły dyskusyjne — w stałej rubryce pisma: Omawiamy sprawy kunsztu literackiego — wyraża pogląd, że w sporze o zasady poetyki obie strony — Gribaczow i Oszanin — mają rację. Gribaczow słusznie występuje przeciwko teoretycznej niejasności i mglistości, przeciwko zapominaniu o właściwościach i prawach rodzajowych, przeciwko ich zaniedbywaniu. Z drugiej jednak strony — rację ma Oszanin, gdy wypowiada się przeciw dogmatyzowaniu zasad poetyki, przeciwko sprowadzaniu różnorodnych rodzajów poematu do jednego mianownika. „Nie można żywych przejawów poezji — pisze Kiedrina — wciskać w żelazne ramy bezspornych praw, twardych reguł... Jednakże — rezygnując z dogmatów — nie wolno wyrzec się jednocześnie wszelkich prób ustalenia granic rodzaju, nie wolno zaniechać przestrzegania wszelkich prawideł poetyki. I podobnie jak prawa i reguły estetyki odgrywają wielką rolę w rozwoju sztuki, tak i zasady poetyki przyczyniają się do rozwoju rodzajów poetyckich.

Analizując przytoczoną wyżej definicję Gribaczowa, Kiedrina zauważa, że „odsłonięcie charakteru w działaniu" jest zasadą twórczą obowiązującą nie tylko w tym gatunku poezji, lecz we wszystkich rodzajach prozy, a poza literaturą również i w wielu innych formach sztuki. Włączenie przez Gribaczowa do definicji poematu zasady „odsłonięcia charakteru w działaniu" jako zasady podstawowej ustala zbyt szeroką platformę dla określenia poematu. Jeśli zaś wziąć pod uwagę, że — na przykład — w poemacie lirycznym charakter bohatera lirycznego odsłania się nie w działaniu, lecz w jego ustosunkowaniu się do świata, do wydarzenia, do sytuacji — to kryterium „działania" okaże się zbyt wąskie.

W toku tych rozważań Kiedrina dochodzi do istoty błędu w definicji Gribaczowa. „Mówiąc o poemacie epicznym — wywodzi Kiedrina — Gribaczow niejako suponuje, że jest to jedyny „uprawniony" rodzaj poematu, albowiem poemat liryczny J. Chelemskiego ocenia według reguł poematu epickiego, w które — oczywiście — utworu tego w żaden sposób nie można ująć. Zdaniem Kiedrinej — poglądy Oszanina na właściwą poezji radzieckiej różnorodność w dziedzinie poematu są bliższe prawdy.

W dalszym ciągu artykułu Kiedrina zaznacza, że już klasyczna poezja rosyjska stworzyła wielką różnorodność i wielopostaciowość rodzajów poematu. Eugeniusz Oniegin — na przykład — utwór należący zasadniczo do gatunku poematu epicznego, jest powieścią wierszowaną ze wszystkimi istotnymi cechami powieści, natomiast Demona Lermontowa można nazwać poematem liryczno-epickim. „W naszej poezji klasycznej — czytamy w artykule Kiedrinej — znajdujemy początki tej różnorodności rodzajów poetyckich, która jest jedną z wybitnych właściwości

poezji realizmu socjalistycznego. A jednocześnie właśnie krytyka daje nam wzory doskonałej formy, precyzyjnej techniki poetyckiej".

Już klasyk poezji rosyjskiej, Niekrasow, stworzył zalążki gatunku poematu socjalno-lirycznego, który tak się rozwinął i rozpowszechnił w poezji radzieckiej. „Na gruncie odkrytych przez Niekrasowa, a zrodzonych przez potrzeby samego życia, zasad nowego rodzaju poetyckiego — wywodzi Kiedrina — rozwinął się socjalno-liryczny poemat Majakowskiego. Rodzaj ten stanowi odmianę gatunku liryczno-epicznego. Charakterystyczna właściwość takiego poematu — to szereg obrazów i epizodów odtwarzających konkretne wydarzenia historyczne, w których główny bohater liryczny bezpośrednio nie uczestniczy. Jednakże każde słowo w opisywanych epizodach przepojone jest uczuciami głównego bohatera lirycznego.

Na przykładzie obu poematów Majakowskiego (Lenin i Dobrze!) Kiedrina wykazuje, jak w tych klasycznych wzorach poematu — utworach zbudowanych na założeniach głęboko odczutych, śmiało i szeroko rozwiniętych, nasyconych nową, socjalistyczną treścią tradycji Niekrasowa — „zacierają się granice gatunku" (szczególnie widoczne jest to w Poemacie Październikowym Dobrze!). „Na płaszczyźnie tego „zacierania się granic rodzaju", z tego organicznego zespolenia pierwiastków różnych gatunków — powstaje nowy radziecki rodzaj poetycki: poemat socjalno-liryczny".

Rozkwit indywidualności socjalistycznej wywołuje — oprócz jego różnorodności i wielopostaciowości poematu radzieckiego — również stały wzrost ciężaru gatunkowego liryki. Kiedrina ostrzega, że daleko idąca swoboda twórcza w wyborze różnorodnych rodzajów poetyckich nie jest jednak jednoznaczna z całkowitym zwolnieniem poety od przestrzegania wszelkich reguł i prawideł. „Zacieranie granic rodzaju — wywodzi Kiedrina — jest dopuszczalne i prawidłowe wówczas, kiedy wymaga tego nowy materiał rzeczywistości, nowe tworzywo, rodzące nowy, dotychczas w poezji nieznany pomysł twórczy. Tak było w swoim czasie z Niekrasowem, tak było z Majakowskim".

Ci wielcy poeci stworzyli nowe zasady twórcze w dziedzinie poematu. Twórcze wcielenie tych tradycji wymaga znajomości kunsztu, opanowania zasad poetyki. Kiedrina zarzuca krytykom, że stosunkowo mało piszą o artyzmie, rzadko wypowiadają się w sprawach teorii literatury, w sprawach poetyki. Jednakże nie tylko na krytykach i teoretykach spoczywa obowiązek opracowywania problemów teoretycznych. „Sami poeci — konkluduje Kiedrina — sami twórcy poezji muszą bardziej interesować się teoretyczną stroną zagadnienia, sprawami kunsztu. Przecież prawa poezji żyją i rozwijają się wraz z poezją i dlatego wymagają stałej opieki ze strony jej twórców".

We wspomnianej rubryce Litieraturnej Gaziety, poświęconej omawianiu zagadnień kunsztu, ukazują się również artykuły dotyczące innych rodzajów poezji; ostatnio opublikowano kilka artykułów o liryce. W artykule Pomówmy o liryce badacz literatury L. Ozierow postuluje, by do utworów lirycznych podchodzić z pozycji lirycznych, z uwzględnieniem indywidualności liryka. Niektórzy — wywodzi Ozierow — wymagają od autorów wierszy lirycznych przedstawiania, odtwarzania żywych, konkretnych ludzi, zapominając o tym, że liryk na ogół nie stawia przed sobą epickiego zadania. Jeśli więc St. Szczipaczow w wierszu Kwiaty (z opublikowanym niedawno w cyklu lirycznym Poprzez rodzime i

obce morza) opiewa swoją niezwykłą radość z bukietu kwiatów, ofiarowanego mu na Północy, za kołem podbiegunowym — nie można — zdaniem Ozierowa — wymagać od Szczipaczowa-liryka, by „za tym wierszem stała również postać człowieka, który kwiaty te wyhodował". (Myśl taką podsunął poecie K. Simonow w swojej recenzji, Litieraturnaja Gazieta nr 38).

„Indywidualność poety, odrębność jego stylu poetyckiego — pisze Ozierow — jest tym właśnie, co wnosi on do ogólnej skarbnicy literatury. Poza tym — prawidłowy i stały rozwój cech swoistych jest źródłem coraz dalszych, nowych osiągnięć poety. U nas jednak często poeta pragnąc zadowolić talmudystów i doktrynerów podejmuje tematy i kreśli obrazy nie odpowiadające jego rodzajowi talentu". Ozierow wypowiada się przeciw doktrynerom i scholastykom, którzy głośno deklarują uznanie dla liryki, w rzeczywistości zaś ograniczają zasięg jej przejawów.

Wspomniałem wyżej o cyklu lirycznym Szczipaczowa. Przy sposobności pragnę poinformować czytelnika, że cykle liryczne są ulubioną formą twórczą poetów radzieckich; w Związku Radzieckim publikuje się wiele takich utworów. Rzecz znamienna: przeciwko nagminnemu stosowaniu tej formy pracy twórczej, przeciwko zjawisku... „pisania cyklami", „myślenia tomikami", „planowania swojej twórczości poetyckiej zbiorami, cyklami wierszy"... — ze szkodą dla pełnowartościowego nasycenia treścią poetycką każdego oddzielnego wiersza — wypowiedział się niedawno W. Nazarenko w artykule dyskusyjnym Wiersz pojedynczy (Litieraturnaja Gazieta nr 107 — z września).

Występując w obronie „gatunku jednowierszowego" Nazarenko powołuje się na tradycje rosyjskiej poezji klasycznej, na Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa, którzy stworzyli tak wiele pojedynczych wierszy, małych arcydzieł lirycznych. Majakowski poruszał i rozwiązywał zagadnienia poetyckie, publicystyczno-agitacyjne w ramach jednego utworu, w cyklach wielkiego poety każdy wiersz — powiązany tematycznie z całością — zachowuje jednak pełną samodzielność. Zdaniem Nazarenki — wiersz pojedynczy pod względem siły i znaczenia nie ustępuje poematowi, noweli, powieści i odgrywa wielką rolę w życiu społecznym. Tak: Zwiastun burzy Gorkiego głosił narodziny całej epoki.

Nazarenko apeluje do poetów, by nie zaniedbywali pracy twórczej nad pojedynczym wierszem, krytyków zaś wzywa, by zajmowali się rozbiorem pojedynczych, nawet małych utworów.

Najciekawsze w omawianym artykule Nazarenki są wywody o związku liryki z dramaturgią. Nazarenko wysuwa tezę, że „teoria bezkonfliktowości" wywarła fatalny wpływ również i na poezję we wszystkich jej rodzajach, a więc i na lirykę. „Pod wpływem tej „teorii" — pisze Nazarenko — u niektórych poetów z bohaterem lirycznym w ogóle przestało się cokolwiek dziać. Został pozbawiony możności działania, rozwoju, bardzo często stawał się zachwyconym obserwatorem, odwracał się od walki sprzeczności, od konfliktów życiowych.

Taki nieszczery bohater liryczny nie mógł liczyć na sympatie czytelnika. Taki bohater liryczny — pisze Nazarenko — przesadnie dbał o swój prestiż, pragnął uchodzić za całkowicie wolnego od jakichkolwiek słabości, braków, sprzeczności. Pod wpływem „teorii bezkonfliktowości" między takim bohaterem lirycznym a poetą wytwarzało się „coś w rodzaju sita, które odsiewało wszelkie sprawy osobiste, ostro przeży-

wane i charakterystyczne". Bohaterowie liryczni stali się w rezultacie uderzająco do siebie podobni, jednakowo dalecy od życia.

Nazarenko omawia jeszcze inne źródło „bezkonfliktowości" w wielu wierszach lirycznych. Płynie ono z niewłaściwego formułowania zasad liryki, na przykład w definicji prof. Timofiejewa, autora uniwersyteckiego podręcznika Teoria literatury — Moskwa, 1948. („...W utworze lirycznym nie ma rozwiniętych wydarzeń, które posiadałyby początek i zakończenie, nie ma skomplikowanego wzajemnego oddziaływania charakterów, nie ma rozwoju postaci..." Według prof. Timofiejewa liryka obejmuje ...„jedynie poszczególny moment jego (człowieka) życia wewnętrznego, nie wymaga więc takiej czy innej rozbudowy wątku...")

Zdaniem Nazarenki takie określenie liryki prowadzi do pojmowania utworów lirycznych — „jak strzępów rozsypanych, poszczególnych przeżyć". W istocie swojej liryka jest czymś znacznie szerszym i rozleglejszym. Nazarenko udowadnia, iż w swoim wyrażeniu o narodzinach utworu lirycznego z „chwilowego przeżycia" Bieliński absolutnie nie głosił, że liryka ma się ograniczyć do odtwarzania chwilowych przeżyć. „Chwilowe przeżycie, które rodzi utwór liryczny — wywodzi Nazarenko — to moment ostrego olśnienia twórczego, ogarnięcia ścierających się sprzeczności, to kulminacyjne spięcie dramatu życiowego, chwila uświadomienia sobie przeszłości i rozjaśnienia przyszłości. Dlatego też utwór liryczny „może wstrząsnąć całą naszą istotą, wypełnić nas sobą na długi okres czasu..." — jak mówi Bieliński".

Na Bielińskiego powołuje się też Nazarenko, gdy snuje myśl o wzajemnym przenikaniu trzech rodzajów poezji: epickiej, dramatycznej i lirycznej, o niemożności ich ścisłego rozgraniczenia. W szczególności Nazarenko analizuje obecność pierwiastka dramatycznego w liryce. O pierwiastku dramatycznym w poemacie pisał w omówionym na wstępie artykule Gribaczow, dopatrując się go przede wszystkim w dialogach. Zdaniem Nazarenki — dialog stanowi jedynie formę dramatyczną, lecz sam przez się nie warunkuje jeszcze dramatyzmu. „Pierwiastek dramatyczny — formułuje Nazarenko — to ostre starcie sprzeczności, to szybkie, jaskrawe, wyraziste ich narastanie, rozwój i rozwiązanie — oddane w ramach utworu".

„Utwór liryczny — wywodzi Nazarenko — jest niepomiernie oszczędniejszy w szczegółach niż sztuka lub powieść. Ale zarazem i szerszy. Nawet w najbardziej pod względem postaci i wątków fabularnych rozbudowanej powieści zawsze zawarty jest tylko szczególny przypadek, który odsłania sprawy ogólne. Ale poeta liryczny porusza właśnie samą istotę zagadnień — odsłania to, co jest wspólne niezliczonym losom, uczuciom, przeżyciom". Nazarenko cytuje Majakowskiego, który wymagał, by... „dawać esencję faktów", „wyciskać fakty póty, póki nie wyjdzie słowo tłoczone, zwarte, oszczędne...".

Specyfika pierwiastka dramatycznego w liryce polega na tym, że operując wielkimi, uogólniającymi skrótami utwór liryczny pobudza wyobraźnię czytelnika, wdziera się w jego wspomnienia, w jego myśli i uczucia — rozporządza nimi, nadaje im określony kierunek. Kolosalna siła uogólnienia — to zasadnicza, najistotniejsza cecha liryki.

Za dalszą specyficzną cechę pierwiastka dramatycznego w utworze lirycznym Nazarenko uważa wzajemne powiązanie, współzależność poszczególnych obrazów poetyckich. Od układu, od szyku obrazów zależy ekspresja drama-

tyczna utworu lirycznego. „Kulminację“ dramatyczną liryk osiąga przez nieoczekiwane spięcia obrazów kontrastowych. Utwór prawdziwie poetycki nasycony jest takimi „kulminacjami“ i „przełomami“.

Poruszone przez Nazarenkę zagadnienie elementu dramatycznego w liryce zapewne będzie podjęte przez poetów i krytyków, wywoła dalszą ożywioną dyskusję.

Józef Spinc

GDY BEZPRAWIE OBLEKA SIĘ W TOGĘ PRAWA

Tryumf „zdrowego rozsądku“

Konstytucja Stanów Zjednoczonych powstawała w tym samym czasie, kiedy w Polsce zawiązany w nieustającą konfederację przedostatni Sejm Rzeczypospolitej obradował nad środkami naprawy i ocalenia państwa. Nad Filadelfię i Warszawę nadlatywały już pierwsze podmuchy orkanu miotającego Francją, wstrząsy podziemne, od których miała zawalić się zmurszała budowla feudalizmu. Dziewicza rola amerykańska podatniej przyjęła siew myśli demokratycznej i republikańskiej.

„Twórcy Rewolucji wychodzili z dwóch podstawowych założeń: suwerenności ludu i równości... — pisze znawca prawa konstytucyjnego, prof. James Bryce, i dodaje, przechodząc do zagadnień związanych z uchwaleniem ustawy zasadniczej Stanów Zjednoczonych — w latach 1787—89 przekształcili luźną konfederację w ustrój federalny. Związali społeczność w naród, a naród w państwo przez nadanie konstytucji“

Brzmi to podniośle i pięknie. Co więcej, każde z tych zdań z osobna zawiera sporą dozę prawdy. Nie można ich jednak czynić ogniwami jednego łańcucha myślowego, nie można kłaść znaku równania między rewolucyjną walką ludu amerykańskiego a zamkniętym *conclave* filadelfijskiej konstytuanty, gdzie przewagę zdobyła sobie kontrrewolucja i zwycięstwo swe szybko przyoblekła w kształt instrumentu prawnego.

Dopiero burzliwy sprzeciw wolnych jeszcze a jednoczących się stanów narzucił Ojcom-Założycielom tzw. Poprawki, liberalizujące uchwaloną przez nich ustawę. Już sam stosunek liczbowy jest tu znamienny: pierwotnych artykułów konstytucji było 7, poprawek zaś — 10. Pamiętajmy, że prawdziwie wolnościowe były tylko konstytucje poszczególnych stanów. Powstawały w ogniu wojny, kiedy suwerennych praw ludu i zasad równości nikt kwestionować nie śmiał, kiedy śpieszącym pod sztandary wojenne farmerom i wyrobnikom miejskim nikt nie odważył się zaprzeczać głosu w urządzaniu własnego kraju. Inaczej było z konstytucją federalną. Uchwalali ją delegaci stanów, z dala od wejrzeń farmerskich i robotniczych, a za to pod czujnym okiem kupców i spekulantów z wybrzeża, plantatorów z głębi lądu. Uchwalono ją pod nieobecność autorów rewolucyjnej Deklaracji Niepodległości, Jeffersona i Adamsa, odbiła się na niej fala reakcji powojennej, żerującej na powszechnym pragnieniu stabilizacji, pragnieniu wydobycia się z odmętów trudności gospodarczych, wywołanych przez wojnę i usamodzielnienie się kraju.

Głównym autorem konstytucji był Aleksander Hamilton, prawnik, monarchista o reakcyjnych poglądach, związany z prawym skrzydłem kapitalistów. Był to człowiek niewątpliwie utalentowany, wykształcony i dalekowzroczny. Zdawał sobie sprawę z tego, że rozwojowi kapitalizmu odpowiada najbardziej państwo jednolite, scalone pod względem form gospodarczych

i prawnych, rządzone centralistycznie przez silny rząd poddany ścisłej kontroli szybko urastającej w potęgę klasy kapitalistycznej. Dla pozyskania wielkich obszarników konstytucja na nowo legalizowała niewolnictwo obalone, w zasadzie przynajmniej, jeśli nie w praktyce, przez Deklarację Niepodległości. Jak się wyraził Engels „zniesiono przywileje klasowe, uświęcono rasowe".

Nowa konstytucja nie znalazła uznania w oczach legislatur stanowych. Znaczne wpływy mieli w nich farmerzy liberalni, a nawet radykalni. Ci domagali się demokratyzacji ustawy. Plantatorom odpowiadała jej reakcyjność, ale nie centralizacja. Ostatecznie przyjęto 10 artykułów dodatkowych nazwanych „Kartą Praw". Z biegiem lat uzupełniono je dalszymi 10 Poprawkami. Tak powstała obowiązująca dziś konstytucja, złożona z przepisów w znacznej części ramowych i na tyle ogólnikowo ujętych, że pozwala to na zmienną w szerokim zakresie interpretację, zależną od woli tych, którzy dzierżą faktyczną władzę w państwie. Jest to jedna z przyczyn, dla których bezprawie, byle dość potężne, tak łatwo przedzierzga się w USA w nietykalną świętość opromienioną majestatem prawa.

Drugim powodem jest nieodpowiedzialność, jaką obdarza konstytucja władzę wykonawczą. Rząd Stanów Zjednoczonych nie jest rządem parlamentarnym. Ministrowie odpowiadają jedynie przed prezydentem, ten zaś jest nieusuwalny, chyba w trybie procesu o zdradę stanu. Wszechwładzę prezydenta, która jest najbardziej znamiennym rysem konstytucji, ogranicza wyłącznie prawo uchwalania, a więc i odmawiania kredytów, przysługujące kongresowi. Ale kongres to twór machiny partyjnej, podobnie jak mieszkaniec Białego Domu. W jeszcze wyższym stopniu tworem machiny partyjnej jest federalny aparat sądowy. Sędziów dożywotnio mianuje prezydent, zatwierdza senat, lecz wyznacza machina bez uciekania się nawet do formalności wyborczych. Jądrem zaś partii jest pieniądz, wolą — interes tego, kto dysponuje pieniądzem. Piękne słowa Lincolna o „władzy ludu, przez lud i dla ludu" zachowano w rekwizytorniach obu stronnictw. Zwężono tylko pojęcie ludu do tych, którzy mają większość głosów na zgromadzeniach akcjonariuszy trustów i koncernów. Tak zasadę większości rozumie dzisiejsza Ameryka.

Kompromis dwu skrzydeł reakcji — finansistów i plantatorów — wyraził się przede wszystkim w przekreśleniu reform wojny domowej, nadających powszechne prawo głosowania ludności Południa. Drogą ustaw stanowych uchylono wówczas szereg artykułów konstytucji. Bryce omawiając szeroko kontrrewolucyjne bezprawie, dyskretnie i powściągliwie wyraża się o jego nielegalności. Podziwiał co innego: „zdrowy rozsądek odzyskał wpływy i doktryna, że każdy człowiek dorosły ma naturalne prawo głosowania, wprawdzie nigdy nie odrzucona formalnie była odtąd milcząco ignorowana".

Jeszcze w połowie ubiegłego wieku torysi angielscy zastanawiali się, czy przyjęcie konstytucji Stanów nie stworzyłoby dodatkowej rękojmi trwania dla brytyjskiego konserwatyzmu. Ale lord Balfour uznał wówczas instytucje amerykańskie za — nazbyt skamieniałe.

Po „milczącym zignorowaniu" praw obywatelskich przyszła kolej zagłady na inną doktrynę, proklamowaną przez Stany Zjednoczone jeszcze w XVIII stuleciu — wolności i równości. Stany południowe przywróciły niewolnictwo. Stwierdził to wyraźnie Sąd Najwyższy USA wyrokiem z 12 stycznia 1942 uzna-

jąc, że ustawa „o kontraktach pracy“ stanu Georgis „w brzmieniu“ uchwalonym w 1902 r. jest pogwałceniem antyniewolniczej Poprawki XIII konstytucji. W innych stanach „brzmienie“ jest zręczniej zredagowane, toteż nie naraża dostojnego trybunału na czterdziestoletni bolesny poród prawny. Oto prawdziwy tryumf akcyjnego „zdrowego rozsądku“.

Konstytucja zmarshallizowana

John Marshall był w młodszych leciech żołnierzem armii rewolucyjnej. Widział z bliska niedolę wojsk i trudności kampanii, trudności wytyczenia dróg polityki państwa z racji bierności i bezsiły Kongresu Kontynentalnego, egoizmów lokalnych poszczególnych stanów, działania sił odśrodkowych po odpływie centralistycznej sieci władz angielskich. A potem oglądał zamęt gospodarczy wywołany zerwaniem jednych więzi i nienawiązaniem nowych i przeraził się buntem farmerskim przeciw spanoszonym spekulantom, przeciw dławiącej ludność uboższą władzy pieniądza. Aż federalnych wojsk trzeba było wzywać na pomoc dla posiadaczy prześwietnego stanu Massachusetts, od których zrewoltowane pod wodzą Daniela Shays pospólstwo zażądało ofiar z majątku na rzecz ulżenia niedoli ogółu. Ale Marshall, choć sam z gminu się wywodził, ze spostrzeżeń swych wysnuł wnioski stawiające go w rzędzie najzaciętszych szermierzy reakcyjnych idei Hamiltonowych. W roku 1801 został sędzią głównym Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych i odtąd przez lat 34 kierował organem naczelnym wymiaru sprawiedliwości, niezmordowanie wcielając te idee w życie.

Uchwalając akt Konstytucyjny i Kartę Praw ustawodawca nie zawarował, kto ma być aktów tych interpretatorem. Wskazał tryb zmiany — uchwałą dwóch trzecich obu izb, zatwierdzoną przez dwie trzecie legislatur stanowych — ale nie wykładni. I oto już w drugim roku swego urzędowania John Marshall, imieniem trybunału, któremu przewodniczy, uroczyście ogłasza w niezaskarżalnym wyroku, że prawo wykładni „skodyfikowanej woli narodu“ należy wyłącznie i jedynie do Najwyższej Ławy Sądowej państwa. Konstytucja — wywodził Marshall — ogranicza władzę Kongresu, stoi ponad Kongresem. Sędziowie powołani są do stania na straży prawa i praworządności. A zatem oni tylko mają prawo orzekać, czy jakiś akt lub przepis jest w zgodzie, lub jest pogwałceniem fundamentalnej ustawy kraju. W toku instancji w sposób ostateczny decyduje o tym Sąd Najwyższy USA.

Marshall jednak poszedł jeszcze dalej. Sądowi Najwyższemu przypisał nie tylko prawo badania zgodności ustaw i aktów władzy wykonawczej z konstytucją, ale i rozstrzyganie w sposób przez nikogo nie kontrolowany, rozstrzyganie według własnego swobodnego uznania o najskrytszych intencjach twórców konstytucji, o trafności i celowości ich sformułowań. W praktyce oznaczało to możność zmiany ustawy zasadniczej, zmiany fundamentu budowy państwowej drogą zwykłego a niezaskarżalnego orzeczenia sądowego. Konstytucja — głosił Marshall — jest ponad Kongresem. A ponad konstytucją stawiał Sąd Najwyższy. Było to ciało najbardziej w państwie reakcyjne, złożone z sędziów nieusuwalnych i nieodpowiedzialnych. Teraz dzięki marshallowskiej doktrynie przemienili się ze strażników prawa i praworządności w czynnik polityczny, potężny instrument wstecznictwa, obojętny na wolę ogółu, gdyż od niej niezależny, zależny natomiast od własnych subiektywnych poglądów i sympatii, czyli poglądów i sympatii środowiska burżuazyjnego, z

którego się rekrutowali i w którym się obracali. Nie stanowili kolegium „dziesięciu sprawiedliwych", a jeśli się taki wśród nich zdarzył — mógł tylko dać świadectwo prawdzie, własnej odwadze i uczciwości oraz zapamiętaniu, z jakim jego koledzy deptali prawo, zamiast czuwać nad jego nietykalnością.

Tezy Marshalla wywołały oburzenie i gwałtowny sprzeciw ze strony całego obozu postępu. Jefferson, którego słów nie lubią przytaczać, lecz którego autorytetem lubią się osłaniać dzisiejsi manipulatorzy „demokracji" amerykańskiej, ostrzegał z najwyższym niepokojem, że jeśli doktryna Marshalla jest słuszna, „wówczas zaiste nasza Konstytucja jest całkowitym *felo de se* (samozniszczeniem). Albowiem zamierzając ustanowić trzy władze, skoordynowane a niezależne, aby nawzajem się kontrolowały i równoważyły, udzieliła, zgodnie z tą opinią, jednej z nich, i wyłącznie jednej, mocy stanowienia zasad rządzących pozostałymi i to tej właśnie, która, nie wybrana przez naród, jest od narodu niezależna..."

Ale Marshall miał możnych protektorów. Jego doktryna utrzymała się i zaciążyła nad całą historią USA. Pomińmy całe orzecznictwo Marshalla dotyczące zagadnień dawno przebrzmiałych. Ograniczmy się do dwóch spraw najdonioślejszych w życiu Ameryki — niewolnictwa i faszyzmu. Jedna rozegrała się bez mała przed stu laty, druga toczy się dzisiaj.

W marcu 1857 przewodniczący Sądu Najwyższego, sędzia Taney, obwieścił, że wszelkie akty Kongresu i układy międzystanowe ograniczające niewolnictwo do stanów południowych są z mocy prawa nieważne, zaś Kongres nie jest w mocy zakazać uprawiania niewolnictwa na żadnym obszarze. Był to słynny proces Dred Scotta, pierwszy strzał wojny domowej. Epilog nastąpił dziesięć lat później w postaci uzupełnienia ustawy zasadniczej artykułami XIII, XIV i XV.

Pogwałcenie prawa było oczywiste. Taney usiłował zachować cień legalizmu i respektu dla konstytucji przez upozorowanie wykładni rozszerzającej. Podobnie Hitler osłaniał się pozorami, gdy fingował proces o pożar Reichstagu przed skasowaniem praw obywatelskich. Epoka Trumana poszła dalej. Prześcignęła nie tylko Taneya, ale i hitleryzm. Nie nadaremnie Ameryka jest krajem rekordów. W Rzeszy hitlerowskiej Sąd Najwyższy uniewinnił Dymitrowa, a Führer musiał mu pozwolić na opuszczenie Niemiec. Truman nie ma podobnych kłopotów. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych nie krępuje się ani szacunkiem dla norm prawnych, ani względami na normy etyczne. Z konstytucją obchodzi się tak, jak przewidział Jefferson: ugniata na wosk, a zbędne kawałki wyrzuca na bruk Alei Konstytucji przebiegającej w pobliżu klasycznego frontonu jego majestatycznej siedziby.

W czerwcu 1951 faszyzacja USA była daleko posunięta. Faszyzacja niemożliwa jest jednak bez odebrania narodowi swobody słowa, prasy i zgromadzeń. Pierwsza poprawka konstytucji, czyli art. I Karty Praw mówi wyraźnie, że „Kongres nie jest w mocy uchwalać żadnych ustaw ograniczających wolność słowa i prasy oraz prawa ludu do spokojnych zgromadzeń". Lecz Kongres taką właśnie ustawę — tzw. *Smith Act* — uchwalił, a Sąd Najwyższy, rozpatrując sprawę 11 przywódców komunistycznych oskarżonych o jej naruszenie, wyrok skazujący zatwierdził, ustawę utrzymał w mocy i przekreślił przepis konstytucyjny. Przy ferowaniu orzeczenia sędzia Hugo Black założył *votum separatum*. Ten dokument to snop jaskrawego światła. Przytoczymy go choćby w wyjątkach.

„Na wstępie — mówi sędzia Black — pragnę podkreślić, czym jest, czym zaś nie jest przestępstwo, o które chodzi w tej sprawie. Petenci (komuniści wnoszący odwołanie) nie byli oskarżeni o usiłowanie obalenia rządu. Nie byli oskarżeni o żadne czyny zmierzające do obalenia rządu. Nie byli nawet oskarżeni o żadną wypowiedź słowną czy pisemną, zmierzającą do obalenia rządu.

Zarzucono im, że postanowili gromadzić się, wypowiadać i ogłaszać pewne idee w terminie późniejszym: oskarżenie brzmi, że spiskowali w celu utworzenia Partii Komunistycznej i użycia w przyszłości mowy lub czasopism i innych publikacji dla głoszenia i propagowania obalenia rządu przemocą.

Bez względu na to, jak to zostało ujęte, jest to jaskrawa postać cenzury prewencyjnej słowa i prasy, której, uważam, Pierwsza Poprawka zabrania. Uważam część 3 ustawy Smitha wprowadzającą to prewencyjne ograniczenie za niekonstytucyjną zarówno w brzmieniu jak i zastosowaniu.

Przyjmijmy jednak, wbrew wszelkim konstytucyjnym pojęciom o należytym postępowaniu karnym, że petenci, jakkolwiek nie oskarżeni o przestępstwo rzeczywistego nawoływania, mogą być jednak za nie ukarani. Nawet przy tak radykalnym założeniu, jedynym sposobem zatwierdzenia wyroków, jak na to wskazuje *votum separatum* P. Sędziego Douglasa, jest drastyczne ograniczenie lub też zupełne odrzucenie ustanowionej zasady „oczywistego i bezpośredniego niebezpieczeństwa". To właśnie czyni sąd w sposób niezmiernie ograniczający ochronę, jakiej udziela Pierwsza Poprawka.

Zdania wypowiedziane za zatwierdzeniem wykazują, że głównym powodem odrzucenia powołanej zasady jest wyrażona obawa, iż propagowanie doktryny komunistycznej zagraża bezpieczeństwu republiki. Niewątpliwie, państwowa polityka nieskrępowanego szerzenia idei zawiera w sobie niebezpieczeństwa.

Dla założycieli naszego narodu jednak dobrodziejstwa płynące ze swobody wypowiadania się warte były ryzyka. Wcielili ten pogląd w nakazie Pierwszej Poprawki, że Kongres „nie uchwali żadnych ustaw ograniczających wolność słowa i prasy..." Zawsze byłem zdania, że Pierwsza Poprawka jest kamieniem węgielnym naszego ustroju, że wolność, jaką zapewnia, jest najlepszą rękojmią przeciw zniszczeniu wszelkiej wolności.

Jak długo ten trybunał sprawuje władzę prawnej rewizji ustawodawstwa, nie mogę się zgodzić, by Pierwsza Poprawka pozwalała nam na utrzymanie w mocy ustaw zawieszających wolność słowa i prasy tylko na podstawie pojęć Kongresu — czy też naszych własnych — o tym, co „słuszne". Taka doktryna rozmywa Pierwszą Poprawkę tak dalece, że staje się niczym więcej jak zaleceniem dla Kongresu.

Tak ujęta Poprawka nie może chronić żadnych poglądów poza „bezpiecznymi" czy ortodoksyjnymi, które ochrony jej rzadko potrzebują.

Muszę również wyrazić sprzeciw wobec orzeczenia i z tego powodu, że jak wykazuje *votum separatum* p. sędziego Douglasa, sankcjonuje ono ustalenie rozstrzygającego faktu dowodowego przez sędziego, nie zaś przez ławę przysięgłych.

Nie mogę też pominąć bez wyrażenia sprzeciwu uciążliwego ograniczenia w prawach przedkładania dowodów w tej sprawie, co uniemożliwiło rozpatrzenie tu co najmniej dwóch innych względów przemawiających za uchyleniem wyroków. 1) Z akt wynika, że ława przysięgłych została stronniczo dobrana, co uniemożliwiło odbycie roz-

prawy przed rzeczywistym przedstawicielstwem społeczności; 2) z akt wynika, że jeden z przysięgłych okazywał gwałtowną wrogość wobec petentów przed i w czasie rozprawy.

Gdy opinia publiczna jest taka jak teraz, niewielu będzie protestować przeciw skazaniu tych komunistów. Istnieje jednak nadzieja, że w czasach spokojniejszych, gdy obecne naciski, pasje i lęki ucichną, ten czy też inny trybunał przywróci wolnościom Pierwszej Poprawki wysokie i dostojne miejsce, jakie im się należy w społeczeństwie wolnych".

Tyle sędzia Black. Dla uzupełnienia warto jeszcze przytoczyć słowa sędziego Jacksona, który przyłączył się zresztą do decyzji zatwierdzającej orzeczenie niższych instancji: „Nie wierzę w jakiś trwały skutek tego wyroku, nie wierzę, by mógł powstrzymać wzrost ruchu komunistycznego w Ameryce. Komunizm nie znajdzie się w więzieniu razem ze skazanymi komunistami".

Czego się spodziewać?

„Prezydent ma reprezentować partię w oczach opinii, w oczach kraju; jest wyrazicielem tego, czego można spodziewać się po partii w sensie zasad i celów". Tak definiował własną swoją rolę Woodrow Wilson w monumentalnej pracy Constitutional Government in the United States. Pomińmy dość dziwne jak na znawcę prawa publicznego pojmowanie roli prezydenta w ustroju reprezentacyjnym i pokwitujmy wiadomość, że zdaniem tak miarodajnego autorytetu w USA prezydent reprezentuje machinę partyjną, nie naród i państwo. Zastanówmy się, czego wyobrazicielem jest Truman, czego może spodziewać się Amerykanin po stojących u władzy partiach. Wymowną odpowiedź daje każdy numer dziennika. Sięgnijmy po egzemplarz ekskluzywnego miesięcznika Wall Street — Fortune. Czasy przedwojenne, początek ery rooseveltowskiej, kraj wyszedł z kryzysu, „normalizacja".

„Co 45 minut ginie z ręki morderców jeden mieszkaniec USA. W 1933 przypadało 10.7 morderstw na 100 000 ludności, najwyższy stosunek w całym świecie cywilizowanym. Liczby te wynoszą w tym samym czasie dla Anglii — 0,5, Francji — 1,0, Hiszpanii — 1,0. Przewaga amerykańska 10—20-krotna. W Chicago — 1.702 napady rabunkowe rocznie; w Londynie — 42, w całej Anglii — 150. Roczna cena zbrodni — 13 miliardów dolarów.

Ulubioną bronią gangsterów jest rkm Thompsona, wynaleziony w czasie (I-ej) wojny światowej. Większość zapasów przeszła ze składów państwowych w ręce gangsterów.

Współcześni bandyci wywracają do góry nogami szereg oklepanych pewników głoszonych przez kryminologów. Nie są to „obcokrajowcy", jak stale utrzymywano, ale rdzenni, stuprocentowi Amerykanie, jak Ernie Sankey, czy Hervey Bailey, syn kapitana z Wojny Domowej. Nie wyhodowały ich slumsy wielkomiejskie czy podobne rozsadniki zbrodni, ale ciche, malownicze miasteczka — z sadzawką, szkołą o czerwonym dachu i innymi atrybutami prowincjonalnej cnoty. Jak Mooresville w stanie Indiana (2.000 mieszk.), gdzie urodził się i wychował syn zamożnego kwakra John Dillinger (jeden z najgłośniejszych gangsterów i morderców)".

Miesięcznik nie waha się wskazać przyczyny:

„Zbrodnia uchodzi bezkarnie w USA nie z powodu złych praw, a nawet nie z przyczyny osób powołanych do ich strzeżenia, ale przede wszystkim ze względu na stuprocentowo amerykańską mieszankę polityki i wykonania

ustaw. Pamiętne było porozumienie przez cały ciąg lat dwudziestych między Al Capone i Robertem E. Crowe, prokuratorem Cook county, Illinois, którego urząd stanowił część składową machiny partyjnej Crowe - Barrett... Każdy wie, dlaczego policja w Detroit aresztuje tylko 20% znanych sobie przestępców, dlaczego sądy w Chicago skazują tylko 3,13% oskarżonych, dlaczego w jednym roku na 13.117 spraw wszczętych tylko 498 doszło tam do sądów, podczas gdy w Berlinie na 32 morderstwa było 40 aresztowań i 32 wyroki skazujące, dlaczego Capone był kilka razy stawiany przed sądem i zawsze zwalniany. Każdy zna oczywistą i banalną odpowiedź — polityka!"

Wytworny miesięcznik nie odpowiada tylko na pytanie, dlaczego polityka połączona z wykonaniem ustaw rodzi w wyniku zbrodnię? Nie dziwmy się. W epoce Roosevelta istniała jeszcze zapora zwana prawem, którą kapitalizm w pościgu za zyskiem rozbijał od góry, siłą rzeczy sprzymierzając się ze światem podziemnym, który rozbijał ją od dołu. A redaktorom Fortune marzyły się „rządy silnej ręki", marzył się ustrój wolny od polityki w sensie udziału w niej powszechności, ustrój, którego piękny wzór wyrastał właśnie w tym czasie w Niemczech hitlerowskich, ustrój poddany całkowicie władzy wielkich monopoli — faszyzm.

Fortune bije na alarm. Jakiż jednak zaleca środek? Nie mówi tego wyraźnie, ale łatwo wyczytać to między wierszami. Źródłem zła jest demokracja, konieczność zabiegania o głosy wyborców. Trzeba więc znieść instytucje demokratyczne, trzeba, by „zdrowy rozsądek znów odzyskał wpływ", a kapitalizm pełnię patriarchalnej władzy. Odpadną przy tym machiny partyjne, które tyle złota pompują ze skarbców bankowych. Odpadnie szereg zbrodni „zbytecznych" i takich, których nie będzie już potrzeby tolerować. Zbrodnia zaś, jaka zostanie, będzie opromieniona blaskiem majestatu prawa lub też rentownym światłem przygody i awantury.

Ale to już rozdział osobny. Bo prasa i książka w USA nie jest jednostronna. Nie tylko woła na trwogę, jak Fortune. Uprawia również korzystny interes ukazywania wszystkich uroków, ponęt i romantycznego ryzyka zbrodni. Oto Danny Ahearn pisze podręcznik pod tytułem: Jak popełnić morderstwo, aby uszło płazem? Doświadczony praktyk opisuje, jak zamordował swego znajomego, Hugh Gallaghera, przy pomocy samochodowego lewarka, jak był sądzony za morderstwo z premedytacją i uniewinniony z braku dowodów. Po ukazaniu się „dzieła" zaangażowano go do Hollywood jako rzeczoznawcę w sprawach zbrodni.

Gangsteryzm należy dziś w Stanach Zjednoczonych do historii. Pozostał tylko w słowniku. Na jego miejscu tryumfuje *„racket"* — „przestępstwo legalne". Gangsteryzm czerpał zyski z przemysłów zabronionych przez prawo, głównie prostytucji i wyrobu alkoholu. Wchodziły w grę olbrzymie kapitały, sieć organizacyjna pokryła cały kraj. Ale zakazy prawne uniemożliwiały modernizację kapitalizmu na tym odcinku, jakkolwiek dojrzał do stworzenia pełnego niemal monopolu. Zniesiono więc prohibicję, a prostytucję poddano gruntownej reorganizacji. Dzisiaj produkcja napojów wyskokowych znajduje się w ręku kilku wielkich wytwórni, a domy publiczne, przemianowane na kluby, są własnością wielkich spółek akcyjnych.

Już Al Capone „cieszył się powszechnym szacunkiem". Obecnie świat podziemny zburżuazowany został prawie

bez reszty. Na marginesie pozostali tylko drobni wyrobnicy przestępstwa, nie mający oparcia w odpowiedniej bazie kapitałowej, złodzieje godzący w święte prawo własności prywatnej, zabójcy dopuszczający się mordu nie w imię celów „wyższych", jak utrącenie konkurencji czy „utrzymanie ładu", ale dla zaspokojenia indywidualnych pasji, pod wpływem indywidualnych namiętności. Tych ściga się „z całą surowością prawa". W świecie „wielkiej zbrodni", jak w świecie wielkich finansów, znikły jednostki, działają korporacje.

W krajach socjalizmu zaciera się stopniowo różnica między pracą fizyczną a umysłową. W kapitalistycznej metropolii świata zaciera się różnica między działalnością gospodarczą a kryminalną, przedsiębiorstwem a przestępstwem, kodeksem cywilnym i karnym.

Taki jest rozwój ustroju Stanów Zjednoczonych i rozwój rzeczywistości USA w ramach konstytucji, przykrawanej na miarę amerykańskich sprzedawców krawatów i Coca-Coli przez Sąd Najwyższy, Kongres, machiny partyjne oraz rządzące nimi wszystkimi monopole. Czegoż się jeszcze spodziewać?

Rockefeller i jego lokator

Ustawy antytrustowe zabraniają pionowej i poziomej koncentracji przedsiębiorstw. Zaraz po ich wydaniu, w godnej podziwu trosce o przestrzeganie litery prawa, został rozwiązany wielki koncern naftowy Rockefellera, Standard Oil, ogarniający swą działalnością znakomitą większość stanów. I zaraz też z niemniej godną podziwu sprawnością powstał szereg nowych zupełnie firm — Standard Oil of New Jersey, Standard Oil of California, Standard Oil of Indiana, Standard Oil of Ohio, Standard Oil of New York itd. oraz Socony Vacuum Oil Co, Carter Oil Co, Texas Co i inne. Każdy wie, że jest to nadal jeden koncern, że rozrasta się nadal monopolistycznie, obejmując banki i koleje, kopalnie nafty, rafinerie i stacje benzynowe, że zatem zmowa przestępcza istnieje w dalszym ciągu. Ale literze prawa dzieje się zadość i radcy prawni mają sto argumentów zapewniających grupie Rockefellera nietykalność. Podobnie nietykalne są koncerny grupy Morgana, grupy Du Ponta, grupy Mellona itd. Holding (jedna z form trustu) — wyraził się znany burżuazyjny ekonomista David Lynch — jest narzędziem czynienia legalnie tego, co legalnie jest zakazane.

W samym środku New Yorku wznosi się kompleks wspaniałych gmachów czynszowych — Rockefeller Center. Całe piętro w jednym z rockefellerowskich drapaczy zajmują biura, nie mniej dzisiaj głośnego niż jego kamienicznik, Mr Franka Costello. Pan Costello uprawia *racket* w skali nieznanej dotąd w USA. Nie ma w Ameryce kina, knajpy, kawiarni, czy innego miejsca rozrywek, gdzie nie można by znaleźć tzw. *slot-machine*. Rodzaj sporego pudła z otworem na pieniądze i tablicą za szkłem, opatrzoną szeregiem zagłębień. Po wrzuceniu monety pociąga się rączkę dźwigni, na tablicę wypada kulka. Czasem, bardzo rzadko, zatrzymuje się w zagłębieniu z wygraną, którą automat skrupulatnie wypłaca. Niekiedy uzyskuje się zwrot stawki. Najczęściej — nic. Amerykanie zgrywają się w te „ruletki ubogich" do upadłego. Maszyny są tak urządzane, że los zdecydowanie musi faworyzować „bankiera". Ale teoretycznie można wygrać. Nie ma więc oszustwa, a zatem jak z Rockefellerem, nie ma przestępstwa. To właśnie nazywa się *racket*. Pan Frank Costello zapewnił sobie monopol instalowania tych maszyn

i zarabia na czysto do 30 milionów dolarów rocznie.

Racket nie ogranicza się do „ruletek". *Racket* uprawia się przy sprzedaży nabiału i drobiu, do rzędu *racket* zalicza się cały niemal ogromny przemysł pralni chemicznych i zwykłych, *racket* wreszcie — na największą skalę — uprawiają zwierzchnicy wielkich finansowych agentur rządowych.

Pewien przedsiębiorczy osobnik sprzedał kopalnie mało znanej spółki naftowej Texmass kilku godnym przedstawicielom ekskluzywnej socjety bostońskiej. Kopalnie okazały się bez wartości. Godni Bostończycy zdołali je szybko wpakować wielkiemu towarzystwu ubezpieczeń. Towarzystwo, przekonawszy się, że zostało nabrane, oddało sprawę w pewne ręce swego agenta w Waszyngtonie. Niebawem kopalnie przeszły na własność Korporacji Finansowania Odbudowy, czyli na własność państwa, za bagatelną sumę 5 milionów dolarów. Oszukanym okazał się w końcu podatnik George Snyder; sekretarz skarbu Ed Pauley, jeden z najbliższych przyjaciół Trumana i szereg innych postaci z kół rządowych celuje w takich imprezach. Prasę całego świata obiegają wciąż wiadomości o tym, jak rząd sprzedał najpierw za grosze, by potem odkupić za miliony, kilka statków-cystern, o innych podobnych transakcjach demobilowych, o futrach z nurków, pożyczkach pod bezwartościowy zastaw i koncesjach rządowych. To wszystko również stanowi *racket*.

Szefem wielkiej bogatej spółki kryminalno-politycznej jest Jim Pendergast. Udziałowcy jego przedsiębiorstwa — my powiedzielibyśmy członkowie jego bandy — mają na sumieniu krew wielu ludzi własnoręcznie przez nich zamordowanych. Bandy tej nikt nie ściga. Dlaczego? „Jim Pendergast, podobnie jak jego ojciec (poprzedni szef bandy, Tom Pendergast) jest największym i najlepszym przyjacielem Harry Trumana" — pisze Time Magazine (14.VIII.50 r.). Ale Time Magazine nie oburza się. Time tylko wyjaśnia, dlaczego Harry Truman popiera wszystkich kandydatów politycznych Pendergasta. Nikt w USA nie oburza się, gdyż zrośnięcie się zbrodni z polityką jest dzisiaj powszechną „narodową" instytucją. A znaczny odłam tzw. opinii obdarza nawet ciepłym spojrzeniem czynną przyjaźń czołowej postaci politycznej w państwie z niebezpiecznym przestępcą, bezkarnie uprawiającym swój proceder, gdyż upatruje w tym dowód „prostoty i naturalności" prezydenta. I ów brak oburzenia jest symptomem społecznym o wiele bardziej groźnym niż sama mocna bo lukratywna przyjaźń głowy państwa z rzezimieszkiem.

Tych kilka przykładów, to kropla w oceanie, to kwiaty błotne — oznaki szerszego znacznie i bardziej tragicznego zjawiska: dogłębnego zdeprawowania burżuazji, zupełnej bezsiły klas średnich wiążących swą sprawę ze sprawą kapitalizmu, rozszczepienia i rozproszkowania społeczeństwa, co jest aktem dokonywanym już w samym przedsionku faszyzmu. Postawa Jacksona, który wbrew przekonaniu zatwierdza wyrok na komunistów, jest znamienna dla całego odłamu pseudoliberałów amerykańskich. Widzą bezprawie, widzą, że jego stosowanie nie znajduje uzasadnienia nawet w cynicznej teorii „celowości i skuteczności". A jednak legalizują łamanie konstytucji czyniąc to kosztem własnego sumienia i — własnej przyszłości. Popełniają ów błąd, który Napoleon nazwał gorszym niż zbrodnia. „Liberałowie — pisze prof. Goodwin Watson o ludziach swej warstwy — wzięli udział w nagonce na komunistów w nadziei, że siebie uchronią od prześladowań i cen-

zury. Ale wyniki były właśnie takie, jakie przepowiedzieli komuniści: każda akcja przeciw komunistom zwiększa tylko ferwor ataku na „grupę następną“ — radykałów, socjalistów, new-dealowców, postępowców i liberałów“.

Wolność bowiem jest niepodzielna. A „wieprz rozpętany“ kapitalizmu, jak nazwał go Whitman, nie daje się już okiełznać. Ustawa Taft-Hartley przekształca związki zawodowe w powolne narzędzie przedsiębiorców i administracji. Ustawa Smitha, tak celnie zanalizowana przez sędziego Blacka, zawiesza prawa obywatelskie. A osławiona ustawa „O bezpieczeństwie wewnętrznym“ — Mundt-McCarran Act — sięga na dno czaszek i serc wydając myśl i los każdego obywatela w ręce samowoli policji i sądów. „Przez publikację — stwierdza ten szacowny dokument — rozumieć należy każde pismo okólne, dziennik, periodyk, broszurę, książkę, list, pocztówkę, ulotkę, czy inną publikację, oddane do obiegu pomiędzy dwiema lub więcej osobami“. A zatem wystarczy skreślenie paru słów do znajomego, aby tym samym „oddać do obiegu pomiędzy dwiema osobami“ swe poglądy i dopuścić się — gdy poglądy te nie znajdą łaski w oczach FBI — naruszenia ustawy Mundt-McCarren Act. Ustawa jednak idzie dalej. Każdy, kto propaguje poglądy podważające bezpieczeństwo kraju, staje się przez to samo „agentem obcego mocarstwa“. Jakie poglądy są dla bezpieczeństwa groźne — o tym rzecz jasna orzeka FBI. Ustawa stwierdza jednak wyraźnie, że w każdym razie należą do nich wszelkie przejawy myśli socjalistycznej. Ale i to jeszcze nie wszystko. Albowiem art. 13 ustawy głosi, że „termin „propaguje“ oznacza także: zaleca, pochwala, zachęca swoim postępowaniem lub przyznaje, że pogląd taki wyznaje“. Przyznanie zaś może mieć także „postać pośrednią“. Wystarczy zatem, by agent FBI na podstawie sobie tylko wiadomych domniemań — które są oczywiście „tajemnicą służbową“ — doszedł do wniosku, że pod czyjąś czaszką zagnieździła się choćby przelotnie „myśl wywrotowa“, aby nieszczęsna ofiara została skazana na wieloletnie więzienie, zanim nawet uświadomi sobie „zbrodniczość“ swego myślowego odruchu.

Nie jest przypadkiem wydanie tej ustawy w tym samym czasie, kiedy imperializm przekraczał równoleżnik 38, wyruszając na podbój świata. „Bombardowanie konstytucji — pisze odważny publicysta postępowy Samuel Sillen — idzie w parze z bombardowaniem Korei. Między McCarranem i McArthurem istnieje tylko podział pracy“.

„Hańba cywilizacji amerykańskiej“

„Hańbą cywilizacji amerykańskiej“ nazwał prezydent Taft wymiar sprawiedliwości w Stanach Zjednoczonych. Było to w roku 1909. Dla zaradzenia złu Taft rozbudował założone przez jego poprzednika Federalne Biuro Dochodzeń — FBI. W szybkim czasie FBI stało się „filarem ustroju“. Ostateczne oblicze tej instytucji ukształtowało się, gdy kierownictwo jej objął dzisiejszy szef J. Edgar Hoover. Hoover z miejsca skierował cały swój wysiłek na zwalczanie organizacji robotniczych, tam tylko widząc naruszanie prawa wymierzonego przeciw trustom i kartelom, tam upatrując groźbę dla ładu społecznego. „Obecna, zorganizowana w skali światowej walka klasowa zagraża podstawom społeczeństwa, a nawet samej cywilizacji“ — wołał Hoover w grudniu 1919 r. organizując pierwsze w stylu faszystowskim wielkie łapanki antyrobotnicze. A w kilka miesięcy później wywodził: „Radykałowie zagrażają szczęściu społecznemu, bezpieczeństwu każdej jednostki, trwałości każdej

rodziny, każdego ogniska domowego". Chcą zniszczyć spokój kraju i pogrążyć go w stan anarchii, bezprawia i rozpasania moralnego, przechodzących wszelkie wyobrażenie. Jest to niebezpieczeństwo bez precedensów w dziejach, zjawisko zdecydowanie współczesne — jakkolwiek próby obalenia ustanowionej władzy są zapewne czymś równie odwiecznym jak sama ludzkość. Cywilizacja stoi w obliczu najgroźniejszego, najbardziej straszliwego niebezpieczeństwa od czasów, kiedy hordy barbarzyńców zalały Europę Zachodnią i dały początek epoce ciemnych wieków".

Jak widzimy faszystowska obrona szczęścia społecznego wielkiej finansjery, obrona podstaw społeczeństwa burżuazyjnego i władzy ustanowionej na fundamencie trwałego wyzysku najszerszych mas nie jest może czymś równie odwiecznym jak sama ludzkość, ale nie jest też zjawiskiem nowym. Zaostrzanie walki klasowej nie datuje się od Hitlera i nie faszyzm był twórcą ideologicznym dyktatury wielkich monopoli pieniądza i rasy. Odwrotnie. Faszyzm niemiecki był dziełem tych samych czynników, których powolnym narzędziem po tamtej stronie Atlantyku stał się purytański dogmatyk Wilson i jego „antyradykalny ekspert" Hoover. Te same impulsy, z tej samej bazy płynące, działały w Waszyngtonie, później zaś w Berlinie. I język, słowo w słowo, był ten sam. I ta sama niepohamowana wrogość wobec powstającego państwa socjalizmu. Mało kto dziś pamięta w Ameryce, że Herbert Hoover, Thomas Dewey, John Foster Dulles i zmarły niedawno senator Vandenberg — zdeklarowani teraz internacjonaliści — byli w czasie wojny głównym oparciem osławionego ruchu „America First" organizacji faszystowskiej i izolacjonistycznej. Że Henry Ford znajdował się tuż obok Józefa Goebbelsa na liście członków wspierających innej wpływowej grupy faszystowskiej, „Sprawiedliwości Społecznej" kierowanej przez księdza Coughlina. Że amerykańskie organizacje katolickie ostro zwalczały wysiłek wojenny USA. Że zwłaszcza po wejściu Włoch do wojny prowadziły zdecydowaną agitację na rzecz państw Osi. Że kartele i trusty Stanów Zjednoczonych nigdy, nawet w najgorętszym okresie walki, nie wyrzekły się swych związków handlowych i wymiany patentów z firmami niemieckimi. Że w sprawę tę zamieszani byli nie tylko radcy prawni kartelów, jak J. F. Dulles, ale i szereg generałów, senatorów i finansistów. Zresztą, gdyby ich kto zapytał o rację i powód pozornej niekonsekwencji, podaliby jedną — nienawiść do Związku Rad, tym tłumacząc wszystkie zmienne ewolucje swojej postawy. Już w roku 1919 liberalny miesięcznik nowojorski, The Messenger, pisał: „Prasę i kościoły i większość polityków znacznie bardziej obchodzi bolszewizm w Rosji niż fala anarchii i morderstw ogarniająca stan Tennessee". Artykuł, przewidujący czerwoną histerię, był dalekowzrocznie zatytułowany: Hun amerykański.

Jeszcze bardziej dalekowzroczny okazał się sędzia Sądu Najwyższego, Charles Evans Hughes, mówiąc latem 1920 roku: „Wydarzenia ostatnie nasuwają wielkie wątpliwości, czy rządy konstytucyjne istniejące dotąd w naszej republice zdołałyby przetrwać jeszcze jedną wielką wojnę, nawet zwycięską". Nie przetrwały. Drogą korupcji bez precedensu, drogą terroru i atomizacji społeczeństwa, drogą zespolenia władzy politycznej i gospodarczej w jednym ręku oraz opanowania przez nią wszelkich środków informowania i kształtowania opinii publicznej — ustrój republiki konstytucyjnej, mimo zachowania dotychczasowej fasady zewnętrznej, przerodził się w system,

który zhańbił już szereg krajów europejskich, a dziś jest hańbą cywilizacji amerykańskiej.

Faszyzm jest monopartyjną dyktaturą imperialistycznych monopoli. Dwie partie USA nie różnią się dziś od siebie bardziej niż frakcje hitlerowskie w przededniu zglajchszaltowania, Partia Demokratyczna w szybkim tempie odrzuca resztki liberalistycznej frazeologii — pozostałości z czasów Roosevelta. Prawa obywatelskie są kasowane, prawa klas pracujących deptane z coraz większą bezwzględnością. Monopolizacja kapitału posunęła się znacznie dalej niż w państwie Hitlera. Militaryzacja kraju postępuje, podporządkowanie się centralnych ośrodków władzy ustawodawczej, sądowej i wykonawczej woli wielkiego kapitału jest zupełne. Polityką zagraniczną kierują urlopowani dyrektorzy koncernów lub generałowie zabiegający o wyższe stanowiska w przemyśle. A imperializm montuje jedną po drugiej gospodarcze, polityczne i wojenne ofensywy, zmierzające do zagarnięcia niepodbitych jeszcze połaci świata. Stany Zjednoczone są w przededniu stania się państwem faszystowskim.

Czy nieuchronnie? Osiemdziesiąt lat temu wielki poeta amerykański Walt Whitman pisał:

„...Próżno zmierzamy z bezprzykładnym wysiłkiem do stworzenia Imperium tak olbrzymiego, by zaćmiło starożytnych, zaćmiło Aleksandra, zaćmiło dumę władców Romy... Jest tak, jak gdybyśmy zostali obdarzeni wielkim i aż nazbyt dokładnie wyposażonym ciałem, a następnie pozostawieni bez duszy... Zaprawdę powiadam, że lepiej byśmy w twarz badawczo spojrzeli naszym czasom i naszemu krajowi. Nigdy może nie było takiej pustki w sercu jak teraz i tutaj w Stanach Zjednoczonych. Zasady, na których wsparta jest budowa Stanów nie są wyznawane szczerze (mimo melodramatycznych okrzyków i fałszywych rumieńców, które są tylko wypiekami gorączki), ani też nie wierzy się w ludzkość. Czegóż to oko przenikliwe nie dostrzega wszędzie dokoła pod przykryciem maski? Widok jest przerażający. Żyjemy w atmosferze bezgranicznej hipokryzji... Znieprawienie klas rządzących naszego kraju jest nie mniejsze, niż przypuszczano, lecz nieskończenie większe. Wszystkie bez wyjątku urzędy i służby Ameryki, państwowe, stanowe i miejskie przesyca korupcja, łapownictwo, fałsz i nierządność. W wielkich miastach roi się od szanownych i nieszanownych zbójów i łajdaków... Ale w głębi, pod pokrywą tej fantastycznej farsy, wystawionej na widocznej scenie społeczeństwa, dzieją się rzecy doniosłe i olbrzymie. Surowe jeszcze i ukryte. Nadejdzie jednak czas, gdy wyłonią się i przemówią".

Od owej chwili sprawy poszły daleko naprzód. Czas nadszedł. Bije godzina dwunasta.

Julian Stawiński

WIDMO MALTHUSA NAD BRYTANIĄ

Głód i epidemie w zacofanych krajach kolonialnych, obniżenie stopy życiowej w Anglii, fatalne warunki mieszkaniowe i zdrowotne, obca okupacja, wojna i przygotowania wojenne wewnątrz kraju — wszystko to niepokoi angielską opinię publiczną.

Co począć? Trzeba przywołać na pomoc wsteczne teorie filozoficzne, dowodzące, że zło jest dobrem.

Może ktoś powiedzieć, że metoda ta jest echem średniowiecznej scholastyki, że w XVIII i XIX wieku próbował tej metody Macaulay, apostoł kultu burżuazji, i Carlyle, apostoł kultu „wielkiego człowieka". Owszem. Ale mimo to próbuje się jej raz jeszcze w Wielkiej Brytanii.

W roku 1798 pastor anglikański, Thomas Robert Malthus, ogłosił rozprawę On Population, w której dał swe pastorskie błogosławieństwo wszystkiemu, co przyczyni się do zmniejszenia przyrostu ludności, jak: głodowi, epidemiom, wojnie, separowaniu małżonków (oczywiście wśród proletariatu, nie między zamożnymi protektorami kościoła anglikańskiego). Wszystkie istniejące obozy wstecznictwa przyjęły Malthusa za swego świętego patrona, który udowodnił naukowo nieuniknioną konieczność istnienia nędzy.

Karol Marks, nazywając Malthusa „sługą zachowawczych interesów", zdarł maskę świątobliwości z jego dowodzeń:

„Zasada ludnościowa" wypracowana stopniowo w ciągu XVIII stulecia, została radośnie powitana przez angielską oligarchię, która ujrzała w niej doskonałe narzędzie do wyrwania z korzeniem wszelkich zachcianek, zmierzających ku postępowi Ludzkości".[1])

Przez jakiś czas mniej powoływano się na Malthusa. Ale podobnie jak po pierwszej wojnie światowej, tak i obecnie widmo pastora Malthusa wychyla znowu obmierzłe oblicze. Teorię jego wskrzesił w Wielkiej Brytanii znany fizjolog, prof. A. Hill, podczas ostatniego zjazdu Brytyjskiego Towarzystwa Naukowego [2]), które odbyło się we wrześniu bieżącego roku w Belfast.

Tematem rozprawy prof. Hilla miał być Problem etyki w nauce. Spodziewano się ogólnie, że znany laureat Nobla wygłosi odważną filipikę przeciwko prostytuowaniu nauki na rzecz przygotowań do agresywnej, atomowej, biologicznej wojny. Zamiast tego słuchacze dowiedzieli się, że według prof. Hilla najważniejszym problemem doby obecnej jest to, czy uczeni powinni zajmować się badaniami z dziedziny lecznictwa i przedłużaniem życia ludzkiego w obliczu rzekomego przeludnienia, które prof. Hill nazwał „najważniejszym zagadnieniem świata". „Czy słusznie postępujemy, czyniąc dobrze, jeżeli przewidywane skutki będą złe"? Oto według prof. Hilla problem etyki w nauce.

W Indiach uprawia się tylko 47 proc. ziemi ornej i to środkami prymitywnymi. W Egipcie sytuacja przedstawia się podobnie. W Iraku i Iranie produkuje się tylko jedną dziesiątą możliwych do uzyskania płodów rolnych. Ale to nie jest ważne zdaniem uczonych typu prof. Hilla. Najświeższe statystyki międzynarodowe wykazują, że przeszło 800 milionów akrów dostępnych terenów pustynnych na całym świecie mogłoby, po nawodnieniu i zagospodarowaniu, przynosić zbiory większe niż naturalnie nawodnione tereny, znajdujące się obecnie pod uprawą. Przykładem tego jest Karakum, pustynia przekształcana w krainę miodem i mlekiem płynącą. Karakum — to odpowiedź na kłopoty prof. Hilla w związku z przeludnieniem.

Ale oczywiście o charakterze i treści referatu prof. Hilla zadecydowały życzenia finansowej oligarchii z Wall Street i City of London. Czyż Malthus nie powiedział — zapytają możni tego świata — że przeludnieniu zapobiegają wojny, epidemie, głód, nędza i zbrodnie? I czyż prof. Hill nie stwierdził, że przeludnienie jest zagadnieniem najważniejszym? A zatem — prosty wniosek — ktokolwiek przyczynia się do śmierci, jest publicznym dobroczyńcą. Im większy zakres jego działania, tym większe dobrodziejstwo.

Brytyjskie Towarzystwo Naukowe dało w sposób dobitny wyraz swojej postawie, godząc się w czasie wrześniowej sesji na to, aby pozycje takie jak szpitale, przytułki, opieka społeczna

---

[1]) Karol Marks: Kapitał Książka i Wiedza, 1950, str. 665.

[2]) British Association for the Advancement of Science.

zostały skreślone z budżetu państwa, ponieważ zabrakło na te cele pieniędzy. Pieniądze poszły na jedną z maltuzjańskich metod rozwiązania problemu przeludnienia, mianowicie na wojnę.

Ale oto ze Swansea, w Południowej Walii, nadszedł list otwarty do jednego z dzienników:

„Historia stwierdzi kiedyś, żeśmy żyli w domu obłąkanych: szpitale są przeładowane, ludność woła o mieszkania... Jaką korzyść mamy z postępu nauk, jeżeli te nauki zajmują się przeważnie rozwojem metod niszczenia i zabijania?"

Powszechną opinię o referacie prof. Hilla trafnie sformułował obywatel z Epsom, pisząc:

„Zgodnie z jego założeniami, to ostatecznie wszystko jedno, czy uczeni znajdują nowe sposoby zwalczania chorób i przedłużania życia. Naukowe osiągnięcia samego pana profesora są również bez wartości".

Prosty człowiek z wysp brytyjskich słusznie obawia się, że wielu uczonych, jak w śnie hipnotycznym, kroczy nieuchronnie ku zagładzie i pociąga za sobą całą ludność. Ten sen hipnotyczny wywołała narkoza dolarów i funtów szterlingów, wysypywanych z worków przemysłowców i kapitalistów.

W parę dni po zakończeniu posiedzenia Brytyjskiego Towarzystwa Naukowego 71 najwybitniejszych brytyjskich intelektualistów zaprotestowało przeciwko obłędnym teoriom pseudouczonych, organizując Brytyjski Komitet Przygotowawczy, który zapewni Wielkiej Brytanii szlachetny udział na wiedeńskim Kongresie Pokoju w grudniu bieżącego roku.

Oto między wielu innymi nazwiska ludzi, odżegnujących się od teorii prof. Hilla: prof. J. H. C. Whitehead — słynny matematyk z Magdalen College w Oksfordzie, dr H. P. Cardew — generalny sekretarz Związku Lekarzy, dr Sidnie Manton — zoolog z Kings College w Londynie, prof. A. C. Offord — matematyk z uniwersytetu w Dublinie, oraz pisarze: James Aldridge, A. E. Coppard, Kenneth Ingram, Gwyn Thomas i Gordon Shaffer.

Widmo pastora Malthusa rozpłynęło się w mgle nad Morzem Irlandzkim i pojawiło się z kolei, choć mniej wyraźne, na piaszczystych wybrzeżach południowo-wschodniej Anglii, w Margate, gdzie odbywała się sesja Kongresu Brytyjskich Związków Zawodowych.

Centralny Zarząd Brytyjskich Związków Zawodowych opanowany, wbrew silnej opozycji oddolnej, przez reakcjonistów pokroju sir Vincenta Tewsona, posługując się dwulicową taktyką kłamstwa i siania zamętu, podstępem narzucił Kongresowi uchwalenie wniosków o kontynuowaniu zbrojeń. Przytaczamy komentarz New Statesman and Nation: „Centralny Zarząd przeprowadził swe osławione zwycięstwo, ale metody, którymi zwycięstwo osiągnięto, pozostawiły po sobie gorzki smak."

Jeszcze przykrzejszy smak pozostawiło po sobie przemówienie delegata „bratniej" organizacji amerykańskiej, American Federation of Labour, który łaskawie pochwalił decyzję Kongresu popierającą przygotowania wojenne. Oto ostateczny wniosek wskrzesicieli teorii Malthusa. Zapewne pan profesor Hill z radością przyjął również narzucone przez leaderów uchwalenie wniosku o dalszym zamrożeniu płac, bo niskie zarobki w połączeniu z gwałtownie wzrastającymi cenami żywności oznaczają nędzę, a nędza — powiedział Malthus — zapobiega przeludnieniu. Te sukcesy reakcji zyskały uznanie Partii Konserwatywnej i publiczną pochwałę z ust Churchilla. Ale autor listu, nadesłanego z miejscowości Llamely do redakcji londyńskiego dziennika, słusznie zauważył: „Jeśli konserwatyści chwalą któregoś z naszych związkowców lub

członków Partii Pracy, nazywając go dalekowzrocznym, oznacza to, że jest ślepy lub ma zeza".

Następny wniosek, poddany pod głosowanie, dotyczył sprawy bardzo bliskiej sercu pastora Malthusa i prof. Hilla. Wojna bakteriologiczna przyczynia się znakomicie do zmniejszenia przeludnienia. Ale ludzie pracy „Wielkiej Brytanii nie dali się oszukać dwulicową taktyką. Pomimo gwałtownych wysiłków Centralnego Zarządu, Kongres uchwalił wniosek potępiający broń bakteriologiczną i zalecający rządowi brytyjskiemu „zawarcie za pośrednictwem Organizacji Narodów Zjednoczonych nowego układu międzynarodowego, zakazującego stosowanie broni bakteriologicznej".

W dalszym ciągu oddolne szeregi Kongresu zmusiły Zarząd Centralny do przyjęcia decyzji o przeprowadzaniu nacjonalizacji innych gałęzi przemysłu w Wielkiej Brytanii oraz ożywieniu stosunków handlowych ze Wschodem, ograniczanych, ich zdaniem, upokarzającymi amerykańskimi rozkazami. Były to dwa dalsze posunięcia, których celem jest podwyższenie stopy życiowej i zmniejszenie nędzy.

Olbrzymia większość związkowców brytyjskich żąda podwyżki płac, czego dowiodły liczne demonstracje protestujące przeciwko praktykom Zarządu Centralnego. W Południowej Walii w demonstracji wzięło udział 18 tysięcy górników. Zażądali oni w swojej rezolucji natychmiastowej podwyżki płac. Podobne żądanie wyrazili członkowie Związków Zawodowych Robotników Budowlanych oraz Transportowców. Ostatnio potężny Związek Techników i Pracowników Stoczni Okrętowych ogłosił, że od 20 października członkowie jego nie będą pracować dłużej niż przewiduje ustawa i że ten pół-strajk prowadzić będą aż do uzyskania podwyżki płacy, wynoszącej 2 funty szterlingów tygodniowo. Reakcja oddolnych szeregów związkowych przeciwko prawoskrzydłowym przywódcom była tak ostra i gwałtowna, że w prasie brytyjskiej pojawiły się wzmianki o tym, jak Acheson po wygłoszeniu przez Eisenhowera słynnej mowy pod hasłem „Ameryka wyzwoli wschodnią Europę", powiedział: „Będziesz musiał niedługo wyzwolić Centralny Zarząd Brytyjskich Związków Zawodowych od związkowców, którzy żądają nacjonalizacji, podniesienia płac i potępienia broni bakteriologicznej".

Widmo pastora Malthusa ukazało się również podczas otwarcia tzw. „Międzynarodowego Festiwalu" w Edynburgu.

Międzynarodowy Festiwal nie był ani „międzynarodowy", ani też nie był festiwalem w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Znany na całym świecie kompozytor brytyjski, Sir Thomas Beecham, skarżył się na konferencji prasowej, że wskutek interwencji czynników rządzących nie można było wystawić w ramach festiwalu oper kompozytorów radzieckich. Nie tylko zresztą politycy, ale i dolary miały tu coś do powiedzenia: festiwal miał przyciągnąć bogatych Amerykanów, którzy by pozostawili w Szkocji trochę swoich pieniędzy. Oto dlaczego nie wystawiono oper rosyjskich, oto dlaczego wszystkie orkiestry, chóry i zespoły baletowe przybyły tylko z krajów paktu atlantyckiego, oto dlaczego festiwal rozpoczynał codziennie uroczysty werbel wojskowy. Goście amerykańscy zadowoleni byli z takiej muzyki i takiej sztuki.

Tłumaczy to również, dlaczego festiwal nie był powszechnie dostępny. Wysokie ceny i wytworne stroje celowo zamykały drzwi przed widzami ze sfer pracujących. A gdy kulturalne organizacje robotnicze zaproponowały swoją współpracę w festiwalu, jego organizatorzy odpowiedzieli, że owszem, pomoc

ich może być przydatna w wyszukiwaniu pomieszczeń dla gości. Albowiem, stosownie do zasad pastora Malthusa, nie należy stwarzać szerokim masom ludności warunków pełnego, harmonijnego rozwoju. Nędza i nieszczęście — powiedział Malthus — powstrzymują wzrost zaludnienia.

Przedstawienia odbywające się w ramach Międzynarodowego Festiwalu głosiły hasła wojny, rozpaczy i ubóstwa. Sztuka Karola Morgana pt. Granica na rzece narzuca pogląd, że lud nie może w żaden sposób wpłynąć na sprawy wojny czy pokoju. Za najlepsze filmy uznano reportaż Oto Korea, przedstawiający sentymentalne obrazki z życia amerykańskich lotników.

W tym samym czasie w Edynburgu odbywał się również drugi festiwal, prawdziwy Festiwal Ludowy.

Organizacje robotnicze w liczbie 50, wspólnymi siłami zorganizowały Festiwal Ludowy pod hasłem walki o pokój, o lepszą przyszłość ludu, o ludową kulturę, w przeciwstawieniu do haseł wojny, obskurantyzmu, pesymizmu i nędzy, głoszonych na Festiwalu Międzynarodowym. Na Festiwalu Międzynarodowym usiłowano zatrzeć ślady pięknych tradycji walk ludu o wolność i prawa; na Festiwalu Ludowym przypomniano ludności Szkocji jej dziedzictwo kulturalne, jej sztukę, rodzącą się z walk społecznych.

W pięknym widowisku historycznym zatytułowanym O wolność przedstawiono widzom — w 80 proc. robotnikom — udramatyzowane dzieje, od czasów rewolucji przemysłowej aż do dnia dzisiejszego, ich własnych walk o sprawę socjalizmu przeciw konserwatystom i zdradzieckim prawo-skrzydłowym przywódcom Partii Pracy. W sztuce Ewana MacColla pt. Podróżnicy postawiono śmiało centralny problem moralny i polityczny: co uczynić, aby powstrzymać obłąkańczy pęd Amerykanów do trzeciej wojny światowej? W sztuce Flatter no Flesh (Nie schlebiajcie ciału) Kennetha MacAlbyne głównym bohaterem jest wódz szkockiej reformacji, John Knox, zwykle przedstawiany przez burżuazyjnych krytyków jako ponury zbrodniarz, wróg pięknej i tragicznej królowej Szkocji, Marii Stuart. Tym razem, zgodnie z prawdą historyczną, John Knox jest trybunem wolności ludu, cieszącym się poparciem szerokich mas ubogich mieszkańców Szkocji, tych anonimowych nędzarzy, którzy jednak stanowili wielką liczebnie siłę. Cztery recitale muzyki Beethovena, połączone z odczytami o jego życiu i twórczości, podkreśliły głębokie zainteresowanie wielkiego kompozytora wydarzeniami politycznymi jego epoki. Hugh MacDiarmid, najwybitniejszy przedstawiciel współczesnej literatury szkockiej, odczytał swe poematy: Suknia bez szwu, w pięknej poetyckiej metaforze porównujący dzieło Lenina do ręcznie utkanej szaty szkockiej, oraz Drugi hymn do Lenina. Sorby MacLean odczytał swój List otwarty do zabitego hitlerowca, który według słów jednego z postępowych krytyków „znajdować będzie żywy oddźwięk w sercach słuchaczy tak długo, jak długo będą na świecie istnieli hitlerzy, mali czy wielcy". Wystawa Sztuki Ludowej, zorganizowana w ramach Festiwalu Ludowego ujawniła, że postępowi młodzi artyści brytyjscy nie ograniczają się do konwencjonalnych portretów, pejzaży i martwej natury. Norman Alford, malarz-robotnik, wystawił ciekawy i sugestywny obraz, zatytułowany Robotnicy i gołąb o tematyce bezpośrednio związanej z walką o pokój. Bob Forrester, który wystawił interesujący portret

dwóch kolejarzy, powiedział o swej twórczości w ten sposób:

„Dla mnie istnieje tylko jedna klasa społeczna — lud. Z tego źródła czerpię jak z najbogatszego zbiornika materiału dla artysty".

Wyświetlano między innymi następujące filmy: Za wami pójdą inni oraz produkcji radzieckiej: Nauczycielka wiejska i Opowieść o prawdziwym człowieku.

Prasa burżuazyjna z nielicznymi wyjątkami zignorowała Festiwal Ludowy, a ci krytycy, którzy zwrócili nań uwagę, twierdzili, że tematyka budząca opozycję nie powinna była znaleźć się w ramach Festiwalu. Rzecz oczywista, że wśród burżuazji, polującej na wyciągane z amerykańskich kieszeni dolary, w ogóle cały Festiwal Ludowy budził opozycję. Ale Hugh MacDiarmid na konferencji intelektualistów, którą zakończony został Festiwal Ludowy, stwierdził, że Festiwal ten zasiał ziarno prawdziwych wartości, które jedynie mogą się przeciwstawić nieustannym atakom amerykańskiego imperializmu na brytyjską kulturę. Dramaturg Ewan MacColl zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo wynikające z takiego stanu rzeczy, powtarzając butne zapewnienia amerykańskich kulturalnych infiltratorów, którzy chwalili się przed nim, że cała ludność zachodnich wybrzeży afrykańskich śpiewa już tylko amerykańskie szlagiery.

Te trzy wrześniowe wydarzenia — konferencja Naukowego Stowarzyszenia Brytyjskiego, Kongres Związków Zawodowych i dwa równoległe Festiwale w Edynburgu — rzucają światło na zasadnicze konflikty epoki.

Z jednej strony elementy reakcyjne dążą do obniżenia poziomu życia, do ograniczenia opieki społecznej, do zwiększenia przygotowań do agresywnej wojny.

Z drugiej strony lud żąda, by wiedza i polityka złączyły się we wspólnym wysiłku, celem stworzenia takich warunków, w których wszyscy mogli by żyć i wychowywać dzieci bez obawy o przyszłość.

George Bidwell

ROZWÓJ KULTURY W BUŁGARII

9 września minęło osiem lat od powstania Ludowej Republiki Bułgarii. W tym czasie oblicze kraju i życie ludzi uległy zasadniczym zmianom. Postęp techniczny, budowa olbrzymich zapór wodnych i elektrowni, związany z tym rozwój materialny kraju stwarza pomyślne warunki dla rozwoju kultury.

Aby zbudować socjalizm — potrzebna jest oświata, trzeba, aby jej budowniczowie posiadali wysokie kwalifikacje zawodowe i umysłowe. Toteż jednym z pierwszych aktów bułgarskiego rządu ludowego była szeroka demokratyzacja oświaty. Została znacznie rozszerzona sieć szkół podstawowych i średnich, jak również wyższych i średnich zakładów naukowych. Potwierdzają to liczby. W chwili obecnej Bułgaria posiada ponad milion uczących się. Przed 9 września 1944 r. w średnich szkołach zawodowych kształciło się 19.253 uczniów — obecnie — 39.695 uczniów. Szkolnictwo dla dorosłych nie istniało; dopiero po wyzwoleniu zaczęły powstawać państwowe szkoły wieczorowe, dzięki którym robotnicy zatrudnieni w produkcji mogą się kształcić. W 76 wieczorowych średnich szkołach uczy się 10.932 robotników, a w 16 wieczorowych szkołach zawodowych — 3.337.

Bułgarski rząd ludowy otwarł dla wszystkich wyższe zakłady naukowe. W porównaniu z 1944 r. ilość wyższych zakładów naukowych wzrosła z 8 do 13, a ilość wydziałów z 31 do 115. Ilość studentów zwiększyła się podwójnie, a profesorów sześciokrotnie. Świad-

czy to o trosce władzy ludowej o dobre naukowe przygotowanie młodych specjalistów, których państwo tak potrzebuje.

Duży nacisk położony jest na szkolnictwo techniczne i agronomiczne. Właśnie te dwa działy odgrywają ogromną rolę w budownictwie socjalistycznym.

Sofijska politechnika, która w latach 1943-44 miała tylko jeden fakultet z trzema wydziałami i 143 studentów, w 1951-52 przekształcona na Państwową Politechnikę im. Stalina, rozwinęła się do 7 fakultetów z 25 wydziałami, mogącymi pomieścić 4.640 studentów. Dawniej nauka w zakresie studiów rolniczych objęta była dwoma fakultetami i trzema specjalnościami. Obecnie Akademia Rolnicza im Georgi Dymitrowa posiada 4 fakultety, 12 specjalności i 3.420 słuchaczy.

W Płowdiwie został otwarty Wyższy Instytut Rolniczy im. Wasila Kołarowa, który ma 3 fakultety, 6 specjalności i 1.122 studentów.

Gruntownej zmianie uległ socjalny skład studentów. Obecnie w wyższych uczelniach studiują dzieci robotników, chłopów i inteligencji pracującej. Aby wykształcić kadry nowej inteligencji, władza ludowa zorganizowała dla pracujących szereg kursów przygotowawczych na uniwersytet. W 1950 roku ukończyło je i wstąpiło na uniwersytet ponad 1.900 robotników. W roku bieżącym wyższe zakłady naukowe zapełnią się robotnikami rekrutującymi się z tych kursów przygotowawczych (tzw. rabfagów).

Państwo zabezpiecza studiującym warunki materialne. Więcej niż trzecia część studentów otrzymuje stypendia rządowe. Otworzono 19 państwowych internatów, w których młodzież otrzymuje bezpłatne mieszkania i wyżywienie. Jednocześnie z rozszerzaniem sieci szkolnictwa dokonuje się w Bułgarii wielkiej pracy nad gruntownym przeobrażeniem metod i zasad wychowania oraz nad podniesieniem poziomu wykładów. Nauczanie zostało oparte na podstawach naukowych. W ten sposób zostały stworzone warunki dla przygotowania wysoko kwalifikowanych kadr specjalistów. Młodzież, która kształci się w wyższych zakładach w duchu komunizmu, to przyszłe kadry wierne ojczyźnie, sprawie socjalizmu i sprawie pokoju.

Razem z całym narodem udział w budowie socjalizmu biorą uczeni bułgarscy. W instytutach bułgarskiej Akademii Nauk, w wyższych zakładach naukowych pracuje dla dobra narodu tysiące pracowników naukowych.

O osiągnięciach w dziedzinie nauki mówią Nagrody Dymitrowskie. Za prace z dziedziny fizyki został nagrodzony członek korespondent Bułgarskiej Akademii Nauk, prof. E. Dżakow. W tych pracach on pierwszy wskazał możliwości wyzyskania prądu zmiennego. Kolektyw uczonych Akademii Medycznej im. Wyłko Czerwenkowa, w skład którego weszli prof. Popchristow, dr Bogdanow i Wasil Bałabanow, został nagrodzony za badania nad nowym dla nauki zjawiskiem antagonizmów mikrobów w organizmie ludzkim. Po raz pierwszy w Bułgarii zostały podjęte badania nad wyodrębnieniem antagonizmów i antybiotyków bakteryjnych flory, znajdujących się w organizmie ludzkim.

Wiele z tych osiągnięć naukowych odznaczonych Nagrodami Dymitrowskimi znalazło już bezpośrednie zastosowanie w produkcji w gospodarce rolnej.

Bułgarska nauka rozwija się na szerokiej podstawie społecznej. Powstaje nie tylko w gabinetach i pracowniach uczonych, ale w fabrykach, warsztatach racjonalizatorów, na polach spółdzielczych, fermach hodowlanych.

Nagrodą Dymitrowską zostało objętych wielu racjonalizatorów i przodowników pracy, stachanowców, bohaterów socjalistycznych, eksperymentatorów miczurinowców. Tak na przykład znani hodowcy nasion, Miumium Biliałow i Raim Fudułow, zostali nagrodzeni za wyhodowanie dwu nowych gatunków tytoniu. Gatunki te mają duże znaczenie dla gospodarki narodowej i cieszą się dużą popularnością.

Sztuka teatralna w Bułgarii rozwija się w duchu ludowo-demokratycznym.

Za władzy faszystowskiej była tylko jedna opera państwowa i 10 teatrów dramatycznych, jedna państwowa orkiestra symfoniczna.

Obecnie w Bułgarii czynne są 24 państwowe teatry dramatyczne, 5 teatrów zawodowych przy związkach zawodowych i wiele teatrów półzawodowych.

Oddzielnie należy wspomnieć o Narodowym Teatrze Kukiełkowym i Teatrze Młodego Widza, Narodowym Teatrze Wiejskiego Widza, Teatrze Domu Wojska. Duże znaczenie dla kształcenia i podnoszenia kultury tureckiej mniejszości narodowej w Bułgarii ma założenie w tym roku dwóch tureckich teatrów estradowych. Z repertuaru teatralnego zostały stanowczo wyeliminowane antydemokratyczne sztuki mieszczańskie. Podstawę repertuaru stanowią stojące na wysokim poziomie ideologicznym i obywatelskim sztuki radzieckie, utwory młodej dramaturgii bułgarskiej oraz przekłady rosyjskich i zachodnio-europejskich klasyków. Zespoły teatralne nawiązują bezpośrednią więź z ludem pracującym, dając gościnne występy po wsiach i wiejskich spółdzielniach.

Bułgaria ma cztery Opery państwowe i jeden teatr muzyczny. Sztuka baletowa, która w okresie władzy burżuazji właściwie nie istniała, obecnie ma do zanotowania szereg sukcesów, szczególnie we wspaniałej inscenizacji baletu Czerwony Mak Gliera, poświęconego walce bohaterskiego ludu chińskiego z imperialistycznymi zaborcami. Publiczność teatralna w Sofii ujrzała na scenie teatru znakomite opery rosyjskie: Eugeniusz Oniegin, Iwan Susanin, Kniaź Igor, Borys Godunow. Opera narodowa Momczył (kompozytor L. Pipkowa), libretto Chr. Radewskiego), opiewająca walkę narodu bułgarskiego o wolności — to pierwsze bułgarskie widowisko operowe. Na polu choreografii skomponowano pierwszy bułgarski balet narodowy Kniaź Ozero — kompozytor P. Władigerow. Opera bułgarska i balet posiadają wielu utalentowanych wykonawców, którzy przy umiejętnym kierownictwie dają widowiska na wysokim poziomie.

W Bułgarii gościli znani radzieccy specjaliści od zagadnień operowych: Eugeniusz Sokownin i Paweł Rumiancew, baletmistrz Nina Anisimowa, Mikołaj Chopfin, Władymir Biełyj, reżyserzy dramatyczni W. Popow, J. Zawadski, B. Baboszkin, artysta B. Łużecki; ich wskazówki i koleżeńska współpraca okazały się bardzo pomocne w pracy zespołów bułgarskich.

Pod kierownictwem reżysera B. Babojkina teatr bułgarski z dużym powodzeniem wystawił na scenie sofijskiego Teatru Narodowego sztukę: L. Kompanejca i L. Kromofielda Leipzig 33. W sztuce tej po raz pierwszy przypomniany został drogi każdemu bułgarskiemu sercu obraz niezapomnianego wodza i nauczyciela bułgarskiego narodu, Georgija Dymitrowa.

Bułgaria posiada 8 państwowych orkiestr symfonicznych i kilka państwowych zespołów pieśni i tańca. W roku ubiegłym za przykładem radzieckiego chóru im. Piatnickiego powstał państwowy zespół narodowy pieśni i tań-

ca, mający za zadanie odkrywanie i kultywowanie ludowej twórczości tanecznej i pieśniarskiej, oraz popularyzowanie współczesnej pieśni masowej. Również samorodna twórczość ludowa doczekała się możliwości nieskrępowanego rozwoju.

Kompozytorzy bułgarscy napisali wiele utworów symfonicznych i instrumentalnych, których tematyka ma inspirować naród w jego walce o zwycięstwo socjalizmu, w walce o pokój.

Na festiwalu bułgarskiej twórczości muzycznej, który odbył się niedawno, utwory kompozytorów bułgarskich zyskały wielkie uznanie goszczących w Bułgarii kompozytorów bratnich narodów ze znanym radzieckim kompozytorem, Aramem Chaczaturianem na czele.

Bułgarska kinematografia, która w pierwszych latach po wojnie była w stanie produkować zaledwie krótkometrażowe filmy dokumentarne, musiała w pierwszym okresie zająć się przygotowaniem kadr reżyserów, operatorów i innych fachowców filmowych. W kraju istniało w 1944 roku 213 kin, obecnie jest ich 823, z tego 196 w miastach, a 627 po wsiach, prócz tego 90 kin objazdowych i 192 ekrany w fabrykach, przedsiębiorstwach, instytucjach naukowych. Od 1947 roku do 1951 ilość widzów filmowych wzrosła 3 razy z 16.723.850 do 48.000.547.

Ostatnio kinematografia bułgarska odniosła sukces na terenie międzynarodowym. Na 6-tym międzynarodowym festiwalu filmowym w Karlovych Warach film T r w o g a poświęcony walce narodu bułgarskiego z hitlerowskimi okupantami otrzymał nagrodę „za walkę o wolność". Na VII międzynarodowym festiwalu filmowym został nagrodzony film O b l i c z e z d r a j c ó w, a film P o r a n e k n a d o j c z y z n ą otrzymał odznaczenie. Młoda bułgarska aktorka Miłka Tułkowa nagrodzona została za rolę Danki w wymienionym filmie.

Oznaką ludowego charakteru bułgarskiej kultury narodowej jest samorodna twórczość literacka. Biorą w niej udział zarówno robotnicy jak chłopi, studenci, młodzież i pionierzy. W Bułgarii istnieje 10.000 artystycznych zespołów amatorskich, w tym samych zespołów robotniczych około 4.000. W tysiącach kółek literackich i kółkach sztuk plastycznych, w tysiącach zespołów dramatycznych, wokalnych i tanecznych przejawiają się uzdolnienia ludu bułgarskiego i odkrywa się nowe talenty.

W okresie władzy ludowej pojawiło się wielu nowych pisarzy. Powstały utwory, poświęcone bohaterskiej walce bułgarskiej klasy robotniczej i całego ludu pracującego o wolność i niepodległość, o budowę socjalizmu, za ojczyznę, za pokój i braterstwo ludów, przeciw podżegaczom do nowej wojny. Jako najwybitniejszy utwór bułgarskiej literatury pięknej w 1951 r. należy wymienić powieść Dymitra Dimowa T y t o ń. Bezojczyźnianej bandzie wyzyskiwaczy, pasożytów i sprzedajnych zdrajców ojczyzny — Dimow przeciwstawia obraz bohaterskiego ludu pracującego, jego najlepszych przedstawicieli i ich walkę pod wodzą komunistycznej partii o wolność i niepodległość.

Utwory bułgarskich klasyków literatury pięknej stały się własnością narodu. W ciągu 70 lat od 1875 do 1944 roku dzieła wielkiego poety - rewolucionisty Christo Botewa wyszły w 61 nakładach obejmujących łącznie 212.000 egzemplarzy, podczas gdy tylko w okresie 6 lat niepodległości dzieła Botewa ukazały się w 23 wydaniach — o ogólnym nakładzie 215.700 egzemplarzy. Utwory narodowego poety Iwana Wazowa wyszły w ciągu 6 lat w 57 nakładach, łącznie 411.500 egz. A wiersze rozstrzelanego przez faszystów poety-komunisty Mikołaja Wapcarowa do 9

września 1944 r. miały tylko jedno wydanie — 1.500 egzemplarzy. W 1950 r. wydane były w liczbie 60.200 egz., a w następnych dwu latach lud pracujący otrzymał nowe dziesiątki tysięcy wydań książek swego ulubionego poety.

Równolegle ze wzrostem kulturalnych potrzeb narodu idzie polityka wydawnicza. Państwowe i spółdzielcze wydawnictwa położyły koniec nakładom mało wartościowej i wulgarnej literatury. Ogromnie wzrosły nakłady literatury naukowej i technicznej, największe nakłady osiągnęła literatura marksistowska.

Dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina wydane były do 1950 r. w 3.614.670 egz. Sama tylko Historia WKP(b), krótki kurs — miała 8 wydań o globalnej liczbie 265.000 egz.

Dzieła Georgija Dimitrowa pojawiły się w 65 wydaniach — ogółem 370.800 egz., a pisma kierownika partii i rządu Czerwenkowa — w 40 nakładach — 1.143.500 egz.

Bułgarski naród czci 8 rocznicę swego oswobodzenia nowym wzrostem i rozkwitem narodowej kultury.

ab

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM-LENINIZM

N. S. Chruszczow — Zmiany w statucie WKP(b). Referat wygłoszony na XIX Zjeździe Partii. Statut Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 62 i 2 nlb.

W. I. Lenin — VII (kwietniowa) Konferencja SDPRR(b) Rezolucja w kwestii narodowej.
— Do Komitetu Centralnego SDPRR. Projekt Rezolucji o obecnej sytuacji politycznej.

Leninowska „Iskra". W pięćdziesiątą rocznicę ukazania się pierwszego numeru (1900—1950). Zbiór artykułów. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 478 i 2 nlb.

G. M. Malenkow — Referat sprawozdawczy Komitetu Centralnego WKP(b) na XIX Zjeździe Partii. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 119 i 1 nlb.

Jan Młot (Szymon Diksztajn) — Kto z czego żyje? „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 129 i 3 nlb.

A. M. Pankratowa — Pierwsza Rewolucja Rosyjska 1905—1907 r. „Książka i Wiedza", Warszawa 1952. Str. 270 i 6 nlb.

Józef Stalin — Przemówienie na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 15 i 1 nlb.

J. W. Stalin — Spisek przeciwko rewolucji. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 43 i 3 nlb.

PROZA

Siergiej Aksakow — Kronika rodzinna. Przekład z rosyjskiego Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 263 i 3 nlb.

Anna Antonowska — Wielki Mourawi. Tom II. Z jęz. rosyjskiego tłumaczył Mikołaj Dąb. Teksty archaizowane opracował Stanisław Skorupka. Ilustrowała Maja Berezowska. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 530 i 4 nlb.

S. Babajewski — Światło nad ziemią. Tom II. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 270 i 2 nlb.

Georges Cogniot — Ucieczka. Opowiadania. Przełożyła z francuskiego Izabella Rogozińska. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 152 i 4 nlb.

Howard Fast — Dumni i wolni. Przekład z angielskiego Miry Michałowskiej. Winiety Ireny Stankiewicz. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 306 i 2 nlb.

Karol Grünberg — Zagłębie Ruhry płonie. Powieść z czasów puczu Kappa. Przełożyły z niemieckiego M. Wołczacka i J. Marecka. Wstępem opatrzył Marceli Ranicki. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 320 i 4 nlb.

Józef Hen — Notes lejtenanta Nikaszyna. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 99 i 1 nlb.

Wilis Łacis — Nawałnica. Tom II. Przełożyła z jęz. rosyjskiego Ludmiła Duninowska. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 663 i 3 nlb.

Kalman Mikszath — Wielkopański gest. Przekład z węgierskiego Racula K. Porgesa i Marty Okołów-Podhorskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 92 i 2 nlb.

Hadżi Murat Mugujew — Stepowy wicher. Przełożył z jęz. rosyjskiego Józef Brodzki. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 276 i 4 nlb.

Martin Andersen Nexö — Wspomnienia. Tom I. Pisklę. Tom II. Pod otwartym niebem. Tłumaczył z jęz. duńskiego Józef Mondschein. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. t. I. str. 165 i 3 nlb; t. II. str. 163 i 1 nlb.

Karol Novy — Na rozdrożu. Przekład z czeskiego Krystyny Żebrowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 373 i 2 nlb.

Opowiadania abchaskie. Z jęz. rosyjskiego tłumaczyli Natalia Gałczyńska i Henryk Rolls. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 304 i 4 nlb.

Opowieści znad brzegów rzek. Przekład z angielskiego Eleonory Romanowicz. Wybór i przedmowa prof. Witolda Jabłońskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 438 i 5 nlb.

Wiera Panowa — Krużylicha. Wydanie drugie. Z jęz. rosyjskiego przełożył Jerzy Brzęczkowski. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 234 i 4 nlb.

Jerzy Pytlakowski — Pożegnanie z Fernandem Garimaux i inne opowiadania fran-

cuskie. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 227 i 5 nlb.

Iwan Turgieniew — Opowiadania wybrane. Przełożył z jęz. rosyjskiego Paweł Hertz. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 264 i 2 nlb.

— Szlacheckie gniazdo. Przełożył z jęz. rosyjskiego Jerzy Jędrzejewicz. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 215 i 1 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Władysław Broniewski — Wiersze warszawskie. Wydanie drugie uzupełnione. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1952. Str. 101 i 3 nlb.

Maksym Gorki — Dostigajew i inni. Komedia w 3 aktach. Przełożył Kazimierz Truchanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 144 i 2 nlb.
— Dzieci słońca. Sceny dramatyczne. Przełożyli Anna Kamieńska i Jan Śpiewak. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 215 i 3 nlb.

Krzysztof Gruszczyński — Pociąg do Marsylii. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 88 i 2 nlb.

Gyufa Hay — Most życia. Sztuka w 3 aktach. Oryg. w jęz. węg. Przekł. z niem. Izabelli Czermakowej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 110 i 2 nlb.

Henryk Hubert — Lenino. Okładka i ilustracje Ignacego Witza. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 25 i 5 nlb.

Buraczane liście. Sztuka w 6 odsłonach według powieści Marii Jarochowskiej. Adaptacja sceniczna Aleksandry Naborowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 87 i 1 nlb.

Jan Kochanowski — Dzieła polskie. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Julian Krzyżanowski. Tom I i II. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. T. I. str. XLIX, 1 nlb., 371 i 5 nlb; t. II. str. 431 i 3 nlb.

Włodzimierz Majakowski — Dobrze! Poemat październikowy. Przełożył Artur Sandauer. Przedmowa Seweryna Pollaka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 159 i 5 nlb.

Albert Maltz — Oto Ameryka. Trzy jednoaktówki. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 79 i 1 nlb.

Vitiezslav Nezval — Pieśń pokoju. Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 22 i 2 nlb.

Eugeniusz Pietro — Wyspa pokoju. Sztuka w 4 aktach. Przekład z rosyjskiego Marii Wisłowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 87 i 1 nlb.

Józef Prutkowski — Alfabet serdeczny. Ilustrowali Maja Berezowska i Jerzy Zaruba. Okładkę projektował Jerzy Zaruba. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 131 i 1 nlb.
— W sprawie miłości. Ilustracje: H. Tomaszewski i S. Zamecznik. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 104 i 4 nlb.

Tadeusz Różewicz — Wiersze i obrazy. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 59 i 1 nlb.

Włodzimierz Słobodnik — Nowe wiersze. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 229, 2 nlb. i 1 fotografia.

J. Stabawoj — Dzień przyjęć. Jednoaktówka. Z jęz. rosyjskiego tłumaczyła Stefania Bądkowska. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 53 i 3 nlb.

Anna Świrszczyńska i Henryk Vogler — Czerwone sztandary. Sztuka w 2 odsłonach. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 38 i 2 nlb.

Wiliam Szekspir — Sen nocy letniej. Komedia w pięciu aktach. Przekład K. I. Gałczyńskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 120 i 2 nlb.

HISTORIA I HISTORIA LITERATURY

Bibliografia utworów Joachima Lelewela. Oprac. Heleny Hleb-Koszańskiej i Marii Kotwiczówny. Instytut Badań Literackich: Prace bibliograficzne pod red. Witolda Suchodolskiego. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. XVII, 200 i 3 nlb.

Aleksander Fredro — Pan Jowialski. Komedia w 4 aktach prozą. Oprac. Władysława Szyszkowskiego. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 205 i 2 nlb.

Jan Wohlfgang Goethe — Faust. Tragedii część pierwsza (Wybór). Oprac. Marty Walińskiej i Mieczysława Urbanowicza. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 78 i 2 nlb.

Hugo Kołłątaj — Wybór pism politycznych. Oprac. prof. Bogusław Leśnodorski. Bi-

blioteka Narodowa, seria I, Nr 140. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. XCVII i 318.

Józef Korzeniowski — Kollokacja. Oprac. Stefana Papée. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 242 i 2 nlb.

Ludwik Łętowski — Wspomnienia pamiętnikarskie. Przygotował do druku, opatrzył wstępem i przypisami Henryk Barycz. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im, Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. XXXVII, 310 i 1 litografia.

Najstarsza poezja polsko-łacińska (do połowy XII w.). Oprac. Marian Plezia. Przekł. z jęz. łac.: J. Birkenmajera, J. Gamskiej-Łempickiej, R. Grodeckiego, J. M. Harhali, J. Jedlicza, J. Kasprowicza. L. Kondratowicza, K. Mecherzyńskiego, J. Mirskiego. J. Piętrzyckiego, M. Plezii, T. Sinko, J. Smereki, L. Staffa. Biblioteka Narodowa, seria I, Nr 141. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. XCII i 128.

Wacław Nałkowski — Wybór pism. Oprac. Stefana Kałuskiego. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 92 i 2 nlb.

Henryk Sienkiewicz — Humoreski z teki Worszyłły. Oprac. Aliny Nofer. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 154 i 2 nlb.

Juliusz Słowacki — Beniowski. Oprac. Eugeniusza Sawrymowicza. Nasza Biblioteka. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 186 i 2 nlb.

Stanisław Staszic — Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego. Oprac. Stefana Czarnowskiego. Wyd. II, zmienione, przygot. do druku przez prof. Bogusława Leśnodorskiego. Biblioteka Narodowa, seria I. Nr 90. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. LVIII, 222 i 3 nlb.

Stefania Wilska — Pamiętnik o Ignacym Chmieleńskim. Przygotowanie do druku, wstęp i przypisy Stefana Kieniewicza. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. XX, 175, 1 nlb i portret.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Korniej Czukowski — Kurczątko. Wyd. II. Ilustr. wg oryg. ros. E. Czaruszina. Czupiradło. Ilustr. wg oryg. ros. W. Konaszewicza. Cykl: Poczytaj mi, mamo. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 15.

Józef Dik — Ognisty potok. Przekł. z ros. Z. Łapickiej. Ilustr. W. Konowałowa, reprod. z wyd. ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 183 i 3 nlb.

Adolf Dygasiński — Wybór nowel. Wybór i wstęp J. Z. Jakubowskiego. Ilustr. St. Rozwadowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 265 i 2 nlb.

Sudrabu Edżus — Dauka Cudak. Przekł. z ros. Teresy Harley. Ilustr. Jarosława Kirylenko. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 79 i 1 nlb.

Jan Grabowski — Puch kot nad koty. Ilustr. St. Rozwadowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 158 i 3 nlb.

Hanna Januszewska — Baśnie polskie. Ilustr. Olgi Siemaszko. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 121 i 3 nlb.

B. Jemielianow — Opowiadania o Gajdarze. Przekł. z ros. Jana Brzechwy i Marii Górskiej. Ilustr. J. Rejnera reprod. z wyd. ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 163, 3 nlb. i 1 fotografia.

Dżansi Kimonko — Tam, gdzie płynie Sukpaj. Przekł. z ros. Natalii Gałczyńskiej. Ilustr. M. Kościelniaka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 112 i 2 nlb.

M. Kownacka — Klocek. Ilustr. Grabska-Pucek. Wyd. II Cykl: Poczytaj mi, mamo. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 14 i 2 nlb.

I. A. Kryłow — Bajki dla dzieci. Przekł. i adaptacja Benedykta Hertza. Ilustr. Ignacego Witza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 50 i 1 nlb.

Józef Kuśmierek — Droga do szkoły. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 97 i 1 nlb.

Anna Lanota — O Stachu, krowie, szkole i traktorze. Ilustr. Haliny Bielińskiej i Włodzimierza Haupe. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951.

Władysław Łoziński — Opowiadania imć pana Wita Narwoja rotmistrza konnej gwardii koronnej A. D. 1760—1767. Ilustr. A. Uniechowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. XI i 260.

Mała Marta stawia kropkę. Zebrała i opracowała Maria Górska. Ilustr. St. Rozwa-

dowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 107 i 4 nlb.

Na zakręcie. Praca zbiorowa. Przekł. z ros. S. Dymowskiego. Ilustr. Józefa Czerwińskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 131 i 3 nlb.

O wojach i witeziach. Oprac. I. Karnauchowa. Przekł. z ros. K. Truchanowskiego. Ilustr. N. Koczergina reprod. z wyd. ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 131 i 3 nlb.

Hanna Ożogowska — Na Karolewskiej. Ilustr. S. Styczyńskiego. „Nasza Księgarnia" Warszawa, 1951. Str. 227 i 3 nlb.
— Swoimi słowami. Ilustr. S. Rozwadowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 80 i 2 nlb.

Michail Sadoveanu — Droga do Harlau. Przekł. z rum. Szymona Zakrzewskiego. Ilustr. St. Brzęczkowskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 72 i 2 nlb.

Karol Szpalski i Marian Załucki — Nasi chłopcy na boisku. Ilustr. J. Karolaka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 46 i 3 nlb.

W. Tropaczyńska-Ogarkowa i M. Krüger — Mały łącznik Kim E-cho. Ilustr. J. Karolaka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 300 i 2 nlb.

E. Trutniewa — Zwycięstwo. Przekł. J. Minkiewicza. Ilustr. W. Fangora. Cykl: Poczytaj mi, mamo. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 14 i 2 nlb.

Iwan Wasilenko — Koguciki. Przekł. z ros. Stefana Artowskiego. Ilustr. M. Mackiewiczówny. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1952. Str. 147 i 3 nlb.

M. Wiśniewska — Kolorowa kołderka. Ilustr. M. Mackiewiczówny. Cykl: Poczytaj mi, mamo. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 14.

ZABYTKI JĘZYKA POLSKIEGO

Rozmyślania o żywocie Pana Jezusa tzw. przemyskie. Podobizna rękopisu. Wydał i wstępem opatrzył Stefan Vrtel-Wierczyński. Nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa, 1952. Str. XX, 852 i 2 nlb.

JĘZYKOZNAWSTWO

Tadeusz Lehr-Spławiński i Roman Kubiński — Gramatyka języka polskiego. Podręcznik dla wszystkich z 19 rycinami w tekście i tablicą. Wyd. VI. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 195.

ESSAY i KRYTYKA

Henryk Markiewicz — O marksistowskiej teorii literatury. Szkice. Instytut Badań Literackich. Studia historyczno-literackie pod red. Jana Kotta, tom XIV. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. VI i 126.

Tezy Stalina o języku a metodologia badań literackich. Osobne odbicie z Pamiętnika Literackiego. R. XLII, 1951, z. 2. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1952. Str. 79 i 1 nlb.

PUBLICYSTYKA

Edmund Jan Osmańczyk — Siedem gawęd o dwóch światach, dwóch epokach, dwóch Mickiewiczach i jednej miłości. Rys. Mieczysława Piotrowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 108 i 3 nlb.

I. Wasiljew — „Neutralność" Turcji w drugiej wojnie światowej. Przekł. z ros. Tadeusza Wójcika. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 165 i 3 nlb.

Współczesne monopole amerykańskie. Przekł. z ang. J. Stawińskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 130 i 2 nlb.

KULTURA I SZTUKA

Kukryniksy: Michał Wasiljewicz Kuprijanow, Porfirij Nikiticz Kryłow i Mikołaj Aleksandrowicz Sokołow. Przekł. z ros. Jana Śpiewaka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952.

FILOZOFIA

Kartezjusz — Rozprawa o metodzie. Przekł. z franc. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 116, 1 nlb. i 1 tablica synchroniczna.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE

Maria Kurecka — Dzieje Jana Sebastiana Bacha. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 180, X str. nut, 7 nlb. i 1 portret.

L. Tynianowa — Opowieść o rosyjskiej aktorce. Przekł. z ros. Walentyny Leśnobrodzkiej-Założyny. Przekł. tekstów poetyckich Włodzimierza Boruńskiego i Aleksandra Rymkiewicza. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 242 i 2 nlb.

SATYRA

Jarosław Hasek — Tasiemiec księżnej pani. Przekł. z czesk. Stefana Krysiaka. Wstęp Jana Szeląga. Ilustr. Charlie. Biblioteka „Szpilek" pod red. Antoniego Marianowicza, Nr 20. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 190 i 2 nlb.

Jerzy Jurandot — Frontem i afrontem. Ilustr. Charlie. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 129 i 2 nlb.

Stefan Wiechecki (Wiech) — Na perłowo. Ilustr. Jerzego Zaruby. Biblioteka „Szpilek" pod red. Antoniego Marianowicza, Nr 22. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 153 i 3 nlb.

REPORTAŻE

Edmund Jan Osmańczyk — Na zachód od Odry i Nysy. Rys. Danuty Staszewskiej. Cykl: Książka nowego czytelnika. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 226 i 4 nlb.

FELIETONY

Adolf Rudnicki — Kartki sportowe. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 88 i 2 nlb.

RÓŻNE

Eugeniusz Banaszczyk — Wojsko wolnego narodu. Ministerstwo Obrony Narodowej. Warszawa, 1952. Str. 193 i 3 nlb.

Wiesław Brudziński i Antoni Marianowicz — Głos Ameryki. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 16.

W. Grochowski — Las źródło surowców. Ministerstwo Obrony Narodowej. Warszawa, 1952. Str. 80 i 4 nlb.

Katalog wydawnictw Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 422 i 2 nlb.

Jerzy Jurandot — Ojciec i syn, czyli wstrząsająca historia o niejakim Janie Pazole ze wsi Krzywanie, gminy Makówek, powiatu płońskiego i o jego synu Kazimierzu. Str. 14 i 2 nlb.

B. Rodow — Rola USA i Japonii w przygotowaniu i rozpętaniu wojny na Pacyfiku 1938—1941. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 209 i 3 nlb.

W. Tonkow — Anatomia człowieka. Tom pierwszy. Część ogólna, układ narządów ruchu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 475 i 1 nlb.

SPIS TREŚCI

Str.

Włodzimierz Lenin — Na czwartą rocznicę Rewolucji Październikowej 3
Z referatu sekretarza KC WKP(b) G. Malenkowa na XIX Zjeździe Partii . 8
Jan Śpiewak — Gdzie człowiek dojrzewa 14
Janina Brzostowska — Stanisława Kunickiego życiorys . . 19
Stanisław Zieliński — Rodacy 22
Mirosław Żuławski — Rzeka Czerwona 73
Mao Tse-tung — W sprawie sprzeczności 122
Z POEZJI RADZIECKIEJ: 129
Michał Swietłow — Nad stronicami Manifestu, przeł. Zbigniew Bieńkowski;
Eugeniusz Dołmatowski — Mogiła Goethego; Aktorzy, przeł. Anna Kamieńska;
Aleksander Prokofiew — Odpowiedź, przeł. Leopold Lewin;
Michał Isakowski — Wiśnia, przeł. Leopold Lewin;
Mikołaj Tichonow — Kirow z nami, przeł. Seweryn Pollak 129
Jan Kott — O języku i stylu Trembeckiego 137
WŚRÓD KSIĄŻEK: Jacek Trznadel — Mieczysław Jastrun „Poemat o mowie polskiej"; Barbara Rafałowska — Julian Stryjkowski „Bieg do Fragalà"; Samuel Sandler — Adam Ważyk „Mickiewicz i wersyfikacja narodowa; Ludwik Grzeniewski — Edmund Jan Osmańczyk „Siedem gawęd"; Salomon Łastik — Józef Hen „Druga linia", „Moja kompania" 152
TEATR: Wojciech Natanson— Glossy o „Drodze do Czarnolasu" 183
NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński, George Bidwell, ab 187
KSIĄŻKI NADESŁANE 219

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 5.—. Prenumerata kwartalna zł 15.—, półroczna — zł 30.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch".

0.384603

Cena zł 5.–